
3 1761 07043574 8

№ 69

PISMA I PRZEMÓWIENIA
STANISŁAWA SZCZEPANOWSKIEGO

TOM I.

PLAN WYDAWNICTWA.

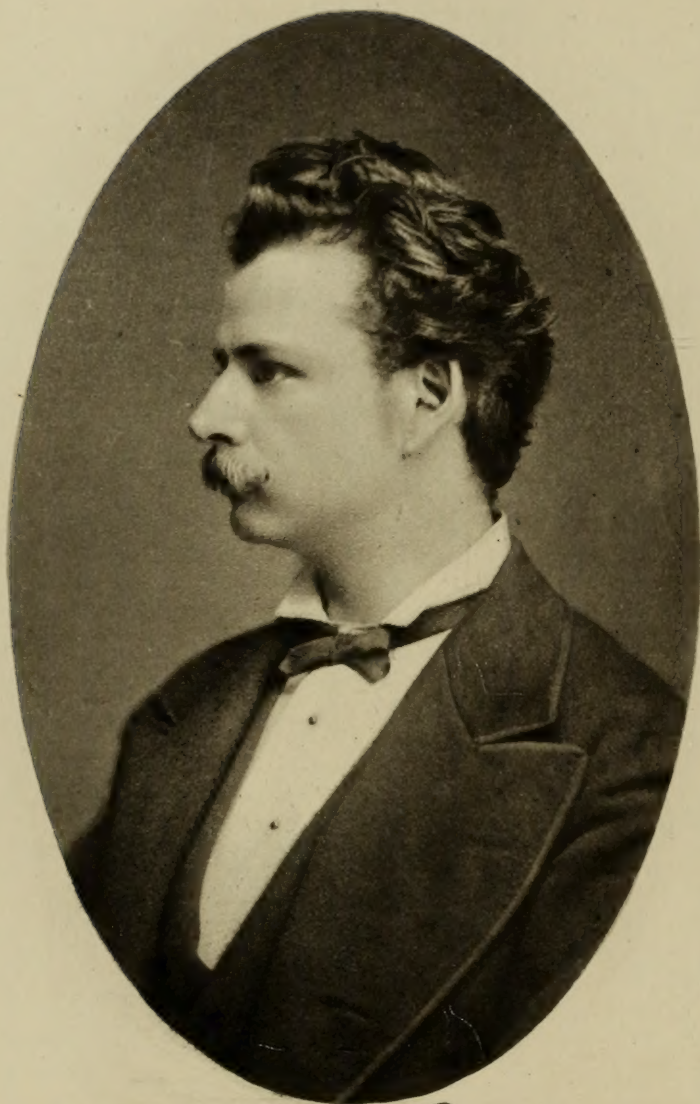
Pisma i Przemówienia

STANISŁAWA SZCZEPANOWSKIEGO

zostaną wydane w czterech lub pięciu tomach.

Tom I-szy „Myśli o Odrodzeniu Narodowem i Idea Polska". Stron 330, cena 5 koron.

Drugi tom obejmie mowy poselskie, następne zaś prace ekonomiczne autora.



Stanisław Szczepanowski

STANISŁAW SZCZEPANOWSKI



MYŚLI O ODRODZENIU NARODOWEM

ZEBRANE PRZEZ

HELENĘ SZCZEPANOWSKĄ i ANTONIEGO PLUTYŃSKIEGO.

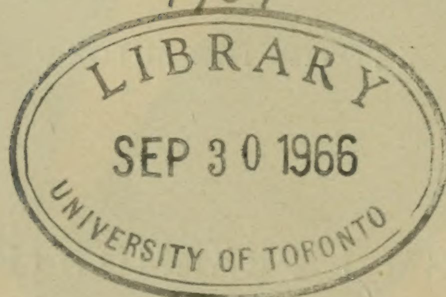
Z PORTRETEM AUTORA.

PISM I PRZEMÓWIEŃ

TOM I.

WYDANIE DRUGIE BEZ ZMIANY.

LWÓW 1907. — TOWARZYSTWO WYDAWNICZE.
Składy główne: Warszawa, E. WENDE i Sp. — Lwów, H. ALTENBERG.



ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI SŁOWA POLSKIEGO WE LWOWIE
POD ZARZĄDEM JÓZEFA ZIEMBIŃSKIEGO — 1907 ROKU

SPIS RZECZY.



PRZEDMOWA.

Podejmując zbiorowe wydanie „Pism i Przemówień“ Stanisława Szczepanowskiego, odczuwaliśmy głęboko potrzebę zwrócenia woli i czynu społeczeństwa polskiego, ku tym zamiarom i usiłowaniom, w których służbie żył i działał, których spełnienia żądał, odchodząc, autor „Nędzy Galicyi“ i „Idei Polskiej“. — Dlatego nie ważąc się przed czasem na sąd o całej, tak wielostronnej, a nie zamkniętej jeszcze w następstwach działalności Szczepanowskiego, ani usiłując odtworzyć tu jego duchowej podobizny, która z każdej karty pisma z przedziwną występuje jasnością, wypukłością i mocą — wskazać chcemy jedynie na te pobudki i intencye, które skłoniły nas do podjęcia wydawnictwa i kierowały jego wykonaniem.

Odczuwaliśmy potrzebę rozbudzenia wyższego zajęcia się sprawami krajowemi w latach ostatnich, wytworzenia tej zdrowej i jędrnej ciągłości życia publicznego, do której dochodzi się jedynie przez gruntowne zrozumienie prac i usiłowań poprzedników. Szczepanowski zogniskował w swej działalności tyle dążeń zbiorowych całego społeczeństwa, tyle nowych wywołał, tak zjednoczył się z pracami nad ekonomicznem, politycznem i duchowem przeobrażeniem Galicyi w ostatnich latach kilkunastu, że znajomość dzieł jego nie-

zbędnie potrzebną się stała do zrozumienia tego okresu. Jeżeli zaś komu, to przedewszystkiem pokoleniu, obecnie w czynne życie wstępującemu, nie wolno przechodzić mimo doświadczenia lat minionych, zwłaszcza jeżeli dotyczyły one spraw najistotniejszych, jeżeli nadto okupione zostały drogo, przeciężkim wysiłkiem jednostek i zbiorowym trudem wielu. — Żyjemy w czasach zdwojonej odpowiedzialności, w chwili, kiedy na przestrzeni całej Rzeczypospolitej jakieś nowe, pełniejsze i potężniejsze budzi się życie, kiedy nowe wzbierają i gromadzą się siły. Ta chwila wymaga jasnego, spokojnego, a przenikliwego spojrzenia w przeszłość. Dobro narodu żąda go od tych, którzy „raźnie, chrobro, wytrwale i zaborczo" w przyszłość iść mają, aby w poszukiwaniu dróg nowych nie wchodzili na dawno udeptane, albo na zgoła niedostępne, powtarzając trudy przebyte, albo szarpiąc siły w już przegranej walce.

Obok tego historycznego poniekąd już dziś znaczenia dzieł Szczepanowskiego, jest w nich dalsze nierównie ważniejsze. Gorące przyjęcie i wpływ głęboki, jaki na całą młodzież, szczególnie na najbardziej zagrożonych wschodnich i zachodnich kresach wywarła „Idea", dowodzi, że tkwi w nich znaczny zasób siły żywej dla przyszłości zachowanej. Tkwi w nich przedewszystkiem wielka wiara w żywotność polskiego plemienia, w moc niezłomną tworów jego nieśmiertelnego ducha. Jest to zaś wiara Polaka prawdziwie nowożytnego, który przemoc wroga i naszą nędzę materyalną badał przy pomocy „cyrkla, wagi i miar" i nie z książek tylko lub opowieści, ale z własnej obserwacyi, nie od biurka uczonego lub redakcyjnego stolika, ale i od robotniczego warstatu. Widział lepiej, niż ktokolwiek przed nim, przepaść między stanem obecnym a idealną przyszłością, znał wszystkie braki i niedoskonałości tych,

którzy przepaść tę wypełnić mają i nie zwątpił, kiedy zwątpienie ogarniało cały naród, ale sam chwycił rydel do ręki i zasypywać począł tę przepaść, zda się bezdenną. — Był on człowiekiem, który ukochał wielkość swego narodu, który wiedział, „że jedna zepsuta i zwątpiała generacya nie daje miary charakteru narodowego, że czem jaki naród kiedykolwiek był w historyi, tem znowu każdej chwili na nowo stać się może“ i który tę wielkość i doskonałość chciał mieć w każdym czynie jednostki i w każdem dziele zbiorowem.

Głęboka miłość i wiara czynna dźwięczała w jego słowach, kiedy wstępował na mownicę, jaśniała w pismach, kiedy, złożywszy młot górniczy, brał pióro do ręki — i dawała mu siłę wzroku daleko w przyszłość sięgającą. Stąd w „Myślach o Odrodzeniu Narodowem“ znajdziemy określenie współczesnych nam i ledwo poczynających się prądów, znajdziemy ujęcie szerokie i najwyższe dążeń, ożywiających dzisiejsze pokolenie. Przejście od najogólniejszych celów do najszczegółowszych obowiązków publicznego i prywatnego życia, oparcie wszelkiej twórczości na oryginalnych, swojskich podstawach narodowych, z równoczesnem uwzględnieniem całego duchowego dorobku ludzkości, zdobycie na usługę polskiej idei, wiedzy i umiejętności europejskiej, i wytworzonych siłą woli, punktualności i dokładności wykonania — to są i dziś jeszcze, i na długo w przyszłość najważniejsze zadania dla polskiego narodu.

W przeprowadzenie tych zadań na ciaśniejszym galicyjskim terenie włożył Szczepanowski siłę i doświadczenie swego życia. Dopóki w tym kierunku podnoszone postulaty uprzemysłowienia Galicyi, uwolnienia jej od ekonomicznego, politycznego i duchowego panowania obcych, podniesienia na wyższy ste-

pień twórczości i gospodarki krajowej — postulatami jeno pozostały, dopóki widnieją nieskończone zręby tej budowy, na której oprzeć się miał śmiało nasz rozwój polityczny i cywilizacyjny, dopóty pierwsze, silne nawoływania do dzieła zachowają swój żywotny charakter.

To były względy zasadnicze, nakazujące nam przystąpić do wydawnictwa pism i przemówień Stanisława Szczepanowskiego. Czy wykonanie odpowie założeniu? Z naszej strony czujemy całą trudność i odpowiedzialność, jaką pociąga za sobą publikacya pism, częstokroć do druku nieprzygotowanych, zgoła do ogłoszenia nieprzeznaczonych, albo takich znów, które wyszły przed laty i wymagają obszernych uzupełnień i wyjaśnień. Stąd wydawnictwo zarówno pod względem szczegółów, jak i formy opracowania nie będzie nosiło znamion tej jednolitości, jaką mu nadać mogła jedynie ręka samego Szczepanowskiego. Jednolitem ono jest jednak, jak jednolitym był człowiek, który je tworzył pod względem ducha i intencyi.

Jeżeli tej intencyi stanie się zadość, jeżeli fakty i poglądy przez autora podniesione staną się punktem wyjścia do nowych wysiłków, jeżeli rzucone przez niego hasła wzbudzą nowych pracowników nad odrodzeniem narodowem, — wtedy zarówno wypełni się wola samego Szczepanowskiego i czynnie stwierdzoną zostanie potrzeba i użyteczność naszego wydawnictwa.

Lwów, w marcu 1903.

Antoni Plutyński.

FARYS — ZWYCIĘZCA

(ODCZYT).

„Podróż jest zwycięstwem“.

Wybrałem na dzisiaj temat literacki nie dla tego, żebym go chciał traktować w sposób literacki, ale dla tego, że nie uważam, jakoby literatura była odłączoną od życia praktycznego, przeciwnie jestem zdania, że tylko ta literatura, która nie jest jako kwiat égzotyczny niezwiązany z treścią życia — ale przeciwnie ta, która nas może pokrzepiać i dodawać otuchy w walce samego życia, jest prawdziwie narodową. Dlatego, jeżeli wybrałem rozbiór jednego z najpiękniejszych poematów Adama Mickiewicza, to nie będę rozbierał go ze strony artystycznej, tylko z innej: t. j., o ile ten temat związany jest z potrzebami praktycznego i rzeczywistego życia.

Naprzód rozpatrzyć należy, gdzie i w jakich warunkach powstał poemat „Farys“. W roku 1824 Mickiewicz znajdował się w Odesie. Z tego czasu datuje się wycieczka do Krymu i przecudne sonety krymskie. W Odesie poeta spotykał się ze współczesnem towarzystwem polskiem, a pomiędzy niem był tam nadzwyczajny oryginał, Wacław Rzewuski, syn hetmana polnego, znanego z czasów czteroletniego sejmu. Za młodych lat zrobił on wycieczkę do Syryi i Arabii, ażeby stamtąd sprowadzić konie czystej rasy arabskiej. W tej wycieczce zakochał się we Wschodzie, w życiu emirów i beduinów arabskich. Zamiłowanie do jazdy konnej, duch rycerski i awanturniczy i inne ślady tej wycieczki pozostały u niego przez resztę życia. Powróciwszy na stepy jeździł w ubiorze na pół arabskim na pół kozackim, a nareszcie zginął w powstaniu 1831 r. Że Rzewuski nadał bezpośrednią treść poematowi — widać z napisu „Kasyda na cześć Tadż-ul-Fechra“. To był tytuł Wacława Rzewuskiego. Chociaż

ani w korespondencyi ani w pamiętnikach przyjaciół Mickiewicza nie ma dowodów ściślejszych stosunków z Rzewuskim, to jednak wpływ jego wykazuje sam poemat przez nadzwyczajną wierność, z którą oddaje wrażenia życia na pustyni.

Na uzasadnienie tego twierdzenia pozwolę sobie dowód zaczerpnąć z literatury zupełnie innego kraju, t. j. z literatury angielskiej. Pomiędzy podróżnikami angielskimi pierwszej połowy tego wieku odbija oryginalnie kapitan Burton, wielkimi rysami przypominający Wacława Rzewuskiego. Postać wybitna, znakomity lingwista, głęboki uczony; on pierwszy z Europejczyków dotarł do Mekki i Medyny w postaci pielgrzyma arabskiego. Wyprawa ta była połączona z ciągłem niebezpieczeństwem życia, bo niedozwoloną było rzeczą dla chrześcijanina zbliżanie się do tego świętego miejsca mahometan. W zachowanym dzienniku Burtona z tej podróży uderza nadzwyczajne podobieństwo opisów jego do tych obrazów poetycznych, które znajdujemy w Farysie Mickiewicza. Pozwolę sobie tylko kilka ustępów z Burtona przetłómaczyć na język polski. Jest to opis pustyni, która się zaczyna za miastem Suez, gdzie wykopany został kanał Suezki. Otóż, jak opisuje angielski podróżnik, wrażenie pustyni jest nadzwyczaj pobudzającem dla wszystkich władz umysłu i ciała podróżnego. Nad nim niebo straszne w swej piękności, a wiatr Samum ogarnia go, jak gdyby lew zionął ognistym oddechem. W około pagórki piaskowe, każdy powiew wiatru żłobi ślady fal ruchomych. Ten, kto w tej pustyni podróżuje, znajduje się w ciągłem niebezpieczeństwie życia, on wie, że pęknięcie worka z zapasem wody może spowodować śmierć. Kraj dziki, w którem znajdują się dzikie zwierzęta i jeszcze dziksi ludzie. Przysłowie powiada: gdzie spotkasz źródło, „pij i uciekaj“, bo do tego źródła idą dzikie zwierzęta i dzicy ludzie. Cóż może być bardziej wspaniałego? Serce człowieka bije w piersi na myśl mierzenia sił swoich z całą potęgą natury, i wyjścia tryumfująco z tej próby. To tłómaczy przysłowie arabskie: „Podróż jest zwycięstwem“.

Potem opisuje, jak jednostajność pustyni i brak rozmaitości wrażeń wpływa na ciało, umysł, na zdrowie i na ton całego usposobienia — jak niejako wszystkie siły i władze umysłu i ciała koncentrują się i skupiają. Zdaje mi się, że z całego ustępu

żadne zdanie nie jest bardziej charakterystyczne, jak właśnie to przysłowie arabskie „Podróż jest zwycięstwem“.

To przysłowie mogło być jako motto użyte do poematu Mickiewicza „Farys“, bo ten poemat, który wygląda jako czyste dzieło imaginacyi, odzwierciadlające naturę, której Mickiewicz zupełnie nie widział, a którą poznał przez wrażenie, jakie wywarła na umysł innego, jest równocześnie symbolem podróży przez życie, która się kończy zwycięstwem. Że to była myśl i duch poematu Mickiewicza, pokazuje się z tego, że przedstawiwszy walkę dzielnego jeźdźca ze wszystkiemi władzami natury, jego spotkanie z szakalem, z sępem i trupami, jego ostateczną walkę z huraganem afrykańskim — opisuje, jak wyszedłszy z zapasów po dokonaniu zwycięstwa, dopiero zatapia się myślą nie w rzeczach codziennych, ale w myślach obejmujących duszę świata.

„Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,
Zda się, że go ze wschodu na zachód obejmę.
Wytężyło się me oko, tak daleko, tak szeroko,
Że więcej świata zasięga, niż jest w kole widnokręga,
Jak pszczoła topiąc żądło i serce z niem grzebie,
Tak ja za myślą, duszę utopiłem w niebie“.

Podczas kiedy cały poemat jest oddaniem wiernem natury pustyni, koniec pokazuje, że to nie jest tylko zwyczajna podróż, ale podróż całego życia, podróż zwycięska przez życie. Bo co uderza w tym poemacie, to przedewszystkiem ta niepohamowana siła, która przebija z każdego słowa, z każdego czynu Farysa. Farys jest słowem arabskiem na gońca, lub rycerza. Tutaj jednak duch rycerski, bohaterski, łączy się z myślą tryumfu, z pewnością zwycięstwa; nie ma tutaj ani chwili powątpiewania we własne siły, w możliwość dojścia do celu, i właśnie ten ton wiary i pewność zwycięstwa ostatecznego jest cechą tego poematu i to cechą, która różni go od wielu innych podobnych. Bo my sami w naszej literaturze mamy inny poemat na ten sam temat, to jest „Farys wieszcz“ Karola Balińskiego. Pod względem języka, piękności obrazów poetycznych, trudno nawet powiedzieć, żeby był on niższym od poematu Mickiewicza, ale jest jedna zasadnicza różnica: podczas kiedy poemat Mickiewicza kończy się zwycięstwem — u Balińskiego Farys zaczyna już od jakiejś nuty żałośnej, od ubolewania

„O i ja kiedyś byłem Farysem
„Lecz czy wy wiecie, co farys znaczy“

i dopiero opisuje:

„Olbrzyma, olbrzym niech wytłómaczy“.

Zwracam uwagę, że Farys Mickiewicza nigdzie nie mówi o sobie, nigdzie się nie nazywa olbrzymem, ale przeczytawszy poemat widać, że on, jak olbrzym, zwalczył wszystkie trudności, zwyciężył, tryumfował — tymczasem Farys Balińskiego nazywa się olbrzymem, a jednak ubolewa i wypowiada tylko żale, że ten świat nie jest dla Farysów, że wszyscy jego bracia Farysi polegli. Widzimy więc tutaj dwa zupełnie inne rodzaje uczucia, otoczone tą samą pięknością artystyczną, czarem cudownego języka poetycznego, a jednak, zdaje mi się, że w zastosowaniu praktycznem, w skutkach nadzwyczajna zachodzi różnica pomiędzy Farysem Mickiewicza a Farysem Balińskiego. Pierwszy pokrzepia i utwierdza wiarę w nasze siły, tchnie poczuciem i pewnością zwycięstwa, — drugi utwierdza przekonanie, że świat nie jest polem, na któremby szlachetni mogli zwyciężać, że na świecie moce złowrogie i nieszlachetne muszą przemagać, a szlachetne mogą tylko ginąć. Zdaje mi się, że w ten sposób cały czar poezyi użyty jest tylko do wywarcia jakiegoś wpływu na nasze uczucia, na wzbudzenie jakiejś żałości — a zarazem cały ten czar poezyi tylko utwierdza to przekonanie, że bohaterstwo choć istnieje w intencyi, jest daremnem, bo świat jest za niski, za zły, ażeby mógł być polem dla czynnego i zwycięskiego bohaterstwa. Tak więc pomimo całej cudownej poezyi tego drugiego poematu, należy on do tego rodzaju sztuki, który osłabia nasze siły w walce życia.

Zestawienie tych dwu poematów naprowadza mię na zestawienie dwu podobnych poematów angielskich. Już sam Baliński swego Farysa nazywa wieszczem, podczas kiedy u Mickiewicza Farys posiada bardziej rysy rycerskie. U Balińskiego właściwie jest przeprowadzony opis misyi poety. Otóż na ten sam temat misyi poety, mamy śliczny poemacik angielski o śpiewaku irlandzkim, Tomasza Moore'a. Ten poemat zupełnie tak samo, jak Farys Balińskiego, zaczyna się pewną nutą żałośną. Świat jest jakiś przewrotny, świat nie jest miejscem, w którem szlachetność może zwyciężać: „Oh! Blame not the bard“.

„Nie wyrzucaj śpiewakowi, że on na grobie swej ojczyzny tylko płakać potrafi i że znajduje jeszcze chęć i usposobienie do czerpania tych rozkoszy, które życie przynosi“. To jest, pomimo całej uroczej poezyi i niesłychanego wdzięku rytmu i słów — ta sama ewangelia zwątpienia, od której siły i ręce opadają. I zestawić można z tem drugi poemat, który stoi doń w zupełnie tym samym kontraście, co poemat Mickiewicza do Balińskiego, t. j. „Śpiewak grecki“ Byrona *). Jest to jeden z klejnotów poezyi, przedstawia śpiewaka greckiego wtenczas, kiedy Grecya była jeszcze pod jarzmem tureckiem i dopiero zamyślała o powstaniu. Wzywa on duchy wszystkich greckich bohaterów i woła potem na żywych Greków, chcąc się przekonać, czy którykolwiek z nich rozumie tradycye starych dziejów i zdobędzie się na naśladowanie przykładu dawnych bohaterów. Skoro widzi, że nie jest zrozumianym i nikogo nie porywa, że jego umysł czuje wspólnie tylko ze zmarłymi, a nie z żyjącym narodem — wtenczas powiada, że nie chce takiego życia i woli zginąć, niż żyć wśród narodu niewolników. I tak samo, jak ten poemat rezygnacyi o śpiewaku irlandzkim Moore'a, uderza i ten niesłychaną muzykalnością rytmu i dźwięku, a jednakowoż tamten pozostawia wrażenie przygniatające, tymczasem wiersz Byrona mimowoli pobudza do wytężenia sił, do wiary i do nadziei pomimo, że niby na pozór, śpiewak nie znalazł odgłosu, ale energia, z którą wypowiada swe przekonanie i wywołuje ducha zmarłej Grecyi, z którą każe żyjącym na nowo walczyć za niepodległość narodu, robi wrażenie, że pomimo iż nikt z żyjących teraz go nie zrozumiał, to jednakowoż ta sprawa musi zwyciężyć. Podczas kiedy tkliwa poezya Balińskiego i Moore'a utwierdza wiarę w klęskę każdej sprawy szlachetnej, — to męskie nuty Mickiewicza i Byrona dodają siły i pewności, że każda wielka sprawa, właśnie dlatego, że jest wielką i szlachetną, musi zwyciężyć. /

Wskazałem na różnice w obrobieniu zupełnie tego samego tamatu i wskazałem że właśnie w tym temacie Mickiewicz i Byron mniej więcej przystąpili do tworzenia w tem samem usposobieniu i dali wyraz temu samemu duchowi. Dlatego tem bardziej interesujące jest porównanie, gdzie poeci do pewnego

*) Don Juan. Byrona Stanza LXXXVI. „The isles of Greece“.

stopnia tak zbliżeni duchem, traktują inne przedmioty. W Farysie widzimy bohatera tryumfującego. Natomiast w jednym z najpiękniejszych poematów Byrona, opisującym gladyatora konającego w cyrku Kolizeum, widzimy także opis męstwa, ale nie tryumfującego, tylko daremnego. Zamiast wszelkiego tłómaczenia z oryginału angielskiego, nie można lepszego dać wyobrażenia o tym poemacie, jak odczytując ustęp z prelekcyi Mickiewicza, który się odnosi do niego:

„Ostatni i najpiękniejszy wizerunek nieszczęść tego rodu, wizerunek Słowianina cierpiącego, ale już z duchem na wzlocie ku Bogu, mamy w „Gladyatorze konającym". Sławny ten posąg muzeum kapitolińskiego w Rzymie, ceniony przez artystów jako przewyborne dzieło sztuki, nie ściągał na się uwagi wieku przeszłego, który wolał Wenery i Kupidynów. Wziętość tego posągu poczyna się z wiekiem obecnym i teraz, można powiedzieć, stanowi on główny przedmiot ciekawości: zawsze widać koło niego gromadę cudzoziemców przypatrujących się pilnie i z wnijściem w głęboką myśl sztukmistrza. Myśl tę, odgadnioną uczuciem, objawili poeci. Któż nie zna prześlicznych wierszy Byrona o nim? Byron, lepiej aniżeli Winkelmann, Visconti i wszyscy znawcy, pojął co znaczy ten gladyator; z dziwną przenikliwością geniuszu wyczytał w nim przeszłość całego narodu; nigdy nie będąc w krajach słowiańskich, poznał, że to Słowianin. Leży on pośród cyrku rzymskiego raniony śmiertelnie; krew poczyna mu toczyć się z rany, kroplami podobnemi — jak powiada Byron — do tych bujnych i rzadkich kropel deszczu, co padają przed ulewą. Nic go nie obchodzi, co się koło niego dzieje; nie patrzy ani na przeciwnika, który go obalił, ani na lud, który bawi się widokiem jego śmierci; umiera bez gniewu, bez wstydu i bez żalu; zdaje się być w zachwyceniu i myśli — jak też powiada Byron — o swoim kraju".

To jest przecudny wiersz Byrona. Mówi tam, że oczami już nie widzi, że oczy jego już są tylko na usłudze serca a to serce jest w jego ojczyźnie: „Cały jego duch zebrał się do odlotu i w tej uroczystej chwili przyszła mu na pamięć rodzinna jego chatka nad Dunajem, skąd go wyrwano kiedyś". Sztuka starożytna nie wydała nic tragiczniejszego nad ten posąg. Otóż Gladyator ten ma pewne rysy, które zbliżają go do rycerza: ma męstwo, posiada sztukę szermierzy, walczy, oddaje życie, ale

podczas kiedy Farys, kiedy prawdziwy rycerz walczy za jakąś myśl wyższą i albo zwycięża, albo poświęca się dla niej wierząc, że chociaż on polegnie, to przyjdą inni, którzy zwyciężą — to gladyator walczy, zwycięża lub kona, ale nie skutkiem woli własnej, ani skutkiem jakiegoś polotu, tylko jako niewolnik, jako narzędzie cudzej woli — i to jest ta różnica między rycerzem, wyobrażającym godność ludzką, a gladyatorem, który jest tylko narzędziem innej woli. Dlatego też prawie niepodobna ująć w obraz poetyczny gladyatora tryumfującego t. j. szermierza mężnego, który zwycięża i pokonywa innych, gdyż taki zawsze może sprawić tylko wrażenie kata lub oprawcy. Jedynym sposobem, ażeby jeszcze ująć to w jakiś obraz poetyczny, było poruszenie litości, że ten człowiek był niewłasnowolnem tylko narzędziem przymusu. Dlatego też to, co w pojęciu walki bohaterskiej stanowi treść, t. j. wiara w tryumf dobrej sprawy, w zastosowaniu do gladyatora staje się zupełnie bez znaczenia. Owszem odbiera temu gladyatorowi wszelką szlachetność, którą by mógł mieć, jeżeliby nam się przedstawił, jako ofiara despotyzmu i losu. Ta różnica walki, podjętej pod wpływem jakichś celów wyższych, a walki, gdzie się jest tylko narzędziem innej jakiejś potęgi, przebija się w całem życiu ludzkiem i w całej historyi.

Można powiedzieć: jakiż związek mogą mieć rycerze i gladyatorzy z obecnem prozaicznem życiem ludzkiem? Tak jednak nie jest, w każdej sferze życia pojawia się to pojęcie walki, mocowanie się z trudnościami, w każdej sferze życia można albo walczyć i pracować w poczuciu godności ludzkiej, pewnego celu lub obowiązku, albo można być tylko niewolnikiem, narzędziem nieodpowiedzialnem, pod wpływem cudzej woli. Że w każdej sferze życia można odkryć zastosowanie tych myśli, pokazuje bardzo dobrze sama nazwa wielkiego stowarzyszenia robotników amerykańskich „The Knights of labour“ (Rycerze pracy), stowarzyszenia, które w ostatnich czasach doszło do ogromnej potęgi w Ameryce i niejednokrotnie wpłynęło na losy polityki całego kraju. Otóż sam tytuł tego stowarzyszenia „Rycerze pracy“ oznacza tę myśl, że w każdej sferze pracy w życiu codziennem, znajdzie się sposobność do okazania ducha albo rycerskiego, albo niewolniczego, ducha godności ludzkiej, albo upadku ludzkiego. Jednak oprócz tego ogólnego zastosowania, zdaje mi się, że i kontrast tych dwu obrazów: rycerza zwycięskiego i gladyatora

walczącego za rozkazem cudzym, znajduje się jeszcze daleko silniej wyrażony w historyi naszego narodu i jego losach.

Już w ustępie z Mickiewicza, który przytoczyłem, zaczynał się opis tego posągu od słów, że to jest wizerunek Słowianina cierpiącego. Taka sama myśl znajduje się w Zaleskim, który także zobaczywszy gladyatora, zawołał:

„Bystro w Konającego twarz Gladyatora
Patrzałem, aż mi żyła w skroń nabiegła sina,
I w krwi całej zagrało hura! Słowianina.
Zamierzchłych gdzieś stuleci brat, ożył w posągu,
Jęknął, — co czuł i cierpiał w żałośnych dni ciągu“.

Nawet gdyby fakt rzeczywisty nie miał być tego rodzaju, żeby posąg przedstawiał Słowianina, to przecież te wiersze Zaleskiego i zdanie Mickiewicza ma głębsze duchowe uzasadnienie, t. j., że chociażby ten posąg nie przedstawiał pojedynczego Słowianina, to jednak on przedstawia losy wielu tysięcy milionów Słowian przez wiele wieków w historyi. Do jakiego stopnia to jest prawdziwe, to pokazują przecież inne ustępy z samego nawet Adama Mickiewicza, które dają wyraz obrazowi zupełnie podobnemu — przypominam cudowny ustęp przy końcu rewii petersburskiej, gdzie opisuje sługę wojskowego, który zmarzł, pilnując futra swego pana. I chcę przytoczyć, chociaż te słowa są powszechnie znane, koniec tego ustępu dlatego, że to da mi sposobność jeszcze bliższego wytłómaczenia mojej myśli:

„O biedny chłopie! Heroizm, śmierć taka,
Jest psu zasługą, człowiekowi grzechem!
Jak cię nagrodzą? Pan powie z uśmiechem,
Żeś był do zgonu wierny — jak sobaka...
O biedny chłopie! Za cóż mi łza płynie,
I serce bije, myśląc o twym czynie?...
Ach! Żal mi ciebie, biedny Słowianinie!
Biedy narodzie! żal mi twojej doli!
Jeden znasz tylko heroizm — niewoli!“

Ten obraz zupełnie odpowiada obrazowi Byrona w gladyatorze i dopiero te dwa obrazy zestawione z Farysem, pozwolą mi uwydatnić myśl historyczną, która się w nich przebija, t. j. różnicę pomiędzy heroizmem rycerskim, heroizmem zwycięstwa i godności ludzkiej a heroizmem niewoli. Sam Mickiewicz nie-

jednokrotnie wraca do podobnych obrazów, mianowicie opisuje inny jeszcze posąg grecki Szlifierza: „Słowianin stał się dla artystów modelem jeńca wojennego, ideałem siły fizycznej, pokonanej przez siłę moralną. Sztuka więc zostawiła mu całą piękność i można rzec, całą godność fizyczną. Zawsze jest wystawiany rosłym, pleczystym i kształtnym; ale chociażby nie miał rąk w tył związanych, łatwo byłoby poznać w nim niewolnika: postawę ma ugiętą i nieswobodną, idzie z głową spuszczoną i nie śmie podnieść oczu. Tacy są Słowianie na wielu pomnikach, a mianowicie na kolumnie Trajana, gdzie się zupełnie różnią od Partów, Medów i innych ludów konnych“.

Szlifierz jest może jeszcze tragiczniejszym od typu gladyatora — on ostrzy nóż, on już nie jest tylko gladyatorem pokonanym, ale doszedł do tego ostatniego szczebla nikczemności: on będzie oprawcą.

Czemuż opisując typy podobne, jak gladyatora i szlifierza, zawsze się powtarza u Mickiewicza i Zaleskiego to słowo: Słowianin? Czemu oni te typy biorą jako charakterystyczne słowiańskie? Zdaje mi się, że odpowiada to prawdzie historycznej, która przebija się nawet w nazwie niewolnika w najrozmaitszych językach europejskich. Wiemy, że w języku niemieckim niewolnik jest Sclave to pochodzi od Sclavonus — Słowianin, po francusku i po angielsku także nazwy te pochodzą z tego samego źródła, tak, że dla całego szeregu ludów nowożytnych europejskich, Słowianin dał nawet nazwę na typ niewolnika. I dziwna jest rzecz, że nawet w języku rzymskim, słowo, które oznacza niewolnika znowu zawiera pierwiastek *srv*, ten sam, który się znajduje w nazwie jednego z najliczniejszych szczepów słowiańskich: *srb*, Serbowie na południu, Sorabowie nad Elbą. W dziwnym to jest kontraście, jeśli czytamy w dawnych kronikach o pierwotnych rysach ludu słowiańskiego, wszędzie on nam się przedstawia jako lud niewinny, pokojowy, sielski. Pierwsza nawet wzmianka historyczna o Słowianinie nie przedstawia go jako człowieka zbrojnego, jak każdy prawie człowiek był w owych czasach, tylko spotyka się lud ten z gęślą, zupełnie bez uzbrojenia żadnego. A równocześnie widzimy, że ten lud pokojowy, w którego naturze nie leżała żadna chęć krzywdzenia innych, stał się właśnie typem niewolnika nietylko pokrzywdzonego, ale zamienionego później na gladyatora, który ginie lub

kona dla igraszki drugich, zamienionego na szlifierza, na oprawcę.

Widzimy tutaj, że w historyi ludzkiej nie można się wyłamać z pod uczestniczenia w dziejach. Ten Słowianin, który się zamykał w swojem życiu sielskiem, który nie chciał niczyjej krzywdy, który chciał tylko żyć dla siebie, ten Słowianin przez to, że się sam odsunął od pola działania historycznego, że nie chciał być bohaterem zwycięskim i tryumfującym, stał się typem niewolnika, który jest igraszką cudzej woli i despotyzmu. I dlatego to, miano Słowianina we wszystkich językach europejskich stało się pojęciem hańbiącem, mianem niewolnika, człowieka bez godności i odpowiedzialności własnej.

Otóż na tem tle sielskiem, pokojowem, słowiańskiem, na powierzchni tego ludu spokojnego, potulnego i pokornego, pojawia się z biegiem historyi typ zupełnie inny, — typ rycerstwa polskiego, który o tyle jest wyższym od zwyczajnego typu słowiańskiego, o ile Farys Mickiewicza od gladyatora konającego w Kolizeum. To jest znaczenie historyi polskiej, że ta pokora, ta potulność, rezygnacya, niechęć do brania czynnego udziału w historyi — ustąpiła, i że nastała nowa idea i duch nowy, który się nie da tratować cudzej potędze i woli, ale duch, który chce sam zwyciężyć, duch, co ma ideę własną, myśl wyższą, do której urzeczywistnienia dąży. Kilka wieków po powstaniu rycerstwa polskiego, przedstawia się nam znewu w historyi powstanie typu podobnego, t. j. typu rycerstwa kozackiego. Nie doszedł on nigdy do tego urzeczywistnienia historycznego, do którego doszło rycerstwo polskie, ale zabłysnął dosyć długo w zgodzie z rycerstwem polskiem, ażeby nam przedstawić możliwość połączenia się typów szlachetnych i rycerskich. Jako chwilę takiego połączenia znamy z historyi naszej bitwę pod Chocimem, 280 lat temu, gdzie połączone wojsko polskie i kozackie odparło całą potęgę turecką. I chociaż biorąc na uwagę cały bieg historyi, trudno porównać ten niedoszły typ rycerstwa, t. j. kozaczyznę, z historyą narodu polskiego, to widać jednak zarodek tego samego ducha, którego rozwojowi tylko sprzeciwiały się okoliczności historyczne; bo cokolwiekbądź mogło być później, to w tej wielkiej walce pod Chocimem, zdaje mi się, że nikt nie może dostrzedz różnicy pomiędzy rycerstwem polskiem pod wodzą Karola Chodkiewicza, a pomiędzy

rycerstwem kozackiem pod dowództwem Konaszewicza Sahajdacznego.

Jeżeli to pojęcie rycerstwa walczącego, połączone z poczuciem godności ludzkiej, rozwinęło się na obszarach Polski i Rusi, to równocześnie rozwinęła się w Słowiańszczyźnie myśl i idea inna. Ta sama bierna, potulna natura słowiańska, która wytworzyła i w starożytności i w dobie wędrówek ludów, typ niewolnika — w innym organizmie państwowym, t. j. w Moskwie, wytworzyła typ całego narodu oddanego cudzej woli, który może posiadać wszelkie możliwe cechy: i męstwo i zręczność i umiejętność, może przybrać wszystkie cechy i pozory cywilizacyi, ale gdzie będzie brak tego jednego znamienia rycerstwa wyższego i szlachetnego, t. j. brak poczucia godności ludzkiej, gdzie wszystkie te przymioty, i to męstwo i ta cywilizacya i to wykształcenie będzie na usłudze innej, cudzej woli, gdzie nie będzie jaśniała nad tem myśl własna i idea wyższa. I dlatego poglądy historyczne Adama Mickiewicza, oddają tę nadzwyczajnie głęboką prawdę, że po za wszelkiemi przyczynami chwilowemi, chwilowych rozterek, walk i wojen — pomiędzy Polską a Rosyą leży głęboka przyczyna rozdziału, leży głęboka duchowa różnica, zupełnie innego rozwoju jednego narodu i drugiego — jednego, który przedstawia dążenie do rycerstwa niezależnego, do rycerstwa godności ludzkiej, do urzeczywistnienia bohaterstwa ludzkości, i drugiego narodu, w którym mamy może najdoskonalsze w obecnej historyi wyobrażenie bohaterstwa niewoli. Ta to różnica i w zarodku duchowym i w rozwoju duchowym tych dwu organizacyi politycznych, ta jest przyczyną, że pomimo najrozmaitszych prób pogodzenia tych dwu kompleksów politycznych, które niejednokrotnie usiłowano przeprowadzić — zawsze ta kardynalna różnica duchowa na nowo rozbiła wszystkie kombinacye polityczne. Car Mikołaj zwykł był mawiać, że on tylko zna dwa rodzaje Polaków, tych, którymi pogardza i tych, których nienawidzi. Ci, którymi pogardza, to są ci, którzy odstąpili od misyi polskiej, bronienia godności ludzkiej, którzy się stają narzędziami despotyzmu i cudzej woli. — Ci, których nienawidzi, to są ci, którzy pozostali wiernymi tej misyi.

Pokazuje się, że car Mikołaj pojął równie dobrze, jak Mickiewicz, tę głęboką różnicę, która leży pomiędzy narodem polskim, a moskiewskim. I zdaje mi się, że obok studyów zwy-

czajnych historycznych, obok uwzględnienia zwyczajnych wypadków politycznych, należy się czasem wznieść do tego wyższego poziomu zapatrywań historycznych, które przedstawia Mickiewicz w swoich prelekcyach, bo wtenczas rozumie się lepiej obowiązki, które historycznym rozwojem całego narodu nałożone są na każdego pojedyńczego Polaka; każdy bowiem powinien być swoim ministrem zagranicznym, a równocześnie pamiętać, że w każdem położeniu — nawet prywatnem, ma sposobność działania tak, jak gdyby był pod rozkazem cudzej, wyższej woli. — Wtedy zrozumie się też trudności, które ten typ przedstawia w urzeczywistnieniu swego ideału — trudności, które stoją na przeszkodzie, ażeby ten rycerz walczący był także zwycięski. Przyczyna jest całkiem jasna: tam gdzie człowiek jest niewolnikiem cudzej woli, tam zarodek organizacyi leży właśnie w tem ślepem posłuszeństwie; — tam zaś gdzie jest nie narzędziem, ale istotą powodującą się własną godnością i pamiętającą o swoim właściwem powołaniu, tam pozostaje on na usłudze myśli wyższej, ale nie tworzy podstawy tego mimowolnego, koniecznego zarodka organizacyi. Dlatego ile razy widzimy historyę walki myśli i idei szlachetnej z brutalną potęgą materyalną, tyle razy widzimy jak trudno jest tym pierwiastkom niezależnym zdobyć się na sprężystą organizacyę, która dodaje tak ogromnej siły tym kolosom, zbudowanym tylko na ślepem i niewolniczem posłuszeństwie. To samo poczucie godności ludzkiej, jeżeli nie jest należycie wykształcone i opanowane przez wyższą ideę, koszlawieje i staje się tylko zarodkiem niesforności i anarchii, — wolność staje się samowolną, a naród, który niby przedstawia typ wyższy rycerstwa, staje się słabym i bezsilnym wobec narodu, przedstawiającego tylko heroizm niewoli. Zdaje mi się, że dość podnieść swoją myśl na te wyżyny przez Mickiewicza wskazane, dość zastanowić się nad temi głębszemi przyczynami klęski typu wyższego, — ażeby poznać źródło złego, a zarazem i źródło poprawy, bo wskazówki takiego pokierowania ducha narodowego, ażeby to, co powinno być pierwiastkiem siły, też się nim stało, ażeby tem Farys był nie Farysem ginącym, ubolewającym Karola Balińskiego, ale zwycięskim Adama Mickiewicza.

W historyi naszej mamy dowody, że w tych wszystkich epokach, w których, pomimo niesforności pozornej, naród polski

potrafił skupić całą swoją potęgę i zjednoczyć przedstawicieli ducha godności ludzkiej, ku urzeczywistnieniu wspólnej myśli wyższej – że w tych wszystkich wiekach, Polska może najsilniej na całym świecie i najznakomiciej posiadała dar kojarzenia i skupiania pierwiastków podobnych sobie. Cechą dziejową całej historyi polskiej właśnie są te dobrowolne unie Polaków z Litwą i Rusią, bo Ruś wtenczas należała do W. Ks. Litewskiego — z Prusami, Inflantami, Wołoszą i t. d. Ta siła kojarzenia dobrowolnego, która właśnie jest antitezą zdobywania przymusem i gwałtem — cechowała naród polski we wszystkich wiekach jego świetności. Wierzymy, że przywróconą mu zostanie w chwili, kiedy nad polskim indywidualizmem zapanuje wspólna wielka idea.

[illegible]

WALKA NARODU POLSKIEGO O BYT.

Z osobistej inicyatywy ks. Bismarka, wydał pruski minister spraw wewnętrznych v. Puttkammer dwa rozporządzenia banicyjne przeciw Polakom, nie pruskim obywatelom. Pierwsze z 26 marca 1885 r. zarządzało natychmiastowe wydalenie tych, którzy bez legitymacyi przekroczyli pruską granicę. Drugie z 26 lipca 1885 roku godziło w pozostałych zupełnie prawnie na pruskim terytoryum. Ogólna liczba objętych banicyą dochodziła 40.000 osób. Niemiecka Rada Państwa wypowiedziała uchwałą z 6 stycznia 1886 r. swe przekonanie, „że zarządzone przez królewski pruski rząd wydalenia rosyjskich i austryackich poddanych co do swej rozciągłości i sposobu, nie da się pogodzić z interesami poddanych państwa“. — W rozprawach na sejmie pruskim o tej sprawie użył Bismark słynnego wyrażenia „powoływanie się na proklamacyę królewską z roku 1815 nie jest warte szeląga“; uzasadnić zaś usiłował rugowanie Polaków następującymi pozorami: słabą odpornością Niemców „którzy od dawna nawykli wolność polskiej szlachty przenosić nad swoją pierwotną niemiecką krew“, rewolucyjnością szlachty polskiej, a następnie obawą przed obudzeniem się ruchu polskiego na Górnym Śląsku i przed dzielnością niewiast polskich. Inni mowcy niemieccy uderzyli głównie na postępy liczebne żywiołu polskiego, widoczne szczególnie w Prusach Zachodnich i w przyroście polskiej dziatwy szkolnej.

Rozporządzenia wykonane zostały z właściwą Prusakom bezwzględnością. Nie brano na uwagę zasług dla sprawy pruskiej w wojnie położonych („patenty polskich oficerów obcego obywatelstwa zostały przez Jego Cesarską Mość po prostu podarte“), nie zważano na płeć, ni na wiek, ni na chorobę. Siedmioletnie dziewczę, Maryannę Tomaszuk, odebrano matce i wywieziono. Zmuszano do podróży brzemienne kobiety i 70-letnie schorzałe staruszki. Akty banicyjne dotyczyły tylko Polaków. Niemiecko-protestanci i szyzmatycy cudzoziemcy wyłączeni z nich zostali.

Pomimo pełnych godności mów Stablewskiego i Jażdżewskiego, pomimo świetnych wywodów Windhorsta i Rickerta uchwalono w sejmie rządowi absolutoryum za „graniczące“, zdaniem cesarskiego

Niemca Kayserlingka, „z potwornością“ postępowanie i uchwalono gotowość przyznania mu funduszów na cele antypolskie. Uchwała ta stanowi zwrot zasadniczy w polityce polskiej rządu pruskiego.

Artykuł niniejszy, odnoszący się do przytoczonych wypadków, drukowany był w założonem w Kołomyi, przy współudziale Szczepanowskiego, piśmie „Pomoc własna“.

W chwili wykonania średniowiecznego ukazu, skazującego na wygnanie z Prus wszystkie osoby polskiego pochodzenia, a przynależące do Austryi lnb Rosyi, zdaje mi się niezmiernie ważnem, ażebyśmy się nie oddawali wyłącznie uczuciom oburzenia na gwałt bezprzykładny w tym wieku, ale żebyśmy się starali zrozumieć całą doniosłość tego faktu w dziejach naszego narodowego męczeństwa i narodowego odrodzenia i ażebyśmy się zastanowili, jakie obowiązki praktyczne chwila obecna wkłada na nas i w jaki sposób powinniśmy przeciwdziałać wrogim żywiołom, które się na nas rozpasały.

Naprzód wypada zaznaczyć, do jakiego stopnia Bismark okazał się nieobeznanym z psychologią narodu polskiego. Wierny instynktowi niemieckiemu, ubóstwiającemu siłę i podnoszącemu fakt dokonany do wysokości zasady, z której tryska cała filozofia i religia, Bismark występuje przeciwko nam z całą bezwzględnością olbrzymich potęg materyalnych najpotężniejszego mocarstwa chwili obecnej, i chce nas przygnębić i dobić moralnie, dążąc bez litości, bez możliwości oporu, z nieubłaganą fatalnością sił niszczących przyrody do celu ostatecznego, to jest do zagłady naszej narodowości. Nie wie, że my słabi jesteśmy wobec pobłażania, sympatyi i ludzkości— a niezwyciężeni wobec niesprawiedliwości, ucisku i gwałtu. Dosyć przypomnieć sobie wziętość cara Pawła, tuż po wspomnieniach krwawych powstania Kościuszki, jeszcze większą wziętość cara Aleksandra za pierwszych czasów przyjaźni jego z Czartoryskim; dosyć przypomnieć te konferencye Puławskie z r. 1805 podczas których ważyło się na szali, ażali nie nastąpi zbratanie Polski i Rosyi w celu zjednoczenia odłamów rozdzielonej Ojczyzny pod berłem Romanowych. Dosyć przypomnieć sobie z obecnych czasów, jak drobnemi ustępstwami przemieniono w ostatnich 18 latach Galicyą na najlojalniejszą prowincyę austryacką. Jak samo okazanie zaufania i udzielenie skromnej miary samorządu, przeistoczyło usposobienie naszego społeczeństwa do tego stopnia, że kto Galicyą znał z dawniej-

szych czasów, teraz już ani kraju, ani społeczeństwa nie poznaje. Pomimo, że kraj zawsze jeszcze cierpi, i to coraz dotkliwiej, na upośledzenie materyalne i wyzyskiwanie finansowe — wszędzie rozwija się niekłamane przywiązanie do dynastyi, około której nawet już zaczęły się krystalizować coraz wyraźniej nadzieje lepszej przyszłości w aureoli tradycyi jagiellońskich. Fakta te aż nadto dowodzą, jak łatwo jest ująć sobie Polaków i z jaką łatwością Polacy w takim razie sami dobrowolnie naginają swoje życzenia do wymagań nakazanych przez okoliczności, i jak się starają przeobrażać nawet najdroższe swoje nadzieje, tak, ażeby być wiernymi zarazem i dawnej tradycyi narodowej i nowo rozbudzonej lojalności. Im lepiej kto zna Galicyę, tem bardziej się zadziwia, dostrzegając z jaką troskliwością Polacy sami czuwają nad tem, ażeby nawet pozoru nie było nadużycia tego zaufania, które się im okazało.

Ta sama natura polska jednak wzdryga się na samą myśl przymusu, i nie licząc się z szansami zwycięstwa, staje do walki z niesprawiedliwością, w tem niezachwianem przekonaniu, że żadna przemoc nie usprawiedliwia bezprawia, i że najzupełniejszy nawet tryumf sił materyalnych, może być tylko pozornym i krótkotrwałym i tylko odracza ostateczne zwycięstwo idei i prawa. — Otóż, gwałcąc na każdym kroku te mimowolne uczucia każdego Polaka i poniewierając najdroższymi naszymi instynktami, Bismark wywołuje reakcyę patryotyczną, potężniejszą od największego ucisku, który wywrzeć jest w stanie, i rozbudza świadomość narodową i poczucie obowiązku narodowego nawet tam, gdzie już od wieków uśpione były, — i tem samem staje się w istocie naszym najskuteczniejszym sprzymierzeńcem.

Jak istnemu Konradowi Wallenrodowi, wszystko co się od dwudziestu lat w Prusach ku wzmocnieniu naszej narodowości wydarzyło, mamy do zawdzięczenia nie naszym usiłowaniom, ale jemu i tylko jemu. Kto rozbudził poczucie narodowe na Śląsku do tego stopnia, że teraz już z pewnością ogarnie całość ludu polskiego, tej prastarej dzielnicy Piastów, jeżeli nie Bismark swojemi prawami kościelnemi i walką kulturną. Kto się najwięcej przyczynił do spotężnienia mieszczaństwa w Poznańskiem, tak, że z nielicznych jednostek bez znaczenia i wpływu, stan średni teraz się staje główną falangą naszą w walce z germanizmem, jeżeli nie Bismark, który Polakom wręcz zamknął ka-

ryerę urzędniczą, do której tak są nadmiernie pochopni, i zmusił ich do imania się przemysłu i handlu, jako ostatecznych środków wyratowania się od nędzy i wyginięcia. Kto apostołuje z ewangelią polskości u Mazurów protestanckich w Prusach Wschodnich, jeżeli nie ten sam Bismark, prześladując ich język ojczysty, w którym do niedawna chwalili tylko Boga na niebie a Hohenzollernów na ziemi, a o którym się teraz dowiadują, że jest znamieniem zbrodniczem, które skazuje nieszczęśliwe istoty, nacechowane przezeń na wykluczenie z pod prawa narodów i na wydalenie jako trędowatych lub zarażonych. Zapomnieli Prusacy naukę ich własnego Herdera, że kto ludowi wydziera jego język, ten się staje mordercą jego ducha, moralności, chwały, i wszelkich dążności szlachetniejszych.

Jeszcze większy dług wdzięczności winniśmy Bismarkowi za jego niezachwianą wiarę w siłę i żywotność naszego narodu. My sami zwątpili, ale Bismark wiedziony przeczuciem nienawiści, równie nieomylnem jak przeczucie miłości, odgaduje iskrę pod popiołem, i drży, żeby się znowu w płomień nie roznieciła. Ten kanclerz najpotężniejszego mocarstwa w Europie, przed którym korzą się króle i narody, śledzi z natężoną uwagą każdy objaw zatajonego życia narodu, wykreślonego z karty Europy, i który już nawet nie jest tem, czem Włochy w czasach największego upadku zawsze jeszcze były, t. j. terminem geograficznym. W obec potomków rycerzy z pod Grunwaldu i wspaniałomyślnych mężów stanu, którzy za Jagiellonów uszanowali niepodległość zdradzieckiego lennika — zapomina on o całej swej teraźniejszej potędze i świetności, i czuje obrażoną dumę i próżność dawnego Krzyżaka, któremu nawet wspomnieć nie wolno o jego kiedyś poniżeniu. Herodot opowiada o powstaniu niewolników scytyjskich, którzy mężnie walczyli o swoją wolność, dopóki panowie nie wyszli naprzeciwko nim, uzbrojeni nie w broń ale w baty, przed którymi z dawnego przyzwyczajenia, niewolnicy zaraz struchleli. Czem trzask bicza dla zbuntowanego niewolnika, tem dla spanoszonego Prusaka zdaje się być odgłos rogów litewskich. Dla tego Bismark zakazuje „Grażynę“ i nakłada grzywnę na drukarza, żeby przypadkiem echo przeszłości, zmarłych znowu do życia nie ucuciło. — Drobny taki fakt lepiej maluje usposobienie, niż ważne jego edykta polityczne, bo namacalnie pokazuje zaślepienie i rozjątrzenie, które nie jest

w stanie opamiętać się, że zakaz poematu polskiego o wypadkach, które się wydarzyły przed pięciuset laty, przecież historyi nie zmieni, — i że każdy, któremu z rąk wytrącają Mickiewicza, w niemieckim Herderze równie dobrze może wyczytać, że żaden lud nie był bardziej nielitościwie wytępiony jak dawni Prusacy i że żaden kraj nie był rządzony z większą arogancyą i uciskiem jak brzegi morza Bałtyckiego przez wyuzdane i rozpasane Krzyżactwo. Jak najmniejsza słomka pokazuje zkąd wiatr wieje, tak drobny fakt tego rodzaju pokazuje, że Bismark nienawidzi Polski, jak się tylko tych nienawidzi, którym się śmiertelną krzywdę wyrządziło; nienawidzi jako wcielony wyrzut sumienia, wiecznie natrętny, wiecznie gryzący. — Nie dość mu, że ofiara pokonana, chciałby pamięć o niej zatracić w oczekiwaniu, że własne sumienie przygłuszy.

Głos to sumienia, że minister właśnie tego kraju, którego rząd pierwszy podał myśl podziału Polski, nie może się zdobyć na tę wiarę, że to co polityka od stu lat dokonała, jest nieodwołalnem, — ale podejrzywa, że podzielono nie trupa ale żywe ciało. Jego zmysłom zaostrzonym przez trwogę, widocznem jest, że rany podziału po stu latach nie zabliźniły się, ale ukazują się nie zagojone, krwawe, i przy lada sposobności dążące napowrót do zrośnięcia. Jak Macbetowi duch Banka, tak jemu okazuje się najniespodziewaniej, — we Francyi, — w Rzymie, — w Afryce, — w Kraszewskim umierającym, — w Czackim i Ledóchowskim, w Rogozińskim wszędzie, — mara Polski, krzyżująca jego zamiary... nie mara, ale upiór błąkający się i pokutujący za swoje grzechy, i gotowy powrócić pomiędzy żywych, jak tylko nadejdzie chwila przebaczenia. — W obec tego zjawiska z krainy duchów, nieprzystępnej dla jego potęgi, używa, ażeby zażegnać grożące niebezpieczeństwo, coraz to nowych, lubo zawsze bezsilnych puklerzy i broni, których całe arsenały nie mogą go od tego natrętnego ustrzedz zjawiska.

Ta wiara Bismarka w sprawę polską jest godną tem większego zastanowienia, że po długiej przerwie jest on pierwszym mężem stanu, który się z nami liczy. Od nieszczęsnego r. 1846, — który całemu światu okazał rozbrat w społeczeństwie naszem, tę przepaść nieufności pomiędzy szlachtą i ludem, której cały nasz zapał i patryotyzm zapełnić nie były w stanie, — aż do Bismarka, nie było już męża stanu, którybyby się

z nami liczył, jako ze siłą, która może wpływać na losy Europy. Pozostaliśmy przedmiotem czułości sentymentalnej lub egzaltacyi rewolucyjnej, ale dla trzeźwych badaczy przestaliśmy istnieć. Okres ten czterdziestoletni od Metternicha do chwili obecnej, jest najsmutniejszą epoką dziejów naszych, okresem rozprzężenia i zwątpienia, przerwanem krótkiem, bezsilnem szamotaniem się z nieubłaganą rzeczywistością, jest tem piekłem, przez które generacya teraźniejsza przeszła, „jak Dant za życia". Ale jeżeli rok 1846 przedstawia chwilę, w której się przerwała nić historyczna Polski tradycyjnej, w której to na zawsze umarło, co już do życia wrócić nie może — to rok 1885 przedstawia chwilę narodzenia się nowej Polski. Tak, jak w świecie zwierzęcym są istoty, które popadają w letarg, w czasie którego przechodzą w nową i wyższą fazę rozwoju, a po skończonem przeobrażeniu zrzucają ze siebie starą powłokę i pojawiają się w nowym, doskonałym kształcie — tak naród polski, niby pogrążony w apatyi, pracował wewnętrznie, przeobrażał się i teraz zaczyna zrzucać z siebie powłokę średniowieczną i pojawiać się w swoim prawdziwym kształcie narodu nowożytnego, czerpiącego swe soki żywotne z nieprzebranych zdrojów cywilizacyi powszechnej i gotowego do wypełnienia swej misyi historycznej i do zabrania równorzędnego udziału wraz z innymi narodami w harmonnii ogólnej rodu ludzkiego.

Podczas, gdy my sami, zawiedzeni już tak często w naszych oczekiwaniach, nie mieliśmy odwagi i zaufania, ażeby dostrzedz tę jutrzenkę, zapowiadającą nowy okres naszej historyi narodowej, — Bismark, ten nieubłagany mąż stanu, liczący się tylko z faktami, a nie z mrzonkami, jest pierwszym, który nam daje świadectwo odrodzenia narodowego. Co przed 40 laty jeszcze było marzeniem, mrzonką, cudem, już jest faktem.

„Jeden tylko — jeden cud, z szlachtą polską polski lud".

Od chwili, w której Bismark wymierzył swój ukaz nie przeciw szlachcie, nie przeciw księżom, lub agitatorom politycznym, ale przeciw wszystkim osobom polskiego pochodzenia, wszelkich stanów i religii, przyznał się, że ma do walczenia z narodem jednolitym, przejętym jednym duchem narodowym i zadał kłam fałszerstwu historycznemu, które od stu lat usprawiedliwiało podział Polski doktryną, że podział ten był dobrodziejstwem dla ludu wyzwolo-

nego od tyranii szlachty, i że późniejsze niepokoje i powstania były tylko usiłowaniami kasty ukróconej w swoich przywilejach i dążącej do odzyskania dawnej władzy. Mamy teraz świadectwo Bismarka, że ta doktryna jest tylko fałszem i hypokryzyą. Dla tego też, ten sam edykt wygnańczy, który miał dobić nasze nadzieje przez uwidocznienie naszego odosobnienia w Europie i naszej bezsilności wobec gwałtu, wręcz przeciwnie podziałał jako pobudka przebudzająca siły narodowe z dwudziestoletniej apatyi. Nowa otucha wstąpiła w naród polski. Pomimo całej grozy tylu ofiar niewinnych, bezlitośnie pozbawionych chleba i bytu, pierwszem naszem uczuciem była nie litość nad ofiarami, nie oburzenie na gwałt, a tem mniej zrozpaczenie i uznanie niemożliwości dalszego oporu, — ale uczucie tryumfu, że posiadamy świadectwo odrodzenia się narodu, świadectwo, że wszyscy Polacy, każdego stanu i wyznania są równie niebezpieczni. Wobec świadectwa ze strony tak wielkiego męża stanu, wszyscy zwątpiali i małoduszni w naszem własnem gronie musieli od razu przycichnąć. Im bardziej nieubłaganem jest prześladowanie, na które jesteśmy wystawieni, tem głębszem nasze przekonanie, że jakaś niezmiernie ważna misya dziejowa musi być związana z losami naszego narodu, i że ta misya może i musi zwyciężyć.

Nic tej misyi naszego narodu w zapasach Słowiańszczyzny z Niemieckością lepiej nie uwydatnia, jak porównanie położenia Polski i innych ludów słowiańskich wobec Niemców przed stu laty — za czasu podziału Polski — z teraźniejszością. Powołujemy się na świadectwo Niemca, ale Niemca z okresu odrodzenia się wielkiej literatury niemieckiej w końcu XVIII wieku. Nic też nie uwydatnia bardziej zmiany, która nastąpiła od stu lat w usposobieniu Niemców, jak ustępy, którymi w swoich wiekopomnych „Pomysłach do filozofii historyi rodu ludzkiego“ Herder opisuje Słowian:

„Ludy słowiańskie zajmują na ziemi więcej miejsca niż w historyi, co się tłumaczy między innemi przyczynami i tem, że zamieszkując kraje odleglejsze od Rzymu, nie tak wcześnie się zetknęli z cywilizacyą rzymską, jak Celtowie i Germanowie. Pomimo walecznych czynów tu i ówdzie, nie byli oni ludem wojowniczym i awanturniczym, jak dawni Germanowie, i tylko zajmowali kraje opuszczone przez tych pierwszych, podczas wę-

drówki ludów. Rozszerzyli się w ten sposób od Łaby do Donu i od Adryatyku do Bałtyku, najogromniejszy obszar kiedykolwiek w Europie zajęty przez jeden szczep. Ponieważ wszędzie oddawali się spokojnej pracy, rolnictwu i hodowli bydła, kolonizacya słowiańska stawała się niezmiernie użyteczną krajom wyniszczonym przez wojny i wędrówki germańskie. Oprócz rolnictwa i bydła mieli oni zamiłowanie do rozmaitych rzemiosł domowych, i garnęli się do handlu, który zasilali nadmiarem swej produkcyi, i w tym celu pozakładali miasta handlowe, jak Wineta na wyspie Rugii, którą można nazwać słowiańską Wenecyą; dalej założyli Kijów nad Dnieprem i Wielki Nowogród nad Wołchowem i łączyli tym sposobem północ Europy z wybrzeżem Czarnego morza. W Niemczech trudnili się górnictwem, wydobywaniem i topieniem kruszców, warzeniem soli, tkaniem płótna, wyrobem miodu i sadownictwem. Prowadzili w ten sposób spokojny, wesoły i śpiewny żywot. Charakteru łagodnego, gościnni do zbytku, zamiłowani w wolności i niezależności sielskiej, posłuszni i karni, nienawidzili rozruchów i niepokoi. Wszystkie te właściwości nie uwalniały ich od ucisku. Przeciwnie, przyczyniały się do tego. Ponieważ Słowianie nigdy nie walczyli o panowanie nad światem i z początku nie mieli dziedzicznych i wojowniczych książąt, i woleli raczej płacić daniny, byle dalej żyć w spokoju, to też wiele ludów, mianowicie niemieckich, ciężko wobec nich zgrzeszyło".

„Już za Karola Wielkiego zaczęły się, pod pozorem nawracania do religii chrześcijańskiej, te wojny zaborcze — bo oczywiście, że bohaterskim Frankom wygodniej było ujarzmić i ciągnąć zyski z ludów oddanych rolnictwu, przemysłowi i handlowi, aniżeli się samym tych kunsztów wyuczyć i je praktykować. Co Frankowie zaczęli, tego Sasi dokonali. W całych prowincyach Słowianie zostali wytępieni albo uciemiężeni i ich ziemie podzielono pomiędzy szlachtę i biskupów niemieckich. Miasto Wineta została zniszczona przez Duńczyków, a położenie resztek tych niegdyś licznych i zamożnych ludów w Niemczech da się tylko przyrównać do położenia ucywilizowanych niegdyś a teraz zdziczałych Peruwiańczyków, którzy nawet już pamięć stracili, że olbrzymie gruzy dawnych świątyń i miast fortecznych są spuścizną ich przodków, i pamiątką świetnego stanu ich ojczyzny przed okrutnym podbojem hiszpańskim".

„Cóż by było dziwnego, gdyby takie wiekowe uciemiężenie

wyrobiło głębokie rozgoryczenie przeciwko ich panom, i gdyby łagodny i miękki charakter Słowian spaczył się na charakter podstępnych okrutnych i gnuśnych niewolników. A przecież wszędzie, gdzie przechowali jakiekolwiek swobody, ich pierwotny charakter utrzymał się w całej wyrazistości. Nieszczęściem tych ludów było, że przy ich zamiłowaniu do spokoju i życia sielskiego, nie umieli sobie wytworzyć organizacyi obronnej, chociaż nie zbywało im na waleczności w pojedynczych wypadkach. Nieszczęściem także było dla nich, że podczas, gdy z jednej strony byli wystawieni na zabory niemieckie, to z drugiej mieli plecy odkryte na napady tatarskie i mongolskie, pod którymi wiele wytrwali, wiele wycierpieli. Jednakowoż zmienne koło losu toczy się bez przerwy. A ponieważ ludy słowiańskie zamieszkują po większej części najżyźniejszą część Europy, i ponieważ należy się spodziewać, że postęp Europy coraz bardziej zależeć będzie od pielęgnowania nie usposobienia wojowniczego, ale spokojnej pracy i wzajemności handlowej i przemysłowej ludów — to też przyjdzie czas, gdzie i wy, niegdyś skrzętne i szczęśliwe a teraz tak bardzo podupadłe plemiona, ockniecie się z głębokiego letargu, uwolnicie się z kajdan niewolniczych, i posiądziecie jako własność cudowne i obszerne ziemie wasze, i jak w prastarych czasach, będziecie się mogli oddawać już bez obawy sielskiemu szczęściu i pracy użytecznej!"

Herder zawsze był raczej psychologiem i krytykiem, aniżeli historykiem. — Prawda powyższego obrazu jest więc raczej poetycznie odczutą, aniżeli historycznie poprawną. Tak samo jak Tacyt w swoim opisie starożytnej Germanii, wobec zgnilizny Rzymu ówczesnego, dla kontrastu artystycznego, mimowoli uwydatnił wszystkie rysy szlachetne niezepsutych i mężnych barbarzyńców północy, jak Voltaire i pisarze XVIII-go wieku idealizowali czerwonoskórych Huronów i Irokezów, przeciwstawiając ich w myśli sztucznym i konwencyonalnym dworakom wersalskim — tak samo Herder przez kontrast do światoburczej i rozbójniczej awanturniczości plemion germańskich, może trochę przecenił zasługę Słowian pod względem rozwoju rolnictwa, przemysłu i górnictwa i na ich karb wziął niejedną oznakę pracy ludów jeszcze dawniejszych, celtycko-liguryjskich a może i fińskich, niegdyś szeroko rozsiedlonych w środkowej Europie. W całości swojej obraz jest jednak trafny i sympatyczny, a zarazem nastręczający ciekawe refleksye.

Widzimy, że świeże prześladowanie Bismarkowskie jest tylko dalszym ciągiem całego szeregu nieubłaganych i nielitościwych zaborów niemieckich, dokonywanych od tysiąca lat i tak wymownie potępionych przez przedstawiciela dobrego geniuszu Niemiec, to jest przez twórcę ich wielkiej i nieśmiertelnej literatury — tego, który popchnął Goethego, Schillera i całą plejadę wielkich ludzi na tory, które zapewniły narodowi niemieckiemu na pół wieku panowanie umysłowe nad światem. Zestawienie zarazem tego prześladowania przez Niemców i jego potępienia także przez Niemca, jest illustracyą dwoistości duchowej każdego narodu.

Jak niegdyś z tego samego Cesarstwa Bizantyńskiego, nad którem panował Bazyli Bułgarobójca, wyszli Cyryl i Metody apostołowie Bułgarów, tak i pogromiciel Słowian Henryk Ptasznik i także Otto III, przyjaciel św. Wojciecha i Chrobrego byli cesarzami niemieckimi. Za pośrednictwem tego samego narodu, który wytępił Słowian od Łaby do Odry i wydał gad krzyżacki, otrzymaliśmy cywilizacyę zachodnią. Niemcy zgermanizowali Pomorze i Śląsk, ale też na nowo zaludnili Polskę po strasznych napadach mongolskich w XIII wieku i jeszcze teraz zasilają naszą klasę mieszczańską i dali nam naszych Bandtkich, Lindych, Lelewelów, Polów i Bemów, Kremerów i Libeltów. Walka Arimana z Ormuzdem, potęgi ciemności i kłamstwa z potęgą światła i prawdy, szatana kusiciela z aniołem stróżem — stanowi odwieczną treść życia czy to jednostek, czy narodów i jednostka lub naród będzie wywierać wpływ zgubny lub zbawienny, będzie przekleństwem lub błogosławieństwem dla innych, stosownie do wpływu, który chwilowo zapanuje nad drugim. Sprzeczność ta ducha i materyi, altruizmu i egoizmu, sumienia i chciwości, prawdziwego patryotyzmu, dążącego do uszlachetnienia i rozwoju własnego narodu bez krzywdy dla innych, a kosmopolityzmu lub szowinizmu, kierującego się tylko wyrachowaniem osobistem lub też zazdrością i nienawiścią plemienną — widoczna jest nawet równocześnie w jednym i tym samym narodzie, w jednym i tym samym czasie. Niewolno nam zapomnieć, że wprawdzie Bismark wydał ukazy banicyjne i z pewnością je przeprowadzi — ale też, że większość parlamentu niemieckiego je potępiła. Nie wolno nam zapomnieć, że równocześnie z Fryderykiem II, godnym spadkobiercą margrabiów brandenburskich, szerzących mordy i pożogę w krajach słowiań-

skich, i Krzyżaków wymierzających karę śmierci za używanie języka litewskiego — z Fryderykiem, którego całe życie od pierwszego wypowiedzenia wojny przeciwko Maryi Teresie, aż do uknucia spisku na podział Polski, było nieprzerwanym szeregiem zdrady, wyrachowania i podstępu, u którego każdy środek był godziwy, byleby prowadził do celu, który z równą łatwością pisał Anti-Machiavela i bił fałszywą monetę — z Fryderykiem urągającym się własnemu narodowi, z Fryderykiem, który tylko mówił i pisał po francusku, utrzymując, że niemiecka mowa jest jedynie przydatną dla psów i żołnierzy, gdy jednocześnie wymyślał te piekielne plany do wynaradawiania ziem polskich, zapomocą grabieży i wykupna dóbr ziemskich, kolonizacyi niemieckiej, służby wojskowej i biurokratycznej, ucisku szkolnego, ekonomicznego i sądowego, których Bismark jest tylko spóźnionym wykonawcą — z Fryderykiem, tem wcieleniem potwornem, ale olbrzymiem, jak szatan Miltona, wszystkich potęg materyalnych i umysłowych, ale pozbawionych sumienia i sprawiedliwości, — że równocześnie Niemcy wydały Herdera, tego wyznawcę czystego i idealnego patryotyzmu dla Niemiec, a zarazem apostoła prawdziwej ludzkości dla wszystkich ludów, który „potępia ducha zaborczego, jako demona wszystkiego złego“ i pyta się „czy warto poświęcać życie własnych ziomków, ażeby zagarnąć podbojem obcoplemienne ludy, które niebawem tylko ciężarem będą dla kraju do którego się nie chcą dobrowolnie przyłączyć“, — w którego pismach jest tyle ustępów przestrzegających własny naród przed próżnością plemienną, w których niejako proroczym głosem potępia hegemonów niemieckich chwili obecnej, tak że naprzykład następujący ustęp możnaby zacytować jako sąd Herdera o Bismarku: „Historyk rodu ludzkiego powinien się wystrzegać stronniczości narodowej. Jeżeli swój własny lub jakikolwiek inny naród wybierze jako ulubiony i uprzywilejowany, to poniża tym sposobem szczepy, którym położenie odebrało sposobność do rozwoju i chwały. W swoim czasie Niemiec uczył się od Słowian. Kymrowie lub Lotysze, w innem położeniu geograficznem mogliby się może byli rozwinąć na Greków. My Niemcy możemy wyrazić nasze zadowolenie z tego, że świat rzymski został zdobyty nie przez Hunów lub Bułgarów, ale przez tak zdrowe

i szlachetne ludy jak starożytni Germanowie, — ale uważać ich potomków z tego powodu jako lud przez Boga jedynie wybrany do panowania nad ziemią i do ciemiężenia innych ludów, to by była duma nieszlachetna barbarzyńcy. Barbarzyńca ciemięży. Wykształcony zwycięzca podnosi i kształci".

Niema wątpliwości, że gdyby Herder żył dzisiaj, toby Bismarka napiętnował mianem takiego barbarzyńcy, szkodliwego nietylko ościennym narodom ale i własnemu, obniżającego poziom moralny własnego narodu, i ściągającego nań przekleństwa i nienawiści sąsiadów. — To też i w swoim czasie, chociaż był współczesnym Fryderyka Wielkiego, rozszarpującego i wynaradawiającego jedynie niepodległe, czysto słowiańskie państwo natenczas istniejące, i naśladownika jego Józefa II., zakazującego języka czeskiego w Czechach — to Herder miał żywe poczucie świetnej cywilizacyjnej przyszłości Słowian, bo dostrzegł w nich ten mimowolny popęd towarzyski, nastrój sympatyczny, skłonność do wzajemności i do pracy pogodnej i użytecznej, która ich usposabia raczej do pokoju i cywilizacyi, aniżeli do wojny i barbarzyństwa.

Nie zapominajmy, że przed stu laty trzeba było proroczego oka wieszcza, ażeby uwierzyć wogóle w możliwość oryginalnej i samoistnej cywilizacyi słowiańskiej. Polska w okresie pomiędzy rozbiorami jeszcze nie wydała była ani Konstytucyi Trzeciego Maja, dowodu dojrzałości politycznej — ani naszej literatury romantycznej, dowodu dojrzałości umysłowej, i była oszydzona i wyśmiewana przez wszystkich zwolenników filozofii „oświecenia" z wyjątkiem jedynego Russeau'a, jako kraj anarchii i zacofania, nietolerancyi i bigoteryi, zabobonu, korupcyi, średniowiecznych niedorzeczności i azyatyckiej swawoli.

W Rosyi pod panowaniem Niemki cesarzowej i steku obcych awanturników, ledwie, że pod pokostem francusko-niemieckim, zaczęły się rozbudzać objawy samorodnego życia umysłowego. W zamian za podarki pieniężne, Katarzyna mogła wprawdzie uzyskać hymny pochwalne o świetle cywilizacyjnem, które bije na Europę z północy, ale w nieopłacanych wynurzeniach tych samych filozofów, mówiono o Rosyi, jako o owocu, który zgnił zanim dojrzał.

O Czechach tak mało kto wiedział, jak o starodawnych Obotrytach, lub Łużyczanach. Jak teraz podróżni polscy spoty-

kający nad Łabą, w Brandenburgii i Saksonii resztki dawnych Wendów i Serbów, donoszą z zadziwieniem o języku domorodnym słowiańskim, zasłyszanym na bruku drezdeńskim lub lipskim — tak przed stu laty nasz kardynał Albertrandi, przejeżdżając przez Czechy w swej podróży do Włoch, donosi do Warszawy, jako o dziwnym i zgoła niespodziewanym wypadku, że w okolicy Pragi spotkał lud mówiący językiem słowiańskim, podobnym do polskiego. Sama Praga, złota Praga, była na pozór miastem czysto niemieckiem i nieposledniem ogniskiem oświaty i literatury niemieckiej, i dumną z tego, że niejeden utwór Lessinga lub Schillera prędzej się ukazał w teatrze praskim, aniżeli w Wiedniu lub Berlinie. Jeszcze w czasach o wiele późniejszych, Goethe przysłuchiwał się z upodobanien tłómaczeniom świeżo zebranych piosnek ludowych czeskich, porównywając je do zabytków galickich w Szkocyi, łotyskich w Prusiech, lapońskich w Norwegii, lub hurońskich w Kanadzie i północnej Ameryce, nie przeczuwając, że zabawki antykwarskie etnologów i dyletantów brzemienne były odrodzeniem narodu czeskiego.

Cała wschodnia Słowiańszczyzna zaledwie dawała znaki życia i w Niemczech słynęła tylko „zbójeckimi kroatami i pandurami" z wojny siedmioletniej, szacowanymi na równi z kirgizami, kałmukami i kozakami wojsk moskiewskich. Jeżeli wpływ tych niegdyś sławnych i bohaterskich ludów dawał się czuć, to chyba na dworze sułtanów w Carogrodzie, na którym przewodzili begowie, bośniacy i pomakowie bułgarscy, do tego stopnia, że słowiańskie języki czasem przygłuszały turecki, arabski i perski, tak, że pewien współczesny pisarz indyjski, Mustofa Khan, skarży się, że na żadnym dworze muzułmańskim nie ma w użyciu języka narodowego, bo na dworze indyjskim mówią po persku, na dworze perskim po turecku, a na tureckim po słowiańsku.

Dosyć najpobieżniej porównać stan ten Słowiańszczyzny z przed stu lat ze stanem teraźniejszym, ażeby być zdumionym ogromem postępu. Nasamprzód rasa słowiańska jest wraz z angielską i hiszpańsko-portugalską jedną z trzech uniwersalnych ras, ogarniających niezmierzone przestrzenie kuli ziemskiej, otwierające również niezmierzone widoki przyszłego rozwoju wobec zaściankowych ludów francuskich, włoskich i niemieckich, zamkniętych w ciasnych granicach tradycyjnych, — ludów, które muszą prędzej czy później się zasklepić, o ile nie zdołają sobie

otworzyć pola do expansyi w Afryce północnej lub południowej. Co jeszcze ważniejsza, to jest, że podczas, gdy przed stu laty sama możliwość cywilizacyi słowiańskiej przedstawiała się problematycznie, to tak wielki postęp umysłowy jest widoczny w kilku zaledwie generacyach, że wobec widocznego wyczerpania fermentu umysłowego we Francyi i w Niemczech, już teraz można roztrząsać kwestyę, ażali Słowiańszczyzna nie ma się stać spadkobierczynią cywilizacyi zachodniej, tak samo, jak równocześnie środek ciężkości literatury angielskiej, zdaje się coraz wyraźniej przenosić do Ameryki. Już teraz stosunek literatur słowiańskich do niemieckiej, przedstawia się daleko korzystniej, aniżeli się mogła przedstawiać przed stu laty literatura niemiecka, literatura lokalna Gottscheda, Klopstocka i Lessinga, wraz z niedowarzonymi początkami fantastycznej „Sturm und Drang Periode“ do wszechwładnej naówczas, dojrzałej i uniwersalnej literatury francuskiej, panującej zarówno w Paryżu, jak też w Berlinie i w Petersburgu. A jednak już wtenczas widocznem było, że metaforycznie mówiąc, Francuzi już wystrzelali byli wszystkie swoje naboje, to jest wyciągnęli byli wszystkie możliwe wnioski teoretyczne z ogólnych zasad sensualizmu, które natchnęły były wiek oświecenia, tak, że krom praktycznego zastosowania już wypracowanych teoryi w rewolucyi 1789 r. nic im nie pozostało do zrobienia na polu umysłowem. — Zawiązek przyszłości tkwił nie w racyonalizmie francuskim, ale w poezyi i marzeniach niemieckich, i tylko kilka lat minęło, a berło umysłowe Europy przeniosło się z ojczyzny Voltaire'a do ojczyzny Goethego. I nawet we Francyi XIX-go wieku, cały ruch umysłowy jest przeważnie tylko odblaskiem myśli i dążności niemieckich, przyodzianych w ponętną formę francuską.

Tak samo i dzisiaj prawdopodobniejszem jest, że kwiat przyszłej epoki cywilizacyjnej raczej się wyłoni z mrzonek i fantazyi świeżej natury słowiańskiej, aniżeli z oschłego i prozaicznego materyalizmu, który teraz panuje w Niemczech po redukcyi ad absurdum ich dawniejszych ideałów, którego się nowożytna szkoła pisarzy niemieckich chwyciła z taką samobójczą skwapliwością i z takim tryumfalnym skutkiem. Wskazówką pod tym względem najważniejszą dla przyszłości jest zmartwychwstanie narodu czeskiego.

Odrodzenie narodu czeskiego, jest urzeczywistnieniem jednej z takich mrzonek: Kiedy z końcem przeszłego wieku, bie-

dny nauczyciel wiejski Dubrowski, zabierał się do zbierania pieśni ludowych czeskich, to myśl, że z nielicznego chłopstwa może się w trzech pokoleniach na nowo odrodzić cały organizm narodowy z mieszczaństwem i szlachtą narodową, z ludem niezależnym i klasą wykształconą europejską, z literaturą i sztuką, szkołami, wszechnicami, teatrami i muzeami, akademiami i stowarzyszeniami, z samodzielną organizacyą finansowo-przemysłową i jasno wytkniętymi celami politycznymi, — to myśl ta była taką mrzonką, jak gdyby ktoś przypuszczał, że zaledwie drgający kadłub ludzki może z własnej siły uzupełnić się i wyrobić sobie nową głowę i nowe członki i na nowo powrócić do życia. Należało się raczej spodziewać zbudzenia Fryderyka Barbarossy, uśpionego w zamku Kyffhausen, lub wskrzeszenia Karola Wielkiego, Rolanda z Ronceval i innych jego paladynów, spoczywających w tumie Akwisgrańskim, lub powrotu do życia króla Artura i jego dwunastu rycerzy, — aniżeli zmartwychwstania narodu po takiej klęsce, jaką była Białogórska i po takim ucisku, jaki zapanował przez półtora wieku po tej bitwie, podczas którego nie przebaczano nawet książce drukowanej po czesku, bo każda była podejrzywaną i niszczoną jako kacerska.

Otóż ten cud, bezprzykładny w historyi, spełnił się przed naszemi oczyma, przed oczyma generacyi materyalistycznej i utylitarnej, oceniającej wszystko podług niezawodnych reguł arytmetyki politycznej i tabliczki mnożenia ekonomicznej. Spełnił się tak stopniowo i prawidłowo, że straciliśmy nawet poczucie nadzwyczajności faktu w naszych oczach dokonanego. — A jednak tylko ten, kto mi wytłómaczy, jakim sposobem według paraboli ewangelicznej, z ziarnka gorczycy wyrosło drzewo rozłożyste, pod cieniem którego mieszkać mogły ptaki niebieskie, tylko ten, kto mi wytłumaczy tajemnicę życia i róznicę pomiędzy żyjącym organizmem i martwymi członkami ten organizm składającymi, ten może mi także wytłómaczyć, jakim sposobem *z resztek niepozornych, na nowo odrósł cały naród*. „Zmartwychwstaje się z pod gromu, a nie zmartwychwstaje się z pod gromu". *Nie arytmetyce politycznej, nie samolubnemu dążeniu tych lub owych polityków należy tę zatajoną żywotność przypisać, ale bezwiednej sile i prężności moralnej tej szlachetnej rasy*, zdeptanej bezprzykładnym uciskiem, a w której, pomimo pozornego letargu, *zarodek życia zachowany został przez przetrwanie*

bezwiedne tych samych głębokich instynktów cywilizacyjnych, które w przeszłości wydały były świętego Wojciecha, Jana Hussa i Amosa Komeńskiego, a które są zapowiedzią i zapewnieniem, że na tym samym gruncie wyrosną dla cywilizacyi i postępu nowe, równie cenne kwiaty i owoce.

To zmartwychwstanie narodu czeskiego ma jeszcze większą ważność, jako zapowiadające początki nowej epoki w stosunku świata słowiańskiego do niemieckiego. Od czasu wystąpienia Słowian na widownię historyczną, dzieje Czech były zawsze wskazówką prądu dziejowego dla całej Słowiańszczyzny. Czechy zawsze były tym Janem Chrzcicielem, który gotował drogę Pańską i prostował ścieżki przyszłego postępu. Pierwszem państwem słowiańskiem, które stawiło zaporę rozszerzeniu się panowania Franków na wschód, było państwo Wielko-morawskie Samona, — dynastya Przemyślidów była pierwszą dynastyą słowiańską, która przyjęła katolicyzm i feudalizm zachodni i przygotowała wystąpienie naszych Bolesławów: Chrobrego i Krzywoustego, przeciwko powodzi niemieckiej. Tak samo w początku XV-go wieku nasamprzód Husyci czescy odparli Niemców, zanim zjednoczona Polska i Litwa położyły na kilka wieków kres panowaniu niemieckiemu w bitwie pod Grunwaldem. Znowu klęska Czechów pod Białogórą tylko na jedną generacyę wyprzedziła poniżenie Rzeczypospolitej polskiej za czasów Jana Kazimierza. — Czyż nie należy przypuszczać, że tak samo teraźniejsze odrodzenie się Czechów pod wpływem cywilizacyi nowożytnej i na podstawie czysto ludowej, jest tylko wskazówką przeobrażenia mającego się niebawem dokonać w całej Słowiańszczyźnie?

U nas dotychczas najmniej w tym kierunku zdziałano. Wszystkie nasze usiłowania przez tyle lat były skierowane wyłącznie do odzyskania niepodległości narodowej, jako warunku przedwstępnego zmian i przeobrażeń społecznych i najkrótszej drogi do ich osiągnięcia. Dopiero powoli wyrabia się przekonanie, że praca nad ludem, praca nad postępem społecznym, praca nad rozwojem wszystkich sił narodowych jest ważniejszą od form politycznych; bo te formy są zawsze i wszędzie tylko dojrzałym owocem, który sam spada z drzewa historyi po urzeczywistnieniu wszystkich warunków przedwstępnych. — Otóż to, co nam najwięcej otuchy daje na przyszłość, jest fakt, że od piętnastu lat Wielkopolska wstępuje na tory Czech, że z politycznego i szlacheckiego ruch stał się ekonomicznym,

społecznym i ludowym i rozszerzył się poza granice traktatowe do granic etnicznych narodowości polskiej. — Ostatnie wypadki tylko mogą wzmocnić ten kierunek. Przy hucznych oklaskach większości sejmu pruskiego mamy zaręczenie, nie socyalisty lub nihilisty, ale Bismarka, największego bohatera i męża stanu narodu, który od wieków dumnym był ze swojej słowności i prawdomowności i bezwzględnego uszanowania przed prawem, że najświętsze traktaty są nieważne, jeżeli stoją na przeszkodzie urzeczywistnieniu jakichś chwilowych zawiści, — że najuroczystsze przyrzeczenia królewskie nie są warte złamanego szeląga, że minister, któryby nie przeprowadził swojego widzimisię nawet wbrew woli reprezentacyi, byłby tchórzem, i że zależy od fantazyi ministra, czy równouprawnienie wszystkich obywateli wobec prawa i ustaw ma być obowiązującem czy nie, — że jednem słowem słuszność mają nihiliści i dynamitardzi twierdząc, że traktaty, przyrzeczenia, prawo, sprawiedliwość stały się w naszych czasach tylko próżnem słowem, hypokryzyą, że, wszystkie nabytki wiekowej cywilizacyi, religii i filozofii, prawa i ustroju społecznego stały się tylko fałszem i obłudą, że, jak za czasów Hunnów i Gotów, pozostały tylko miecz, siła i bezwzględne korzystanie z praw zwycięstwa. Wobec takiego bezwstydnego paradowania własnem wiarołomstwem i chwalenia się własnym upadkiem moralnym ze strony Prusaków, nie mamy się czego oglądać na prawa historyczne i na przyrzeczenia, lub sprawiedliwość rządu. — Jedyną drogą na przyszłość jest wyzyskanie legalne w każdym poszczególnym wypadku wszelkich środków prawnych i konstytucyjnych, a zarazem nieugięta obrona każdego stanowiska ekonomicznego, lub też odzyskanie już straconych pozycyi i wyrobienie tej spójni i solidarności narodowej, która jest większą siłą od wszelkich gwarancyi traktatów i przywilejów.

Zdaje się, że są pewne oznaki na przypuszczenie, iż właściwym powodem wydalań było spostrzeżenie świeżo rozbudzonej i niespodziewanej siły ekonomiczej ludu polskiego. Słysząc o tysiącach i tysiącach robotników polskich, zatrudnionych w kopalniach węgla i antracytu w Pensylwanii w Ameryce i rugujących tam taniością, zdolnością, karnością i pracowitością robotników innych narodowości, jak się czyta o 50.000 ludności polskiej sprowadzonej do Westfalii do

tamtejszych kopalń i fabryk, o robotnikach polskich, pracujących w torfiarniach i cegielniach koło Magdeburga i Berlina, lub o ludności fabrycznej górnego Śląska, — zdaje się, że powracają czasy starodawnej pracowitości Słowian, opisane przez Herdera. Ta sama wyższość ekonomiczna, która robi robotnika polskiego pożądanym w Ameryce, Westfalii, Saksonii lub Śląsku, przecież również oddziaływa na jego zatrudnienie w Poznańskiem i w Prusach Królewskich i daje mu pewną korzyść nad Niemcem w nieubłaganej walce o byt. Kto poznał znakomite zalety robotnika mazurskiego w Galicyi, ten się nie będzie dziwił dobrej reputacyi robotników wielkopolskich lub śląskich, i tylko się będzie dziwił, że ich zalety dopiero od tak niedawna odkryte zostały.

Wprawdzie Bismark w swoich tłómaczeniach na apostrofy Windhorsta nie chciał się przyznać do tego, że jemu głównie przeszkadza chłop i robotnik polski, tylko wił się jak wąż przez cały szereg oszczerstw i niedorzeczności, ażeby całą winę zwalić na szlachtę polską. Ta biedna szlachta, na której się zawsze wszystko krupi. Bardzo dobrze wie on, że na 40.000 wydalonych nie znalazłoby się ani 40 szlachciców i ani jednej osoby, mającej jakkolwiek znaczenie polityczne, tak samo jak wie bardzo dobrze, że ruch polski rozszerza się teraz na okolice, w których od wieków już niema szlachty polskiej i że ruch ten wzmaga się opierając się na całym ludzie, chociaż z każdym rokiem ubywa tej szlachty, przeciwko której od stu lat cały nacisk rządu jest wywarty. Pokazuje to nawet w tym człowieku resztki sumienia, że nie może się przyznać otwarcie do brutalnego gwałtu, który popełnił, tylko że on, junkier z junkrów, stara się upozorować płaszczykiem pseudoliberalnym wygnanie 40.000 członków najbiedniejszej części społeczeństwa, ludzi, którzy podług jego własnego świadectwa tylko w pocie czoła na chleb swój uczciwie zarabiali, — i przedstawia je jako środek demokratyczny, użyty przeciwko szlachcie i arystokracyi!

Edykt banicyjny ma atoli być tylko wstępem do innych środków jeszcze niechybniej i systematyczniej dążących do celu zagłady naszej narodowości, przez wywłaszczenie i kolonizacyę dóbr szlacheckich, przez coraz większy przymus językowy w urzędzie, sądzie, szkole i kościele. Byłoby to czczą przechwałką z naszej strony utrzy-

mywać, że my się tych środków nie obawiamy, lub że one by nie mogły być częściowo skuteczne. Ale czy nasza strata będzie korzyścią dla Niemiec, czy gwałcenie elementarnych praw obywatelskich u ludności trzymilionowej nie odbije się fatalnie na całym ustroju państwowym, czy Wielkopolska nie stanie się nową Irlandyą dla Prus, stanowiąca w dziejach idei narodowościowej przykład równie znaczący, jak ten, który dały Czechy.

Wszystkie środki ucisku, których Moskale lub Prusacy kiedykolwiek przeciwko nam użyli lub które mogą jeszcze wymyślić, już były użyte w tej nieszczęśliwej irlandzkiej krainie. Od morderstw hurtownych całych miast prowincyi, do konfiskaty majątkowej, od nawracań gwałtownych na religię państwową do wynagradzań za odstępstwa, od banicyi szlachty i księży do kolonizacyi żołnierskiej, wszystko już tam było użyte. Jak w jakiem piekielnem laboratoryum mamy tu przed nami wynik całego rejestru wszelkich możliwych eksperymentów ucisku religijnego, narodowego, ekonomicznego i społecznego. Kto się chce przekonać, do jakich granic może dojść okrucieństwo i hypokryzya zwycięzcy, upadek moralny i spodlenie zwyciężonych, buta i bezwzględność pana, odwet i zemsta niewolnika, a spaczenie natury ludzkiej u obu, — ten niech przeszuka dzieje Irlandyi. Dwieście lat już ubiegło od czasu, jak cała narodowa szlachta wyginęła na polu bitwy, lub na wygnaniu i została zastąpioną przez panów innego plemienia i religii. Przez dwie generacye, od końca 17-go do połowy 18-go wieku, karano śmiercią odprawianie mszy, lub wykonanie jakiegokolwiek obrządku katolickiego. Nawet język narodowy zaginął w tych przeprawach i już tylko jest rozumianym przez małą część ludności. Czyż Bismark w najśmielszych swoich fantazyach, przy urzeczywistnieniu najdoskonalszem swoich pragnień i życzeń, stojąc u kresu swojej wszechwładzy, może się spodziewać dojść równie daleko? A jednak jakież były skutki tego ostatecznego wysilenia środków gwałtownych i przymusowych. Może lojalność i miłość do Anglii, spokój i zadowolenie tych niewinnych ofiar racyi stanu i wysokiej polityki? — Historya Irlandyi pisana sztyletem, kulą i dynamitem, nurzająca się w łzach i we krwi, jest na to najlepszą odpowiedzią. Wprawdzie Anglicy dokazali wiele. Wyspa bohaterów Ossyana, wyspa przecudnej poezyi i uroczej muzyki mimowoli przenoszącej

duszę w świat marzeń i uczuć, wyspa Świętych, która na samym brzasku średnich wieków, przed wszystkimi teraźniejszymi narodami ucywilizowanymi zabłysła chrześcijaństwem apostolskiem, nauką i pobożnością, z której wyszedł święty Bonifacy, apostoł Niemiec, i święty Alban, apostoł Wielkiej Brytanii, z których Karol Wielki pociągał swoich biskupów, uczonych i misyonarzy do nauczenia barbarzyńskich Franków, ta sama wyspa, po której się teraz przechadzają, jak widma straszliwe, głód i skrytobójstwo, stała się nazwą hańbiącą. Zamiast świętych, uczonych i misyonarzy, jak niegdyś, wydaje ona pauprów, zbójów i dynamitardów, szpiegów i oprawców. Ale czyż Anglicy, którzy odebrali tym ludziom wiarę w sprawiedliwość ludzką, którzy przez tyle generacyi starali się wykorzenić z ich sumienia poszanowanie prawa, bo to, co im jako prawo przedstawiali było wcielonem bezprawiem, — czyż ci autorowie i sprawcy tych potwornych stosunków mają racyę teraz urągać się swoim ofiarom i wyrzucać im nieprawdomówność, niesłowność, obłudę, swawolę, okrucieństwo i podstęp. Czyż te wady charakteru irlandzkiego na które się Anglicy teraz użalają, nie są naturalnymi wynikami rządów angielskich? Ale czyż tylko Irlandya ucierpiała na tych bezprawiach? Może szkoda Irlandyi była korzyścią angielską?

Nie mówię już o tem, że samo wspomnienie Irlandyi wywołuje rumieniec wstydu u każdego wykształconego i szlachetnego Anglika, wstydzącego się za bezprawia, wykonane w imieniu narodu angielskiego i nad powetowaniem których wszyscy szlachetni Anglicy już od stu lat pracują, ale wysłuchajmy znowu historyi: Spaczenie i stępienie wrodzonego uczucia sprawiedliwości i słuszności, wywołane w klasie rządzącej angielskiej przez praktykę pastwienia się nad Irlandyą, z pewnością przyczyniło się do bezwzględnego obejścia się z koloniami amerykańskiemi, a podczas amerykańskiej wojny o niepodległość groźna postawa Irlandyi do reszty ubezwładniła siły angielskie i przyczyniła się do utraty posiadłości amerykańskich. A w obecnej chwili potomkowie tej samej arystokracyi, których ręka przed dwustu laty zaciężyła nad Irlandyą, widzą się zagrożonymi w podstawie własnego bytu przez rewolucyę agrarną, przygotuwującą się w Anglii za zachętą i za przyczynieniem się Irlandyi.

Czyż z Afryką zagrożoną przez Niemców, a Indyami zagrożonemi przez Moskali, Irlandya nie jest tą kulą u nóg Anglii, hamującą wszelkie swobodne ruchy, w chwili tak krytycznej, w której się ważą losy wszystkich ludów. — A gdyby wskutek zamętu stosunków wewnętrznych, spowodowanego kwestyą irlandzką, uwaga narodu angielskiego odciągniętą była od tych kwestyi światowych, gdyby ich akcya ościenna ubezwładnioną była, jak się też na to zanosi, czyż w tem grożącem niebezpieczeństwie utraty panowania światowego i spadnięcia do roli trochę większej Holandyi, nie widać jej nemezis dziejowej, tego „Weltgericht", który jest treścią ostateczną historyi.

Ale czyż nie dosyć tego obrazu? Któż w XIX-tym w. wątpił, że siejąc gwałt i niesprawiedliwość, zbiera się nienawiść i zemstę? Doszło do tego, że Niemcom wykształconym trzeba przypominać aforyzm szkolny: „Das ist der Fluch der bösen That, dass sie fortzeugend Böses muss gebären".

Ale najdoskonalszy kontrast do stosunków irlandzkich nastręcza znowu Anglia w księstwie Wallii.

W samej Wallii i w graniczących powiatach angielskich mamy przeszło dwa miliony ludu, potomków dawnych Brytanów, zowiących się Kymri, którzy przechowali do dziś swą odrębność plemienną i język plemienny, swoje tradycye i śpiewy, a jednak są najlojalniejszymi Anglikami. Stało się tu wręcz przeciwnie, jak w Irlandyi. Traktowano Kymrów z wszelką względnością i poszanowaniem dla praw tak całego ludu jak jednostek, nadano następcy tronu nazwę Księcia Wallii i zawsze z Wallii wybierano dla niego mamki i służbę. — W Irlandyi naród stracił szlachtę, własność i język a pozostał narodem nienawidzącym Anglii i walczącym z nią. W Wallii zaś prastara szlachta celtycka utrzymała się, własność nigdy nie była naruszoną, język przetrwał, nikt im nie wzbronił przyłączyć się do sekty religijnej, która się była odszczepiła od kościoła państwowego, — z tem wszystkiem każdy Wallijczyk jest lojalnym Anglikiem. Zapala się do swoich pieśni narodowych, czci swoich bardów, uczęszcza na coroczne zebrania „Eistedfodd", na których oddaje kult przeszłości, słucha o królu Arturze i czarowniku Merlinie i o proroctwach odwiecznych, zapowiadających na nowo panowanie Kymrów nad całą Brytanią, — ale wracając, bierze udział w życiu publicznem i przemysłowem Anglii i przelewa swoją

krew dla niej jeżeli tego potrzeba, i chętnie łączy się familijnie i zlewa z Anglikiem, tworząc tę mieszaną ludność Celtycko-Saską, która jest najlepszą przedstawicielką geniuszu angielskiego. Nie kulą u nogi, nie kolką w boku, nie ciężarem nużącym jest Wallia dla Anglii. Tu nie ma ani zdrady, ani dynamitu, ale przeciwnie, sowicie się ona wypłaciła za otrzymane dobrodziejstwa, wzbogacając prozaiczny charakter i mechaniczne zdolności angielskie pierwiastkiem uczucia i melodyi, wyobraźni i przedsiębiorczości, ideału i marzenia i siejąc w ponurem usposobieniu angielskiem te zarodki szczęścia i radości, zawarte w usposobieniu sympatycznem i artystycznem, które Anglicy zawdzięczają, o tyle o ile je posiadają, przymieszcze celtyckiej.

Zestawienie przykładu Czech, Irlandyi i Wallii z naszem własnem położeniem nastręcza kilka ciekawych pytań.

Czem jest narodowość, od czego zależy żywotność narodu i jakie są cechy prawdziwej narodowości?

Narodowość to nie to samo co plemię. Mieszkańcy Hanoweru, Holsztynu i północnych Niemiec są plemiennie najściślej spowinowaceni z anglo-saskimi mieszkańcami wschodniej części Anglii, a jednak ci współplemiennicy wchodzą jedni w skład narodowości niemieckiej, a drudzy angielskiej. Odwrotnie, każda historyczna narodowość składa się z najróżnorodniejszych plemion, jak n. p. Francuzi pochodzą i od Gallów i od Rzymian starożytnych, od osadników greckich i semickich od zdobywców Gotów, Franków, Burgundów i Normanów wraz z Niemcami alzackimi, Włochami korsykańskimi i Baskami pyrenejskimi. Narodowość nie jest językiem, bo przecież Breton i Alzatczyk jest dobrym Francuzem, — Walijczyk i góral gallicki lub francuski mieszkaniec wysp normandzkich dobrym Anglikiem, pomimo obcej mowy, Litwin i Żmudzin najlepszym Polakiem, — podczas gdy Amerykanie i Anglicy, jakoteż Irlandczycy i Anglicy pomimo tej samej mowy, są obcymi sobie narodami.

Narodowość nie jest to samo co samorodna cywilizacya — bo takiej nie ma na świecie. My wszyscy w Europie odziedziczyliśmy religię semicką, filozofię i sztukę grecką, ustawodawstwo rzymskie i każda narodowość pozbawiona tych pierwiastków obcych, taka, którąby chciała czerpać wyłącznie w własnej tradycyi, w własnym umyśle i w własnem sercu, musiałaby się cofnąć do barbarzyństwa. Narodowość nie zlewa się z religią; w protestanckiej Anglii, w protestanckiej Holandyi jest kilka

milionów katolików; w katolickiej Francyi do miliona kalwinów z wpływem moralnym i umysłowym daleko jeszcze znaczniejszym od ich liczby. A katolicka Polska miałażby zapomnieć, że wskrzeszenie narodowości polskiej na Śląsku austryackim było dziełem protestantów, a że Gustaw Potworowski, długoletni przewódca Polaków w Wielkopolsce był kalwinem. Znowu tak Niemcy jak Węgrzy są podzieleni na dwa główne odłamy religijne, a nigdy nie słyszeliśmy, żeby na tem cierpiała jednolitość narodu węgierskiego. Nareszcie codzienne przykłady pokazują, że narodowość można zmienić, jak tego dowodzą emigracye dobrowolne i przykład Stanów Zjednoczonych Ameryki, w których przybysze najrozmaitszych plemion wnet tracą swoją odrębność i przybierają nową cechę i przesiąkają nowemi wyobrażeniami i sympatyami.

Jeszcze bardziej zagadkowe są te rozmaite przyczyny, które wpływają na pomyślny lub szkodliwy rozwój narodowości, tak, że ten sam naród zdaje się czasami działać niejako pod wpływem natchnienia, każdy członek jego zdaje się być bohaterem i naród tryumfuje nad przeciwnościami, które zdawały się zagrażać jego istnieniu, — a w innych czasach przy lepszych materyalnych lub statystycznych warunkach, często w chwili pozornego rozkwitu, ten sam naród opuszcza ręce i upada bez wysiłku. Od czego zależy wogóle życie i rozwój narodu, siła, która go podtrzymuje w upadku, która mu jedna lub odstręcza inne narody i opinię publiczną!

Na te wszystkie zagadki nie ma odpowiedzi łatwej, nie ma wytłómaczenia mechanicznego. To życie zbiorowe, które nazywamy narodem, sięga równie tajemniczych źródeł jak życie indywidualne, objawia się, ale się nie da zrozumieć, można je spostrzedz i opisać tam, gdzie jest rozbudzone, ale nie wytłómaczyć. Pomiędzy ziarnem martwem a żywem najdokładniejsza analiza chemiczna lub najbardziej drobiazgowa sekcya mikroskopiczna nie okaże różnicy — a jednak w ziemi jedno zgnije, a z drugiego wyrośnie roślina. *Dowodem żywotności jest tylko samo życie, a znamieniem życia jest niepojętość, tajemniczość, chciałbym powiedzieć niedorzeczność.* Roślina wbrew prawu ciężkości pnie się do góry, — wbrew prawom chemicznym nie gnije i nie rozkłada się na pierwiastki, dopóki obdarzona jest ową tajemniczą żywotnością. Jak długo to życie trwa, to prawa powszechne, rządzące martwą

materyą, są w zawieszeniu i żyjący organizm rozwija się wbrew wszelkim właściwościom materyi nieżyjącej i słucha tylko własnych praw, nie dających się żadną miarą logicznie wyprowadzić z praw powszechnych materyi, a tkwiących tajemniczo i cudownie w każdym niedostrzegalnym zawiązku życia.

Te same zjawiska powtarzają się na wyższym szczeblu życia, to jest życia ludzkiego umysłowego i społecznego. — Tak samo jak pojedyncze atomy martwej materyi podlegają uniwersalnym prawom ciężkości ruchu i siły chemicznej, tak, że poznawszy te prawa, każdy ruch i każda właściwość materyi da się z góry obliczyć, — tak samo atomy społeczne, to jest pojedyńczy ludzie, podlegają pewnym ogólnym prawom, łatwym do obliczenia. Czem grawitacya w świecie materyi, tem użyteczność dotykalna i materyalna czyli interes ekonomiczny w świecie społecznym. Tak samo jak analiza chemiczna rozkłada na pierwiastki chemiczne, tak samo analiza psychologiczna rozkłada na pierwiastki umysłowe. Tak samo, jak nieomylne formułki matematyczne wystarczają do odgadnienia połączonego wpływu grawitacyi i bezwładności na każdy atom materyi nie wchodzącej w skład ciał żywych, — tak samo logiczne sprzężenie wpływu zwyczaju z wpływem interesu ekonomicznego, czyli tak zwany racyonalny pogląd na życie, wystarczają do niechybnego obliczenia czynności człowieka, nie wchodzącego w skład jakiego życia zbiorowego. Ale już najdrobniejszy zawiązek życia społecznego, rodzina, jest w stanie wywołać siły miłości i poświęcenia, mylące wszelkie obrachowania. Jeszcze dalej odbiegają od wytłómaczenia mechanicznego: religia, poezya, sztuka i to j a s n o w i d z e n i e i n t u i c y j n e, w k t ó r e m s i ę t w o r z ą n o w e m y ś l i n a u k o w e. Dlatego też tak samo, jak odporność przeciwko uniwersalnym prawom materyi martwej jest cechą i dowodem życia organicznego, tak też odporność przeciwko martwym prawom bezwładności zwyczajowej i atrakcyi interesu ekonomicznego jest jedynem znamieniem i dowodem życia duchowego. Tak samo, jak wobec życia organicznego zwyczajne skutki grawitacyi, mechanizmu i chemizmu są w zawieszeniu i w stosunku służebności do sił żywotnych, nieobliczalnych i tajemniczych, tak samo k a ż d y o b j a w r z e c z y w i s t e g o ż y c i a d u c h o w e g o j e s t n i e o b l i c z a l n y, c u d o w n y i t a j e m n i c z y, po nad wszelkimi wynikami utylitarnymi, racyonalnymi lub kombinacyami logicznemi. Samo podleganie prawom materyi jest

znakiem, że życie się już ulotniło i tak samo, jak rozkład chemiczny i zgnilizna niszczy tylko organizmy, które już przestały żyć, tak samo też zgnilizna społeczna, to jest zwątpienie i szyderstwo, jest tylko oznaką a nie przyczyną śmierci, niszczy tylko martwe formy społeczne, w których duch już przestał zamieszkiwać. Bo siły rozkładowe i przeczące ducha, tak jak siły rozkładowe i niszczące materyi, tylko to niszczą, co już samo umiera, co już żyć nie warte, a tem zniszczeniem tylko oczyszczają i przygotowują teren dla nowych doskonalszych objawów życia.

Idea narodowościowa posiada wszelkie prawdziwe znamiona żywotności. Powstała ona, przygotowana przez cały bieg historyi, wbrew wszelkim spekulacyom logicznym i poglądom racyonalnym. — Dziś jest ona osią, około której się obraca historya nowożytna tak, że zapominamy, jak świeżem jest nasze teraźniejsze pojęcie narodowości — zapominamy, że to jest jedna z naszych najmłodszych idei, że do niedawna jeszcze cywilizacya zwykle połączona była z wynarodowieniem. Kosmopolityzm, wyzwolenie się od przesądów i próżności narodowych i lokalnych uchodziło za niechybny znak i niezbędny warunek cywilizacyi — a patryotyzm tak samo jak duma narodowa lub zaślepienie zaściankowe był oznaką zacofania i nieokrzesania.

Już nasze najdawniejsze podanie biblijne w opowiadaniu o budowie wieży Babel przedstawia rozdzielenie się na narody, jako karę Bożą za zarozumiałość ludzką i jako zaporę przeciw ich wzajemnemu porozumieniu się. To też jakoby skutkiem fatalnym gniewu Bożego i rozproszenia narodów, cała historya biblijna jest nieprzerwanym ciągiem nieubłaganych walk plemiennych.

Historya grecka zawsze jeszcze dostarcza nam niezrównanych wzorów bohaterskości, męstwa i patryotyzmu, ale różnoplemienność jest przez cały ciąg jej trwania siłą wrogą, przyczyną nieustającego stanu wojny. Jak tylko cywilizacya grecka po Aleksandrze Wielkim zaczyna się szeroko rozpościerać, ustaje dawny patryotyzm lokalny, ustaje nawet różnica pomiędzy Greczynem a barbarzyńcą, bo ten ostatni przyjmuje i cywilizacyę i mowę grecką. Macedończyk, Egipcyanin, Syryjczyk, Bityńczyk o tyle tylko są ucywilizowani, o ile zatracili własne cechy plemienne i zbliżyli się do Greków.

Cywilizacya rzymska powstaje również na gruzach stu podbitych narodowości. Dla Numidy, dla Celtibera, dla Galla i Brytańczyka, ucywilizować się, znaczy to samo co wynarodowić się. Cywilizacya, to jest rzymska mowa, rzymskie prawa, rzymska administracya. Rozwój szkół i wykształcenia, handlu i przemysłu, dróg bitych, mostów, portów, wodociągów, teatrów i cyrków, świątyń, bibliotek i mównic publicznych rozszerzał się w miarę zanikania odrębności plemiennych.

Jak tylko w średnich wiekach powstały szkoły i uniwersytety, a jeszcze bardziej od czasów Odrodzenia, pojawia się też na nowo niwelujący i wynaradawiający wpływ cywilizacyi. Mową uczoną, mową wykształcenia jest łacina. Uczeni i pisarze wszystkich krajów lubują się w obrazie „rzeczypospolitej sztuk wyzwolonych“, w której narodowe różnice uważane są jako zabytki gotyckiego barbarzyństwa. Typem człowieka wykształconego jest kalkulujący cortegiano włoski, uczeń Machiawela, który się pozbył wszelkich przestarzałych uprzedzeń lokalnych i na zimno stosuje wszystkie środki do swojego osobistego wyniesienia.

A nawet później, kiedy pod wpływem reformacyi rozwinęły się narodowe literatury, i narodowe języki zastąpiły łacinę, to uczeni i pisarze nie przestają marzyć o nowym jakimś języku uniwersalnym, uważając, że rozmaitość języków utrudnia rozszerzenie myśli i wykształcenia. To też jak tylko w wieku „oświecenia“ nastaje nowy okres cywilizacyjny, język francuski przybiera charakter takiego języka uniwersalnego, takiego języka cywilizacyi i o mało, że nie przygłusza rozwoju innych języków europejskich, a w przededniu tego fenomenalnego rozbudzenia ducha narodowości, które cechuje wiek XIX-ty, człowiek światowy, „un homme du monde“, czy Francuz czy Anglik, Niemiec, Polak czy Rosyanin używa wszędzie tej samej mowy francuskiej, posiada te same maniery, zwyczaje i zapatrywania i spogląda z pogardą na narodowe tradycye.

Ta przewaga kosmopolityzmu podczas każdej z tych czterech wielkich epok cywilizacyjnych, przez które do XVIII-go wieku przeszła Europa, godną jest zastanowienia. Nie ulega wątpliwości, że pod wielu względami różnice narodowe i językowe utrudniały rozszerzenie się cywilizacyi. Wzajemne stosunki polityczne i towarzyskie, operacye handlowe i przemysłowe, wpływ szkół i zakładów, książek i literatury, wszystkie te powierzcho-

wne znamiona cywilizacyi były stokroć ułatwione przez zniesienie granic narodowych i przez zupełny tryumf kosmopolityzmu. — Jeden świat, jeden rodzaj ludzki, jedna mowa, jedne prawa i jedne zwyczaje towarzyskie, jest to wyobrażenie przestronne i ponętne. Wszystkie względy utylitarne i racyonalne zdają się za niem przemawiać, i dla tego też każdy wiek racyonalny, utylitarny i oświecony był zarazem wiekiem panowania kosmopolityzmu i odznaczał się świetnym rozwojem materyalnej cywilizacyi, ułatwionymi stosunkami dyplomatycznymi i handlowymi, wzrostem przemysłu i bogactw, rozpowszechnieniem szkół i książek. Świecił on do koła niezrównanym urokiem porządku administracyjnego, materyalnej potęgi, ogłady towarzyskiej, przepychu i wytworności, blaskiem wszystkich sztuk i nauk, mogących umilić i urozmaicić życie i zażegnać jego nudy i czczość. A największym tryumfem cywilizacyi, najkosztowniejszym jej darem, sztuką sztuk, tą metą ostateczną, w której jak w ognisku zbiegały się wszystkie promienie pojedyńczych sztuk i umiejętności, była ta arcy-sztuka, sztuka szczęścia, sztuka rozkoszy, sztuka tajemnicza i wyrafinowana, sztuka, która uczyła wyssać do ostatniej kropli kielich słodyczy, która wtajemniczonemu otwierała wrota do raju ziemskiego, za pomocą której, jakby za pomocą różdżki czarodziejskiej pospolita i wstrętna materya zamieniała się na nektar i na ambrozyę, na pokarm bogów dla ludzi, którzy, tak jak bogowie, własne istnienie i własną rozkosz uważali jako cel wszechbytu.

Perspektywa tego raju ziemskiego, w którym znikoma egzystencya otoczona została aureolą złocistą purpury i wonności, gustu i oświecenia, w którym ludzie zdawali się wracać do szczęścia dziecinnego złotego wieku Saturna, ale szczęścia dziecinnego, połączonego z całą samowiedzą dojrzałości ludzkiej, ta perspektywa tak była uroczą i ponętną, tak rozbudzała to pragnienie szczęścia bez końca i granic, które tkwi w rodzaju ludzkim, że tak jak ćmy do światła, tak króle i narody w gorącem współubieganiu garnęli się do tej cywilizacyi, która miała zadowolić i uśmierzyć ich gorące pragnienia. Bo ta cywilizacya nie tylko była ponętną, ale też straszną i potężną. Przynosiła korzyść i rozkosz dla sprzymierzeńców i zwolenników, a zagładę i zniszczenie dla wroga. Gdzież żołnierz lepiej wymusztrowany, broń doskonalsza, skarbiec pełniejszy, dyplomacya przebieglejsza, jak

w obrębie tej samej szczęściodajnej cywilizacyi. Nie byłoż lepiej dobrowolnie zrobić ofiarę z przesądów narodowych, niedorzecznych tradycyi, dziecinnych wiar religijnych i prostaczych zwyczajów, aniżeli być opasanym do koła pierścieniem żelaznym umiejętnej przemocy, która już zdruzgotała tyle plemion i szczepów, zasklepionych samych w sobie i niechcących mieć stosunków z innymi narodami.

W taki to sposób za pomocą siły elementarnej rozbudzonych namiętności, obaw i nadziei ludzkich każda z tych czterech cywilizacyi kosmopolitycznych niepowściągnionym urokiem ułudy zmysłowej i sofisteryi utylitarnej rozszerzała swe panowanie, jednocząc, wynaradawiając i niwelując, ale zarazem obniżając poziom ludzkości. Bo co jest najdziwniejszem, to okoliczność, że każda z tych czterech typowych cywilizacyi powszechnych: starogrecka, starorzymska, włoska z Odrodzenia i francuska z XVIII-go wieku, była w zawiązku cywilizacyą narodową, kwitła i przekwitła jako cywilizacya narodowa i dopiero jako zwiędły i przegniły owoc stała się cywilizacyą kosmopolityczną. Kosmopolityzm grecki, to nie szlachetna cywilizacya czasów bohaterskich i patryotycznych Leonidasa i Temistoklesa, Fidiasza i Aischilosa, Sokratesa i Platona — ale zepsute i zniewieściałe resztki tej cywilizacyi na dworach Ptolomeuszów i Seleucydów. Kosmopolityzm rzymski, to nie starodawna cnota rzymska, ale wyrafinowana rozpusta cezarów. Kosmopolityzm włoski, to nie cywilizacya Dantego i wolnych republik — ale kalkulujący i okrutny egoizm Machiawela i Borgiów. Kosmopolityzm francuski, to tylko rozszerzenie na całą Europę jakby zarazy fatalnej, tej gangreny społecznej, która w Wersalu toczyła ciało i geniusz Francyi. Każda z tych narodowych cywilizacyi dopiero stała się międzynarodową, powszechną i kosmopolityczną po rozkładzie i zepsuciu otoczenia, w którem wyrosła. Sam naród, który ją stworzył, musiał się wprzód pozbyć własnych cech i zalet narodowych, zanim mógł wynaradawiać inne narody.

Dlatego też przy bliższem zapoznaniu każda taka cywilizacya kosmopolityczna okazuje się tylko ułudą i blichtrem, wszystko tylko jest wyrachowaniem i pozorem, a brak prawdy i natury; zmysły się wykształciły, ale charakter pod-

upadł i wszystkie głębsze przymioty ludzkie zaginęły. Nawet ułuda zmysłowa, ten szczyt i cel tej cywilizacyi, to tylko jeszcze większa ułuda, jak wszystko inne. Dumę, charakter, męstwo i mądrość, uczucie patryotyczne, zapał religijny, nawet miłość domu i rodziny rozprzegającej się w ogólnym postępie wyrachowania i obłudy — wszystko, co stanowi wartość i pociechę życia, człowiek oddał za rajskie jabłko rozkoszy, a to jabłko przy skosztowaniu okazuje się jako owoc rosnący nad brzegami morza Martwego, wabiący szkarłatem i złotem na zewnątrz, a wewnątrz pełen popiołu i goryczy. To też po każdej takiej epoce niebawem następuje głębokie rozczarowanie i z całej ułudy życia zostaje tylko nagi szkielet. Przesyt i niesmak ogarnia całe społeczeństwo, chłód wieje z niego, a wszystko co tylko jest szlachetniejszego czuje nieukojoną tęsknotę za pogwałconą naturą. — Od tej chwili urok tej cywilizacyi ustaje, gdyż sami uczestnicy w niej zaczynają uważać cywilizacyę i zepsucie za jedno i zaczynają zazdrościć barbarzyńcom zdrowia, siły i szczęścia. Już ona nie pociąga fatalnie do siebie wszystkich, po za jej obrębem stojących, bo pomimo całej jej potęgi i świetności pozornej, ci ostatni czują do niej tylko wstręt i wzgardę — i wnet ta sama cywilizacya, co się rozszerzała siłą elementarną, jak powódź niepowstrzymana, zaczyna sama cofać się i trzy razy powstrzymanie tej powodzi kosmopolitycznej wyszło od Niemców. W dniu, w którym Arminiusz, nauczywszy się mowy łacińskiej i poznawszy cywilizacyę rzymską, powrócił do swoich borów germańskich, ze wzgardą dla panów świata, już tejże cywilizacyi zakreślone zostały nieprzeparte granice i zaczęli się wychowywać pogromiciele państwa rzymskiego. — W chwili, w której młody zakonnik z klasztoru Augustynów w Erfurcie, odwiedził Rzym i odkrył zgniliznę i obłudę pod pozorem cywilizacyi i religii — zajaśniał dzień reformy religijnej i powstania literatur narodowych wieku szesnastego. — Tak samo w chwili, gdy młody Goethe, tak dobrze usposobiony dla Francyi i tak przejęty wykształceniem francuskiem, na uniwersytecie strasburskim odwrócił się ze wstrętem od mroźnej i nieszczerej światowości francuskiej, to francuski kosmopolityzm już pozbawiony był zwycięskiego uroku, za pomocą którego opanował był całą Europę i od tej chwili nastał nowy i głębszy okres cywilizacyjny.

Zawsze dotąd cywilizacya kosmopolityczna okazała się tylko krzewicielką pozorów materyalnych, handlu i przemysłu, bogactwa i przepychu, potęgi wojskowej i finansowej, ogłady i wytworności, prozy i oświaty — ale wszystkie głębsze przymioty: religia, poezya, bohaterstwo i natchnienie zawsze się tylko rozwijały na tle narodowem, i ilekroć się te głębsze instynkta przebudzały, to świat zrzucał z siebie jednostajną i martwą powłokę kosmopolityzmu i na nowo pojawiały się różnobarwne a harmonijne cechy i odrębności geniuszów narodowych, a cywilizacya, przenikając i przetwarzając serce, uszlachetniając charakter i podnosząc uczucia zyskiwała na głębokości i trwałości to, co przez chwilowe ograniczenie do granic narodowych traciła na uniwersalności.

Otóż nic lepiej nie wskazuje istoty tych ukrytych sprężyn moralnych, które stanowią żywotność narodową, jak porównanie okresów, w których plemiona różnorodne marnieją i bledną przed wschodzącem słońcem idei kosmopolitycznej, z okresami, w których myśl narodowa na nowo zmartwychwstaje, bo różnica zachodząca pomiędzy tymi okresami, właśnie będzie różnicą pomiędzy martwotą plemienną, która ginie, a żywotnością narodową, która zwycięża.

Tak samo, jak każda epoka kosmopolityczna nacechowana jest przenikliwością krytyczną w dziedzinie umysłowej, a rozwojem bogactwa i potęgi materyalnej w dziedzinie praktycznej — tak każda epoka cywilizacyi narodowej objawia się cudownym rozkwitem poezyi, sztuki i literatury w dziedzinie umysłowej, a dzielnością i podniosłością charakteru w dziedzinie praktycznej. Są to jednakowoż już skutki rozbudzenia utajonych sprężyn rozwoju narodowego. Podnietą zaś uniwersalną, i wiecznie tak samo podniecającą uczucia narodowe, jak przemysł i handel, mający swe podstawy w pragnieniu szczęścia materyalnego, apostołuje sprawie kosmopolityzmu — jest uczucie religijne, z dusz ludzkich wydobywające najistotniejsze pierwiastki kultury narodowej, tak, że w całym przebiegu historyi religia okazuje się wskrzesicielką narodów.

WSPÓŁZAWODNICTWO ROSYI I ANGLII W AZYI.

Po wzięciu Chartumu przez Mahdystów z końcem stycznia 1885 roku powaga Anglii, prowadzącej w Sudanie wojnę, została poważnie zachwianą. Korzystając z tego, Rosya usiłowała wywołać zatarg z Afganistanem, związanym z Anglią. „Nowoje Wremia" pisze wprost: „Jest rzeczą konieczną, abyśmy zajęli Herat w celu opanowania drogi do Meszedu". Z wiosną wojska rosyjskie posuwały się ku Heratowi. Wybuch wojny dwóch potęg azyatyckich zdawał się nieunikniony. W tym czasie powstał niniejszy artykuł.

Spór angielsko-rosyjski o Afganistan zwykle uważanym bywa jako spór mocarstwa zaborczego, mającego na swe zawołanie niezliczone zastępy bojowe i posuwającego się naprzód z niezłomną wytrwałością do dawno wytkniętego celu, — z narodem pokojowym i kupieckim, zgnuśniałym przez długą pomyślność, i bardziej dbającym o chwilowy, handlowy zysk, aniżeli o zachowanie swojego wpływu politycznego. Takie zapatrywanie nie jest zupełnie trafne, i jest niesprawiedliwe zarówno dla Rosyi, jak i dla Anglii.

Z jednej strony i Rosya jest w Azyi czemś więcej jak tylko mocarstwem zaborczem. W ślad za pikietami kozackiemi posuwa się kolonizacya rolnicza, która utrwala zdobycze, podczas gdy stosunki handlowo-przemysłowe pogranicza azyatycko-europejskiego przetwarzają się z amerykańską prawie szybkością, tak, że górnictwo złota na Uralu, lub górnictwo naftowe na Kaukazie w kilku latach zdobyło sobie znaczenie światowe. Z drugiej strony przedstawienie Anglii jako państwa pokojowego, dbającego tylko o zysk kupiecki, okazuje dziwną nieznajomość charakteru narodowego angielskiego i nawet najnowszej historyi.

Zapomina się, że to olbrzymie państwo kolonialne, nad którem słońce nie zachodzi, jest prawie w całości utworem jednego wieku. Jeszcze w roku 1776, po podpisaniu traktatu wersalskiego, w którym niepodległość dawnych kolonii angielskich w północnej Ameryce uznaną została, — to państwo kolonialne angielskie ledwie istniało w zawiązku. Jedyne kolonie zyskowne to były wyspy Jamaika i Barbados w Indyach zachodnich z plantacyami cukrowemi i kawowemi. Kanada, teraz tak kwitnąca, dopiero w roku 1763 na Francuzach zdobytą została i zawierała co najwięcej 60.000 europejskich, głównie francuskich mieszkańców, tak mało zaś zapowiadała teraźniejszą świetność, że Voltaire sądził, iż wojna prowadzona jest o kilka sążni lodów i śniegów, — tak jak dzisiaj inżynier Lessar przedstawia cały zatarg w Afganistanie jako spór o kilka kilometrów piasku i pustyni. Przylądek Dobrej Nadziei i Ceylon jeszcze były w ręku Holendrów. W Australii dopiero w r. 1788 założono pierwszą kolonię karną dla deportacyi złoczyńców, nie przeczuwając, że to będzie początkiem całego szeregu nowych społeczeństw. W Indyach zaś do r. 1757, osady, czyli właściwie kantory angielskie Bombay, Madras i Kalkuta, miały wyłącznie cechę drobnych osad kupieckich, tak jak naprzykład teraz osady portowe Hong-kong i Shanghai w Chinach, i służyły tylko do pośredniczenia w stosunkach handlowych, bez żadnych ambicyi politycznych. Dopiero po r. 1757, zagarnąwszy Bengalię, stworzyli Anglicy armię angielsko-indyjską, za pomocą której przemogli Francuzów, dobijających się razem z nimi o panowanie nad Indyami, i wznieśli na gruzach potęgi Mogułów i Maratów cesarstwo angielsko-indyjskie. Już na początku tego wieku, ledwo że z Tippo Saibem zginął ostatni sprzymierzeniec Francuzów i znikła obawa zaczepki francuskiej, — po raz pierwszy Anglicy zwracają uwagę na niebezpieczeństwo grożące z północy i od czasu markiza Wolseleya, gubernatora Indyi na początku tego wieku, który po raz pierwszy wskazał to niebezpieczeństwo, — na miejscu dawnej walki francusko-angielskiej nastaje walka rosyjsko-angielska o wpływ w Azyi środkowej i w Indyach.

Czytelnikom „Historyi Powstania Polskiego z roku 1831“ Mochnackiego, znanym będzie ciekawy dokument tamże przytoczony, który jest niejako programem postępowania rosyjskiego do owej chwili. Jest to plan skreślony ręką Napoleona I. na

zawojowanie Indyi przez siłę połączoną rosyjsko-francuską. Punktem wyjścia jest Astrachań, dalej następuje przeprawa przez morze Kaspijskie do Astrabadu, a potem przez Meszed do Heratu i z Heratu na Kandahar i Kabul do Indyi.

Indye wogóle miały szczególniejszy urok dla Napoleona. Jego wyobraźni południowo klasycznej pochód do Indyi przedstawiał się jako najwyższe urzeczywistnienie legendy bohaterskiej, jako szczyt potęgi i sławy i dobicie się do szeregu tych bogów i półbogów: Dionyzusa, Semiramidy, Aleksandra Wielkiego, których wyprawy do Indyi olśniły wyobraźnię ludów klasycznych i wschodnich. Tak samo, jak rycerską wyobraźnię chrześcijaństwa średniowiecznego ogarnęła idea zdobycia Ziemi Świętej. — Już podczas wyprawy egipskiej młody wtenczas Bonaparte wyprawił się do Syryi z metą dalszą w Indyach, i do końca życia nie mógł odżałować, że obrona angielskiej warowni St. Jeanne d'Arc wstrzymała jego pochód. Jednakowoż zbliżenie się Rosyi do Francyi za Pawła i Aleksandra nastręczało nowe drogi i nowe środki do urzeczywistnienia dawnych marzeń. A najlepszym dowodem jak gruntowne były studya wojskowe nad zamierzoną ekspedycyą jest to, że drogą wtenczas wskazaną posuwają się teraz wojska rosyjskie do Indyi, z tą różnicą, że oprócz Astrachania Rosya posiada jeszcze drugi punkt wyjścia to jest Baku na Kaukazie, i że dalsze etapy nie idą przez terytoryum perskie Astrabad i Meszed, ale na linii równoległej: Krasnowódzk — Saraks, przez terytoryum turkmeńskie; ale z pominięciem tych drobnych różnic, strategia rosyjska kieruje się do tego czasu planem skreślonym przez Napoleona przed 80 laty.

Anglicy w Indyach wówczas może nie znali tego planu, ale przez cały pierwszy dziesiątek lat tego wieku widmo aliansu francusko rosyjskiego i zaczepki lądowej na Indye, utrzymywane przez wieści o ajentach francuskich i rosyjskich w Persyi i Azyi środkowej, nie przestawało straszyć Anglików, i dopiero wojna Napoleona przeciwko Rosyi w r. 1812 na długo te obawy uśmierzyła. W czasie tych pierwszych obaw po raz pierwszy występują też na widownię polityki europejskiej dwa państwa, przez które droga do Indyi prowadzi t. j. Persya i Afganistan, i już markiz Wolseley w r. 1800 przemyśliwa, jakby je pozyskać dla polityki angielskiej. Od tego czasu więc datują

się początki teraźniejszych stosunków w Azyi środkowej, i na ocenienie tak polityki narodowej, jako i zasobów wojskowych Anglii i Rosyi w zapasach o Indye, nie wystarcza historya ostatnich lat kilkunastu, ale należy porównać stan teraźniejszy ze stanem na początku tego wieku.

Porównanie takie pokazuje, że wbrew zwyczajnemu mniemaniu wpływ rosyjski aż do ostatnich lat stosunkowo powoli się rozwijał, podczas gdy Anglia zrobiła od owego czasu olbrzymie postępy, tak w utwierdzeniu swego panowania w samych Indyach, jakoteż w obronie granic swoich indyjskich od północnego zachodu.

Rosya, która Astrachań zajęła już w r. 1634, i już za Piotra Wielkiego, pokonawszy Persyę, uzyskała w roku 1724 prawo traktatowe na prowincye perskie Gilan Maranderan i Astrabad, położone na południowym brzegu morza Kaspijskiego — dotychczas nie rości sobie pretensyi z mocy postanowień dotąd nie cofniętych tego traktatu. Dopiero w r. 1812 zajmuje Kaukaz i w r. 1828 Eriwań i północną Armenię. W r. 1840 następuje pierwsza nieszczęśliwa wyprawa do Chiwy. W latach 1865—1876 następują podboje w Azyi środkowej: Tankendu, Samarkandu, Chiwy, Kokandu, nie leżących na prostej drodze do Indyi, i co najwięcej zabezpieczających tyły i flanki armii, maszerującej do Indyi. Dopiero w ostatnich latach zajmuje Krasnowódzk na południowo-wschodnim wybrzeżu morza Kaspijskiego — a zajęciem Merwu i Seraksu posuwa linię rosyjską aż do bram Heratu. — Oprócz znaczenia strategicznego, wszystkie dotychczasowe zdobycze Rosyi w Azyi przedstawiają się jako nabytki bardzo miernej wartości. Rzadkie oazy, rozdzielone ogromnemi pustyniami, zamieszkałe przez jakie 6 milionów ludności w znacznej części koczowniczej — ani na chwilę nie mogą się porównać z kwitnącymi i ludnymi krajami, zagarniętymi od początku tego wieku przez Anglików w Indyach.

Anglia złamała potęgę Maratów w r. 1803 w bitwie pod Assaye. W dwa lata później lord Lake zdobywa dawną stolicę Mogułów Dehli i Agra i zagarnia całe nadrzecze górnego Gangesu, które odtąd już w całej swojej długości jest pod panowaniem angielskiem. Nowo zdobyty kraj stanowi teraz prowincyę z przeszło 30 milionową ludnością i od niepamiętnych wieków był prawie nieprzerwanie siedliskiem władców wszech

Indyi, i dopiero od zajęcia tych krajów przez Anglię — ta ostatnia, w mniemaniu ludów indyjskich została spadkobierczynią dawnego Cesarstwa Mogułów. Jakoteż wkrótce miała Anglia rozszerzyć tę władzę dalej, aniżeli kiedykolwiek sięgała potęga Mogułów. W r. 1819 całe wybrzeże zachodnio indyjskie, stanowiące prowincyę Bombay, teraz z 15 milionami ludności wcielone zostało do posiadłości angielskich. W r. 1828 następuje podbój Birmanii angielskiej, w r. 1846 całego Pedżabu, czyli górnego porzecza Indusu, kraju teraz 18 milionowego, w r. 1854 Nagpura, w r. 1856 Aodyi z ludnością 12 milionową. Aneksyą Aodyi posiadłości angielskie ostatecznie zaokrąglone zostały do teraźniejszych rozmiarów. Od początku więc tego wieku Anglia zdobyła prowincye, teraz zamieszkałe przez przeszło 90 milionów ludności, a oprócz tego uzyskała wpływ przeważny na państewka i księstwa udzielne w środkowych Indyach i Radżputan, z ludnością przynajmniej 30 milionów.

Ale i poza Indyami Anglia ciągle występuje zaczepnie w obronie Indyi, czego dowodem dwie wojny z Persyą (1837 c 1858), dwie wojny z Chinami (1840 i 1858), dwie wojny z Afganistanem (1840 i 1878), uzyskanie protektoratu nad Beludżistanem (w r. 1854), zagarnięcie przynajmniej trzeciej części Afganistanu (w r. 1878), wojna Abisyńska (w r. 1868), podjęta li tylko dla utrzymania „prestige“ angielskiego u ludów wschodnich, jak też ostatnia wojna egipsko-sudańska, podjęta dla ochrony komunikacyi angielskich z Indyami przez kanał Sueski. Równocześnie obrona granicy północno-zachodniej ogromnie ułatwioną została. Zamiast dawniejszej podstawy wojskowej w Kalkucie i Bombay, która lada rozruchem wewnętrznym od teatru wojny odciętą być mogła, mają Anglicy port Karaczi nad rzeką Indus i koleją wzdłuż tej rzeki komunikacyę wprost z wojskami, stojącemi przy wąwozach, prowadzących z Indyi do Afganistanu, komunikacyę całkiem ubezpieczoną w razie zaburzeń wewnętrznych i dozwalającą na odcięcie siły zaczepnej z zachodu od sprzymierzeńców w Indyach.

Postęp Anglii w Indyach od r. 1800 jest to taki obraz polityki tryumfującco zaborczej, jaką świat rzadko w równym czasie dokonaną widział. A co szczególne, że prawie przez cały ten czas rząd w Anglii miał intencye pokojowe, i z największą niechęcią przyjmował zdobycze, nastręczające się same, co parę lat — i każdą wojnę przedsiębraną w obronie tych

zdobyczy uważał za nieszczęście narodowe. Nic to jednakowoż nie pomogło. Angielska Kompania Indyjska i rząd angielski zawsze nakazywały wstrzymywanie się od zaczepek, polecały regularne ściąganie podatków i oszczędność w wydatkach, karciły i odwoływały energicznych generałów, bo tak nakazywała rachuba kupiecka i tego wymagały stosunki wewnętrzne partyi politycznych w Anglii, a pomimo tego z każdym rokiem granica posuwała się dalej. Wbrew polityce oficyalnej, wbrew wszelkiej rachubie, każdy gubernator, każdy oficer, każdy kupiec angielski prowadził na swoją rękę politykę zaczepną i powodował się raczej instyktem zaborczym, leżącym w duchu szczepu anglo-saskiego, aniżeli instrukcyami, otrzymanemi z Londynu. W tem leży tajemnica tej na pozór niepojętej i sprzecznej polityki angielskiej. Rząd angielski jest zawsze nieradny, nieprzygotowany i wahający się. Nie ma tu dynastyi powodującej się od wieków polityką tradycyonalną, jak Prusy i Rosya legendowym testamentem Fryderyka Wielkiego i Piotra Wielkiego. Ale naród zawsze był zaborczym, zaczepnym i wojennym, chociaż nie cierpiącym militaryzmu.

W Anglii, która sama częściej aniżeli jakikolwiek inny kraj europejski najeżdżaną bywała, wyrobiła się rasa, która jest jakoby streszczeniem i kwintesencyą wszystkich tych ras zaborczych, których sama Anglia stawała się ofiarą, zdaje się jakoby każdy ze szczepów, z których połączenia wyrobił się naród angielski: Keltów, Rzymian, Sasów, Duńczyków, Normanów i Francuzów, dołączył swój zapas energii i inicyatywy do charakteru narodowego i stworzył ten niezrównany typ przedsiębiorczości, odwagi i wytrwałości, który teraz podziwiamy w rasie angielskiej. Jakakolwiek jest polityka rządu, każdy Anglik z osobna czuje się panem przyrody i ras niższych, śmiało staje do walki z naturą i światem: pracą, wynalazkami i przemysłem ujarzmiając naturę ku swoim celom — a kolonizacyą i zdobyczą utrwalając panowanie rasy angielskiej nad większą częścią świata.

Ten sam charakter odbija się i w odłamie republikańskim szczepu angielskiego. Zbiorowa polityka Stanów Zjednoczonych amerykańskiej unii jest jeszcze bardziej pokojową, niż angielska, ale Amerykanin, może jeszcze w wyższym stopniu niż Anglik, posiada to harde zaufanie we własne siły i nieugięte postanowienie przełamania każdej przeciwności. To też, pomimo pokojowego usposobienia rządu, Stany Zjednoczone od r. 1800 zagar-

nęły Louisiane od Francuzów, Floridę od Hiszpanów, a Stany rokujące największe nadzieje na przyszłość, jak Texas lub Kalifornię, od Mexyku.

Można wogóle powiedzieć, że najwybitniejszym faktem ostatnich stu lat jest bezprzykładne rozprzestrzenienie się i rozmnożenie rasy angielskiej, jeszcze przed dwustu laty zaledwie liczniejszej od holenderskiej, lub skandynawskiej, a bez porównania mniej licznej od polskiej. Jeszcze przed stu laty Anglia razem ze Stanami Zjndnoczonemi i wszystkiemi koloniami zaledwie liczyła 15 milionów ludności — tyle co dawna Polska — podczas gdy Francya wówczas liczyła 25 milionów a Niemcy 30 milionów. Od tego czasu rasa francuska powiększyła się do 38 milionów, niemiecka do 50 mil., a angielska do 100 milionów. A rownocześnie Anglosasi zajęli prawie wszystkie obszary stref umiarkowanych, przydatne do kolonizacyi w Ameryce, Australii i Afryce, zapewniając sobie tam na przyszłość stanowisko szczepu uniwersalnego, ogarniającego swem panowaniem cały krąg kuli ziemskiej. W tych stu latach niezrównanie szybkiego rozwoju potęgi anglo-saskiej, szczep ten właściwie nie miał współzawodników. Francya, która dawniej z nim walczyła na całym świecie, stała się narodem zaściankowym, chłopsko episyerskim.

Obecna więc chwila, w której po raz pierwszy od stu lat ten pochód nieprzerwany rasy angielskiej do panowania nad światem powstrzymany został przez Niemcy i Rosyę, podczas gdy równocześnie Francya i Włochy na nowo się przebudzają do polityki kolonialnej — jest zwrotem krytycznym w dziejach świata. Nie będzie to walka Rosyi z ministerstwem Gladstona lub Salisburego, bo cały naród angielski świadomy jest ważności obecnej chwili. Taksamo jak zdobycze ostatnich stu lat były owocem wrodzonej energii zaczepnej rasy angielskiej, a nie polityki systematycznej rządu angielskiego, tak i ten niezłamany dotąd charakter narodowy angielski jest ważniejszym czynnikiem od statystyki militarnej; i jakiekolwiek mogą być wyniki pierwszych kroków wojennych spodziewanej walki, Anglia w walce z Rosyą może złożyć nowy dowód tej samej niezwyciężonej wytrwałości, którą tak dobitnie okazała w 25-cioletniej walce z Francyą i Napoleonem.

Z drugiej strony i Rosya popychana jest do walki nieprzepartą koniecznością historyczną i tradycyjnym instynktem całego narodu. — Tak jak Anglia streściła instynkta zaborcze

Keltów, Rzymian, Sasów i Normanów — tak Rosya postępuje tylko w duchu dawnych Waregów, Kozaków i Mongołów, których panowanie odziedziczyła. Tak samo jak pionier amerykański zawsze posuwa się naprzód, nie pytając się o politykę rządu Anglii lub Stanów Zjednoczonych — tak samo Kozak zajmował kraje, o których się rządowi rosyjskiemu ani śniło — i zatargami granicznymi sprowadzał wojny, które często rządowi były nie na rękę.

Wojna więc, gdy nadejdzie, to nie będzie zwyczajna wojna polityczna rządów i armii. Będzie to ostatni akt wielkiego dramatu historycznego, na który się wieki składały; będzie to starcie się dwóch największych potęg zaborczych świata, i walka o panowanie nad całą Azyą, walka poruszająca do głębi masy narodowe dwóch najliczniejszych szczepów, wzbudzająca w każdym z nich nieobliczalne czynniki zapału i bohaterskości, bo każdy poczuje, że nastała chwila decydująca w ich powołaniu historycznem.

Co do nas Polaków, to możemy się dość spokojnie na tę walkę zapatrywać, jakkolwiek skutki jej nas głęboko dotknąć muszą. Nie możemy mieć szczególnych sympatyi narodowych do żadnej ze stron. Pamiętamy z jednej strony za żywo rozbiór kraju i ucisk rosyjski, — z drugiej strony widzimy Irlandyę i nie zapominamy, że pomimo słownej sympatyi, w każdej chwili, w której się ważyły losy narodu naszego, czy to w roku 1792, czy 1831, czy 1856 i 1863, wpływ Anglii był użyty przeciwko nam. — W tym duchu więc całkiem objektywnym należy nam śledzić cechy panowania angielskiego w Indyach, jako też wpływ posuwającej się Rosyi w Azyi, dla zrozumienia wypadków tam się odgrywających.

O KONSTYTUCYI TRZECIEGO MAJA

(ODCZYT W STULETNIĄ ROCZNICĘ).

Mówiąc o Konstytucyi Trzeciego Maja nie będę przedstawiał faktów ogólnie znanych z historyi, ale raczej, z wielu spraw z tym wypadkiem dziejowym związanych, podniosę te, które jeszcze dziś zastosować się dadzą; na te objawy szczególny nacisk położę, których poznanie pozwoli nam dla doby obecnej i obecnych stosunków wysnuć pewne realne wskazania.

Pierwszą sprawą, żądającą rozwiązania, jest pytanie, jakie przyczyny sprawiły, że Konstytucya, która uratowała nas moralnie i na długie lata życiu narodowemu dała podstawę i drogę wytknęła, nie zdołała jednak osiągnąć tego celu, do którego bezpośrednio zmierzano — nie zdołała uratować niepodległosci? Przyczyn ostatecznego niepowodzenia już w dalekiej przeszłosci szukać należy. Zarodki rozkładu, które uniemożliwiły u schyłku XVIII w. szybkie przeobrażenie społeczeństwa polskiego, spostrzegali już w wieku XVI, wśród największego rozkwitu złotych czasów, statyści polscy, ludzie obdarzeni niezwykłą przenikliwością wejrzenia w przyszłość. Przestrzega przed zgubą Piotr Skarga, Orzechowski, Łukasz Górnicki. Modrzewski pisze dzieło „O Naprawie Rzeczypospolitej“. Wszyscy oni odczuwają brak silnych aspiracyi państwowych w narodzie polskim.

Zbyteczna wspaniałomyślność, a raczej brak zupełny poczucia politycznego u naszego króla Zygmunta I dozwolił, aby się utworzył zawiązek państwa pruskiego. Sam ten król, wbrew najistotniejszym interesom polskim, dopomógł, aby pruski organizm państwowy odciął Rzeczpospolitą od Bałtyku i uniemożliwił jej rozwój handlowy i ekonomiczny w ogóle. Dalej, za Żółkiewskiego i carów Szujskich była chwila sposobna do połącze-

nia Polski i Rosyi pod berłem Władysława IV, opanowania przez Polaków barbarzyńskiego żywiołu sąsiedzkiego i wniesienia tam cywilizacyi europejskiej i polskich wolności. Ale znów brakiem poczucia politycznego króla Zygmunta III zmarnowaną została ta świetna okazya. Naród przestał dążyć, a stanąwszy w mierze, kiedy inni szli naprzód, naprawdę cofać się i upadać począł. Ale jeszcze w czasach późniejszych, już w czasie zachwianej potęgi państwowej w XVII w. polskie husarskie i pancerne horągwie wybawiają Wiedeń, ratują Europę przed zalewem Azyatów.

Na czem więc polegał wpływ, na czem polegała potęga tego państwa bez organizacyi państwowej w znaczeniu europejskiem, bez stałej armii, z bardzo niedostatecznem tylko wojskiem kwarcianem, z pustkami w skarbie. Polegała ona na tej czysto polskiej podstawie: na dobrej woli jednostki, na obywatelach, którzy dobrowolnie, z własnego poczucia obowiązku zaspakajali potrzeby publiczne. Więc na cnotach tych obywateli jakby na czterech filarach, któremi były męstwo, rozum, cnota i praca, opierał się gmach Rzeczypospolitej. W życiu publicznem ówczesnej Polski brała udział tylko szlachta — te więc cechy starożytnej szlachty polskiej: rozum, męstwo, cnota i praca dawały potęgę państwu polskiemu w XVI i początkach XVII wieku.

Ale wiek XVIII od wstąpienia na tron dynastyi Sasów jest okresem upadku wszystkich tych podstaw — u nas jedynych — już nie tylko potęgi, ale i istnienia niepodległego państwa. Samo hasło: „za króla Sasa, jedz, pij i popuszczaj pasa“, wykazuje całą czczość i pustkę moralną w duszach współczesnych. Dworacy królewscy i sam król dawali przykład rozpusty i sprzedajności, — gdzież wtedy w warstwach stanowiących i rządzących szukać było cnoty?

Drugie hasło „Polska nierządem stoi“, ujmujące w system naszą słabość i niedołęstwo, pokazuje upadek rozumu, a nawet najprostszego instynktu samozachowawczego. Zaprzeczenie, wyparcie się wszelkich dążności i aspiracyi odbiło się przedewszystkiem widocznie na literaturze ówczesnej. To też gdy w wieku XVI mieliśmy Kochanowskiego, który dotąd jest żyjącym poetą, to epoka saska nie wydała nic, coby warte było przetrwać. — Wtedy usunęliśmy się zupełnie od współzawodnictwa ze światową wiedzą i cywilizacyą.

Męstwo tej epoki illustruje się takim obrazkiem, jak oblężenie króla Leszczyńskiego w Gdańsku, gdzie ze strony szlachty polskiej nie było żadnego czynu bohaterskiego. Zawstydzili nas wtedy męstwem niemieccy Gdańszczanie. Sam król Leszczyński, tak światły, że późniejszy dwór jego w Nancy był ogniskiem nowych prądów umysłowych, tak dobry, że we Francyi żyje dotąd wspomnienie „du bon roi Stanislas“, w chwilach wielkich i ciężkich krzyżem leżał i modlił się, a nie umiał powstać i natchnąć narodu męstwem. Jemu także nie było danem podnieść się do bohaterstwa. Mógł był wcześniejszy sprowadzić ratunek niż Konstytucya Trzeciego Maja — i sił mu zbrakło.

O pracy zaś za generacyi saskiej to już i mówić co niema.

Wśród tego upadku i poniżenia, wśród ciągłych przemarszów wojsk rosyjskich przez ziemie polskie, wybierania rekruta i furażu z prowincyi pogranicznych, — zaczyna się budzić sumienie w społeczeństwie. Stanisław Konarski jest pierwszym wyrazem tego budzącego się sumienia narodowego. Istotę jego ducha charakteryzuje najlepiej motto, które wypisał na początku dzieł swoich: „sapere aude“. To dosłownie tłómaczy się: „miej odwagę być mądrym“. Ale najlepiej oddaje myśl Konarskiego tłómaczenie Tadeusza Czackiego: „Miej odwagę poznać prawdę i powiedzieć prawdę“. Takie też znaczenie tego hasła najbardziej się w Polsce przyjęło. Otóż Stanisław Konarski pierwszy miał odwagę poznać prawdę i powiedzieć narodowi prawdę. Jego szlakiem i za jego przykładem poszli inni.

* *
*

Trzeba sobie uprzytomnić, że Polska była krajem wolnym, rządzonym przez posłów wybieranych na sejmikach, że więc każdej chwili trzeba się było liczyć nie tylko ze sumieniem własnem, ale także z opinią tego tłumu wyborczego. Wtedy dopiero ocenimy postęp umysłowy, dokonany w tych pięćdziesięciu latach pomiędzy pierwszem kollegium Pijarów a Konstytucyą. Nie był to postęp kilku jednostek światłych, które mogły podróżować za granicę, które się mogły kształcić gdzieindziej — ale przetworzenie się przeciętnej opinii narodowej. Narodem

wprawdzie wtenczas nie był cały naród, nie były wszystkie jego stany — narodem była tylko szlachta. Ale żadne porównanie szlachty polskiej z europejską nie da się przeprowadzić. To nie była tylko kasta wyłącznie uprzywilejowana, z nielicznych składająca się rodzin, dla których zarezerwowane były dochody i przywileje na obsadzanie wszystkich głównych urzędów — to był liczny lud, który sam znowu zawierał w sobie najrozmaitsze pierwiastki. Składał się on ze szlachty wyższej, t. j. magnatów, średniej szlachty i z bardzo licznego gminu szlacheckiego.

Charakter ustroju Polski przedrozbiorowej objaśnia się liczbą powołanej do udziału w sprawach publicznych szlachty, która, jak statystycy obecni obliczają, wynosiła przeszło milion głów. Ten milion przy ogólnej ludności 14-tu do 15-tu milionów nie mógł przedstawiać wyłącznie uprzywilejowanej kasty, powołanej do najwyższych godności i zaszczytów — na to było ich za wiele.

Wszak milion ludności przedstawia mężczyzn powołanych do służby wojskowej, a zatem wyborców i wybieralnych przeszło 250.000. Jest to cyfra olbrzymia na ówczesne stosunki.

Porównywując tę cyfrę z cyfrą wyborców we Francyi jeszcze przed 50 laty, za panowania króla Ludwika Filipa, kiedy w narodzie trzydziestokilko milionowym nie było więcej, niż 150.000 wyborców — widzimy, że prawo polityczne w Polsce starej (nie tej nowszej z XVIII w.) było udziałem daleko szerszych warstw, niż prawo polityczne w ucywilizowanej Francyi przed 50 laty. Co więcej, proszę dziś jeszcze zaglądnąć do list wyborczych miasta Wiednia. Na ludność 1,300.000 — przed miesiącem właśnie głosowało 60.000 t. j. 5 procent *). Więc dziś w tej nowożytnej monarchii austryackiej (nie mówiąc o Galicyi, gdzie ilość wyborców jest większą) liczba ludzi mających prawo polityczne, jest mniejszą aniżeli w Polsce szlacheckiej.

Znajdujemy również w ustroju Polski wszystkie stany. Bo czemże była ta szlachta czynszowa, zagrodowa, jak nie tem, czem w innych społeczeństwach był niezależny stan włościański, posiadający własną ziemię. Dlatego też w tej dawnej Polsce był pewien element ludowy, był pewien taki ferment postępu, który

*) Cyfry te odnoszą się do stanu przed zaprowadzeniem kuryi ogólnej (V-tej) z powszechnem prawem głosowania.

zawsze występuje tam, gdzie liczne warstwy są powołane do wykonywania praw politycznych. To stało się przyczyną sprawiającą, że później, po zrównaniu stanów, właśnie ta warstwa była tak ważnym czynnikiem w całej naszej historyi odrodzenia narodowego, dla której ten biedny lud szlachecki dostarczył tylu świetnych imion w życiu i literaturze. Ale niemniej w wieku XVIII zależność naszych sejmów i całego naszego ciała politycznego od tłumu niewykształconych wyborców szlacheckich była głównym powodem, dla którego nowe myśli tak powoli mogły się rozprzestrzeniać.

Nie znaczy to jednak, żeby tutaj naród polski okazał jakąś szczególną nieudolność do przejmowania się nowemi myślami — przeciwnie, kto zna życie polityczne wielkich narodów np. angielskiego, albo Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki, ten podziwiać będzie, jak nadzwyczaj prędko utorowały sobie drogę w Polsce przekonania wręcz przeciwne zabobonom i przesądom ogólnym. Gdybyśmy pomiędzy naszymi teraźniejszymi historykami mieli więcej polityków praktycznych, więcej ludzi znających z własnego doświadczenia mechanizm polityczny wielkich narodów, to zamiast utyskiwać na powolny postęp opinii publicznej w Polsce, dziwiliby się, że tak prędko dokonano tak głębokiego przewrotu w tej opinii publicznej.

Weźmy np. Anglię. Jest, zdaje mi się, z milion patryotycznych Anglików, którzy wiedzą, że cała potęga Anglii może runąć, jeśli nie będzie zaprowadzona powszechna służba wojskowa, że obecnie Anglia do obrony własnej posiada niezupełnie wystarczającą liczbę wojska, tak jak Polska w XVIII w. Od pewnego czasu głosy te coraz częściej pojawiają się w literaturze. Sam znam wielu Anglików, którzy mają to przekonanie — ale jeszcze dotychczas żaden człowiek polityczny nie odważył się tego powiedzieć na zgromadzeniu wyborczem — rozniesionoby go natychmiast. Przekonanie, że stała armia sprzeciwia się wolności kraju, jest jednym z tych przesądów, które głęboko utkwiły w narodzie angielskim.

Wiemy, że niepodległość Polski rozbiła się na tym przesądzie. Ale jeśli go Polacy wyznawali, jeśli historycy utyskują nad tem i gromią go surowo, to pamiętać winni, że wielki i światły lud angielski dziś jeszcze jest pod panowaniem tego samego przesądu i że panowanie jego rozciąga się jeszcze na połowie kuli ziemskiej. Jeżeli skutki tego przekonania nie były

tam tak smutne, jak w Polsce, to dlatego, że korzystne warunki położyły Anglię na morzu, że sąsiadów nie miała takich jak my, dybiących na naszą niepodległość.

To samo odnieśćby należało do wielu innych punktów, w których konieczną była reforma społeczeństwa polskiego. Zapatrywania polskiego ogółu szlacheckiego były nadzwyczaj podobne do wielu zapatrywań dziś jeszcze panujących w krajach wolnych. Weźmy n. p. „liberum veto" — to prawo, gdzie jeden człowiek miał moc wstrzymania woli jednomyślnej całego narodu. A jednak w innych krajach wolnych widzimy poniekąd objawy tego samego usposobienia. Wszak dzisiaj jeszcze w Anglii sąd przysięgłych musi być jednomyślny: jeden sędzia nawet może udaremnić wyrok większości. Podobnie w Stanach Zjednoczonych Ameryki podczas wojny o niepodległość, kongres zwołany w celu obrony narodowej obradował i dyskutował na zgromadzeniach tajnych, toczyły się walki najrozmaitszych stronnictw i osobistości, uchwały przechodziły często tylko kilku głosami większości — ale ten sam kongres na zgromadzeniach publicznych, występując przed narodem aby mu dodać otuchy do walki, to wszystko, co na zgromadzeniach tajnych było uchwalone małą większością, podawał jako uchwałę jednomyślną, w przekonaniu, że jedynie jednomyślna uchwała jest odpowiednią i zastosowaną do ważności chwili.

Wszakże Sejm Czteroletni przy samym początku w r. 1788 zawiązał się w konfederacyę, to znaczy, że uchylił liberum veto, prawo jednostki wstrzymania w biegu uchwały całego sejmu, i zaprowadził prawo konfederacyi, według którego uchwalało się większością głosów. — A jednakowoż historya Sejmu Czteroletniego pokazuje, że niejednokrotnie, kwestye poruszane, dyskutowane namiętnie w mowach, wypowiadanych z jednej i z drugiej strony, a nawet usuwane chwilowo z porządku dziennego — wypływały później na wierzch w sposób najmniej spodziewany, jako uchwały jednomyślne. I jeżeli glębiej wniknąwszy w istotę, porównamy uchwały przeprowadzone większością, z temi, które przyjęto jednomyślnie, to okaże się, że wszystkie najważniejsze uchwały były przeprowadzone jednomyślnością. Wystąpił tu pierwiastek w narodzie, wyższy od wszelkiej dyskusyi, od wszelkiego rozumowania t. j. instynkt potrzeby chwili, to przedstawienie sobie, czego Ojczyzna wymaga do ostatecznego wyratowania.

Mickiewicz, który często o wiele głębiej rozumiał ducha narodowego polskiego od wielu historyków, w swoich prelekcyach o literaturze słowiańskiej jednomyślność tłómaczy przekonaniem, że naród w każdej ważnej chwili, jak n. p. elekcya króla, przystępował do stanowienia o sprawie z pewnem skupieniem ducha, z poczuciem odpowiedzialności za wynik uchwały, i w głębokiem przekonaniu, że jeżeli wytworzy w sobie należyte skupienie, wtenczas ta uchwała odbywa się za natchnieniem Ducha świętego, że *jednomyślność jest właśnie cechą i rękojmą nieomylności*, jedynie odpowiadającą potrzebie narodu.

Widzimy więc, że, zapatrując się na ówczesne stosunki z doświadczenia innych narodów wolnych, nietylko nie można potępić generacyi, która stworzyła Konstytucyę Trzeciego Maja, za jakąś powolność i wzdryganie się przed zreformowaniem — ale przeciwnie można przyjść do przeświadczenia, że historya żadnego innego wolnego narodu nie okazuje w tak krótkim czasie tak wielkiego przewrotu w opinii publicznej. Jakiego rodzaju to był przewrót, dowodzi fakt, że ta literatura, która od Stanisława Konarskiego wzięła sobie za motto: *dochodzić do prawdy i opowiadać prawdę*, przy każdej sposobności wypowiadała zdania wręcz przeciwne od ustalonej i ogólnej opinii narodowej, że zatem *nie mogła być udziałem tej literatury ta znikoma popularność, która się opiera na schlebianiu przesądom pospólstwa*. Tutaj przeciwnie, cała ta wielka nasza literatura reformy apelowała tylko do sumienia, do poświęcenia i do ofiarności warstw obywatelskich, mówiła im prawdy nieprzyjemne, prawdy, za które niedawno przedtem kamienowano ludzi, a jednakowoż ta literatura, płynąca wbrew przesądom, wbrew opiniom narodowym — w przeciągu 50 lat zdołała nawrócić ten naród do tych prawd nieprzyjemnych.

Ale możnaby powiedzieć, że przecież całe nasze ówczesne życie umysłowe było tylko odblaskiem myśli zagranicznych. I po części jest to prawdą. I Stanisław Konarski, i późniejsza Komisya Edukacyjna, i wszyscy nasi wielcy pisarze, którzy przygotowali Konstytucyę Trzeciego Maja: Stanisław Staszic, Hugo Kołłątaj, Ignacy Potocki — oni wszyscy znali współczesny świat umysłowy europejski, oni posiłkowali się wszystkiemi jego ideami i zapatrywaniami, ale jakiekolwiek dokładniejsze studyum prze-

konywa, że oni korzystali z tych skarbów wiedzy ogólno-europejskiej w sposób czysto narodowy, zupełnie oryginalny i dlatego też ta wielka rewolucya polityczna, która się u nas zakończyła Konstytucyą Trzeciego Maja, w każdym punkcie jest odmienną od tego, co się odbywało we Francyi, a co się zakończyło Wielką Rewolucyą.

Z Francyi wtenczas dwa prądy nowych wyobrażeń i nowych myśli wpłynęły do Europy. Jeden Voltaire'a, prąd filozofii t. zw. „oświecenia", niedowiarstwa, liczący się tylko z rozumem, a uginający się przed potęgą i przed siłą. Było to oświecenie rządów absolutnych i cała ta szkoła Voltaire'a na klęczkach leżała przed Fryderykiem Wielkim — uwielbiała Katarzynę II. Te prądy dostały się do nas, i zobaczymy, że dopóki tylko to oświecenie wolteryańskie przyjmowało się w Polsce, dopóty szło ono w równi z zepsuciem moralnem, z zatraceniem tych sprężyn patryotyzmu i ofiarności publicznej, która przedtem panowała w Rzeczypospolitej. Idące z zachodu oświecenie umysłowe, okupywało się zapomnieniem wszelkich obowiązków i praw sumienia. Wszakże ten łotr nad łotrami, Adam Łodzia Poniński, który głównie przeprowadził na Sejmie rozbiorowym 1772 roku uchwałę albo przyzwolenie Sejmu na pierwszy rozbiór Polski, on był także człowiekiem oświeconym w duchu Voltaire'a. Mamy więc prąd jeden, który oświeca umysły, ale psuje serca; czyż w nim mógł znaleźć się ratunek w groźnem położeniu narodu? Widzimy na całym szeregu ludzi, którzy się temu prądowi ze ślepem naśladownictwem oddali, jak doszli do zepsucia, do zatraty poczucia obowiązku, do zaniku męstwa.

Był drugi prąd, od innego wielkiego filozofa francuskiego pochodzący — od Rousseau'a. Prąd ten był bardziej uczuciowy; zamiast na wykształcenie, na wolnomyślność, on główną wagę kładł na cnotę obywatelską. Od Rousseau'a na cały kontynent europejski rozprzestrzenia się ten nowy prąd literatury, który uwzględnia uczucie i który później wpłynął tak silnie na nowy rozwój wyobrażeń i religijnych i narodowych w XIX w. — cała bowiem literatura religijna i narodowa XIX w. da się odnieść do tego, co Rousseau w połowie XVIII w. napisał. I dziwna rzecz: podczas kiedy wszyscy przedstawiciele kierunku wolteryańskiego naigrawali się z Polski — sam Voltaire nazwał podział Polski dziełem geniuszu — to cała szkoła francuska, wychodząca z natchnienia Rousseau'a, nadzwyczaj się interesowała

Polską i tak do dziś pozostało. Do dziś są zwolennicy Voltaire'a, którzy wrogo są dla nas usposobieni, i przedstawiciele kierunku Rousseau'a, którzy z nami sympatyzują. Przyczyną tego zainteresowania się sprawami polskiemi u Rousseau'a była Konfederacya Barska.

W Konfederacyi Barskiej odżyło na nowo sumienie i godność narodowa. Wieloletnia przewaga Rosyi w Polsce, te ciągłe przemarsze wojska rosyjskiego przez terytorya Rzeczypospolitej, te sejmy, które się odbywały pod groźbą bagnetów rosyjskich — to nie raziło tych oświeconych, polerowanych ludzi, przynoszących swą politurę z dworu wersalskiego. Dworacy owi byli kontenci, że mieli podporę w bagnetach rosyjskich, ale to oburzało poczucie narodowe właśnie tej średniej, drobnej szlachty, która wtenczas, skonfederowawszy się w Barze, podjęła pierwszą walkę o niepodległość Polski. Wiemy, że ta walka spełzła na niczem, ograniczyła się tylko do części jednej warstwy, bo tylko część szlachty brała udział w Konfederacyi. Wiemy również, że niedoprowadzono do żadnej umiejętnej organizacyi wojska, nie wystawiono nawet jednego batalionu nowożytnego, ale na całym obszarze Rzeczypospolitej pokazały się pojedyncze przykłady ludzi bohaterskich, zabłysnęła znowu odwaga polska, i to wywarło wrażenie na umysł filozofa w Genewie. Powiedział sobie: „Naród, który mógł wydać tylu ludzi bohaterskich, walczących z przeważającemi siłami, chociaż mógł upaść w tej walce, jest narodem zasługującym na uwagę. Pod wpływem tej myśli powstała książka „Considérations sur le gouvernement en Pologne", w której daje rady Polakom, jakby poprawić stan Rzeczypospolitej.

I czy może książka ta, płynąca ze źródła tak sympatycznego, od człowieka, który podziwiał bohaterstwo konfederatów barskich, który starał się wszelkimi sposobami zachować odrębny typ narodowy polski, czy może ta książka była wskazówką, którą, przyjąwszy na ślepo, można było rzeczywiście wyratować Rzeczpospolitą. O bynajmniej! W tej książce znajduje się wiele rzeczy dobrych, mianowicie jest dla nas bardzo cenną ta część jego uwag, gdzie powiada: „Polacy, nie naśladujcie obczyzny, wykształćcie te zasoby charakteru i umysłu, które sami posiadacie, nie porzucajcie nawet stroju narodowego, w szkołach kształćcie wszystko na podstawie historyi kraju i historyi narodowej. Niech chłopiec, zanim ma lat 9, już zna wszystkie główne części Polski, niech, zanim ma lat 12, zna historyę każdego powiatu,

zanim ma lat 15, niech wie o każdym czynie bohaterskim przodków, zanim ma lat 16, niech zna prawo krajowe, które mu pozwala być obywatelem tego kraju". To są złote słowa, które dziś jeszcze można powtórzyć. — Ale gdy Rousseau przystępuje do swoich rad politycznych, gdy wskazuje, w jaki sposób mamy ułożyć naszą konstytucyę, naszą siłę zbrojną, siłę skarbową — to okazuje zupełną nieumiejętność. Nietylko broni elekcyi, ale powiada: „Polacy pamiętajcie, jeżeli raz zaprowadzicie dynastyę dziedziczną, to wasza wolność się skończy". Wreszcie utwierdza Rousseau w swych radach właśnie jeden z tych najniebezpieczniejszych zabobonów szlacheckich: broni liberum veto, tylko chce je ograniczyć do wielkich okazyi i chce tego, ktoby korzystał z prawa podniesienia swego głosu przeciw woli narodu całego, zrobić odpowiedzialnym życiem i majątkiem za swój postępek — mniej więcej tak, jak z orderem Maryi Teresy; otrzymuje się go tylko w wojnie, za wykonanie jakiegoś ruchu wojennego, który nie był nakazany: jeśli się uda to dostaniesz order, jeśli chybisz będziesz rozstrzelany. Tak i u Rousseau'a: korzystałeś z twego prawa, wstrzymałeś ruch całej Rzeczypospolitej — udało się dobrze, wtenczas zasługujesz na pomnik; nie udało się, odpowiadasz życiem i majątkiem. Ale obrona nawet w ten sposób tego fatalnego prawa narażała Rzeczpospolitą na zupełną dezorganizacyę. Również występował przeciwko wojsku stałemu. „Organizujcie" powiada „milicyę, starajcie się, aby nie było twierdzy w waszym kraju. Wasze wsie są zbudowane z drzewa; choć je nieprzyjaciel spali, za pół roku wszystko może być odbudowane i nikt wojny nie popamięta". Znów tutaj rada Rousseau'a szła na rękę i po myśli szlachty, i tak prawie w każdym istotnym punkcie, w którym należało poprawić rząd Rzeczypospolitej. Głos tego przyjaciela tem niebezpieczniejszym był dla nas, że był to przyjaciel szczery, a stał po stronie niebezpiecznej: po stronie tych, którzy nie chcieli dopuścić do reformy rządu publicznego w Polsce.

Widzimy więc, że Polacy z tych dwu wielkich prądów umysłowych nie mogli czerpać bez pracy samoistnej, bez zastanowienia się nad tem co biorą — nie mogli powodować się tylko wzorami i radami obcemi. I to stanowi w całych tych 50 latach, od pierwszego wystąpienia Konarskiego aż do Konstytucyi Trzeciego Maja, tę niesłychaną trudność przekonania opinii publicznej, co do kierunku potrzebnych reform.

Tutaj cofam się znowu do tego, co powiedziałem o uchwałach jednomyślnych: ile razy na Sejmie Czteroletnim przyszła jakaś sprawa wielkiej wagi, okazało się, że wszystkie światłe rady, w znacznej części na przykładach obcych oparte, nie wystarczały wobec sytuacyi, tylko trzeba było raz dostosować się do jednego wzoru, raz do drugiego. I tutaj instynkt narodowy, instynkt samozachowawczy był nieomylniejszy od wszystkich skoncypowanych rozumowo planów reformy. Stąd tak wiele najważniejszych reform na tym Sejmie jest właśnie rezultatem uchwał jednomyślnych.

Z tego względu trafia nas znowu inny zarzut. Ostatni historyk Sejmu Wielkiego, ks. Waleryan Kalinka, ile razy pisze o uchwałach jednomyślnych, wyraża się: „Otóż znowu Polacy zrobili coś w zapale, nie zdając sobie sprawy z tego, co chcieli zrobić; uchwalili a nie wykonali“. I rzeczywiście pomiędzy uchwałami Sejmu Czteroletniego, a pomiędzy wykonaniem jest przepaść ogromna. Przyczyny tej niedostateczności skutków szuka zwykle literatura polska w braku patryotyzmu, w braku ofiarności, w niedostatkach rządu. To jest nadzwyczaj niebezpieczna droga krytyki, bo gdyby to miało być prawdziwem, wypadałoby się zastanowić, czy od czasów Trzeciego Maja naród tak już postąpił w poczuciu obywatelskiem, że mógłby dziś podołać temu, czemu wtenczas nie podołał? Wiemy dobrze, że sytuacya narodu polskiego jest daleko trudniejszą i niebezpieczniejszą od położenia jakiegokolwiek narodu, bo wymagamy większej miary i poczucia obywatelskiego i odwagi i ofiarności, niż jakikolwiek inny naród mógłby wymagać od swoich obywateli. Jeżeli tedy w czasie Konstytucyi Trzeciego Maja, ta miara nie była dosięgniętą, czy nie nasuwa się pytanie, że może my wymagamy takiej miary, która się nieda osiągnąć, która się wznosi ponad naturę przeciętną ludzką?

Otóż chcę tu rzecz oświetlić z jednej strony i dać kilka ilustracyi, jak się to, cośmy wtenczas wykonali, przedstawia z punktu widzenia ekonomicznego. Muszę naprowadzić kilka cyfr o budżecie, o pieniądzach, bo jest to koniecznością życia państwowego, że pomiędzy chęciami, zamiarami, uchwałami — a pomiędzy dokonaniem leży budżet, leżą pieniądze, leży umiejętne zużytkowanie tych pieniędzy.

Wiemy, że Sejm Czteroletni zaczął się wielką uchwałą, po-

stanawiającą wystawić 100.000 wojska, że tego wojska nie wystawiono z braku pieniędzy. Tutaj znowu podnoszą się głosy naszych historyków, mowiące: brak ofiarności. Staszic nawet powiada: „Szlachcic krzywo przysiągł, aby nie dał podatku“. Ale pod tym względem należy oddać pewną sprawiedliwość owemu pokoleniu: Z obrad i uchwał Sejmu Czteroletniego wynika, że w swej polityce skarbowej zrzekał się on i rezygnował zupełnie ze wszelkich poborów, którymi w innych krajach obciążano całą ludność, że nie zrobił najmniejszej próby zaprowadzenia podatku solnego, który w ówczesnej Polsce, sądząc podług późniejszej Kongresówki, mógłby był wydać 30 milionów złp., tj. o wiele więcej, niż było potrzeba do zreorganizowania armii. Nie zrobił żadnej próby zaprowadzenia podatku od wódki, który już wtenczas był źródłem głównych dochodów w Rosyi. Nie zaprowadził podatku od tytoniu, albo w tak drobnej mierze, że tego nie warto nazwać dochodem, — a już wtenczas Fracya i Austrya pobierały niezliczone miliony z tego źródła. Jeszcze dalej — nie zrobiono najmniejszej próby, ażeby w Polsce na cele publiczne posługiwać się banknotami, podczas kiedy panujący w innych krajach, np. Katarzyna II w ciągu swoich rządów wydała ich za 200 milionów rubli, to jest 1.000 milionów złp. — a u nas o mniej chodziło. Więc nie przedsięwziął Sejm całego szeregu środków finansowych, dających w innych krajach olbrzymie dochody, któreby przerzucały ciężar na cały lud, a które były potrzebne do wykonania wielkich planów reformy — ale chwycił się polityki nałożenia największego ciężaru na wszystkich, którzy dotąd albo wcale nie byli opodatkowani albo bardzo mało.

Polska posiadała ogromne starostwa, znajdujące się w rękach ludzi, którzy za ich posiadanie do żadnych świadczeń nie byli obowiązani. Była to broń, za pomocą której możnowładztwo zyskiwało sobie głosy tłumów szlacheckich, frymarczono po prostu temi starostwami. Tak Repnin tylko kilka tysięcy dukatów rosyjskich zużył na przekupywanie posłów sejmowych, reszty dostarczyły mu dochody z rozdawnictwa starostw. Tak pieniędzmi polskiemi przekupywał Sejm polski. Przez cały przebieg Sejmu Czteroletniego, widzimy ciągłe staranie, ażeby z tych starostw jak największy pożytek dla narodu wyciągnąć. Już przedtem w r. 1764 Czartoryski przeprowadził nowe oszacowanie starostw, tak, że zamiast kwarty, która od dawna była miarą dochodów, Sejm zaczął pobierać dwie kwarty, tj .połowę dochodów

ze starostw — a przy końcu postanowił całą wartość starostw poświęcać na cele publiczne. W przeprowadzeniu tej reformy nie kierował się Sejm żadnem miłosierdziem: zgwałcono mnóstwo ambicyi i chciwości prywatnych i odzyskano przy końcu cały majątek dla sprawy publicznej.

Druga warstwa, która dotychczas mało była pociągana do świadczenia na rzecz sprawy publicznej tj. duchowieństwo, składające dotąd tylko *subsidium charitativum*, tj. datek z miłosierdzia, została poddana podatkowi 20% od całej rzeczywistej intraty.

Wreszcie, opodatkowując szlachtę, spodziewano się zrobić z tego podatku szlacheckiego na czystą intratę z ziemi oś dochodów krajowych, ale z jakim jeszcze ograniczeniem! Cały ciężar rozłożyć się starano w ten sposób, aby przeważna jego część spadła na najzamożniejszych, z góry wykluczając z rejestru całą szlachtę zagonową, nie posiadającą własnych poddanych i wykluczając wszystkich, u których zasiew był mniejszy niż 10 korcy. W ten sposób z góry ograniczono rozkład całego ciężaru na 10.000 rodzin najzamożniejszych — a uchwalili to właśnie przedstawiciele tych 10.000 rodzin. Czy tu można się dopatrzyć braku ofiarności? jeśli czego, to braku umiejętności finansowej, w przypuszczeniu, iż podatek na 10.000 rodzin nałożony, może zadowolić potrzeby czternastomilionowej ludności.

Te same dążności, które nakazywały Sejmowi dopuścić stan miejski do praw politycznych i dać początek szerokim reformom agrarnych stosunków, nakazały również unikać wszelkich podatków obciążających tych, którzy nie mieli czystej intraty ziemskiej. Tutaj może być brak umiejętności zrozumienia rzeczywistych praw finansowych, ale o braku ofiarności mówić nie można.

Odzywają się jednak zarzuty naszych historyków (na nieszczęście tak mało obznajomionych z rzeczywistymi warunkami finansowości), że ten podatek szlachecki okazał się po oszacowaniu o wiele mniej wydatnym, niż się początkowo spodziewano. Z wszystkich majątków szlacheckich wypadło jako 1/10 część dochodów tylko 6 milionów złp. Staszic w swoich pismach ocenił dochody szlachty na 120 milionów, coby dało podstawę do 12 milionów podatku. Wynik o połowę mniejszy dał powód Staszicowi do wypowiedzenia zdania: „Szlachcic krzywo przysiągł, aby nie dał podatku".

Ale w tym względzie można się powołać na przykład

wszystkich innych krajów. Zaprowadzając w Polsce nowy podatek ustanowiono komisarzy obywatelskich do ocenienia tego dochodu. 1800 komisarzy w przeciągu 3 miesięcy dokonało tego oszacowania i to nie kosztowało ani centa. W innych krajach, gdzie panowała biurokracya, trwało takie oszacowanie 10 lat. Ostatni kataster austryacki trwał 15 lat i kosztował 15 miliomilionów złr. Otóż teraz można przytoczyć dostateczne dowody, że to ówczesne nasze obywatelskie oszacowanie bliższem było prawdy, niż wszystkie katastry prowadzone tak umiejętnie we wszystkich państwach europejskich. Dowody na to są następujące: Jak tylko podano do wiadomości Sejmu, że ofiara obywatelska, tj. podatek 10 procentowy, przyniósł tylko 6 milionów, odezwały się głosy: „To niemożliwe" i zacytowano wiele wypadków, że te lub owe dobra za nisko były oszacowane. Na to zarządzono natychmiast powtórny szacunek i wybrano w tym celu tak zwaną Deputacyę Koekwacyjną, która miała oszacować wartość majątków na podstawie rrzeczywiście dokonanych sprzedaży. To zostało zaprowadzone, ale zapóźno, ażeby mogło wejść w wykonanie, bo zanim Deputacya ukończyła swoje roboty (które także ani centa nie kosztowały), nastała wojna po Konstytucyi; Moskale zajęli kraj, Konfederacya Targowicka uzyskała przewagę i nie można już było reformy tej przeprowadzić.

Rezultat oszacowania dóbr ziemskich, przeprowadzony przez tę nową Deputacyę Koekwacyjną, okazał, że zamiast 6 milionów należałoby płacić 10 milionów, że zatem pierwsze komisye w tym stosunku wrzekomo za nisko oszacowały. Ale zadziwiającym jest fakt, że oszacowanie tej drugiej komisyi obywatelskiej okazuje się wyższem od obecnie dokonanego oszacowania przez rząd austryacki w Galicyi, w tym kraju gdzie wszystko tak podskoczyło w cenie, gdzie wartość ziemska jest tyle razy większą, niż w owych czasach.

Przeciętna wartość dymu w dawnej Polsce — bo na dymy wtenczas liczono — wypadała na 2000 złp. Otóż komisya, którą rząd austryacki wysadził, zapłaciwszy milion złr. za przeprowadzenie samej pracy, po wszelkich możliwych obradowaniach, oszacowała czysty dochód w Galicyi na 6 milionów złr. to znaczy 24 milionów złp. Ponieważ, licząc w ten sam sposób jak liczono w Polsce, jest tu dymów około 200.000, wypada z tego austryackiego obliczenia przeciętny szacunek dymu w Galicyi na 2.400 złp. a nasza Deputacya Koekwacyjna w ówczesnej Polsce,

gdzie zboża były za bezcen, gdzie Polska była odcięta od targów, przyjmowała przeciętnie wartość 2800 złp.: nie licząc dóbr ukraińskich i wszystkich pogranicznych, które mają bardzo małą wartość, obliczyła na ogół 2.500—3.700 za dym. Ta komisya szacunkowa, której historycy mają śmiałość zarzucać brak charakteru, wyżej oszacowała, niż jakakolwiek inna komisya szacunkowa w tym wieku. Jest to wielkim dowodem patryotyzmu i ofiarności, bo szacowali ci sami, którzy mieli płacić i niezliczone są wypadki, gdzie oszacowali wyżej niż się należało wedle zasadniczo przyjętych reguł.

Po zaprowadzeniu tej ofiary obywatelskiej, uchwalono, ażeby niektóre podatki, dotychczas uiszczone według dawnej skali, zwrócić opodatkowanym. Powstałe stąd znaczne sumy na rzecz opodatkowanych pozostawiono niepodjęte w kasie Rzeczypospolitej. I tak w Wielkopolsce pozostało 700.000 złp. podatków, które Sejm nakazał zwrócić, a których obywatele z kasy nie pobrali, ofiarowując je na potrzeby Rzeczypospolitej. Otóż jeśli obywatelstwo postępowało w ten sposób, jeśli dobrowolnie podawano większe cyfry nad wartość dochodów, wyższe, niż obliczenia urzędowe, to braku ofiarności i patryotyzmu tamtej generacyi zarzucić nie można, ale można zrobić inny zarzut, braku umiejętności finansowej. Jest to zarzut ciężki, ale nie tak ciężki, jak ten pierwszy. Tamten powiada, że naród nasz nie mógł się zdobyć na cnotę obywatelską, ten zaś: że nieznał stosunków, nie miał umiejętnosci finansowej, ażeby zamiary swoje mógł przeprowadzić. Ten zarzut jest jednomyślny i to jest wada, z którejśmy się do dzisiaj nie wyleczyli.

Dlatego powiedziałem, że ta wspaniała literatura reformy Wielkiego Sejmu dla nas dziś jeszcze ma żywotne znaczenie. Tam jeszcze dziś widzieć możemy sposób, w jaki trzeba działać na naród polski, ażeby obudzić poczucie ofiarności publicznej. Ale wystrzegać się winniśmy również popełnianych wówczas błędów, płynących ze zbytecznej szlachetności ówczesnych poglądów, widocznej w chęci oparcia całego systemu finansowego państwa jedynie na podstawie opodatkowania 10.000 rodzin najzamożniejszych. Dzisiaj socyaliści chcą coś podobnego zrobić i to się im policza za zbrodnię, ale jest tu ta różnica, że socyaliści chcą, żeby nie oni, ale inni płacili, a w ówczesnej Polsce ci sami to prawo ustanowili, którzy mieli płacić.

Ale jak na podstawie znajomości ówczesnych stosunków można wykazać, że Polska upadła nie z braku patryotyzmu, nie z braku ofiarności, tylko z braku umiejętności — tak ten brak ciągnie się aż do dzisiejszych czasów i można powiedzieć, że w niektórych chwilach dziejów porozbiorowych umiejętność i to w dwu względach: w wojskowym i skarbowym, już stała wyżej, aniżeli w obecnej generacyi. Mam na myśli obraz statystyczny Królestwa Polskiego z r. 1827. Królestwo jest dziełem ludzi albo tych samych, którzy już należeli do posłów przeprowadzających Konstytucyę Trzeciego Maja, albo ich synów. W administracyi Królestwa już są dowody takiej umiejętności skarbowej, jakiej może od tego czasu nie posiadaliśmy. Dziś jeszcze, gdyby marszałek albo namiestnik w Galicyi — w 60 lat po tym wykazie chciał przedstawić Sejmowi stan kraju, to by go nie mógł przedstawić tak dokładnie, tak jasno, jak nasz rząd polski w r. 1827. Wszystkie te cyfry, te budżety Kongresówki są nadzwyczajnie interesujące tem, że pokazują, co byśmy mogli byli zrobić wtenczas, w r. 1791, gdyby nasi politycy mieli tyle umiejętności finansowej, ile mieli mężowie stanu Królestwa. To małe Królestwo n. p., z samej soli pobierało wtenczas czystego dochodu 12 milionów złp. to znaczy, że z tego źródła w Polsce po pierwszym rozbiorze można było wybrać na cele publiczne 30 milionów złp., a suma ta, pochodząca z ogólnego podatku, byłaby zupełnie wystarczającą na reorganizacyę całej siły zbrojnej.

Również porównanie stosunków wojskowych wychodzi na korzyść Królestwa. W roku 1788 uchwalono armię stutysięczną, w r. 1791 nie było jednak więcej jak 65.000 wojska, w rok po Konstytucyi powiększono tę armię, i to głównie w rekrutach niewyćwiczonych, do cyfry 70.000 a nawet nominalnie bliskiej stu tysięcy. Jednakowoż w rzeczywistości w ostatniej wojnie Polski przedrozbiorowej armia ta była nadzwyczajnie małą i, z wyjątkiem jednej bitwy pod Dubienką, nie stawiła zupełnie wydatniejszego oporu. Regularna armia Królestwa Kongresowego wynosiła tylko 30.000, a wiemy, że w powstaniu r. 1831 była możliwość zwycięstwa ostatecznego, chociaż siły rosyjskie były podówczas nierównie większe. Mieliśmy w tych ciężkich czasach równie wytrawnych finansistów jak wojskowych.

Że za czasów Konstytucyi nie mieliśmy tych umiejętności, to tłómaczy się w nadzwyczajnie łatwy sposób: Ofiara może

być rezultatem jednorazowego poświęcenia się, ktoś może oddać majątek, nawet życie ale z nierównie większemi trudnościami, nawet w najdrobniejszych rzeczach, połączone jest przeobrażenie tam, gdzie chodzi o umiejętność. *Umiejętność jest rezultatem długich nauk, doświadczenia, rezultatem poniekąd odziedziczonego przysposobienia, które się skupia w warstwach narodu zawodowo wykształconych.* Jak nie dość entuzyazmować się dla muzyki i usłyszawszy kogoś grającego na skrzypcach powiedzieć: „ja będę skrzypkiem", tak nie dość jest uchwalić, że będziemy mieli wojsko, aby mieć to wojsko.

Kościuszko, Legiony włoskie, Napoleon, wreszcie, pokazali, że w Polakach jest niezrównany materyał na żołnierzy, a jednak w r. 1792 nasza armia prawie bez strzału cofnęła się i wydała całą Polskę na łup nieprzyjacielowi. Było to wynikiem tego faktu, że nie mieliśmy tych zawodowych żołnierzy. Z Konfederacyi Barskiej prawie nikt nie został: kilku sławniejszych poszło za Pułaskim do Ameryki, inni, jak Beniowski, po całym tułali się świecie. Z epoki barskiej nie pozostał w r. 1792 ani jeden praktyczny żołnierz. Była Szkoła Kadetów w Warszawie, ale ta za krótko istniała, dopiero zaczęła wydawać chorążych i oficerów; przecież oprócz Kościuszki nie mieliśmy ani jednego jenerała, któryby był prochu zawąchał. Więc *organizacye wewnętrzne nie tworzą się odrazu, lecz są utworem dłuższego czasu.*

Dzieje usiłowań reformy w czasach Konstytucyi okazują w całem świetle ofiarność polityczną — jednak nie popartą przez odpowiednią umiejętność. Jest to błąd, cecha niedojrzałości, młodości społeczeństwa, tej młodości, którą już Rousseau w swoich listach zaznaczył, a która była przyczyną, że się zaczął zajmować tem społeczeństwem, u którego uczucia są tak żywe, tak świeże, tak prędko w czyn się przeoblekające. — Ale pamiętajmy, że obok tej ofiarności patryotycznej winniśmy dbać o umiejętność; że jednak, jak w czasach Konstytucyi i dziś nie znajdziemy prądów europejskich, któreby dawały nam gotową receptę dla odrodzenia narodu polskiego. Ale jak wtenczas kiedy naród powolną pracą, po omacku prawie, musiał szukać, właściwej drogi — tak i dziś własnym wysiłkiem, nie ograniczając się na zdobyczach wiedzy europejskiej ale z głębi własnego czerpiąc narodu, stańmy umiejętnością wyżej od pokolenia Trze-

ciego Maja — bo już trzecia generacya przeminęła i powinniśmy postąpić. A pod względem ofiarności starajmy się dojść do tej wyżyny, na której w dniu Trzeciego Maja stanęły wszystkie stany, przysięgające na Konstytucyę.

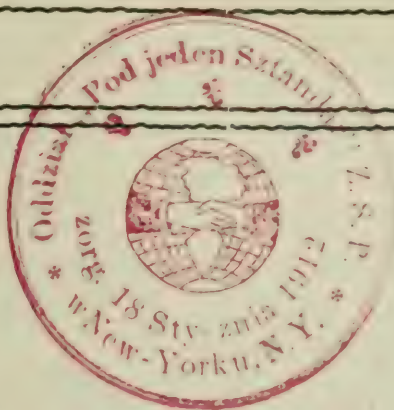
* * *

Jeżeli starałem się bronić dobrej sławy naszych przodków, to nie dla tego, żeby mnie unosiła próżność narodowa, jakobym nie był pamiętny tych słów Stanisława Konarskiego, od których zacząłem mój odczyt: że każdy prawy obywatel powinien szukać prawdy, chociażby ona była gorzka i nieprzyjemna — ale starałem się w tym krótkim rysie podać przebieg czasów minionych, które zapowiadały lepszą przyszłość, a jednak nie mogły doprowadzić do niepodległości. Starałem się też udowodnić, że przyczyny niepowodzeń nie były tego rodzaju aby z nich nie było wyleczenia. Przeciwnie, pochodziły one z braku ogromnych, do dopięcia wielkich zadań niezbędnych zasobów wiedzy i umiejętności, które jednak ze skarbnicy światowej wiedzy czerpiąc trudem lat i pokoleń wielu zdobywać i gromadzić możemy — a nad którymi zapanować muszą ci, co w wykonaniu zbawiennych myśli Konstytucyi Trzeciego Maja doprowadzić chcą naród do zwycięstwa.

O LICEUM KRZEMIENIECKIEM

(ODCZYT WYGŁOSZONY WE LWOWIE, DNIA 29 MARCA R. 1891).


Oddział „Pod jeden Sztandar" Z.S.P.
w New-York N.Y.



Jako przedmiot odczytu dzisiejszego wybrałem sprawę która może jest najbardziej na porządku dziennym, i od której w wysokim stopniu pomyślne rozwinięcie obecnego stanu Galicyi zależy, t. j. sprawę wychowania publicznego. Chciałbym mianowicie uzasadnić i wytłómaczyć, że należałoby powrócić pod wieloma względami do naszych dawnych tradycyi wychowania publicznego, że należałoby porzucić obce systemy pedagogiczne, obce wzory, a budować dalej tam, gdzieśmy przestali, gdy Polska miała jeszcze pewną samodzielność i pewną autonomię. Mianowicie chciałbym, ażebyśmy powrócili do tych tradycyi, które były kierowniczemi przy założeniu Liceum Krzemienieckiego.

Liceum Krzemienieckie, stanowiące niejako punkt zwrotny, do którego należałoby na nowo nawiązać, powstało mniej więcej przed 90 laty. Około założenia tej szkoły zaczął się krzątać Czacki w latach 1803—1805. Lata poprzedzające jej założenie były to lata najbardziej puste, najbardziej smutne historyi polskiej, t. j. czas od upadku powstania Kościuszki (1794) do tych nowych początków życia narodowego, które się zaczęły pokazywać po r. 1803. W żadnym z późniejszych czasów nie było tak głucho, tak ciemno na całym obszarze ziem polskich. — Warszawa była wtenczas pod rządem pruskim, Kraków i Lwów pod rządem austryackim, Wilno pod rządem rosyjskim, i jakkolwiek te rządy różniły się pod wielu względami, to pod jednym wszystkie były równe — wszystkie tłumiły każdy objaw życia narodowego. Później przecież zawsze, to jedna to druga część kraju mogła oddychać trochę swobodniej, mogła znów wprowadzić samorząd na skalę mniejszą lub większą — ale w tym okresie, na

całym obszarze ziem polskich nie było jednego kawałka, gdzieby się jakakolwiek myśl samodzielna mogła przechować. Idea narodowa uszła wówczas z Polski i znalazła przytułek w legionach, walczących na ziemi włoskiej. Tutaj, jak częstokroć w naszych dziejach, nie myśl stała się zarodkiem czynu, ale czyn wyprzedził myśl. Bohaterskie usiłowania ku odzyskaniu Ojczyzny zaczęły się nie w literaturze, nie w wielkim pomyśle ale w walce bohaterskiej. Późniejsza literatura jest wytworem powstałym po całej generacyi usiłowań bohaterskich.

W Polsce przez ten czas było smutno i głucho — ale tylko dla patryoty dręczonego pytaniem, gdzie się podział wielki naród, który jeszcze kilka lat przedtem dawał przykład całej Europie w urządzeniu rządu konstytucyjnego i w objęciu wychowania na rzecz państwa? Sądząc podług powierzchni życia publicznego, tego smutku widać nie było, przeciwnie — w całej naszej historyi porozbiorowej niema może dziesięciolecia, w któremby życie towarzyskie toczyło się tak hucznie, tak wesoło, jak wówczas; jak gdyby chciano przygłuszyć wszelki jęk zgryzoty nad upadkiem Ojczyzny. A jednak, pod tą pozorną lekkomyślnością, pod tą wrzawą hałaśliwą zabaw i uciech, którym się cała publiczność oddawała we wszystkich trzech zaborach — były jednakowoż serca mężniejsze, odważniejsze, które uchroniły myśl narodową i w chwili nadarzającej się sposobności zaczęły na nowo pracę nad odrodzeniem Ojczyzny.

Początek dały usiłowania prywatne. Wiadomo, jaką rolę odgrywał dom Ks. Czartoryskich w Puławach. Równocześnie Ossoliński zaczął gromadzić znaczne zbiory i bibliotekę, znajdującą się obecnie we Lwowie. W Warszawie w r. 1800 powstało Towarzystwo Przyjaciół Nauk, za którego staraniem i zachętą Bogumił Linde wziął się do olbrzymiego dzieła ułożenia słownika języka polskiego, którym ówcześnie wyprzedził podobne prace u wielu innych narodów. W zaborze rosyjskim już od cara Pawła stosunki się zmieniły. Wielu z patryotów opuściło więzienia, pooddawano majątki skonfiskowane i odrazu na całym obszarze Polski zastęp ludzi wziął się na nowo do pracy. — Pomiędzy tymi ludźmi najbardziej nas interesują ci, którzy pozostają w bezpośrednim stosunku do przedmiotu dzisiejszego odczytu, t. j. Tadeusz Czacki, Jan Śniadecki i Hugo Kołłątaj, ci bowiem, a w szczególności Czacki i Kołłątaj najbardziej się przyczynili do założenia Liceum Krzemienieckiego.

Kołłątaj od r. 1795—1802 był w więzieniach austryackich, naprzód w Josefstadt, a później w Ołomuńcu. Jeśli kto, to on, który brał tak wielki udział w reformie starodawnej Konstytucyi narodu polskiego, który był jednym z twórców Trzeciego Maja, który razem z Kościuszką starał się powstaniem przywrócić na nowo niepodległość narodową, — jeśli kto, to on powinien był być złamany losem. Pisze też sam w swoich listach, że wypadki, przez które przeszedł, odebrały mu wszelkie czucie, dla tego co się dzieje. Skoro Śniadecki, zawiedziony upadkiem Akademii Krakowskiej, opuszcza stanowisko przy tym uniwersytecie i skarży się, że dwudziestoletni owoc jego pracy jest zniszczony, to Kołłątaj w równym duchu mu odpisuje: „Takie jest więc przeznaczenie moje, aby wszystko, około czego pracowałem, znalazło się w ruinach i gruzach jeszcze za mego życia“ — i dodaje: „Szczęśliwy, kto mógł w ciągu życia swego zdobyć się na jakie dobre ustanowienie, ale nierównie szczęśliwszy ten, komu okoliczności pozwoliły poprawić swoje własne błędy, które dostrzeże za pomocą długiego doświadczenia. Ta szczęśliwość nie należy do historyi mojego życia“. To przeświadczenie o niedoskonałości dzieła własnego jest bardzo charakterystycznem, bo pokazuje, jak głębokim był ten mąż stanu i jak dalekim od tej drobnej próżności, która się chlubi i chwali z dzieła raz dokonanego i widzi w niem mniemaną jakąś doskonałość. Bolą go przedewszystkiem usterki dostrzeżone we własnem dziele i dręczy przeświadczanie, że pewne urządzenia, które on sam wprowadził jako wizytator do Akademii Krakowskiej, przyczyniły się później do jej upadku.

Ale ta sposobność poprawienia własnych błędów, powtórzenia dzieła swego po dwudziestoletniem doswiadczeniu przyszła, nastręczyła się Kołłątajowi przez współdziałanie z Czackim, a owocem tej poprawionej czynności była organizacya Liceum Krzemienieckiego. Nie tutaj mówić o Kołłątaju, jako o mężu stanu — ale ponieważ on jest niejako duchowym twórcą i organizatorem szkoły Krzemienieckiej, należy w kilku szczegółach uzasadnić wielką doniosłość poprzedniej pracy jego, jako pedagoga.

Nie mówię już o całem dziele Komisyi Edukacyjnej, w którem on uczestniczył — wiemy wszyscy, że ta Komisya wyprzedziła ustawy edukacyjne wszystkich innych narodów europejskich. Tak n. p. myśl, ażeby ująć całe wykształcenie dla wszy-

stkich warstw narodu w jeden system i postawić akademię czyli uniwersytet jako ciało naczelne i nadzorcze dla całego systemu wychowawczego — została wykonaną już w uchwałach naszej Komisyi Edukacyjnej, podczas gdy we Francyi dopiero w 30 lat później Napoleon I, organizując na nowo edukacyę francuską, nadał uniwersytetowi paryskiemu tę samą rolę, którą w zarysach Komisyi Edukacyjnej już posiadała Szkoła Główna w Polsce. Tak samo w projektach Komisyi Edukacyjnej widzimy przemianę dawnego systemu uczenia, polegającą na tem, że zamiast nauczycieli klasowych, uczących wszystkich przedmiotów i przechodzących ze swymi uczniami z klasy do klasy, zaprowadzono system nauczycieli fachowych, odrębnych dla każdego przedmiotu. Urozmaicono również treść nauki najrozmaitszymi przedmiotami, czy to historycznymi lub moralnymi, czy to przyrodniczymi. W tych kierunkach znowu wyprzedziła Komisya Edukacyjna o lat 30 Prusy, bo w Prusiech podobny system został zaprowadzony dopiero w 1810. Austryę zaś o lat około 70, bo dopiero od r. 1849 w nowym patencie, który wytworzył organizacyę obecnych gimnazyów austryackich, przyjęto ostatecznie ten sam system. Wynika stąd, że nasza komisya Edukacyjna w sposobie nauczania stała poniekąd na czele ruchu edukacyjnego w Europie — tak jak Polska była pierwszym krajem, w którym naród oświadczył, że wychowanie każdego dziecka jest obowiązkiem rządu, obowiązkiem społeczeństwa — pierwszym krajem, który wytworzył narodowy system wykształcenia.

Jednakowoż, tej wyższości dzieła Komisyi Edukacyjnej nie chcę przedstawiać jako zasługę specyalną Kołłątaja; on uczestniczył tylko w tem dziele, i wiele pomysłów nader ważnych i zasadniczych wyszło nie od niego, ale od Chreptowicza, od Ignacego Potockiego i od innych członków tej Komisyi. Ale w późniejszych jego listach, i to głównie w korespondencyi z Czackim i Śniadeckim, można dostrzedz cały szereg pomysłów pedagogicznych, w których Kołłątaj wyprzedził swój czas, i w których albo zaznaczył drogę, na którą inne narody później wstąpiły, albo nawet, wypowiedział jakiś pomysł dotychczas wogóle w wychowaniu nieurzeczywistniony. Takich jego zasług, jako pedagoga, takich pomysłów, które cechują go jako umysł twórczy na tem polu wychowawczem, znajdujemy cały szereg w jego korespondencyi. Tak w uwagach o organizacyi uniwersytetu wileńskiego powiada, że oprócz kursów przeznaczonych

dla studentów, życzyłby sobie, ażeby profesor mechaniki praktycznej co niedzieli i co święta urządzał praktyczne prelekcye dla rzemieślników i to na podstawie nie teoryi, tylko na podstawie modelów i doświadczeń i wytłómaczenia tak przystępnego, żeby ludzie, nieobznajomieni głębiej z naukami, mogli je natychmiast pochwycić i znaleść zastosowanie zasady teoretycznej do przedmiotu własnego rękodzieła. Widzimy więc u niego bardzo systematycznie i dobrze wyrażoną potrzebę tej nauki przemysłowej dla rzemieślników, nad której urzeczywistnieniem my teraz dopiero, 90 lat później, pracujemy.

Dalej, przywiązuje Kołłątaj nadzwyczajną wagę do katedry gospodarstwa wiejskiego. To, samo przez się, nie byłoby może jeszcze myślą bardzo głęboką, bo ostatecznie w kraju rolniczym któż zaprzeczy, że gospodarstwo wiejskie posiada wielką ważność i wielką doniosłość — ale sposób, w którym on ją przeprowadza znowu okazuje głębokiego znawcę stosunków i pedagoga. Naprzód zwraca uwagę, że przedmiot „gospodarstwo wiejskie" należy do tych, które nasza Komisya Edukacyjna pierwsza w Europie uznała za istotną część składową powszechnego wykształcenia, za przedmiot, który powinien być wykładany przy wszystkich szkołach wyższych. Dalej, podnosi niedostateczność samych tylko wykładów w nauczaniu tego przedmiotu i wykazuje konieczność ogrodu botanicznego, cieplarni, usiłowań aklimatyzacyi roślin z wszystkich części świata i nieodzowną potrzebę pól, łąk i pastwisk do doświadczeń eksperymentalnych. Mamy więc tutaj pojawiającą się myśl tych stacyi doświadczalnych, która także dopiero obecnie urzeczywistnia się częściowo. Kołłątaj jeszcze posuwa się dalej w swych żądaniach: „Ale to wszystko nie wystarcza", pisze, „może być profesor, mogą być stacye doświadczalne — w związku z tą katedrą, z tą stacyą doświadczalną musi jeszcze być towarzystwo rolnicze, któreby starało się rozpowszechniać wyniki naukowe, otrzymane w tych stacyach doświadczalnych, i któreby swemi własnemi doświadczeniami przychodziło w pomoc nauczycielowi tego przedmiotu". To wszystko jest pisane przed 90 laty! a dotąd w małej jeszcze mierze wprowadzone w Galicyi, choć urzeczywistnione w innych krajach, ale i tam o wiele później od czasu, w którym Kołłątaj o tem pisał.

Dalej, również w zarysie nowej organizacyi dla uniwersytetu wileńskiego, widzimy jak nadzwyczajną wagę on przykła-

dał do gramatyki powszechnej, jak studyum języków uważał nie jako coś oderwanego — zmierzającego wyłącznie do zrozumienia poszczególnych literatur, ale jak pojął tę myśl zasadniczą, że prawdopodobnie języki są sobie pokrewne i wszystkie wyrosły z tego samego pnia. Powołuje się na podobieństwo języków słowiańskich i języków romańskich. Jego gramatyka i etymologia powszechna oparta jest na przypuszczeniu pokrewieństwa języków i na tym dalszym pewniku, że ukryty duch języka da się najlepiej studyować przez gramatykę porównawczą i etymologię. To także jest pisane, zdaje mi się, kilkanaście lat przed owem dziełem Wilhelma Humboldta o językach baskijskich, które dało początek etymologii porównawczej. I taką wagę przykładał do tego swego pomysłu gramatyki porównawczej, że nie tylko w szkołach uniwersyteckich, ale w gimnazyach już chciał dodać gramatykę porównawczą języków słowiańskich, potem porównanie z językiem greckim i łacińskim, ażeby już uczni w szkole średniej zainteresować do jakiegoś głębszego poglądu na ducha jezyków.

Znajduję następnie w jednym z listów jego uwagę, że należałoby odzyskać w Rzymie „dom nacyonalny polski z całemi swojemi dochodami“, i należałoby w tym domu urządzić kolonię naukową polską, w celu zgłębienia wykształcenia klasycznego i w celu kształcenia się w naukach wyzwolonych. To znowu myśl, którą później uwzględniono we Francyi. Wszak jednym z głównych czynników wykształcenia Francyi jest szkoła w Rzymie i szkoła w Atenach, które przysporzyły jej wielu pisarzy i badaczy. To znowu jedna myśl, którą Kołłątaj wyprzedził swój czas.

Dalej, proponuje on przy uniwersytecie wileńskim założenie specyalnej szkoły dla nauki języków oryentalnych i dla przysposabiania, że tak powiem, pionierów cywilizacyi w odległych posiadłościach Rosyi azyatyckiej. Tutaj znowu pojął on ten prąd cywilizacyi, która z zachodu pcha się na wschód starożytny i zrozumiał, że Polacy, jako naród od dawna ucywilizowany, mieliby wyższość nad Rosyanami i że wykształceni odpowiednio mogliby stać się na dalekim Wschodzie pionierami cywilizacyi. Myśl ta później została również urzeczywistniona w Europie przez cały szereg szkół oryentalnych.

Jeszcze jeden pomysł pedagogiczny znajdujemy w liście do

Czackiego, gdzie jest mowa o szkołach ludowych i o założeniu w Krzemieńcu, obok liceum, konwiktu dla wykształcenia nauczycieli ludowych. Nadzwyczajną wagę przykłada tam Kołłątaj do nauki muzyki i zapowiada Czackiemu, że skorzysta z najbliższej sposobności zetknięcia się z nim, ażeby wytłómaczyć, dlaczego uważa muzykę za tak nadzwyczajnie ważny czynnik w wykształceniu ludowem. W kilku tylko zdaniach, krótkich, ale bardzo głębokich, wykazuje do jakiego stopnia muzyka w szkołach ludowych wpływa na umoralnienie dzieci, na nadanie ich upodobaniom innego kierunku i tutaj znowu jego myśl dotychczas nie jest w dostatecznej mierze urzeczywistniona.

Wskazuje też Kołłątaj na niezmierną ważność czerpania nauki ze źródeł pierwotnej i twórczej wiedzy i naznacza jako pierwszorzędny obowiązek dla profesora, aby obznajamiał uczniów z najcenniejszą literaturą europejską każdego przedmiotu.

Do tych wszystkich pomysłów organizacyjnych dodam jeszcze nadzwyczajną wagę, którą on przykładał do wykształcenia kobiet. Tak opracowując razem z Czackim plan seminaryum dla guwernantek, które miało być założone obok Liceum Krzemienieckiego, spostrzega, że to jest pierwsze usiłowanie tego rodzaju, w którem rząd i naród bierze na siebie organizacyę wychowania kobiecego. Tutaj więc także, zarówno Kołłątaj jak i ludzie z nim pracujący wyprzedzili swój wiek i swój czas.

Chodziło mi bardzo oto, ażeby przedstawić nietylko Kołłątaja polityka, co do działalności którego dawniej była jednomyślność, a dopiero w ostatnich czasach znalazły się głosy, które inaczej chciały ją ocenić — ale chciałem pokazać jakiego rodzaju to był człowiek, z jaką nadzwyczajną gruntownością oddawał się każdej pracy, którą podejmował, jak nawet na polu pedagogicznem, które jest mniejszym zakresem jego działalności, umysł jego okazał swoją świetność, twórczość i oryginalność całym szeregiem pomysłów, którymi wyprzedził swój wiek i z których nie wszystkie dotąd jeszcze urzeczywistnionymi zostały. Z tych jego mysli ogólnych pedagogicznych podniosę jeszcze jedną, wkraczającą już w dziedzinę pedagogii narodowej i społecznej, t. j. ciągłe jego usiłowanie, aby podnieść poziom myśli narodowej i dyskusyi publicznej. Zauważywszy w roczni-

kach warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk niektóre rozstrząsania i rozprawy o myślach pospolitych i powtarzanie dawno już przebrzmiałych nauk, tak pisze: „Warunkiem pomyślności takiego Towarzystwa jest, ażeby było na wysokości swego czasu, inaczej zbiory jego roczników pójdą kiedyś na tandetę, w której nie można nic nowego dostać, ale tylko rzeczy wyszarzałe lub ze starzyzny przyrobione... wysokiego przeznaczenia nie trzeba spadlać lichymi i drobnymi komunałami“. Pamiętajmy, że tak się wyraził człowiek, o którym Śniadecki, znający go może najlepiej, powiedział, że nie był krytykiem, owszem nienawidził krytyki; lubiał przedkładać własne nowe myśli, a jeśli znalazł co do skrytykowania u innych, to wolał zamilczeć. Każdą nową, ważną rzecz pochwalał, podawał do wiadomości publicznej — przeprowadzał, ale nie bawił się w krytyki, ponieważ uważał, że celem właściwej krytyki jest tylko podnoszenie myśli dobrych a nie próżna walka z myślami — jak powiada „wyszarzanemi lub ze starzyzny przyrobionemi“. Takim mężem był jeden z tych, o których dziele będziemy mówili.

Przypatrzmy się teraz Czackiemu. W jego życiu widzimy to samo połączenie gorącego patryotyzmu z niezmierną pracowitością i gruntownością w obrobieniu każdej sprawy, której się podjął. Połączony węzłami powinowactwa z niektórymi z głównych twórców Konstytucyi Trzeciego Maja, należy on do tej generacyi, której zawdzięczamy wszystko, co się zrobiło około odrodzenia Polski. Matka jego była siostrą Małachowskiego, marszałka Sejmu Czteroletniego; on sam, już za bardzo młodych lat, został urzędnikiem przy Komisyi Skarbowej i dał się poznać z nadzwyczajnie gruntownej znajomości wszystkich rzeczy, dotyczących ekonomii politycznej, handlu, przemysłu i skarbowości i już od najwcześniejszych lat pojawiły się w nim te dwie cechy praktycznego męża stanu, t. j. nieubłagana oszczędność tam, gdzie chodziło o wydatki zbytkowne, dla czczej jakiejś formy zrobione (jak to mianowicie okazuje jego opozycya na Sejmie przeciwko budowaniu wielkiego pałacu dla zagranicznych ambasadorów) — a z drugiej strony hojność nadzwyczajna tam, gdzie się spodziewał od wydatków ważnego rezultatu publicznego. Odnajdujemy też w nim to samo połączenie, które cechuje wszystkich mężów wybitnych tej generacyi, t. j. połączenie wzniosłej ambicyi patryotycznej i moralnej z opano-

waniem przedmiotów ogólnych, t. j. połączenie patryotyzmu z kierunkiem ekonomicznym.

Ten sam Czacki, który jako historyk i prawnik, w swoich wiekopomnych dziełach „O litewskich i polskich prawach" pokazał, że stał na wysokości historyi ówczesnej, ten sam Czacki nakładem własnym, a znacznym, bo kosztem przeszło 10.000 dukatów, każe robić mapę hydrograficzną całej Polski, na której jest oznaczonych przeszło 4.800 najrozmaitszych rzek, znajdujących się na przestrzeni Rzeczypospolitej, które tam są podane wraz ze wszystkimi szczegółami, odnoszącymi się do ich głębokości, użycia komercyalnego i t. p. Ten sam Czacki bierze udział w rozwiązaniu trudności finansowych, powstałych po upadku Polski skutkiem bankructwa całego szeregu banków warszawskich. Ten sam Czacki czynnie zajmuje się Towarzystwem eksportowem, które miało na nowo zwrócić handel polski na morze Czarne — nie koniec na tem, okręt pod jego imieniem puścił się też na morze Czarne!

Co zaś jest cechą nadzwyczajnie ważną, którą podnosi Stanisław Potocki w swojej pochwale Tadeusza Czackiego, odczytanej w r. 1817 na posiedzeniu warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, to jest fakt, że ten sam Czacki jest wyrobem, że tak powiem, czysto krajowym, że nie kształcił się na obczyźnie, na obcych wzorach. To też powiada Stanisław Potocki:

„Nie byli winni obcym krajom tak dostojnych *cnót* ani Czacki, ani Małachowski, obaj na ojczystej wychowani ziemi, nie w zagranicznych zaczerpnęli je szkołach, lecz w własnej znaleźli duszy. W podeszłym dopiero wieku Małachowskiego, w dojrzałym Czackiego, własna cnota i klęski Ojczyzny przymusiły szukać za granicą schronienia. Zgoła dowiódł Małachowski z Czackim, że najwyzwoleńszy sposób myślenia, że wysoka nauka wzróść i dojrzeć u nas mogą bez obcej pomocy"!

W czasie, o którym mówiłem, tym smutnym i głuchym czasie od r. 1794, od upadku Kościuszki aż do r. 1802, Czacki musiał się oddawać bardziej studyom i naukom i nie mógł wystąpić na szerszą widownię życia publicznego. Dopiero gdy wpływ Adama Czartoryskiego skłonił cesarza Aleksandra I do wytworzenia i zorganizowania nowego systemu edukacyi w całem państwie rosyjskiem, dopiero wtenczas, w kilka miesięcy po nadaniu urzędu kuratora Uniwersytetu wileńskiego ks. Czartory-

skiemu, nastąpiła także nominacya Czackiego na wizytatora szkół w 3 guberniach, t. j. wileńskiej, podolskiej i kijowskiej. Stał się Czacki na nowo urzędnikiem, ale tak samo jak Kołątaj nie biurokratą, nie niewolnikiem formułek biurokratycznych i administracyjnych — ale jest on owszem typem urzędnika-obywatela. I tak, jak typ urzędnika biurokraty na zawsze pozostanie wstrętny naszemu społeczeństwu, tak ten typ urzędnika obywatela, jakich przykłady mamy w Kołłątaju i Czackim, pozostanie zawsze wzorem, na którym wszyscy nasi urzędnicy powinni się kształcić, jeśli chcą pozostać rzeczywiście synami narodu polskiego.

Na samym wstępie wiadomości o Krzemieńcu odkrywam nadzwyczajnie charakterystyczny ustęp w jednym z listów Kołłątaja. Kołłątaj, zeszedłszy się z Czackim i dowiedziawszy się o jego najrozmaitszych zamiarach, co do reorganizacyi szkół w obrębie terytoryów jemu powierzonych, pyta się o instrukcye. Pokazuje się, że te instrukcye są nadzwyczaj mało ważne, czysto nominalne tak, że urząd Czackiego mógłby być uważany jako honorowy bez obowiązków. Pyta się go wtedy Kołłątaj: na jakiej podstawie chcesz ty to wszystko zrobić, zorganizować szkołę wielką, cały system szkół ludowych i szkół parafialnych? Na to mu powiada Czacki: Widzi pan, w mojej instrukcyi, po wyliczeniu tych specyalnych funkcyi mi udzielonych jest etc.., to są moje instrukcye. Tu okazuje się ogromna różnica urzędnika-binrokraty a urzędnika-obywatela. Obyśmy mieli jak najwięcej takich urzędników, którzy znajdą zachętę do pracy i program do pracy w takim etc... bo to znaczy w poczuciu własnego obowiązku urzędnika-obywatela więcej niż wszelkie instrukcye, bo te znajduje on we własnem sumieniu.

Rok 1803 stanowi chwilę już trochę korzystniejszą dla podjęcia szerszych usiłowań. Jak już wzmiankowałem od r. 1800 istniało w Warszawie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, zyskujące coraz więcej członków i cieszące się ogólną popularnością. Sam Czacki, przed mianowaniem go wizytatorem szkół, był w Warszawie na posiedzeniu Towarzystwa w dniu 5 maja i słyszał odczyt biskupa krakowskiego, a raczej wtenczas jeszcze kanonika Woronicza o literaturze polskiej. I już jego sprawozdanie listowne Kołłątajowi pokazuje, jak się wtenczas na nowo zaczął budzić duch narodowy: „Posiedzenie publiczne było bardzo liczne i świetne, a mowę ks. Woronicza płacz wielu przerywał. Wznosi

się duch publiczny, mogiła Ojczyzny jest tym ołtarzem, na którym wdzięczna ręka Polaka kwiaty składa“.

Przemówienie ks. Woronicza, które tak poruszyło publiczność warszawską, jest znakomitą rozprawą o pieśniach narodowych, w której na początku przedstawił on zamiar Towarzystwa, pielęgnowanie języka i tradycyi narodowych: „Lecz nie osobiste popisy“, powiada, „nie chlubne poklaski są duszą i ogniwem związku naszego. Przedmiotem jakichkolwiek prac i usiłowań naszych jesteście wy wszyscy, szanowni rodacy, wasze dzieci i pokolenia, wszyscy mieszkańcy tej ziemi, którzy ją niegdyś z ojcami naszymi piersiami ograniczyli, znojem uprawili i wysłużoną własnością swoją nazwali“. A potem, przedstawiwszy cały wzrost poezyi polskiej, kończy wezwaniem do zachowania tradycyi narodowej w rodzinach i odzywa się do Polek: „Ale cóż te zachęty i usiłowania nasze pomogą, jeśli ty, druga narodu naszego połowo, wy szanowne matki i do tej godności wzrastające dziewice, jeśli wy zapomnicie choć na moment, że jesteście Polkami! Los tych pokoleń, w których ducha narodowego przelać usiłujemy jest w rękach waszych. Jakim naprzód do nich językiem przemówicie, jakiem je uczuciem natchniecie, jaką im granicę sławy określicie, tacy z nich będą obywatele!“. Można powiedzieć, że te dwa ustępy, które przytoczyłem, są niejako natchnieniem, które pobudziło odrazu u Czackiego pewną myśl konkretną, gdy równocześnie na tem właśnie zebraniu dowiedział się, że jest mianowany wizytatorem i że otwiera się dla niego pewna sposobność pracy około wychowania narodowego.

Ciekawą jest rzeczą, z jakiem przygotowaniem przystępował ten urzędnik obywatel do dzieła podniesienia poziomu wychowania w powierzonych sobie ziemiach, i jak braki swego przygotowania rozumiał i uzupełnić się starał. Według własnego jego przedstawienia nie miał Czacki zupełnie wykształcenia specyalnie pedagogicznego, nie był nawet wychowany w szkołach publicznych, ale całe swe wykształcenie zawdzięczał nauczycielom prywatnym i własnej pracy w bibliotece Załuskich w Warszawie. To też w liście do Kołłątaja pyta go o radę i pisze: „Wyznaczony do urządzenia szkół, poszedłem w nieznaną drogę dla mnie; oddany dawniej nie wielu rodzajom nauk — teraz badać mam o wszystkich, uczywszy się przypadkowo — stanowić mam o systemie nauk! Jest to rzeczą trudną, pożyczam środków od prostego rozsądku“. Ach, jakaż to jest

nauka dla urzędnika-biurokraty, taki urzędnik, który pożycza sobie środków od prostego rozsądku!) „A gdzie niestaje oświeconej wiadomości własnej, tam chcę się sam uczyć, a ten, co pierwszy Szkołę Główną wizytował, ten, co doświadczenie łączy z teoryą — nie odmówi mi wsparcia".

Znowu jaka nauka dla urzędnika-biurokraty, dumnego z tego, że posiada swoje instrukcye i c. k. paragrafy i czuje swoją wyższość nad innymi. Ten urzędnik-obywatel, któremu wewnętrzny głos powiada, że powinien na nowo zorganizować system wychowania, on się nie wstydzi pożyczać środków od rozsądku, a gdzie ten ustaje, tam usiłuje się uczyć sam i udaje się do jedynego człowieka w Polsce, który mógł uczyć, do jedynego człowieka, wobec którego nawet tak wielki mąż stanu, jak Czacki, mógł być uczniem, t. j. do Hugona Kołłątaja.

Ale od samego początku ten urzędnik-obywatel, żyjący ze społeczeństwem, odczuwający wszystkie jego braki i niedostatki, wie dobrze do czego zmierza, on wie, jakich ludzi chce wykształcić w tych szkołach, on potrzebuje pedagoga tylko, ażeby mu podał środki umiejętne do osiągnięcia tych celów. „Nauki pragnę mieć spospolitowane", pisze, „nauki potrzebniejsze chcę mieć stosowane wszędzie, od szkoły głównej do parafialnych szkółek".

Odrazu więc obejmuje wychowaniem wszystkie warstwy. Trzy nauki: ogrodnictwo, mechanikę praktyczną i sztukę weterynarską chce mieć wszędzie uczoną i odrazu przedkłada plan swój założenia ogrodu wielkiego w Winnicy, a mniejszych przy każdej szkole lub szkółce na całym obszarze trzech prowincyi. Zeszedł się potem z Kołłątajem, który mu miał w sposób umiejętny podać środki dokonania tego celu, który sobie zamierzył i znowu na wszystkie tony mówi Kołłątajowi, że z całego wychowania chce mieć praktyczny rezultat. Jeśli mają być szkoły, to na to ażeby wszystkie warstwy obywateli korzystały z nich dla uzupełnienia swoich codziennych obowiązków. Powiada: „Zamiar mój jest zaprowadzić wszystkie potrzebne nauki po gimnazyach tych trzech gubernii, jakoto: języki, literaturę, historyę i geografię, historyę naturalną, botanikę, ogrodnictwo i rolnictwo, chemię, chirurgię, konowalsto, etc.

Tak samo, jak program działania znalazł Czacki w etc. instrukcyi rządowej, tak środki do wykonania swoich planów znajduje w pozwoleniu cesarza Aleksandra do zbierania składek publicznych. Nie układa petycyi do rządu, nie chodzi mu o to, ażeby wyprosić, wyżebrać od władz centralnych środki na to, co jest potrzebne do podniesienia poziomu całego społeczeństwa i wychowania generacyi późniejszej. — Ks. Adam Czartoryski, który także doradzał Aleksandrowi I, nie jako urzędnik, tylko jako obywatel [1]), on w tem jednem postanowieniu widział całą przyszłość akcyi na gruncie narodowym i dlatego nie żądał od rządu rosyjskiego niczego więcej, tylko, żeby obywatelom wolno było własnemi siłami ponosić te koszta, które są potrzebne do zaprowadzenia nowego systemu edukacyi.

Na przyszłość też Kołłątaj i Czacki dzielą całą pracę niejako pomiędzy siebie. Podczas gdy całą prawie część jej edukacyjną, pedagogiczną obejmuje Kołłątaj, to całą pracę pobudzenia obywatelstwa wołyńskiego i podolskiego, obudzenia zainteresowania publicznego, nietylko pomiędzy szlachtą, ale i pomiędzy mieszczaństwem, pomiędzy żydami, podejmuje Czacki. Jeździ z sejmiku na sejmik, odwiedza wszystkie główne miasta, rozprawia z kahałami, a wszystko w tym celu, ażeby przedstawić, że to, co on zamierza, ta nowa organizacya wychowania jest w łącznym interesie wszystkich warstw społeczeństwa. Zagrzewa do dzieła i rzeczywiście usiłowania jego odnoszą skutek zupełnie niespodziewany. Ofiarność obywatelstwa przeszła wszelkie oczekiwania.

Żeby nie wdawać się w szczegóły wymienię tylko, że ogólna cyfra rocznego dochodu Liceum wynosiła w roku 1816 245.009 złp. z czego sami mieszkańcy ziem okolicznych z dobrowolnych ofiar składali 162.000 złp. Ażeby dać jakiekolwiek wyobrażenie, co te cyfry znaczą, zrobiłem odpowiednie porównania wartości pieniędzy wówczas a teraz, uwzględniając o ile ceny produktów i utrzymania są teraz wyższe — i z tych wszystkich kombinacyi otrzymałem rezultat, że ów roczny dochód Liceum Krzemienieckiego — na dzisiejsze stosunki przedsta-

[1]) Nowosilcow w raporcie urzędowym wyraził się o Czartoryskim z powodu jego działalności na polu edukacyjnem: „Ten człowiek opóźnił o lat sto zrusyfikowanie krajów zachodnich".

wiałby wartość 160.000 zlr. austryackich, z czego jakie 110.000 zlr. rocznie wpływało z dobrowolnych składek. Widzimy więc, że zaufanie tego obywatela-urzędnika do ofiarności obywatelstwa nie zostało zawiedzione.

Usiłowania około założenia szkoły Krzemienieckiej zaczynają się od r. 1803 a szkoła weszła w życie 1-go października 1805 r. W organizacyi tej szkoły już nie widzimy pierwotnego układu dawnej Komisyi Edukacyjnej dlatego, że Kołłątaj, zniósłszy się z Janem Śniadeckim, przyszedł wraz z nim do przekonania, że ten pierwotny zarys Komisyi Edukacyjnej z r. 1773 był w niektórych szczegółach błędnym i skorzystał z tej sposobności, ażeby te pierwotne błędy usunąć. „System publicznego wychowania" podnosi w jednym z listów do Czackiego „jest tak ważny i trudny do wykonania, że najlepsze cele Komisyi Edukacyjnej nie mogły przynieść tak prędko zamierzonych pożytków, jakich się spodziewać należało". I potem, tak on, jak Śniadecki wyliczają cały szereg tych usterek, z myślą, aby obecnie, przy reorganizacyi systemu wychowania w trzech guberniach zachodnich, ustrzedz się tych błędów. „We wszystkich projektach jakiejkolwiek reformy", powiada Kołłątaj, „mam sobie za prawidło, aby podnosząc nową budowę dawnych nie obalać". I przedstawia, jak jego własne doświadczenie w ciągu lat 11, w których dzieło Komisyi Edukacyjnej się tworzyło, naprowadziło go na tę nową drogę: „Wówczas przed Komisyą Edukacyjną stało zadanie nowe, nie mające znikąd gotowego wzoru, musiało być czerpane z uwag nad potrzebami kraju, dla którego zaprowadzone było". „Ale" powiada, „ówczesny duch anarchii do najwyższego posunięty stopnia, i tyle innych pobocznych przyczyn, o których próżnoby teraz mówić, sprawiły, że Komisya Edukacyjna, gorliwa i śmiała w swych czystych widokach, była zbyt nieśmiałą w wykonaniu onych, a musiała się pasować na każdym Sejmie z nieoświeceniem, z uprzedzeniami i z rozprzężeniem wykonawczego rządu, który zamiast pomagać, przeszkadzał wszędzie". Otóż tych wszystkich błędów, tych wszystkich wad, dostrzeżonych 11 letniem doświadczeniem, postanowił Kołłątaj uniknąć w planach nowej organizacyi.

Przystępuję teraz do opisania organizacyi szkoły krzemienieckiej. Dzieliła się ona na dwa oddziały: niższy czteroklasowy, w którym uczono się przeważnie języków i niektórych nauk elementarnych, t. j. geografii, arytmetyki i nauki moralnej i kurs

wyższy, trwający lat sześć, w którym przedmioty podzielone były prawie w równym stosunku pomiędzy przedmioty matematyczno-przyrodnicze i nauki moralne. Uczono więc na wyższym kursie matematyki, fizyki, chemii i nauk przyrodniczych z jednej strony, a obok tego w każdym kursie wykładano jaki przedmiot równej doniosłości, ale z zakresu nauk moralnych, więc historyę, naukę prawa i naukę literatury. Kurs cały trwał zatem 10 lat. Jest to o wiele więcej, aniżeli kurs obecnego gimnazyum. Ale trzeba pamiętać, że i Kołłątaj i Czacki przypuszczali wstęp chłopców w młodszym wieku, aniżeli się obecnie przypuszcza do gimnazyum tak, że te niższe klasy poniekąd obejmowały naukę w tym stopniu, w jakim się teraz udziela w wyższych klasach szkół ludowych. Wiek normalny bowiem, w którym przyjmowano chłopców, był mniejwięcej rok ósmy, tak, że ta niższa nauka języków, a mianowicie języka polskiego, łacińskiego, rosyjskiego, francuskiego i niemieckiego, wraz z innymi przedmiotami elementarnymi obejmowała czas aż do skończonego dwunastego roku życia chłopca. Potem zaczynała się dopiero właściwa nauka fachowa. Ta fachowa nauka, jak już wskazałem, od razu zaznaczała się pewną równowagą nauk matematyczno-przyrodniczych i nauk historyczno-moralnych.

Wystarczy porównać plan godzin przepisowych przez Kołłątaja z teraźniejszymi planami gimnazyów austryackich, ażeby pokazać, do jakiego stopnia ten plan szkoły Krzemienieckiej był bardziej nowożytnym, aniżeli obecny plan gimnazyów austryackich, do jakiego stopnia on bardziej uwzględniał te nauki matematyczno przyrodnicze, które są cechą właśnie czasów nowożytnych i które stanowią właśnie to, czem się czasy nowożytne różnią najbardziej od czasów dawnych. A jednakowoż nie było to połączone z żadnym uszczerbkiem nauk historycznych, językowych i moralnych.

Uczniowie, przygotowani do rozumienia języka w czterech klasach niższych, znajdowali w wyższych już nie samą naukę, ale kurs literatury języka łacińskiego, greckiego, niemieckiego i francuskiego. Widzimy więc, że to, co jest pobożnem życzeniem pedagogów obecnych w Niemczech i Austryi, ażeby system nauczania języków klasycznych nie był tylko suchą pedanteryą filologiczną i gramatyczną, ale żeby prowadził do poznania literatury tych narodów starożytnych — że to było już

w samej zasadzie planu organizacyjnego w Krzemieńcu. Oddzielono tam naukę języka, jako takiego, od nauki literatury, dla poznania której przeznaczono sześć lat późniejszych, w których chodziło już nie o formy językowe, ale o zasoby cywilizacyjne każdego narodu. Obok starożytnych, brano równie gruntownie języki nowożytne francuski i niemiecki, wtenczas bezwzględnie potrzebne, ażeby być wykształconym człowiekiem, ażeby stać na wysokości czasu, ażeby uczestniczyć w tych nowych prądach myśli i światła, które się objawiały w Europie.

Ze względu na przynależność do państwa rosyjskiego, trzeba było dodać język i kurs literatury rosyjskiej, chociaż sam Kołłątaj dziwi się temu i pisze: „wiem, że kurs literatury jest bardzo pożyteczny tam, gdzie ona istnieje — ale wykład literatury tylko na to, ażeby pokazać brak jej istnienia, w tem nie widzę żadnego pożytku“.

Gdybyśmy obecnie taki plan nauki literatury przeprowadzić mieli, to prawdopodobnie wzięlibyśmy zamiast rosyjskiej angielską, bo obok starożytnych, francuska, niemiecka i angielska są potrzebne dla każdego, który się chce zoryentować w obecnym stanie myśli w Europie. Widzimy więc, że studyum języków było już w samem założeniu tak zorganizowane, że doprowadziło do rezultatów najbardziej dodatnich.

Ale oprócz tego była w tem gimnazyum Krzemienieckiem nauka historyi w znaczeniu najwznioślejszem, czego rękojmię daje imię Kołłątaja, który w poglądach swych stał na wysokości swego i naszych czasów. Ale mamy także w statucie organizacyjnym naukę prawa, ekonomii politycznej, całej juryzdykcyi cywilnej i kryminalnej i naukę o stosunkach krajowych, której dotychczas niema w naszych gimnazyach, a która właśnie była potrzebną, ażeby uczniom, wychodzącym z tej szkoły i mającym później brać udział w życiu prywatnem i autonomicznem, dać te wiadomości, które są koniecznie potrzebne dla każdego obywatela. Widzimy więc, że w programie nauk moralnych, nie przyrodniczych, już jest pewna wyższość nad programem naszych szkół średnich.

Wyższość ta jest bez porównania jeszcze większą, jeśli się zastanowimy nad całą organizacyą nauk matematyczno-przyrodniczych. Nietylko, że Kołłątaj z nadzwyczajną skrzętnością starał się wyszukiwać najlepszych nauczycieli i profesorów, że za poradą Śniadeckiego sprowadził z Krakowa uczonego astronoma

i matematyka, Józefa Czecha, na dyrektora szkoły i Szeita, znakomitego przyrodnika, także z dawnej rodziny krakowskiej, który założył pierwsze laboratoryum chemiczne w Krzemieńcu, zorganizował ogród botaniczny i nadał całemu szkolnictwu w przedmiocie nauk przyrodniczych ten ton wysoki, który później panował w Krzemieńcu. Ale widzimy, że od samego początku nauka przedmiotów przyrodniczych była oparta na jedynej racyonalnej podstawie, t. j. na ogrodzie, zbiorach wszelkiego rodzaju, muzeach dla botaniki i t. d. Był tam wielki ogród botaniczny, cieplarnia, wielkie laboratoryum chemiczne i fizyczne i zbiór najrozmaitszych modeli dla mechaniki. Wykładał znakomity profesor mechaniki praktycznej Zaleski, który także udzielał nauki już bardziej skierowanej do celów praktycznych.

Widzimy wszędzie tę dążność cechującą męża stanu, człowieka praktycznego, który chce z tych ciężko poniesionych przez obywatelstwo ofiar jakichś namacalnych skutków i rezultatów, który wie, że *jedynym sposobem osiągnięcia jak największych rezultatów jest hojność w dostarczaniu wszystkiego, co jest potrzebnem.* Widzimy, że szkoła Krzemieniecka była tak uposażona we wszystkie środki pomocnicze dla nauk przyrodniczych i eksperymentalnych, jak teraz chyba jaki uniwersytet, a i teraz nie mamy przykładów, ażeby jakiekolwiek teraźniejsze gimnazyum mogło się pod względem zasobów choć w przybliżeniu mierzyć z zasobami, które szkoła Krzemieniecka, czyli tak nazwane „Gimnazyum Wołyńskie", już przed 90 laty posiadała. Na jeden jeszcze szczegól zwrócić należy uwagę, a mianowicie, na zaczerpnięte z kosztorysu dane, co do wysokości pensyi profesorów, z uwzględnieniem ówczesnej wartości monety. Rektor szkoły Krzemienieckiej pobierał 1.000 rubli srebrnych; co na dzisiejsze stosunki, uwzględniwszy zmianę wartości monety i podrożenie środków utrzymania, równa się mniej więcej 5.000 złr. — zdaje mi się więcej, niż dyrektor jakiegokolwiek gimnazyum austryackiego. Nauczyciel języka polskiego pobierał 500 rs. tj. 2.500 złr. — zdaje mi się, że we Lwowie niema nauczyciela języka polskiego z równą płacą. Nauczyciele matematyki wyższej, chemii i fizyki pobierali po 660 rs. (mniejwięcej 3.000 złr.), a więc kwotę przewyższającą znacznie obecne płace profesorów gimnazyalnych.

Chcąc stworzyć zakład skutecznego wychowania odrazu postanowiono uposażyć go w najlepsze

siły i w najlepsze zasoby, na tej jedynej podstawie wszelkiej użytecznej pracy, że należy coś zrobić dobrze albo wcale nie robić, i że lepiej zrobić jedną rzecz dobrze, niż dziesięć rzeczy źle.

Nie mogę wchodzić w wiele innych szczegółów, które pod względem pedagogicznym byłyby nadzwyczaj interesującymi, jak np. nader ważne poglądy Czackiego i Kołłątaja na konwikty. Byli oni nieprzyjaciółmi zasady konwiktów, w których się gromadzi ogromna ilość młodzieży pod jednym dachem, ale z drugiej strony, nie dopuszczali systemu umieszczania uczniów na stancyach prywatnych bez żadnego dozoru. Przeciwnie, jednem z najważniejszych zadań dyrektora było wybieranie stancyi, zorganizowanych dla 6—8 uczniów, ze wspólnym stałym korepetytorem. Przez to pensye prywatne ujęte zostały niejako w system, stojący pod dozorem władzy szkolnej. Wiele też nadzwyczaj ważnych szczegółów znajdujemy w organizacyi samego budynku, mieszkań nauczycieli, wspólnego stołu dla nauczycieli i profesorów nieżonatych, którzy mieszkali w samym budynku szkolnym, w urządzeniu wreszcie całej rutyny szkolnej.

Cechą nadzwyczaj ważną i zasadnicze znaczenie posiadającą, jest to, że w Krzemienieckim planie sama nauka bardzo mało godzin zajmowała i że uzupełnianą była korepetycyami i ćwiczeniami rzeczywiście ujętemi w ścisły system. Z reguły nauka szkolna trwała tylko dwie godziny rano i dwie godziny po obiedzie. Dwa zaś popołudnia we wtorek i czwartek były zupełnie wolne. Było więc w Krzemieńcu daleko mniej godzin szkolnych, niż obecnie w szkołach średnich, z tą dalszą różnicą w planie, że na niektóre przedmioty mianowicie przyrodnicze, przeznaczano dwie po sobie następujące godziny. To umożliwiało nauczycielowi daleko dokładniejsze kontrolowanie postępów uczni i zostawiało wiele czasu do wyłożenia nowej lekcyi. Pracę profesora głównego, który był zawsze doskonałą siłą naukową, ułatwiała pomoc dwóch korepetytorów. Mianowicie, chłopiec powróciwszy ze szkoły do domu, zaraz za świeżej pamięci musiał domowemu nauczycielowi powtórzyć lekcyę, dopiero co wyłożoną, wraz ze wszystkiemi objaśnieniami, czy ją należycie zrozumiał, co mu rzecz znakomicie utrwalało w głowie, tak, że potem tylko przedmiot powtórzył i już go umiał dobrze, głównie z wykładu. Znowu przed wykładem następnym pomocnik profesora w szkole kontrolował, czy chłopcy nauczyli się lekcyi ostatniej — tak, że

profeser główny, uwolniony od drobiazgowej kontroli, mógł się zająć z całą intenzywnością postępem samego przedmiotu i eksperymentami.

Podziwiać rzeczywiście trzeba tę niezmordowaną cierpliwość, z którą się Kołłątaj poświęcił najszczegółowszemu opracowaniu planów zakładu, od samego budynku, od samego ubioru i żywienia i innych rzeczy drobniejszych do najważniejszych urządzeń.

Przystąpię teraz do zastosowania dla chwili obecnej. Śmiało mogę powiedzieć, iż pomimo, że kraj nasz jest uszczęśliwiony teraz statutem organizacyjnym austryackim z r. 1849, który ma być niby najidealniejszym statutem wychowania w Europie, do którego w ostatnich czasach i Prusy się zbliżyły, to jednakowoż nasze dawne tradycye, nasz dawny plan zorganizowany przed 90 laty stał wyżej, niż te teraźniejsze, najnowsze koncepcye pedagogów niemieckich. Nietylko więc, co z dumą podnosimy, praca naszej Komisyi Edukacyjnej wyprzedziła inne narody, ale co z niemniejszym naciskiem podnieść należy, i naród odrazu zrozumiał, że los przyszłych pokoleń zależy w wysokiej mierze, od należytej organizacyi wykształcenia i wychowania publicznego. Na tej drodze także wyprzedziliśmy inne narody — nie naszą teraz jest rzeczą uczyć się od tych, którzy jeszcze nie doszli tak daleko, jak my już przed 90 laty stanęliśmy — ale powrócić do tego źródła prawdziwego natchnienia narodowego i tam nawiązać, gdzie przodkowie nasi przed wiekiem przestali. Bo w życiu każdego narodu, walczącego o swój byt, o swoje istnienie, jest jedna rzecz, która nie odnosi się do żadnego szczególnego przedmiotu, ale jest ważniejsza od wszystkich innych poszczególnych czynników życia narodowego. Jest nią samowiedza narodowa, poczucie posłannictwa dziejowego, znajomości historyi swego narodu i to poczucie wyższości wobec obcych, które każdy naród silny, energiczny posiadać powinien. Nie jestem apostołem ślepego szowinizmu. I Śniadecki i Kołłątaj i Czacki często podnoszą, że powinniśmy pracować na podstawie natchnienia narodowego i nie oglądać się na cudze wzory. I oni wzorowali się na obcych, ale mieli odwagę tworzyć i tam, gdzie nie było jeszcze wzorów.

Wszystkie wielkie narody historyczne łączyły

te dwa przymioty: tj. poczucie narodowe z chęcią, ze skwapliwością uczenia się od innych, wiedząc, że zachować mogą swoją wyższość jedynie wtedy, jeżeli, nie wyrzekając się własnej oryginalności, zechcą czerpać jak najobficiej ze skarbnicy wiedzy powszechnej. Przywiązywanie wielkiej wagi do zachowania i rozwijania tego poczucia wyższości narodowej w tem się także różni od ślepego szowinizmu, że jest tylko praktycznem ujęciem tezy, znanej w naszej literaturze, że każdy naród ma pewne posłannictwo historyczne do spełnienia. Ze specyalnego charakteru, temperamentu, kierunku uczuć i historyi każdego żywotnego narodu wypływa konieczność, że mierząc wszystko miarą swoich aspiracyi, musi się czuć wyższym od innych narodów. Bo przecież, jeśli on jest stworzonym do wykonania pewnej misyi, to dlatego, że posiada właśnie ku jej urzeczywistnieniu pewne specyalne przymioty, i dlatego naród, który nie czuje się wyższym od innych, nie posiada swego posłannictwa, albo nie odkrył go w sobie.

Anglik będzie czuł wyższość Anglika: mierząc miarą właściwej sobie praktyczności, nie znajduje narodu równego swemu. Niemiec, przykładając do swojego narodu miarę rozwoju myśli oderwanej, będzie również czuł wyższość jego nad innymi. — Ale dla nas ta miara nie wystarcza. Nie mamy ani zdolności ani zamiłowania do filozofowania. T r e ś c i ą n a s z e j i s t o t y s ą u c z u c i a i d ą ż n o ś c i o b y w a t e l s k i e. Tą miarą mierząc, każdy Polak musi czuć swoją wyższość nad innymi narodami, jeśli tylko w właściwym sobie kierunku pracuje. Pogląd ten da się najlepiej objaśnić pewnemi wyobrażeniami, które znalazły dość nieuchwytne i ciemne echo w Towiańszczyźnie, a są nadzwyczajnie jasno i dobitnie wyrażone w prelekcyach Mickiewicza. Mickiewicz wskazuje, że ile razy narod polski ulegał wpływom obcym, ile razy nie powodował się własnem natchnieniem, tyle razy widać w całej literaturze pewne poczucie niższości i słabości. Przedstawia on mianowicie, jak w czasach podziałów Polski, nawet za Sejmu Czteroletniego, kiedy była chwila, w której Polska się jakby odradzała — w literaturze polskiej nie było znać tej wyższości, któraby pozwoliła porównać ją ze współczesną poezyą rosyjską. Wykazuje, jak ton Dzierżawina jest wyższy od nastroju Karpińskiego, Trembeckiego, Węgierskiego i wszystkich poetów augustowskich.

Naród, kroczący na drodze wyznaczonej mu misyą historyczną, czerpie ze swojego natchnienia ten wyższy ton, o którym piszą Towiański i Mickiewicz; naród zaś naśladujący, już tem samem naśladowaniem wyznaje swoją niższość i tem samem, ton jego staje się niższym. Za poczuciem niższości idzie uległość. Na powrocie do czystych źródeł natchnienia narodowego, na nawiązaniu do tych prac zbiorowych wielu generacyi, które nam zostawiły w spadkobierstwie: tradycye, myśli, wyobrażenia i cele, — opiera się poczucie wyższości narodowej. Powrót do tych tradycyi będzie najlepszym puklerzem przeciwko wpływom wszelkich myśli obcych, niezgodnych z kierunkiem rozwoju społeczeństwa polskiego.

Czem się więc cechuje na polu wychowania i wykształcenia ten ton specyalny, ten kierunek odrębny wykształcenia w narodzie polskim? Tem samem, czem się cechuje praca polityczna polska na wszystkich innych polach, tj. specyalnem ujęciem myśli obywatelskich. Przytoczę tutaj parę ustępów, w których Kołłątaj tłómaczy, dla kogo on swoją szkołę Krzemieniecką organizuje: „Chciałbym“ pisze, „mieć dobrych urzędników“. Na pozór jest to zupełnie to samo, co znajdujemy n. p. w Niemczech, gdzie uniwersytet ma wydawać cały szereg ludzi specyalnych: teologów, lekarzy, sędziów, urzędników i t. d. Ale zobaczmy co on rozumie pod nazwą dobrego urzędnika: „W liczbie urzędników, których obywatele dobrowolnie wybierają, nie należy wyobrażać sobie osób jedynie stanu szlacheckiego. Miasta wolne zachowane są przy tejże samej prerogatywie, a ich nędza ich obrzydliwa postać najwidoczniejszym jest owocem nieoświecenia mieszkańców. Nigdy miasta tutejsze z swych ruin i z swej radykalnej nikczemności powstać nie zdołają, póki się niedochowają urzędników i obywateli oświeconych, którzy jedni do urzędu, drudzy do wielorakiego gatunku przemysłu zdolnie braćby się mogli“.

Używając słowa urzędnik, mysli Czacki nietylko o biurokracyi, ale o samorządzie obywatelskim i o tych urzędnikach, wybranych przez szlachtę w powiatach, przez mieszczaństwo w miastach, o tych wszystkich wreszcie obywatelach, którzy potrzebują oświecenia, ażeby mogli wykazać swe rzemiosło lub przemysł, swoją pracę produktywną wogóle, w sposób oświecony. „Te uwagi prowadzą prosto do wniosku, że każde gimna-

zyum gubernialne powinno być tak urządzone, aby w niem nabywać można wszelkie nauki i umiejętności, które są nieuchronnie potrzebne do dobrego oświecenia wszystkich klas obywateli. Nie masz żadnego obowiązku w społecznem życiu, któregoby nie należało umiejętnie i trafnie dopełnić“. Z określenia tego widać, że to jest człowiek patrzący się na dobro wszystkich stanów i warstw narodu. „Gruba niewiadomość o swoich powinnościach jest źródłem wszystkiego złego“. Przyczynę podstawową niskiego stanu cywilizacyi i oświaty upatruje, w nieświadomości i fałszywem wychowaniu.

System swój i cel wychowania, z równoczesnem uwzględnieniem realiów i przedmiotów klasycznych, objaśnia dalej w ten sposób. „Na tem się ukończy w gimnazyum edukacya wszystkich uczniów z powinności“, dla których ona ma stanowić przygotowanie do życia „bo wyliczone kursa są istotnie potrzebne w życiu prywatnem i publicznem każdego, dobrze wychowanego obywatela. Należałoby więc życzyć, ażeby młodzież ani do palestry, ani tem bardziej do żadnych urzędów braną nie była, póki nie odbędzie dziesięcioletniego kursu nauk z powinności. Bez znajomości bowiem prawa natury, prawa politycznego, i prawa narodów, bez znajomości ekonomii politycznej tudzież ustawodawstwa krajowego, żaden dobrze edukowany obywatel obejść się nie może. — Znajomość znowu literatury prowadzi każdego oświeconego człowieka do zamiłowania się w naukach, do formowania się na dobrego pisarza, a najbardziej do uchronienia się od pedantyzmu, wady największej, która odstrasza resztę ludzi od obcowania z uczonymi, nie umiejącymi położyć granic w tonie, z którym udzielać zwykli swoje nabyte wiadomości“.

„Przykładanie się zaś do innych nauk należeć będzie do powinności szczególnej niektórych, albo do roboty dobrowolnej tych, których gust lub potrzeba do tego zachęca“. — A więc oprócz tego ogólnego wykształcenia z powinności, miał Zakład Krzemieniecki dawać jeszcze sposobność pobierania całego szeregu nauk nie dla wszystkich, ale tylko dla tych, którzy mają specyalne zdolności i chęci.

W takim planie zaznacza się to ujęcie myśli obywatelskiej i przekonanie, że wychowanie powinno przedewszystkiem kształcić obywateli na wszystkich polach pracy społecznej. Przez to pojęcie cały ten system nadaje się

o wiele bardziej do wychowania narodu wolnego, kierującego się samorządem — a nie narodu, rządzonego przez jakąś wyższą opatrzność biurokratyczną, za pomocą szeregu najrozmaitszych kategoryi urzędników. Na takich podstawach oparty naród zbliża się bardziej do ideału nowożytnego, tj. do uzacnienia obywateli i podniesienia pracy produktywnej.

Obywatelskiem pojęciem zadań wychowania zbliża się system krzemieniecki do potrzeb nowożytnego społeczeństwa, gdzie głównem zadaniem jest wykształcenie całej ogromnej armii producentów, ażeby w każdym losie życia, gdziekolwiek postawieni — mówiąc słowami Kołłątaja — każdy obowiązek wykonywali światle i umiejętnie.

Jakkolwiek brak nam do dziś szkoły tak wzorowo urządzonej, jak Krzemieniecka, nie możemy jednak poprzestać na naśladowaniu wzorów z przed 90 lat. Jedynem celem godnym tych, którzy chcą wstępować w ślady dziadów naszych, posiadających odwagę tworzenia tam, gdzie Europa nie dawała wzorów — jest nie kopia, ale stworzenie nowej organizacyi, o tyle wyższej od wszystkich nowoczesnych organizacyi europejskich, o ile tamta była wyższą od współczesnych. To jest ambicya jedynie godna kontynuatorów twórczego pokolenia z pierwszej ćwierci mijającego wieku.

Od tego czasu wiele się zmieniło. Czytając uwagi Kołłątaja i Czackiego nad chemią, nad fizyką, nad naukami przyrodniczemi, zdumiewać się trzeba, że przed 90 laty zdołali oni w tym stopniu zrozumieć niesłychaną doniosłość tych nauk dla społeczeństwa nowożytnego, w czasie kiedy chemia była jeszcze w dziecińRstwie, kiedy fizyka, elektryka nie wychodziły poza zakres ciekawych spekulacyi filozofów, a ta ostatnia nie miała, jeszcze za wyjątkiem piorunochronów — praktycznego zastosowania. O ileż większy nacisk położyliby twórcy szkoły krzemienieckiej na doniosłość laboratoryów chemii i fizyki obecnie, w czasach tak olbrzymiego ich rozpowszechnienia i zastosowania praktycznego.

Obecnie również możnaby nadać całemu wychowaniu kierunek bez porównania bardziej odpowiadający charakterowi polskiemu. Chcąc krótko wyrazić różnicę usposobienia Niemca i Polaka, powiedziałbym, że Niemcy posiadają geniusz analizy a Polacy geniusz syntezy, tj. że Niemiec musi nadzwyczajnie cierpliwą pracą pokonywać naprzód trudności, by

po mozoleniu się wieloletniem, z tych szczegółów przejść do pojęcia ogólnego. Polak przeciwnie — trzeba go zainteresować w ogólności, pokazać przedmiot cały, zagrzać go i wtenczas własną zdolnością, własną pracą pokona te szczegóły. Ale cały system wychowania musi być też inny, bo zamiast przechodzenia od szczegółów do całości — my powinniśmy zaczynać od całości i dopiero za wpływem rozbudzonego zainteresowania się całością starać się o opracowanie szczegółów. Z tego zasadniczego pojęcia wynikać powinna ogromna zmiana w całym obecnym systemie udzielania nauki.

Jest jeszcze jedna okoliczność bez porównania ważniejsza, tj. że niema nic, coby narody bardziej dzieliło, nad różnicę narodów czynnych i narodów biernych. Cały teraźniejszy system wychowania jest tylko jednym ciągiem tamowania i przytłumiania wrodzonych instynktów i chęci czynu chłopca polskiego, podczas kiedy on powinien być pielęgnowaniem wszystkich zarodków czynności. Nie wolno nam wytwarzać charakterów biernych, bo w walce o niepodległość, o odrodzenie narodu, te wszystkie bierne charaktery, chociażby były niewiedzieć jak uczone są niczem, są zerem po prostu. My, powinniśmy wykształcać obywateli czynnych, a do tego prowadzi zupełnie inny system wychowania, uwzględniający w wyższym jeszcze stopniu to, co było charakterystycznem w układzie Czackiego, tj. praktykę w muzeach, laboratoryach, na polu i w warsztatach mechanicznych. Wszystko to już było w zawiązku w Krzemieńcu. Nowa szkoła, kształcąc czynność, wytwarzając nowe charaktery, powinna w tym kierunku dalej pójść, niż Czacki mógł to zrobić przed 90 laty — a w ten sposób stworzylibyśmy szkołę o wiele wyższą, od jakiejkolwiek innej szkoły, obecnie istniejącej za granicą.

Na zakończenie przedmiotu podnieść należy jedną jeszcze okoliczność, nastręczającą pole do rozmyślań i na pozór smutną. Jest nią fakt, że dzieło Czackiego, tak samo jak dzieło naszego wychowania na Litwie, uniwersytet wileński — to wszystko zginęło w zawierusze powstania r. 1831.

Żaden jednak prawdziwie i głęboko patrzący historyk nie wypowie zdania, że cały ten kierunek pierwotnego wychowania naukowego i przyrodniczego upadł jedynie skutkiem tej kata-

strofy społecznej. Widzimy bowiem, że już wcześniej na uniwersytecie wileńskim, w początkach tworzenia się naszej poezyi romantycznej — ten kierunek dawniejszy naukowy i przyrodniczy, kierunek Śniadeckich i Kołłątaja, bez przyczyn politycznych zaczyna cofać się niejako przed innym kierunkiem — że powstaje jakiś inny, nowy duch, który około r. 1822 znajduje wyraz w naszej poezyi romantycznej.

Zmiana kierunku w wieku XVIII na wiek XIX nastała w całej Europie. Ów ruch pierwotny, oparty na filozofii przyrodniczej Lockego, Condillac'a, Girarda, z których Kołłątaj i Czacki obficie czerpali, cofa się przed ruchem nowym, zaczynającym się w Niemczech. Tam powstaje filozofia idealizmu, opierająca się nie na zmysłach, ale na intuicyi, zaczynająca się nie od praktyki, eksperymentu i indukcyi, ale od rozumowania; gdzie celem ostatecznym społeczeństwa nie jest szczęście materyalne wszystkich jego członków — ale jakaś nieuchwytna doskonałość. *Duch ludzki zmienił przedmiot swojego zainteresowania. Zamiast przyrodą, zainteresował się głównie człowiekiem — jego duszą.*

Ten nowy kierunek znalazł świetną reprezentacyę w naszej poezyi romantycznej i w systemie filozofii polskiej, streszczającej się w pismach Cieszkowskiego, Trentowskiego i Libelta.

Otóż trzeba uważać ten przebieg rzeczy jako oznakę, że duch polski kształcił w sobie te dwa bieguny ostateczne każdej myśli ogólnej: jeden punkt wyjścia, który przedstawia wszystko jako pochodzące od przyrody, i drugi który czerpie natchnienie z własnego ducha. Pierwszy kierunek, znalazł najwyższą swoją reprezentacyę w Śniadeckich — drugi, w całej plejadzie wielkich poetów romantycznej epoki.

I przed nami zadanie nowe: nie prosta kopia tego, co było w naszym okresie przedromantycznym i nie prosta kopia, nie dalsze prowadzenie tego, co się już utworzyło w umysłach późniejszych poetów — ale *połączenie realizmu, który panował na początku naszego wieku i tego idealizmu, który był siłą naszej poezyi romantycznej*. Jest to myśl, którą w swej Chowannie Trentowski tak świetnie rzucił, że połączenie realizmu i idealizmu tworzy zupełnego człowieka nowożytnego — człowieka, który pracuje, władając całą potęgą przyrody, i posiada w sobie całe to poczucie obowiązku i sumienia, które cechują człowieka cywilizowanego.

Zdaje mi się, że powinniśmy teraz pogodzić te dwa przeciwne bieguny, które zdawały się wykluczać i które faktycznie się wykluczały. Bo dla Śniadeckiego i wszystkich zwolenników starego kierunku, dla samego Kołłątaja, te pierwsze myśli budzącej się poezyi i nowej filozofii wydawały się szaleństwem bez sensu—i znowu dla przedstawicieli naszej poezyi, dla Mickiewicza, (w późniejszych czasach) dla Krasińskiego wszystkie myśli i plany ekonomiczne wydawały się odszczepieństwem od myśli narodowej.

Połączenie to jednak już od dawna zostało przeczute przez jednego z mniejszych poetów naszych, prawie zapomnianego dla tego właśnie, że przyszedł przed swoim czasem. Jest bardzo ciekawą rzeczą porównać równocześnie prawie ogłoszone w Krakowie Poezye Edmunda Wasilewskiego a Bohdana Zaleskiego, wydane w Paryżu, na ten sam temat, wieczny temat rozmyślań naszych poetów, tj. nad przyszłością narodu. — I jeden i drugi domaga się czynu, i jeden i drugi domaga się cudu. Ale podczas kiedy Zaleski w swoim poemacie „Duch od stepu“ powiada:

„Rozmiłował się w pustyni,
Utkwił w ziemię kij pielgrzymi,
Aż rozkwitnie pańskim cudem“

to Wasilewski inaczej pojmował znaczenie cudu:

„Cudu, ach cudu: — świat woła,
Żeby się z więzów rozkował,
Bo mu potrzeba anioła,
Coby zbawienie zwiastował“.

*

„Tam, lub pod śmierci obuchem
Gdy nad nim nieszczęścia plaga —
Lud, wielki ciałem i duchem,
Cudu się z niebios domaga.
Modli się, żeby odwrócił
Żelazo, co piersiom grozi.
By rozwiać wicher, co mrozi,
Żar modłów z piersi wyrzucił“.

*

„O wielki, znękany ludzie!
Cudem jest własne twe ramię —
Nie modlić się — marzyć o cudzie
Lecz chcieć... chęć wszystko przełamie.

Geniusz cudu nie woła,
Żyby świat z więzów rozkował,
Bo przybrał postać anioła,
Żeby zbawienie zwiastował.

Poezye Wasilewskiego, chociaż wypowiedziane z największą potęgą wiersza, w swoim czasie przebrzmiały prawie bez echa, bo nie trafiły na razie do duszy narodu, która zwróciła się wtenczas do tej mistycznej opinii, wypowiedzianej w wierszach Zaleskiego. Dlatego także cały szereg innych jego poezyi, w których wszędzie widać to żywe pojęcie myśli naukowej i wiarę w urzeczywistnienie myśli idealnej, to wszystko przemieniło się w echo.

Ale to połączenie realizmu i idealizmu, wcielenie aspiracyi idealnych w czyn realny, to jest zadanie naszych czasów. Mamy ku temu wszystkie materyały zgromadzone, mamy pracę tych pokoleń, opierających się na gruncie realnym, a powodowanych najwyższym patryotyzmem, które działały od Komisyi Edukacyjnej aż do upadku powstania z r. 1831. — Mamy później wielką plejadę poetów, którzy wytworzyli te ideały, jakie zawsze zagrzewać będą naród polski.

Jeżeli zadaniem generacyi naszej jest właśnie to połączenie idealizmu i realizmu — to system wychowania stanowi ku temu celowi jeden z najważniejszych czynników, bo wytwarza te siły, które później mają działać w tym kierunku, które później mają urzeczywistnieć to, co jest tylko naszem życzeniem, naszem marzeniem. A zmierzając do urzeczywistnienia takiego dzieła — czyż można być uważanym za marzyciela, jeżeli się wyobraża sobie, że naród przez ciąg lat 90 nie zatracił dawnej siły ofiarności, siły urzeczywistnienia własnym wysiłkiem i własną wolą tego, czego nam rządy nie dadzą, siły wytworzenia dla nas samych tej potężnej dźwigni przyszłości, tj. systemu wychowania narodowego, opartego na naszych własnych tradycyach i obecnych potrzebach.

SZKOŁA LUDOWA

I JEJ ZWIĄZEK Z WYCHOWANIEM NARODOWEM.

Rzecz, wygłoszona dnia 20 lipca 1897 na Walnym Zjeździe Towarzystwa Pedagogicznego w Stanisławowie.

Doniosłość wykształcenia, i to nie wykształcenia ograniczonego do pewnych warstw, ale ludowego, nasuwa się każdemu, kto się zastanowi nad obecnym losem i nad przyszłością narodu, a raczej narodów, zajmujących obszary dawnej Rzeczypospolitej.

Przed kilku dniami, zanim tu przybyłem, miałem sposobność zwiedzić kraj sąsiedni, dawniej o wiele bardziej zaniedbany w wykształceniu i cywilizacyi niż Galicya i cała Polska, tj. Rumunię. I muszę powiedzieć, że pod pewnym względem, przejeżdżając przez ten kraj, a widząc jego bogactwa i hojność rządu i społeczeństwa na cele cywilizacyjne, doznałem obawy, czy my nie robimy zamało na tem polu i czy nie będziemy niebawem prześcignięci przez inne kraje i inne narody, na które dotychczas patrzyliśmy z pewnego piedestału wyższości cywilizacyjnej. Słysząc naprzykład, że założono tam fundusz wsparcia dla budowy szkół wiejskich, dotowany kwotą 30 milionów franków — przypomniałem sobie skromną dotacyę, jaką fundusz pożyczkowy na ten cel posiada w Sejmie galicyjskim i strach mię ogarnął, czy w ten sposób nie prześcigną nas sąsiedzi.

Zastanawiając się nad tą kwestyą, widziałem w dodatku, że tym samym sąsiadom o wiele łatwiejsze jest działanie, aniżeli nam. Rumunia przedewszystkiem posiada ogromne obszary żyznej ziemi. Otóż porównując Galicyę z Rumunią, widzimy, że w Galicyi na każdym kilometrze kwadratowym żyje przeciętnie 90 ludzi, w Rumunii tylko 40; a zatem ludność Galicyi, gdyby była w stosunku rumuńskim, toby miała 2 razy tyle ziemi, tj. na każde 90 głów wypadałby nie jeden hektar ale dwa hektary i ćwierć, czyli 450 morgów, zamiast około 200. To pokazuje, o ile

łatwiej jest być hojnym w takim kraju jak Rumunia, bo ludność żyjąca na pewnym obszarze naprzód musi utrzymać siebie, potem zaś dopiero może ponosić wydatki na cele państwowe i cywilizacyjne.

Jeżeli więc w Rumunii na każdy kilometr kwadratowy przypada 40 ludzi, to im o wiele łatwiej utrzymać tych 40 ludzi i mieć pewną nadwyżkę na cele państwowe, aniżeli nam, którzy z tego samego kawałka musimy utrzymać ludność, liczącą przeszło 90 głów. Ale cóż z tego wynika? — Jeżeli mamy mało ziemi, to nam nie wystarcza takie łatwe gospodarstwo ekstenzywne, jak to, które prowadzi Rumunia. Powinniśmy z tego kawałka ziemi wydobyć bez porównania więcej środków. Mamy tu przymus fizyczny, który powinien zmusić do większego wykształcenia, aby na podstawie większej umiejętności wyrobić większą produktywność. To jest ten wielki czynnik w historyi jeden z najpotężniejszych, poprostu głód — przymus fizyczny.

Ale przymus fizyczny nie jest jedynym czynnikiem, wiodącym nas do wyższego wykształcenia. My, obywatele kraju, który należy do obszarów dawnej Rzeczypospolitej, mamy jeszcze bez porównania większy przymus moralny.

W Polsce panującym był duch organizowania państwa na podstawie poczucia obowiązku, na podstawie dobrej woli, na podstawie wolności. Klęski polityczne, które nas dotknęły, zdawałyby się wykazywać, że albo podstawa jest fałszywa, albo żeśmy nie sprostali wszystkim obowiązkom, które ta podstawa na nas nakłada. Ja uznaję słuszność jedynie tego ostatniego tłómaczenia. Nigdy, przenigdy nie mógłbym wierzyć, aby zasada wolności, wolnego działania obywatelskiego nie była najwyższą zasadą. Przyznaję, że ślepe posłuszeństwo despotyzm, posiada w sobie większą łatwość organizacyi. W kraju despotycznym ten, kto ma władzę w ręku i znajduje ślepe posłuszeństwo u ludu, jednym nakazem może popchnąć wszystkich do jednego celu. Kto zaś działa na podstawie przekonań, zdobywaniem sobie ich przez powolne kształcenie sumienia, ten ma ciężką walkę i wielki trud przed sobą — ale jak wielka różnica, jeżeli skutki uwieńczyły zamiary. Co było tylko ślepym nakazem, ukazem — tak długo trwa, jak ta jednostka nakazująca. Ze zmianą osoby, zmienia się system. Niedawno panujące prądy znikają bez śladu, bo nie stały się własnością duszy narodu. Tam zaś, gdzie poczucie obowiązku utkwiło w sercu narodu, jest ono żywą rośliną, która czerpie własne

soki i rozwija się niezależnie od tego, który zainicyował i wskazał jakąś drogę lepszą. To jest cała różnica mechanizmu, a żyjących organizmów.

Jeżeli więc narody, żyjące na obszarze Rzeczypospolitej polskiej, pracowały pod dewizą wolności, a jeżeli pomimo tego klęski polityczne dotknęły ten kraj, to uważam, żeśmy nie wypełnili chyba wszystkich obowiązków, że zamiast wolności rozwielmożniła się samowola i swawola — żeśmy mieli wyższą zasadę, ale żeśmy ją niedołężnie pojęli, niedołężnie przeprowadzili. Poprawa pod tym względem jest konieczną i odrodzenie narodu związane jest z usiłowaniem podniesienia wykształcenia publicznego. Odrodzenie narodu polskiego datuje się od Konarskiego i Komisyi edukacyjnej i od tych klęsk, które uderzyły w naród.

Wierzę więc, że naród i kraj, w którym tak dobitnie działają sprężyny, jak największy przymus fizyczny i największy przymus moralny, gdzie powinno bić we wszystkich sercach poczucie misyi historycznej, poczucie potrzeby poprawienia w przyszłości tych wad, które w przeszłości naszą misyę udaremniły, wierzę, że w takim kraju sprawa wykształcenia powinna być pierwszym punktem porządku dziennego dla całego społeczeństwa. Tak jak przed 100 laty hasłem każdego, który pracował dla odrodzenia narodu, było: skarb i wojsko, tak teraz hasłem dla każdego, który w tym kierunku pracuje, powinno być: skarb i szkoła! Nie wystarczy hasło, trzeba zrozumieć, co ono znaczy i trzeba zastanowić się nad tą drogą, która prowadzi do urzeczywistnienia tego hasła. I otóż to jest przedmiotem mojego odczytu, tj. stosunek tego wykształcenia ludowego do społeczeństwa.

Można mieć rozmaite zapatrywania na zakres tego wykształcenia. Jednakowoż nawet ci, którzy rozumieją to wykształcenie w sposób najbardziej fachowy, ciasny, że tak powiem biurokratyczny, to jeszcze przyznać muszą, że przeprowadzenie tego wykształcenia zależy nie tylko od tych, którzy się specyalnie temu poświęcają, ale i od społeczeństwa w jednym punkcie, tj. pieniężnym. Bo choć społeczeństwo w inny sposób nie współdziała, to przecież współdziałać musi w tym kierunku przynajmniej, aby dostarczyć środków. Już z tej jednej przyczyny należy pracować nad opinią publiczną, nad obywatelstwem całego kraju. Należy wskazać doniosłość przedmiotu i zależność odro-

dzenia narodu od poziomu wykształcenia. Mnie się zdaje jednak, że ten stosunek wykształcenia ludowego do społeczeństwa sięga o wiele głębiej, aniżeli tylko do dostarczenia środków na utrzymanie szkoły i nauczycieli. Są może specyaliści, którzy uważają, że szkoły niejako monopolizują całe wykształcenie i nawet obawiam się, że takie przecenienie zadania samej nauki szkolnej nie tyle istnieje w gronie nauczycieli i tych, którzy szkołą kierują, jak w gronie publiczności, bo to nadzwyczaj wygodna droga dla rodziców, wygodna dla całej publiczności, że się powie sobie: wstawiłem tę pozycyę w budżet i o to się więcej nie troszczę; tam są ludzie zawodowi, oddaję im dziecko, niech oni z niego zrobią dojrzałego człowieka.

Z tego punktu widzenia cały system szkolny przedstawia się jako hierarchia szkół rozmaitej kategoryi. Na dole są szkoły tak zwane elementarne, to znaczy, że udzielają elementarnych wiadomości pisania, czytania itd., później szkoły średnie; w nich zdaje się egzamin dojrzałości. Wypływa z tego, jakoby ludzie, którzy w szkole średniej nie byli, nie mieli dojrzałości. Potem dostaje się do uniwersytetu i tam dopiero inteligencya jego wydaje prawdziwy kwiat: otrzymuje dyplom doktorski. Zdawałoby się, że tym wykształconym, dojrzałym człowiekiem jest tylko doktor uniwersytetu; uczeń szkoły ludowej jest poprostu niedoszłym uczniem szkoły średniej; uczeń szkoły średniej jest niedoszłym słuchaczem uniwersytetu; uczeń uniwersytetu jest niedoszłym doktorem.

Gdybym chciał przyrównać to do pracy rzeźbiarza, to tak jak rzeźbiarz bierze kawałek marmuru i z niego stosownem obrabianiem najpierw robi szkic, a potem dopiero stopniowo wykończa arcydzieło, to tak samo tutaj, każdy, kto przebył te dolne stopnie, jest takim nieokrzesanym, niezupełnym okazem ludzkości i dopiero staje się kompletnym człowiekiem, jak ma dyplom doktora uniwersytetu.

Na takie pojęcie wychowania jednak ja zupełnie a zupełnie zgodzić się nie mogę. — Najpierw te dyscypliny, te nauki, których się udziela w szkole ludowej, wyglądają teraz po wielkim postępie cywilizacyi tak nadzwyczaj łatwe, jasne, że zowiemy je elementarnemi, tak jakby ten, kto te nauki posiada, wogóle tylko posiadał coś bardzo małej wartości. A jednak, zastanawiając się nad historyą, każdy przyjść może do przekonania, że sztuka

pisania było o wiele donioślejszym wynalazkiem niż sztuka drukarska; sztuka pisania, czytania, te rudymenta arytmetyki, których uczą w szkole ludowej, to są zdobycze cywilizacyi, oparte na wiekowej pracy ludzkości. Historya powszechna dostarcza ilustracyi, że rzeczywiście te elementarne wiadomości są już wielką zdobyczą ducha ludzkiego; tak naprzykład, czytając historyę Karola Wielkiego, widzimy, że on, jeden z największych monarchów, organizator średniowiecznej Europy, że on dopiero w późniejszym wieku nauczył się pisać i czytać, że sprowadził sobie z Anglii uczonego Alcuina, który urządzał na jego dworze, jakbyśmy teraz nazwali kursa dla dorosłych. I te kursa na dworze Karola obejmowały, jako wyższą matematykę, tę samą tabliczkę mnożenia, która jest podstawą rachowania w każdej szkole ludowej.

Chciałbym dodać, że o ile mię nauczyło doświadczenie, to z tych wielkich specyalności i wysokich nauk, które ludzie pobierają, jeżeli nie mają sposobności dalszego ich uprawiania w starszym wieku, wszystko się ulatnia i ten jest wysokim matematykiem, który pamięta „regułę trzech". W niej już tkwi całe pojęcie ilości, miary, wagi i kto ją należycie przetrawił, ten już ma na całe życie dokładne zapatrywanie na wszystkie zjawiska, które go otaczają. Pamiętam jednego Amerykanina, który podróżował po Rosyi; mówił mi on, że jedno słowo rosyjskie przyprowadzało go do desperacyi, tj. „około". Ile razy się spytał: jak daleko, gdzie, ile, jak długo, nigdy nie dostał odpowiedzi kategorycznej, tylko: około. To są ludzie, którzy jeszcze nie przetrawili reguły trzech. Dla nich nie ma jeszcze cyfr ani miary, tylko jest „mało" albo „dużo", w jego ustach cyfra nie jest cyfrą, tylko: to jest albo „bardzo mało", albo „bardzo dużo".

Ja więc zakresu wykształcenia ludowego wcale nie cenię tak nisko, jak ci, co je nazywają nauką elementarną; o tem mniej, że tę naukę pojmuję nie jako pewną sumę wiedzy, tylko uważam jako dostarczenie narzędzia i broni, które temu, kto je posiada, dają możliwość zdobycia całego obszaru wiedzy. Bo kto posiada te „elementa", może sam pracować nad sobą i uzupełnić te braki wiedzy, których z konieczności szkoła ludowa dostarczyć mu nie mogła. Nie mogę się zgodzić z tem zapatrywaniem, aby całe wykształcenie było jedynie wyuczeniem się szeregu lekcyj, bo stawiam ponad egzamina we wszyst-

kich szkołach i uniwersytetach tę najwyższą szkołę: szkołę życia samego i dlatego robię stanowczą różnicę pomiędzy dwoma metodami oceniania skutków wychowania i rozróżniam mądrość od uczoności.

Śmiem twierdzić, że społeczeństwo nie potrzebuje się wcale składać z samych tylko uczonych ludzi, tj. specyalistów, którzy pojęli te wszystkie szczegóły i skomplikowane zadania, które są potrzebne do wykształcenia, n. p. lekarza, urzędnika lub profesora. Ale twierdzę, że całe społeczeństwo powinno się składać z mądrych ludzi i dlatego nie wyobrażam sobie, aby ta mądrość była tylko dostępną na podstawie tych najrozmaitszych egzaminów i dyplomów, które pociąga za sobą hierarchia szkolna. A nawet wątpię, czy jakikolwiek dyplom dla mądrości może istnieć, czy może istnieć egzamin z mądrości.

Bo cóż to jest mądrość? Mądrość, to jest zrozumienie przez człowieka tego miejsca, które zajmuje w życiu, na świecie, w swej ojczyźnie, rodzinie, społeczeństwie. Mądrość, to jest zrozumienie tych obowiązków, które człowiek posiada naprzód, jako syn, lub córka rodziców, później jako głowa rodziny, które posiada jako obywatel kraju, jako obywatel wobec innych obywateli. Kto zrozumiał obowiązki, wypływające z tych stosunków, i kto przystosował swój charakter do tych obowiązków, kto zrozumiał tę busolę, tę igłę magnetyczną, którą każdy człowiek posiada w swojem sumieniu, która nim kieruje w labiryncie życiowym — ten jest człowiekiem mądrym i dlatego słyszałem bardzo często, nawet w sali parlamentu, przy rozprawach nad jaką kwestyą bardzo trudną i zawikłaną, że konkluzye rozumu chłopskiego, lub szlacheckiego, (pod tym względem uważa się je jako równoznaczne i duch narodu tu nie widział różnicy), że te proste konkluzye stawia się ponad rozmaite wyuczone, wyrafinowane konkluzye specyalistów, jakby zanadto wielkie oddanie się specyalności przynosiło ujmę dla mądrości.

Otóż mnie się zdaje, że do tej mądrości, do tej równowagi między charakterem a obowiązkiem każdy człowiek powinien dążyć, na jakimkolwiek stopniu wykształcenia poprzestał. Jeżeli szkoła elementarna dała mu tylko elementarne wykształcenie, to mu dała zarazem narzędzie do ręki, aby umiał także w życiu późniejszem zdobyć sobie to dalsze wykształcenie, potrzebne do

spełnienia obowiązków swojego stanu i położenia. Szkoła zrobiła już swoje, a własne doświadczenia i własna praca powinny zrobić resztę, przy pomocy tych wszystkich innych wielkich czynników, które oprócz szkoły wpływają na wykształcenie i wychowanie, to jest: kościoła, rodziny i społeczeństwa.

Cały nasz ustrój społeczny i polityczny oparty jest na przekonaniu, że każdy człowiek może być dobrym obywatelem, wykonywać jego obowiązki rzeczywiście, bo to, co dawniej było przywilejem arystokracyi, ciasnego tylko grona w państwie, które miało prawo wyboru, czyli prawo publicznego głosowania i za to obowiązek bronienia ojczyzny — to jest teraz obowiązkiem każdego człowieka, a zatem *cały nasz ustrój polityczny i społeczny przypuszcza i wymaga, aby każdy człowiek był dojrzałym i mądrym, i w tych obowiązkach, które na niego przypadają, mógł się zoryentować.* Każdy też człowiek podlega szczęściu, nieszczęściu, choroby go nawiedzają, śmierć go czeka, staje się ojcem rodziny i w tych wszystkich okolicznościach musi mieć sąd dojrzały, musi działać rozważnie; a także sam ustrój polityczny i społeczny państwa nakłada na niego ustawowo te obowiązki dojrzałości.

Czy temu obowiązkowi on zawsze sprosta, czy bez pewnego przygotowania każdy, kto ma obowiązki, wymagające dojrzałości, także ją rzeczywiście posiadać będzie, to inna rzecz. Ale, jeżeli w naszych czasach pewne zmiany polityczne i społeczne zostały przeprowadzone, to tem samem nastał tem większy *obowiązek dla całego społeczeństwa postarania się, aby w najkrótszym czasie każdy ten, któremu ustawowo dano pewien sposób wpływania na losy społeczeństwa i narodu, nabrał tej dojrzałości i tej mądrości, której ustawodawstwo od niego wymaga.* Te zmiany polityczne, których dokonano w ostatnich czasach — one nie są końcem, to dopiero początek obowiązków, nałożonych na społeczeństwo, które winno dbać o to, aby całe masy narodu mogły dostąpić dojrzałości i mądrości.

Już z doświadczenia wiemy, że szkoła ludowa nie jest uważana jako kres i zamknięcie nawet wykształcenia ludowego. Z jednej strony widzimy, że przecież szkoła ludowa jest już poprzedzona wykształceniem w domu rodzicielskim, w domu matki, a Pestalozzi, który może najbardziej wpłynął na rozwój i metodę nauki szkoły ludowej w obecnych warunkach, przez

całe życie marzył tylko o tem, aby napisać „Das Buch der Mütter“, aby matki dowiedziały się, jak mają wychowywać, jakie ma być przygotowanie do nauki w szkole ludowej. Z drugiej strony po szkole ludowej jako dopełnienie, są u nas tak zwane kursa dla dorosłych, a zaczynają się wykształcać szkoły rolnicze na wsi, a przemysłowe i handlowe po miastach. Ale i to nie wyczerpuje jeszcze wykształcenia ludowego. W innych krajach mamy prócz usiłowań zawodowych czynników także szereg usiłowań obywatelskich, bo społeczeństwo stara się tam dostarczyć tym, którzy ukończyli szkołę ludową, możności kształcenia się własnego; w Anglii, w Niemczech, nawet w Austryi istnieje ruch rozpowszechniania uniwersytetów, to jest zorganizowania przez uczestników uniwersytetów całego szeregu kursów dla ludności; u nas ruch ten właśnie się zaczyna, i w ten sposób istnieje zetknięcie się klas najbardziej wykształconych z klasami, które nie mają sposobności nauczyć się w szkołach tych wszystkich mądrych rzeczy, ale które, mając pragnienie wiedzy, znajdują tu sposobność zaspokojenia go.

Wyrabia się przez to pewne poczucie, że tak jak z pojęciem majątku, czyli bogactwa materyalnego, łączy się pojęcie obowiązku, który ciąży na majątku, tak i *wykształcenie powinno się uważać jako pewien skarb, pewien majątek, z którego posiadacz powinien także udzielić pewnej części dla społeczeństwa*. Tak samo, jak człowiek majętny ma obowiązek służyć sprawie publicznej swoim majątkiem, jak kompromituje samą zasadę własności, gdy tego nie robi, tak samo każdy człowiek wykształcony ma obowiązek służyć wykształceniem nie tylko w pracy swej zawodowej, którą zarabia na utrzymanie, ale powinien pracować dla dobra społeczeństwa, aby je popchnąć naprzód na drodze postępu. A nie trzeba myśleć, że ten, kto się uchyla od tych obowiązków, łączących się nierozerwalnie z majątkiem materyalnym i duchowym, nie wpływa na społeczeństwo. On jeszcze bardziej wpływa, ale ujemnie, *bo jest jedna siła w społeczeństwie, która stoi wyżej od nauki i słów, a tą jest siła przykładu*. Każdy czyn rodzi przez naśladownictwo czyn podobny; kto uchyla się od wykonywania obowiązków społecznych, wynikających czy to z majątku, czy z wykształcenia, ten daje przykład wstrętnego sobkostwa, niedbalstwa o potrzeby społeczne

i dowodzi, że jest głuchym na głos sumienia, domagający się odrodzenia narodu i odbudowania straconej Ojczyzny.

Pomiędzy rozmaitymi stopniami wykształcenia zachodzą więc w mojem przekonanin tylko te różnice, że tam, gdzie sama szkoła nie dostarcza tej szerszej wiedzy i dalszych materyałów do kształcenia, tam tego powinny dostarczyć czynniki społeczne, doświadczenie życiowe i praca obywatelska. Więc z jakiegokolwiek stopnia szkoły ktoś wyszedł, to zupełnie nie może być przeszkodą w osiągnięciu każdego stopnia wykształcenia, jakiego zapragnie. Przeciwnie, kto posiada „elementa", to jest, jak tylko umie władać narzędziem pracy duchowej, to ma drogę otwartą przed sobą, nosi w swoim tornistrze buławę marszałkowską. W wieku XIX ta praca własna i społeczna nad wykształceniem jest niesłychanie ułatwiona przez kierunek, który literatura przybrała w tym wieku.

Wyobraźmy sobie te czasy, jak wiek XV i epoka odrodzenia, kiedy to Europa, poznawszy skarby wiedzy i sztuki w starożytnych językach, zaczęła się uczyć łaciny i greki i tam znalazła pierwiastki mądrości i wykształcenia. Dopóki ten system panował, to mimo wielkich rezultatów, jakie Europa w ten sposób osiągnęła — towarzyszyła tym wszystkim zdobyczom umysłu ludzkiego jedna okoliczność nadzwyczaj ujemna, a tą jest, że każdy naród rozpadł się na dwie części, które się nawzajem nie rozumiały, bo cała literatura o przedmiotach ważniejszych albo była pisaną w językach uczonych, to jest po łacinie i po grecku, albo wymagała takiej znajomości terminów sztucznych i uczonych, aluzyi historycznych i sposobów wyrażania się takich, że ten, kto nie przebył studyów klasycznych, był odcięty od wykształcenia i od każdej wyższej myśli. Dlatego w tych wiekach, kiedy nastała ta specyalna uczoność, każdy naród się rozpadał na ogół narodu, który nie miał przystępu do wykształcenia i na uprzywilejowanych, (nie mówię tu o przywilejach szlachty, raczejbym to nazwał przywilejem łacińskim), którzy w pełni korzystali z wiedzy i wykształcenia. Nawet to, co powinno być przystępne dla wszystkich, t. j. poezya, była zupełnie niezrozumiałą dla ogółu ludności.

Dopiero wiek XIX, który wytworzył najwyższą poezyę, jaką ludzkość poznała, poezyę, opartą na pierwiastkach ludowych, ten wiek usunął wielką krzywdę, która sprowadzała

rozdzielenie narodu. Dopiero w tym czasie powstały literatury narodowe, w których najwyższe prawdy i rezultaty wiedzy były wyrażone językiem potocznym, zrozumiałym, codziennym, przystępnym dla każdego. W tym samym w. XIX obok literatury opartej na pierwiastkach ludowych i wyszłej z pierwiastków ludowych, nastała zmiana w obyczajach, prostota ubiorów i stosunków społecznych, zmniejszenie dawnych ceremoniałów, etykiety, a stąd większe zbliżenie społeczeństwa. W tym wieku XIX także zaczęto traktować naukę, jako taką, która powinna być przystępną dla wszystkich bez długich mozołów i przygotowań.

Wyszło to najpierw i specyalnie z Anglii i Francyi, z początkiem bieżącego wieku. W Anglii istnieje dziś jeszcze zakład dla popularyzowania nauki „Royal Institution", który ma na celu uprzystępnić wszystkim rezultaty wiedzy. Jako charakterystyczne dla tego zakładu wspomnę, że do najsławniejszych kursów, które się tam odbywają, należą kursa dla dzieci; głośnym przykładem są kursa chemii dla dzieci, wykładane przez Faradaya. Był to kurs, omawiający najwyższe zagadnienia z nauki chemii w sposób tak prosty, tak dobitnie eksperymentalnie ilustrowany, że był zarówno przystępny dla każdego dziecka, jak i dla wszystkich ludzi naukowo pracujących. Ja sam byłem na takich posiedzeniach, gdzie obok dziatwy byli zebrani ludzie uczeni z całej Anglii. Tam najpierw przyzwyczajono się wszystkie największe zagadnienia ludzkości omawiać w słowach naturalnych i prostych; Anglicy pierwsi przyszli do przeświadczenia, że właściwie dla ogólnej publiczności i dla wieku młodego nie wystarcza byle jaka połowiczna nauka. Książki elementarne dla dzieci piszą tam najwięksi uczeni, bo jest prawdą, co Jean Paul powiedział: *Für das Volk ist das Beste eben noch gut genug* (dla ludu tylko najlepsza rzecz jest dopiero dość dobrą).

Jeżeli w ten sposób zakreślimy pewien program współdziałania na polu nauki i wychowania, pomiędzy wszystkimi czynnikami, które istnieją w społeczeństwie, a więc między szkołą, kierowaną przez fachowych nauczycieli, między kościołem, który pilnuje rozbudzenia sumienia i który strzeże tej czystości serc, bez których niema błogosławieństwa Bożego dla jakiejkolwiek sprawy; — między rodziną i działaniem całego społeczeństwa, to zdawaćby się mogło, że cały ten

program zbyt jest szeroki i bardzo trudny do wykonania, że to co powiadam, jest raczej pobożnem życzeniem, które mogłoby się urzeczywistnić w innym kraju, bardziej wykształconym i zamożniejszym, ale nie w naszym, bo jesteśmy narodem ubogim, pozbawionym samodzielności politycznej, którego autonomia jest także wielu względami skrępowana, i plany naukowe są skrępowane, bo zależą często od władz, które o naszych potrzebach nie wiedzą, albo ich nie rozumieją.

Co do mnie jednak, nieprzyzwyczajony jestem do bawienia się ideami. Ile razy mam jakiś cel na oku, to staram się zastanowić, czy ten cel jest możliwy i staram się uprzytomnić sobie drogę, która do niego prowadzi. Wiem bardzo dobrze, że każdy program wychowania publicznego i współdziałania czynników społecznych jest bardzo trudny i wymaga bardzo wiele pieniędzy i czasu. Powiadają skeptycy: „my pieniędzy nie mamy, czasu także nie, kraj sam biedny, jeden z najuboższych w Europie, a garstka wykształconych jest nieliczna, i zaledwie może podołać obowiązkom, które już na nią są nałożone“.

Tu znowu zwrócę się do cyfr statystycznych. Mnie się zdaje, że jeżeli tak często mówimy o zamiłowaniu do literatury, o współdziałaniu na polu wykształcenia, to trochę łudzimy się własnemi słowami, bo jakoś nie porównywamy tego, co się dzieje na polu literatury, wychowania i wykształcenia u nas, z tem co się dzieje na polach innych, bez porównania bardziej poziomych sfer działania towarzyskiego i społecznego. Wezmę też przykład bardzo poziomy: Proszę wejść do księgarni i zapytać, czy dużo kupują książek. Odpowiedzą, że u nas mało ludzie kupują książek i jak mają kupować, kiedy społeczeństwo jest tak ubogie. Ja, porównywując, jakie wydatki ponosi społeczeństwo galicyjskie na rozmaite cele, śmiem stwierdzić, że społeczeństwo więcej wydaje pieniędzy na rękawiczki, niż na książki. A jednak proszę porównać doniosłość ubrania rąk do umeblowania i zaopatrzenia własnej głowy. Jeżeli więc wydatek na ten cel niższy jest możliwy, to i wydatek na cel wyższy jest możliwy od chwili, w której wszyscy zrozumieją, co warta książka a co rękawiczka.

Mówimy, że nie mamy pieniędzy na lepsze wyposażenie nauczycieli i na utrzymanie szkół. Ale mimo to, w społeczeństwie jest dużo środków na rzeczy, które nie mają tej doniosłości.

Proszę wziąć na uwagę przedmiot bardzo poziomy — trunki. Galicya potrzebuje na wódkę, piwo i wino kwoty nie mniejszej, niż 36 do 40 milionów, a na szkolnictwo ludowe wydaje tylko 3 miliony, a dodawszy gimnazya i uniwersytety razem 8 milionów. Pięć razy więcej więc pochłania karczma, niż wszystkie zakłady naukowe w kraju. Dodam tutaj jedno porównanie, które każdy robotnik w Anglii, propagujący wstrzemięźliwość od picia trunków powiada: „Przypatrzcie się, jak niezliczone są sposobności do pokusy, które każdego otaczają, a jak małą ilość sposobności, gdzieby człowiek mógł stać się lepszym i podnieść się do wyższego poziomu". Weźmy w Galicyi z jednej strony całe duchowieństwo i nauczycielstwo, razem około 10.000 ludzi, a z drugiej strony arendarzy, których jest przeszło 20.000. Otóż dwa razy częściej spotyka się pokusę do złego, niż zachętę do dobrego. — Wprawdzie spotyka się pewną filozofię życiową, która powiada, że przecież trunki są także potrzebne, że udzielają pokrzepienia, wprawdzie tylko fizycznego, ale zawsze pokrzepienia. Jednakże pod względem rzeczywistej potrzeby trunków, ja, jako chemik, zgadzam się stanowczo z tym niezliczonym szeregiem powag naukowych, że trunki nie są rzeczywiście potrzebne, że nie przysparzają ani sił, ani wytchnienia, ani pokrzepienia.

Jeżeli jaka instytucya, to chyba armia, usprawiedliwiałaby wyrozumiałość na potrzebę trunków, a jednak naczelnik armii angielskiej, lord Wolseley, który odbywał kampanie na całym prawie świecie, przyszedł do przekonania, że żołnierz bez porównania lepiej bije się o kawie i herbacie, niż o wódce, dla tego nie mam żadnej wyrozumiałości dla tych, którzy używają trunków. Wprawdzie są wypadki, że lekarz zaordynuje trunek, ale to co innego. O każdym zaś innym powiem, że jest wspaniałomyślnym człowiekiem, bo on mi podatków przysparza i z ujmą własnego zdrowia pracuje dla dobra publicznego, bo choć mu trunek szkodzi, ale skarb państwa coś zyska.

Wydatki na trunki — to jest ten punkt Archimedesa, na podstawie którego można rozwiązać wszystkie finansowe trudności, które mamy w kraju w dostarczeniu środków na wykształcenie i na inne potrzeby. Jestem przekonany, że w dobrem uregulowaniu dochodu propinacyjnego w Galicyi i w przeznaczeniu wszystkich dochodów z tego źródła na kraj, leży rozwiązanie wszelkich naszych trudno-

ści budżetowych. Nie mówię tego lekko: jest to rzecz, nad którą się wielu ludzi zastanawiało i przyszło do przekonania, że kraj może stąd tylko zaczerpnąć fundusze, i to zupełnie wystarczające na wszystkie potrzeby najdalej idącego programu edukacyjnego i ekonomicznego.

Mówiąc o usiłowaniach z wolnej woli społeczeńswa, kraju i obywatelstwa — nie mówię na podstawie życzeń pobożnych, ale widzę drogę do ich urzeczywistnienia; ta droga jest następująca: Niech się wykształcenie i wychowanie publiczne krzewi kosztem trunków; *niech te pieniądze i ten czas, które społeczeństwo galicyjskie daje na karczmy i karty, choć w małej części będą skierowane na wykształcenie publiczne, a wtedy możemy wykonać program najśmielszy, jaki kiedykolwiek pomyślano.*

Jeżeli mamy cel wielki, który nietylko dotyka dobrobytu i zaspokojenia potrzeb materyalnych, ale dotyczy życia narodu i wykonania misyi historycznej — to pobudki te są dość wielkie, aby działać i pracować nad urzeczywistnieniem tego programu. Każdy człowiek wykształcony i bogaty ma obowiązek ze swego bogactwa udzielić coś dla społeczeństwa. Uważać więc należy, że na każdym człowieku, który jakieś sprawy społeczne ukochał i pojął, cięży *obowiązek propagandy.* Niechaj każdy, kto pewne prawdy zrozumiał, stara się sąsiada przekonać, a w ten sposób z małego grona przejdzie myśl ta do warstw szerszych, do narodu, do ciał reprezentacyjnych, do Sejmu, Rady państwa i rządu. — Obowiązkiem nauczycielstwa ludowego jest współdziałanie w tym kierunku z temi warstwami społeczeństwa, którym sprawa publiczna na sercu leży.

O POWSTANIU STYCZNIOWEM.

Odczyt wygłoszony w Schodnicy w styczniu, r. 1897.

Obchodzimy dziś pamiątkę powstania styczniowego. Czy tylko jako uczczenie pamięci bohaterów i męczenników poległych w sprawie szlachetnej, ale nieudałej i beznadziejnej? To by były tylko próżne żale, a do takich, my, stojący w życiu czynnem nie mielibyśmy ani czasu, ani ochoty!

Dla mnie ten obchód jest nie obchodem żalu, ale obchodem wiary i nadziei — wiary, że uczucia, które ożywiały bohaterów z r. 1863, przechowały się w całej potędze, i dziś bardziej jeszcze niż wtenczas ożywiają cały naród, -- nadziei, że sprawa za którą polegli, jest niezwalczona i w końcu tryumfować musi, jeżeli z naszych klęsk wysnujemy naukę i przyswoimy ją sobie, co do niezbędnych warunków, które zapewniają zwycięstwo.

Najlepszym dowodem, że uczucia, które spowodowały wypadki r. 1863 są nie wymarłe, że rany wtenczas odniesione są jeszcze świeże i nie zabliźnione, jest to gorączkowe zainteresowanie się każdą publikacyą, odnoszącą się do tych czasów, zainteresowanie, które przygłusza częstokroć wpływ bieżących wypadków.

A to pomimo tego, że większa część tych publikacyi, cały ruch, sądząc go po chwilowych skutkach, bezwzględnie potępia. Mamy nawet od 30 lat szkołę historyczną, która współczesną literaturę prawie wyłącznie opanowała, a która pod wpływem pogromu doznanego, widzi całe dzieje Polski w oświetleniu wręcz przeciwnem od naszych tradycyjnych a ugruntowanych zapatrywań. Zbawienie zaś jedyne upatruje w wyleczeniu organizmu narodowego z tych „trucizn", które „pieśń zdradziecka", rozbrzmiewająca przed trzema ćwierciami wieku z nad brze-

gów Wilii i ogarniająca niepohamowanym pędem całą Polskę, wlała w duszę narodu i od dziecka zaszczepiła w sercu każdego Polaka.

Jest to szkoła niby wolna od marzeń i iluzyi, trzeźwa, opierająca swe poglądy na rzekomo niezbitych, niezaprzeczonych i niezaprzeczalnych wynikach badań naukowych, na „cyrklu, wadze i mierze“, na „mędrca szkiełku i oku“, które wedle tych nowych historyków mają być niezawodniejszymi i bezpieczniejszymi przewodnikami, niż „czucie i wiara“, których złudne widma już dwie generacye strąciły w przepaść niepowetowanych klęsk i daremnych ofiar; a w samobójczym obłędzie zdają się wymagać w imię miłości Ojczyzny w jednej, ostatniej ofierze całopalenia całego narodu.

Nie jest odpowiedzią na to, że na podobne zapatrywania wzdryga się wszystko, co jest szlachetne i wzniosłe w naszych uczuciach i aspiracyach, wszystko co jest święte i nienaruszalne w naszej pamięci, że trzebaby o trzy generacye cofnąć wstecz koryto dziejowych wypadków i rozwoju narodowego, aby je uznać. Nie jest odpowiedzią, że trzebaby z serca wyplenić uczucia, które się tak silnie w niem zakorzeniły, że po ich wyrwaniu możeby i serca do dalszego życia nie starczyło! I najgorętsze pragnienia mogą być złudzeniem, a przebudzenie z nich staje się zbawiennem choć bolesnem.

A ci co głoszą te nowe zapatrywania przemawiają w imię najwyższego dla ludzkości zaklęcia, w imię nauki i wiedzy, w imię prawdy, prawdy udowodnionej, oczywistej, nieubłaganej, tej istoty wszechrzeczy „cet être sans entrailles“ według Napoleona, która nie ma dla nas litości, a której się wszystko i wszyscy poddać muszą.

Te zaklęcia powinny ze szczególną siłą przemawiać do naszego grona, szanowni moi słuchacze. To nie zgromadzenie studentów niedowarzonych lub księżycowych literatów, ni bezczynnych marzycieli. W całej Polsce nie mógłbym zebrać grona bardziej praktycznego, bardziej zaprawionego i wypróbowanego w walce z życiem, umiejącego walczyć z trudnościami i je przezwyciężać. Niema zawodu, w którym bardziej, jak w naszym, złudzenie i iluzya jest niebezpieczną i prędzej za sobą niechybną karę pociąga, w którym tyle zależałoby od obliczenia, od zastosowania środków do celu. Jeżeli gdzie w Polsce, to tutaj mamy adeptów „cyrkla, wagi i miary“, „oka i szkiełek mędrca“, bo przemysł naftowy w niezwykłej mierze wymaga kombinacyi

całego szeregu nauk: geologii, chemii, matematyki i mechaniki, i ich umiejętnego i praktycznego zastosowania. A wszystko w Schodnicy: co jest wiedzą, nauką, pracą, wysileniem, zwycięstwem umiejętnej siły i energii, to jest polskie, wyłącznie polskie — od zawiązku obecnej kopalni do jej dzisiejszego rozwoju. Obcy przynieśli tu tylko, czego nam dotąd nie stało, to jest pieniądze. Cała wiedza, umiejętność i praca są nasze i pod tym względem my z pewnością nie przyznamy, że jest w naszym zawodzie na całym świecie, w jakimkolwiek kraju i narodzie, jakiekolwiek miejsce, gdzieby od najzawilszych badań naukowych do najzręczniejszej techniki ta wiedza i umiejętność, zastosowana do naszego przemysłu, stały wyżej i były skuteczniej i praktyczniej użyte, niż u nas.

Ale właśnie dlatego trudno by zebrać grono, któreby z większem niedowierzaniem i z większą pogardą patrzało na samozwańczą naukę, na teorye profesorskie, dyletanckie paradoksy, na wszystko, co pachnie katedrą i zielonym stolikiem, a nie przeszło **przez ogniową próbę życia.**

Otóż wychodząc z tego założenia koniecznej **zgody prawdziwej nauki z życiem,** czy to indywidualnem czy zbiorowem, to jest z historyą, przystępuję do wykazania, że **te nowe teorye historyczne,** pomimo całego drobiazgowego aparatu uczoności, nie są rzeczywistą nauką i są niezgodne z najbardziej elementarnymi i oczywistymi faktami historycznymi i życiowymi. Po pierwsze są one **niedopuszczalnem uogólnieniem rozpaczy i rozczarowania jednej chwili,** po drugie treść tych zapatrywań jest niezgodna z naczelnemi prawdami historyi ludzkości, po trzecie są one niezgodne z doświadczeniem życiowem, jak to może być przez każdego Polaka sprawdzone.

* *
*

Upadek powstania Kościuszkowskiego wywołał legiony i pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła“. Upadek powstania listopadowego dał nam literaturę mesyaniczną, ewangelię narodową, ostatnie i najdoskonalsze objawienie prawa Bożego na ziemi. **Po każdej klęsce duch narodu podnosił się niezłamany** i z tem większą ufnością i hardością wypowiadał swoje „e pur si mouve“! Czemuż po powstaniu styczniowem pojawiła się literatura zwątpienia i rozpaczy, skruchy i żalu, chłodu i wyrachowania — „straż pożarna“?

Dla widza obojętnego szereg ten przedstawia się jako widok kilkakrotnej wspaniałej erupcyi wulkanu, dziś zastygłego i skamieniałego. Zamiast lawy gorącej, dziś martwy popiół zalega okolicę, szary dym tylko kopci, gdzie niegdyś słupy ogniste do samego nieba buchały!

My, wtajemniczeni, wiemy, że ten pozór myli. Prawda, nastąpił stanowczy zwrot w usposobieniu narodowem, a ten zwrot nie jest wyrzeczeniem się, cofnięciem, ale nową afirmacyą, nowym postępem. Siła wybuchowa zamieniła się na pracę ciągłą; chwila poświęcenia na mocowanie się ciągłe w pasmie całego życia. Po epoce idei nastała epoka „realizacyi", zrazu nieudałej, niedołężnej, ale niosącej w sobie zarodek przyszłości. Naród już wypowiedział swoje ostatnie słowo, nie zdziałał jeszcze swojego ostatecznego czynu. Zaledwie na nowej drodze zaczął działać, chwiejnie, nieudolnie, potykając się na każdym kroku. Nigdzie na całym świecie przepaść pomiędzy ideą, zamiarem, a urzeczywistnieniem nie jest tak wielką, jak w Polsce. Stąd bolesne rozdarcie tej chwili, rozpacz u jednych, omdlenie u drugich, u wszystkich przygniecenie pod brzemieniem obowiązków ponad siły ludzkie.

Dawniejsze usiłowania miały na celu zmartwychstanie dawnej Polski. Po osiągnięciu niepodległości dopiero miała nastąpić praca społeczna, wyrobienie nowego narodu. Dziś wiemy, że wprzód musi nastąpić przeobrażenie społeczne, urobienie nowego, niezrealizowanego dotąd typu ludzi dzielnych i bohaterskich, zanim dla Ojczyzny lepsza doba zaświta. A to przeobrażenie ma się dokonać pod okiem czujnego wroga, starającego się wszelkiemi siłami: przymusem, podstępem lub jadem, przeszkodzić odrodzeniu się społeczeństwa polskiego.

Ta przemiana psychologiczna choć nie usprawiedliwia, jednak tłumaczy, ton „pater peccavi" rozdzierający własne piersi, który od lat 30 cechuje naszą współczesną literaturę historyczną. Nie usprawiedliwia tego tonu ogrom klęsk, które nieudałe powstanie sprowadziło na Kongresówkę i na kraje zabrane. Bo przecież tam, gdzie nie było powstania i strasznego odwetu za nie — w Poznańskiem, szlachta polska straciła prawie tyle ziemi, ile konfiskaty i przymusowe sprzedaże wydarły obywatelstwu w prowincyach zabranych — a szlachta galicyjska w drodze prze-

ciążenia hipotecznego i własnowolnej sprzedaży wyzuła się z ojcowizny co najmniej w tym samym stosunku. Monaco włoskie i rozmaite Monaka na bruku domowym pochłonęły co najmniej tyle ofiar, co cytadela i Sybir, i z większą szkodą dla narodu, bo „zmartwychstaje się z pod gromu, nie zmartwychstaje z pod sromu“. Czyż praca żywotna narodu, wyrobienie stanu średniego, asymilacya żydów, unia z Rusinami, dalej postąpiły w Galicyi — gdzie nam w tej pracy przeszkadzało li tylko własne niedołęstwo — jak pod berłem rosyjskiem, gdzie nam przeszkadzały ukazy i prześladowanie?

Czyż upadek ducha, spowodowany całą tą pogrzebową literaturą, nie zadał nam liczniejszych, dotkliwszych i bardziej niepowetowanych ran, jak cały odwet brutalnej przemocy? Jeżeli zbrodniarzami mają być ci, których szalone i nieudałe porywy sprowadziły pastwienie się wroga nad bezbronnem ciałem narodu — czyż nie są jeszcze większymi zbrodniarzami ci, którzy, spowodowawszy upadek ducha, jeszcze większą szkodę wyrządzili organizmowi narodowemu?

Ale nacóż rekryminacye! Epoka ta minęła. Wbrew tej literaturze, któż od szeregu lat nie widzi, jak duch narodowy na nowo się budzi i krzewi. Wszędzie pojawiają się oznaki nowego ducha w czynach, choć jeszcze nie w słowach — jakiejś nowej, dawniej nieznanej potęgi w działaniu — nowej otuchy w sercach.

Z poczuciem tej świeżej otuchy w sercu łatwiej przychodzi zastanowić się nad tem, co jest jednostronnego i fałszywego w bezwzględnem potępieniu wypadków warszawskich w latach 1861—1864.

Potępiacie te ruchy i mówicie, że młodzież warszawska i rzemieślnicy warszawscy nie zdawali sobie sprawy ze sytuacyi politycznej i z następstw ich nierozważnego działania! O wy, krytycy, rozumni po szkodzie, czy to tylko ta młodzież występna pomyliła się w ocenieniu sytuacyi i jej następstw!

A mężowie stanu i dyplomaci rosyjscy, czyż przewidzieli, że pastwienie się nad Polską zada cios śmiertelny ideom słowianofilskim i udaremni rolę Rosyi, jako przedstawicielki Słowiańszczyzny, że samo wspomnienie Murawiewa Wieszatela w 20 lat później spowoduje sromotną ucieczkę Kaulbarsa z Bułgaryi? Czyż przewidywali, że, tłumiąc w okrutny sposób powstanie polskie w roku 1863, ulegają tylko niebacznie judzeniom i szczu-

ciom Bismarka na Polaków i stają się podnóżem jego wielkości. Czyż przypuszczali, że Prusy, przypatrując się nieczynnie — z wdzięczności za iluzoryczną pomoc, udzieloną im w czasie styczniowego powstania, jak w r. 1866 napadły Austryę, a w roku 1870 Francyę, zgotują Rosyi upokorzenie na kongresie berlińskim i obrócą w niwecz całe wysilenie wojny wschodniej?

A mężowie stanu we Francyi i Austryi, czyż przewidzieli że z owego fanfarona „krwi i żelaza", z ministra obśmiewanego przez gromady uliczników na dworcu koleji żelaznej, zrobi się wszechpotężny mąż stanu, który zdruzgocze ich potęgę i wzniesie na ich gruzach cesarstwo protestanckie w środkowej Europie. Czyż nie powinni byli zdławić żmii w samym zarodku i stać się sprzymierzeńcami nieopatrznej młodzieży warszawskiej, która nie gorzej od nich sytuacyę osądziła?

A nie myliłaż się cała ówczesna opinia liberalna w Europie, spodziewająca się ery wiecznego spokoju, prawidłowego postępu, raju ziemskiego i braterstwa wszechludów, zamiast tego tryumfu gwałtu i przemocy, tego sprofanowania wszystkich dawnych ideałów, które nastąpiło — stratowanych pod żelazną stopą siły górującej nad prawem.

Jeżeli nieopatrzna młodzież warszawska jest godną potępienia, na jakież potępienie zasługują monarchowie i mężowie stanu europejscy, osiwiali w długim zawodzie dyplomatycznym i mający od tej młodzieży tysiąckrotnie lepsze sposoby zoryentowania się w sytuacyi! Mówią nasi mentorowie narodowi i karciciele wybryków szalonych, że młodzież i spiskowcy oddali się bezwiednym instynktom i uczuciom zaślepionym na rzeczywistość i oczywistość! I stąd morał, że trzeba poskramiać te instynkty i gasić te uczucia! O przedziwna psychologio! To gdyby był przed wami naród orłów lub sokołów, tobyście nie umieli ich inaczej uchronić przed niebezpieczeństwami „górnego lotu", jak przez podcięcie skrzydeł i zamienienie ich na potulne ptactwo domowe, którego pragnienia nie sięgają po za bezpieczny widnokrąg domowego dziedzińca.

W działaniu ludzkiem objawiają się przecie dwa czynniki niezawisłe od siebie, z których jeden jest darem natury, darem Bożym, a drugi nabytkiem pracy, wychowania i cywilizacyi, wytworem ludzkim. Tym pierwszym są te samorodne i mimowolne instynkty szlachetne, bez których niema ani polotu wyobraźni, ani wzniosłości uczuć,

ani twórczości myśli, ani potęgi w działaniu. Tym drugim jest wiedza, doświadczenie, zastanowienie się i rozwaga, która daje jasność celu i dobór środków i uczy skutecznego użycia tych samorzutnych sił przyrodzonych, bez których cała wiedza i umiejętność byłaby tylko, jak zegarek bez sprężyny, maszyna bez pary, człowiek bez pędu i rzutu — bryłą martwą i bierną. Ani jednego, ani drugiego czynnika nie można mieć za wiele, ani za wiele siły, ani za wiele kierunku. Natura nie może być zanadto bujną i bogatą, rozwaga nie może być zanadto trafną i głęboką. Ale powinien być należyty stosunek pomiędzy niemi, powinna panować harmonia i równowaga sprzecznych żywiołów. Człowiek staje się wtenczas podobnym do łuku napiętego, do pary zamkniętej w maszynie, staje się siłą, ujętą w karby woli, która nie bucha i nie marnuje się daremnie, ale mierzy i trafia, niechybna, jak błyskawica, skuteczna, jak grom!

Na zbytnią wybujałość instynktów i uczuć jest tylko jedno jedyne lekarstwo, któreby nie było upodleniem i skurczeniem natury — to jest dodanie równoważącego pierwiastka rozwagi, wiedzy i umiejętności. Ile razy człowiek zbłądzi lub zgrzeszy uczuciem niepohamowanem, to nie dlatego, że za silnie czuł, lecz, że za mało rozważał. Wina leży nie w nadmiarze uczuć, lecz w niedostateczności rozwagi.

Te same prawidła stosują się do zbiorowego człowieka, do narodu. W głębi każdego narodu drzemią instynkty samorodne i nieokiełznane, które stanowią istotę jego życia, treść jego wiekowej pracy. Jednym z najsilniejszych instynktów jest pogarda śmierci i instynkt walki w imię łączności i godności narodowej. To byłaby podła zgraja niewolników, nie naród, w którejby okrzyk bojowy w takiej sprawie nie budził oddźwięku, któraby pozostała nieczułą na hasło „krew się leje“ i „naszych biją“.

Z jaką siłą ten instynkt działa u narodów nawet „par excellence“ rozważnych, można było niedawno obserwować na Anglii, przy sposobności niedorzecznego napadu ruchawki dra Jamiesona na rzeczpospolitą holenderską w Południowej Afryce. Napad był niedorzeczny, gwałcił prawo narodów i zaprzysiężone traktaty, a jednak klęska Jamiesona bolesnem echem odbiła się we wszystkich ziemiach angielskich. Wszyscy odczuli to jako nieszczęście i upokorzenie, które jakoby każdego z nich osobiście

dotknęło. Ponad wszelkie argumenty zabrzmiała struna obrażonej dumy narodowej i pragnienia odwetu. W tysiącznych miejscach Anglia przez parę tygodni przedstawiała obraz manifestacyi warszawskich z r. 1861. Gorączka zapanowała na placach i ulicach. Wszelkie perswazye zdawały się daremne, gdy tylko kto zaintonował „Rule Britannia!“ Hymn chwały narodowej przygłuszał wszystkie dyskusye. I trzeba było całej rozwagi i niezłomnej konsekwencyi angielskich mężów stanu, ażeby opanować i ująć w karby rozumne ten mimowolny wybuch patryotyzmu ludowego.

Jeżeli to się działo we flegmatycznej Anglii, to jaka rybia zastygłość by musiała była panować w Polsce, gdyby wypadki r. 1861 miały były pozostać bez echa. Najdroższe instynkty narodowe tysiąckrotnie bardziej obrażone, podnieta tysiąckrotnie silniejsza. Krew świeżo przelana, pamięć odświeżona dawnych zapasów, żal i wstyd, że się nie korzystało z wojny krymskiej, olśniewający przykład niepodległości włoskiej, tryumfy Garibaldiego, Napoleońskie idee o wyzwoleniu narodowości, pożary i rozruchy w Rosyi, spodziewana sympatya żywiołów liberalnych tamże, nadzieja, że pod hasłem „za naszą i waszą wolność“ znajdą się sprzymierzeńcy w samej armi rosyjskiej, wiara w potęgę zapału i poświęcenia, w słuszność i świętość sprawy — wszystko się złożyło na to, że instynkty narodowe nie mogły pójść inną drogą, jak tą, którą poszły.

Ale gdzież byli nasi mężowie stanu, gdzież była przeciwwaga rozumu i zastanowienia, wpływ tych warstw, które uosabiają doświadczenie i rozwagę. Były one zabałamucone i podzielone pomiędzy sobą, bez jasności celu, bez świadomości środków. Przyczyny tej niezgody leżą głębiej, niż w osobistej niepopularności Wielopolskiego. Kluczem do odsłonięcia motywów działalności Wielopolskiego jest rzeź galicyjska z r. 1846 i nienawiść do Metternicha, w którym widział konieczne uosobienie polityki austryackiej. Ta nienawiść zbliżyła go do Rosyi i stała się punktem stycznym pomiędzy nim a mężami stanu rosyjskimi. Ta sama misya, którą on nieszczęśliwie prowadził po wypadkach roku 1861, mogła się była do pewnego stopnia udać zaraz po wojnie krymskiej. Mógłby był zszeregować około swej osoby nietylko cały obóz konserwatywny, ale także wielu ludzi dobrej woli, którzy rozwiązanie sprawy polskiej widzieli na drodze ugody z Rosyą.

Ale tymczasem już Gołuchowski został wezwany do Wiednia, już nadzieje konserwatystów galicyjskich skrystalizowały się w polityce austryackiej i katolickiej, a zbliżenie się Austryi do Francyi po wojnie z r. 1859 zapewniły wpływ tym wyobrażeniom daleko po za granicami Galicyi. Polityka Wielopolskiego zatem już z góry była udaremniona. Stronnictwa ruchu przecież nie mógł mieć za sobą, a obóz konserwatywny już był poszedł w innym kierunku. Stąd wynikło, że te warstwy, których rozwaga i doświadczenie powinny były stanowić przeciwwagę szału patryotycznego, iluzyi młodzieńczych i knowań zawodowych rewolucyonistów, były sparaliżowane rozterką wewnętrzną i uniesione zostały ogólnym prądem i biegiem wypadków.

Nie Mierosławski podkopał politykę Wielopolskiego. On mu tylko mógł dopomódz, zapędzając do polityki ugodowej wszystkich tych, których przestraszało widmo międzynarodowej rewolucyi. Cios śmiertelny wyszedł z własnego obozu. Zrobił to katolicko - konserwatywny *Czas*, ubezwładniając lub popychając w przeciwnym kierunku tych, którzy mogli byli stanowić skuteczną podporę polityki Wielopolskiego, podejmującego pierwotną myśl Adama Czartoryskiego, Staszyca i Czackiego, to jest działania stopniowego i rozważnego w granicach legalności.

Znowu więc za błędy wasze nie wińcie nierozważnej młodzieży. Jeżeli była wina, to była wina wspólna wszystkich, bo jeżeli były iluzye, to były podzielane przez wszystkich. Z wszystkich iluzyi zaś, w które wtenczas do zbytku opływaliśmy, największą była ta, z wszystkich rozczarowań najboleśniejsze było to, że trudność pogodzenia Polski z Rosyą nie zależy wyłącznie lub przeważnie od rządu lub cara, ale wynika z usposobienia narodu rosyjskiego.

Aż do wybuchu tej śmiertelnej nienawiści Katkowów i Murawiewów do Polski, która jak huragan ogarnęła całą Rosyę i w jednej chwili zmiotła wszystko co było w niej uczuć liberalnych i europejskich — wszyscy Polacy z wyjątkiem Mickiewicza, a prawdopodobnie i sam Wielopolski przypuszczali, że naród rosyjski posiada te same aspiracye do wolności i samorządu, co my, że dosyć w imię wspólnej wolności, czy to obalić rząd, czy się z nim ułożyć, aby dojść do zgody z narodem rosyjskim. Teraz po za rządem wyłonił się groźnie nieubłagany naród moskiewski, jak my, opanowany ideą — ale ideą nam

wrogą: ideą zaparcia się indywidualności, bezgranicznego poświęcenia się za jedną wiarę, jednego Boga, jednego cara, z jednym nieznanym u nas, i niezrozumiałym dla nas „heroizmem niewoli“. W tem leży tragiczna groza położenia, w tem tytaniczna wielkość zapasów ducha polskiego z rosyjskim, w tem zagadka przyszłości, ten sfinx, którego tajemnicę Mickiewicz pierwszy odgadł i z którym się pierwszy nieustraszonym wzrokiem zmierzył.

Na historyę powstania z r. 1863 nie można patrzeć z tak ciasnego i ograniczonego stanowiska, z jakiego ją traktuje współczesna literatura, która zamiast zrozumieć europejską doniosłość wypadków, pyta się tylko, kto winien klęski? Tymczasem w dziwny i niepojęty sposób nawet nieudałe usiłowania nasze łączą się z historyą światową i naród nasz bez niepodległości, bez rządu, skarbu i wojska, niejednokrotnie bardziej zaciężył na szali wypadków od niejednego państwa niepodległego. Można powiedzieć, że drugi podział Polski i powstanie Kościuszki, odciągając ku sobie uwagę i siły mocarstw rozbiorowych, uratowały rewolucyę francuską i umożliwiły erę Napoleońską. Powstanie w r. 1831 przeszkodziło nowej krucyacie przeciwko Francyi i ocaliło swobody konstytucyjne w zachodniej Europie. Ostatnie powstanie znów stało się zawiązkiem obecnej sytuacyi politycznej w Europie, która, jak złowroga chmura, gromami ciężarna, zaciemniła cały widnokrąg świata europejskiego, i od której nasze dalsze losy zależeć będą.

Przedewszystkiem nie wolno sądzić wielkich wypadków na podstawie chwilowej rozpaczy i chwilowych rezultatów. Jak niegodnie i niedorzecznie by wyglądała historya ludzkości pisana w taki sposób. Czyż każda wielka i święta sprawa nie miała swoich męczenników — męczenników, w których współcześni dopatrywali się klęski tej sprawy — a przecież wiara krzewiła się krwią męczenników i zmartwychwstawała z pod każdej klęski pozornej.

Cały świat oddaje hołd Waszyngtonowi i Franklinowi, jako twórcom niepodległości amerykańskiej. A przecież, według najnowszych poszukiwań, zwycięstwo bez pomocy francuskiej niechybnie byłoby pozostało po stronie Anglików. Ta sama pomoc francuska, która nas zawiodła, tam zdecydowała tryumf niepodległości. A czyż w razie gdyby ta pomoc była chybiła i zwycięstwo się było przechyliło na stronę Anglików, to Waszyngton

i Franklin mniej by byli zasługiwali na nazwę bohaterów i wielkich obywateli, jak na to dziś zasługują?

Wielkie ruchy zbrojne na przestrzeni Rzeczypospolitej zachowały nam przez ciąg dziejów porozbiorowych znaczenie wielkiego czynnika w światowej historyi i rozwoju cywilizacyjnym. Ofiary i męczeństwa ponad przykłady wszelkich innych narodów utrwaliły w społeczeństwie polskiem tradycyę dążenia do niepodległości i pomnożyły w niem tę siłę czynną, z którą się liczyć muszą wszyscy.

Bohaterowie z r. 1863 może się w niejednem mylili, może ulegali iluzyom, może padali ofiarą niegodnych podszeptów. Ale w tem się nie mylili, że Ojczyzna ma prawo do życia każdego syna, i że niema zaszczytniejszej śmierci od śmierci w obronie Ojczyzny.



RACYONALIZM NARODOWY.

Artykuł ogłoszony w wiedeńskim „Przełomie" z d. 8 czerwca r. 1895 z powodu ukazania się książki St. Koźmiana „Rzecz o r. 1863".

„Cyrla, wagi i miary do martwych stosuj brył". Pod tem hasłem człowiek opanował martwą bryłę świata i zrobił z niej narzędzie dla dopięcia swoich celów. Jeszcze Arystoteles uzasadniał konieczność niewoli faktem, że przecież wiosła nie będą same wiosłowały, kamienie młyńskie nie będą się same obracały — ale cyrkiel, waga i miara dokonały, czego żadna różdżka czarodziejska nie byłaby zrobiła. Dziś wiosła same wiosłują, kamienie młyńskie same się obracają. Cóż dziwnego, że metodę tak skuteczną próbuje się rozszerzyć na wszystkie obszary działalności ludzkiej. — Stosowanie praw przyrody martwej do objawów życia stanowi treść racyonalizmu. — Dogmatyczne twierdzenie, że życie podlega li tylko tym samym prawom, co przyroda martwa, jest materyalizmem. Materyalizm jest cechą umysłów płytkich i ciasnych; racyonalizm może się łączyć z usposobieniem szerokiem i wzniosłem. Bo zjawiska życiowe, aczkolwiek podlegają swoim własnym prawom, przecież zależą od pewnych warunków materyalnych, które mogą być dokładnie określone tylko za pomocą cyrkla, wagi i miary i wydają owoce, które znowu podlegają cyrklowi, wadze i mierze; a nikt nie wniknął głębiej w niezbadaną tajemnicę życia i ducha jak ten, kto do jego objawów najczęściej i najsumienniej przykładał cyrkiel, wagę i miarę. Racyonalizm tego rodzaju jest więc użyteczny i potrzebny, a zatem i racyonalizm narodowy potrzebny przedewszystkiem dla nas Polaków, nieuków cyrkla, wagi i miary. Biorę więc asumpt z dzieła napisanego w kierunku takiego racyonalizmu, a które zwróciło na siebie uwagę europejską, ażeby roztrząsnąć kilka kwestyi,

odnoszących się do zasadniczych różnic pomiędzy prawami przyrody martwej a prawami narodowego życia.

Pierwsze pytanie zasadnicze, które mi się nasunęło, jest to, czy kłamstwo może być użyte jako broń polityczna? W dziedzinie nauk przyrodniczych, praw przyrody martwej, kłamstwo jest niedopuszczalnem, a co więcej bezskutecznem, bo nauki przyrodnicze są szeregiem prawd sprawdzonych i sprawdzalnych zawsze i wszędzie i przez każdego. Chwilowe wprowadzenie w błąd przy sprawdzaniu natychmiast się wykrywa, a mianowicie, przy stosowaniu do przyrody, każde kłamstwo lub nawet każdy błąd natychmiast okazuje swoją niemoc. Przyroda tylko temu oddaje swoje siły do usługi, kto się do niej zbliża w duchu najściślejszej prawdy i szczerości.

A może więc w stosowaniu do świata ducha, do życia narodowego cel uświęca środki, kłamstwo może być bronią skuteczną i dopuszczalną?

Na każdy wypadek broń to niebezpieczna, która niedopisawszy, zwraca się przeciwko temu, który jej niebacznie użył. Pamiętamy w r. 1870, na wstępie wojny niemiecko-francuskiej, Napoleona III schwytanego na gorącym uczynku, kiedy równocześnie z jego zapewnieniami, że uszanuje neutralność belgijską, Bismark kazał fotolitografować poufny projekt podziału Belgii, spisany ręką ministra francuskiego Lavalette'a. „Kłamliwy Celt" rozległo się z pogardą po Anglii, gdzie raczej przebaczają rozbójnikowi otwartemu, aniżeli kłamcy, gdzie posądzenie Irlandczyków o kłamliwość celtycką wytwarza tę baryerę moralną pomiędzy obu narodami, o którą się rozbijają wszelkie usiłowania ugodowe, gdzie od „niesłownych" Irlandczyków stronią, jak od zapowietrzonych, gdzie nawet w interesach o służbę domową zwykle czytać można: „no Irish need apply" — niechaj Irlandczyk się nie zgłasza — bo Anglik nie chce dopuścić, żeby przypadkiem dzieci jego zaraziły się duchem kłamstwa i wybiegów, tą w jego mniemaniu pierwotną przyczyną zasłużonej niedoli i niewoli jednostek i narodów.

Niechaj teraz sobie kto wyobrazi młodego człowieka, przejętego do najwyższego stopnia dumą narodową i któremu sprawa ojczysta ukazuje się w całym blasku świętości i bohaterstwa, a zrozumie, jak go do żywego musiały dotykać wzmianki w równie pogardliwym tonie o Polakach, które w nowszych czasach okazywały się w najpoważniejszych pismach angielskich,

i to jako sąd o narodzie, a nie o pojedynczych niegodnych jednostkach, — wzmianki tem boleśniejsze, że z dawniejszych czasów Anglicy pamiętali o jednym *chevalier sans peur ni reproche* z emigracyi 1831 roku.

Taką opinię wypowiada n. p. p. Grant Duff, były podsekretarz stanu w ministerstwach spraw zagranicznych i indyjskich, naówczas uchodzący za największą powagę co do spraw europejskich, mąż stanu poważny, światły, wyrażający sympatye dla nas, który w bibliotece spraw zagranicznych miał daleko kompletniejszy zbiór naszej literatury o wypadkach 1831 r., niż go gdziekolwiek indziej widziałem, który kilkakrotnie Polskę zwiedzał i znał wielu Polaków, przenikliwy i bystry krytyk Rosyi. Ten p. Grant Duff w artykule o carze Aleksandrze II, publikowanym w r. 1278 podczas wojny tureckiej, mówiąc o publicystyce polskiej, podaje jako konkluzyę, do której doszli wszyscy zajmujący się na seryo sprawami politycznemi, że informacye polskie, jeżeli nie są stwierdzone innem niezależnem świadectwem, zgoła nie zasługują na wiarygodność, a często są z umysłu fałszywe. Głuche milczenie, które przez 30 lat panowało o sprawie polskiej, jest dowodem, że opinia, wyrażona przez p. Grant Duff, była zgodną z opinią wszystkich kół poważnych i wpływowych w Europie.

Stwierdzoną niewiarygodność informacyi polskich usiłowałem sobie wytłómaczyć iluzyami chorobliwemi wygnańców, niedokładnością i nieścisłością umysłową narodu żyjącego fantazyą i marzeniami, a nie mającego ani praktyki interesów, ani umiejętności naukowej — ale dopiero książka Koźmiana pokazała mi ludzi z umysłu wylewających atrament a nie krew, usiłujących wprowadzić w błąd Europę, a wprowadzających w błąd tylko własny naród, szafujących zmyśleniami tam, gdzie rzeczywistość była stokroć okropniejszą od wszelkiego zmyślenia! To też po kilkunastu latach na nowo odczułem, jakby trzask z bicza, wyrok hańbiący dyplomaty angielskiego, ale już nie z oburzeniem na niewyrozumiałość dumnego i szczęśliwego Anglika, nie umiejącego pojąć psychologicznie łatwowierności nieszczęśliwych rozbitków, miotanych sprzecznemi uczuciami to rozpaczy to uniesienia! — Przygniata mnie tylko uczucie bezsilnej goryczy na myśl, że sąd Anglika był po części uzasadniony, uczułem jakby piętno hańby, wyryte na czole całego narodu, schwytanego na

gorącym uczynku i, z zuchwalstwem zatwardziałego grzesznika, przyznającego się do winy.

Jestem pewny, że wyrażam uczucie każdego czytelnika nawet najprzychylniejszego dla autora, że forma wyznania zrobionego po 30 latach, jako czegoś zabawnego, jako „jeu d'esprit", może nas jeszcze bardziej dotknęła niż sama treść. „Czy wiadomość o zwycięstwie jest prawdziwą?" — „Może być, bo nie ja ją podałem!" *) Jakto, czy autorowi nie przyszło na myśl, że odnosząc się do obecnej książki, jako do spadku politycznego wielkiego stronnictwa narodowego, odwrotnie na zapytanie, czy ta książka jest szczerym wyrazem rzeczywistych przekonań, a nie fortelem scenicznym, mógłby ktoś eksdyrektorowi sceny krakowskiej włożyć w usta odpowiedź: „a to dobre pytanie, wszak to ja ją napisałem!"

Maksymy podobne, wyrażone podobnie jako jeu d'esprit, znane są w literaturze europejskiej. Wszakże Talleyrand miał powiedzieć, że mowa została udzieloną człowiekowi dla ukrycia myśli. Ale Talleyrand, chociaż nieraz uchodził za inkarnacyę trzeźwego i przezornego męża stanu, wyrocznię rozumu politycznego, nieomylną busolę, wskazującą w chwilach burzy i zamieszania instynktowo drogę do przystani bezpiecznej i do dalszej karyery i pomyślności — ależ kulawy Talleyrand, tak samo ułomny na duszy jak na ciele, był wiarołomnym księciem kościoła, przedajnym dygnitarzem państwa, który wszystkich swoich dobroczyńców i chlebodawców kolejno zdradził i oszukał i wszystkim sprawom się sprzeniewierzył i innych do przeniewierstwa nakłonić potrafił — bo w jego przewrotnej głowie i zepsutem sercu naprzód pojawiła się formułka rozgrzeszenia wobec zdeptanych obowiązków i sponiewieranych pamiątek. Znane jest Voltaire'a „mentez hardimment, toujours il en restera quelque chose" — ależ ten sam Voltaire z szatańskim śmiechem oplwał i błotem obryzgał wszystkie świętości całego świata, całą niezrozumianą przeszłość własnego narodu wystawił na urągowisko, plugawą i świętokradzką swoją imaginacyą zbezcześcił bohaterską pamięć Dziewicy Orleańskiej i w spuściźnie zaszczepił w krew i żyły własnego społeczeństwa ten jad cynizmu i zgorszenia, na który wielki i szlachetny naród francuzki dotąd śmiertelnie choruje.

---

*) Słowa powyższe są zacytowane z książki Stanisława Koźmiana. „Rzecz o r. 1863".

W zaraniu życia narodów już najgłębszy instynkt ludzkości rozróżnił światło od ciemności, wpływy dobroczynne od wpływów złowrogich, prawdę od kłamstwa — i uwierzył, że „światłość w ciemnościach świeci, ale ciemności jej nie ogarną". *Jako narzędzie prawdy, każde słowo powinno być święte i niepokalane, jak „słowo, które się stało ciałem i mieszkało między nami pełne łaski i prawdy". Książka powinna być zbiorem słów prawdy.* Wszak dotąd na całym świecie chrześcijańskim, jeżeli się powie wyraz książka, po grecku „biblia", bez bliższego oznaczenia, wszakże to najwyższa prawda, prawda objawiona. A kiedy pierwsi ewangeliści, pierwsi głosiciele „dobrej nowiny" szukali w języku greckim słowa na oznaczenie anioła upadłego, ducha kusiciela, wcielonego szatana, to na wyrażenie całej ohydy i grozy wobec zastępów piekielnych, nie znaleźli trafniejszego słowa jak „*diabolos*", co znaczy *dosłownie: kłamca lub oszczerca* — władca w królestwie śmierci, jak „słowo" jest władcą w królestwie życia. Stąd „*prawda w myślach, słowach i uczynkach*" *jest podstawą każdego zdrowego i żywotnego organizmu duchowego*, spełnienie i wcielenie prawdy najwyższym obowiązkiem. Literatura narodowa powinna być narodowem objawieniem, głoszącem prawdy żywotne dla narodu.

Czyż dzieło p. Koźmiana, zaklinające naród, żeby się wyrzekł idei niepodległości, a ratował byt bez niepodległości, jest takiem narodowem objawieniem, słowem życia, zadatkiem przyszłości, „dobrą nowiną" dla upadłych na duchu, które krzepi walczących, budzi obojętnych, podnosi serca, zapala myśli? Gdzież listy wierzytelne, gdzież rękojmia posłannictwa? W życiu i czynach autora? — Nie byłem w stanie się o nich dowiedzieć. W jego wiedzy głębokiej? — Cechą wiedzy jest zastosowanie umiejętne „cyrkla, wagi, miary" do przedstawienia i ocenienia opisywanych wypadków — a ja widzę tylko *wyrocznię, ale samozwańczą, dogmat, ale ujemny.* Cyrkla, wagi, miary nie dostrzegłem ani razu w tym luźnym zbiorze fejletonów, które równie dobrze można czytać na wspak od końca do początku, jak od początku do końca. Jedyne stanowisko, z którego książka jest dla mnie interesującą, jest (uważając ją jako spowiedź osobistą), osobiste wyznanie zwątpienia, zwątpienia dzielonego może tu i ówdzie przez pojedyncze jednostki, ale któ-

rego się nie ma prawa przypisywać nawet najbliższemu otoczeniu autora. Zresztą możnaby zrozumieć psychologicznie zwątpienie całej jednej generacyi, pokonanej w walce, jeżeli ona woli szukać przyczyny klęski w słabości sprawy narodowej, a nie we własnej nieudolności.

Na szczęście zwątpienie narodowe, tak samo jak zwątpienie religijne jest bezpotomne. Plemię zwątpiałe znika i śladu po sobie nie pozostawia. Niechaj materyalista odpowiada dziecku na jego pierwsze naiwne pytania o świecie i życiu, niechaj je uczy składać rączki i wymawiać pierwsze słowa modlitwy, a zobaczy, jak bezsilną jest jego mniemana wiedza i pewność, i z jaką łatwością mu każdy prostaczek tę duszę dziecięcą zabierze. W jakim wieku chce p. Koźmian młodemu Polakowi zaszczepić swój rozum stanu? Nie znam wieku młodego, w którym nie przyjdzie za późno. Czyż w tej samej chwili, w której matka Polka roztacza przed dzieckiem pierwszy obraz potęgi i sprawiedliwości Boskiej, czyż nie uczy go, że jest zbrodnia, wołająca o pomstę do nieba, a dotąd nie pomszczona, dokonana na narodzie polskim i że tak jak sprawiedliwość Boska istnieje na świecie, tak sprawa polska zwyciężyć musi? Czyż w tej samej chwili, w której się dziecko polskie dowiaduje o tych wypadkach, które cudzoziemcy nazywają śmiercią Polski, nie dowiaduje się równocześnie o nauce, że każdy nieśmiertelny duch zmartwychwstaje, że wiara w to odrodzenie pobudza miliony współbraci i coraz się silniej i głębiej krzewi, przenikając warstwy narodu przedtem martwe i obojętne, tak, że wobec tego obrazu Polak powtarza, stosując do narodu słowa modlitwy żałobnej: „Gdzież jest, o śmierci, twój kolec?“ „Gdzież jest, o piekło, zwycięztwo twoje?

Tragedyą Polski od czasów rozbioru, a może już od chwili Konfederacyi Barskiej, przed rozbiorem jeszcze, nie były tylko nasze pojedyncze klęski i nieszczęścia — ale rozbrat rozumu i serca w życiu pojedynczych Polaków i w usposobieniu całego narodu. Stąd przedsięwzięcia szlachetne ale szalone, stąd rozwaga, odpychająca naród swoim chłodem i żądaniem wyrzeczenia się najdroższych nadziei. Oprócz naszych powstań i walk głośnych w historyi narodu, wieleż to złamanych egzystencyj, zwichniętych jednostek, daremnie kuszących się o tę równowagę, której

nam dotąd brakowało, a bez której nie ma skutecznego działania. Otóż w takiem położeniu chciałbym usłyszeć słowa objawienia narodowego, lecz nie od p. Koźmiana, ale od człowieka zupełnie innej miary.

Cały wielki okres literatury romantycznej był protestem namiętnym serca wobec rozumu, wielkiem anatema rzuconem na ludzi „cyrkla, wagi i miary". Literatura ta odtworzyła duszę narodową, ale jeszcze głębiej rozwarła tę przepaść pomiędzy sercem a rozumem, zamiarem a wykonaniem, na które nasze społeczeństwo choruje. Otóż szczęśliwem zdarzeniem człowiek, który jeszcze przed narodzeniem się p. Koźmiana był powiernikiem i współpracownikiem wielkich wieszczów naszych, którego 50-letni jubileusz pracy filozoficznej obchodziliśmy przed paru laty i który dopiero niedawno zeszedł z tego świata, ś. p. August Cieszkowski, który w swojem „Ojcze nasz" wyłożył niejako dogmatycznie naszą wiarę narodową, zostawił po sobie jako spuściznę dalszy ciąg tego dzieła, które się ma też niebawem pojawić. Tak jak początek dzieła sięga heroicznych i tytanicznych czasów naszej literatury, tak w wieku dojrzałym ten duchowy patryarcha Polski przeszedł przez wszystkie te wypadki, które u niektórych uczestników doprowadziły do narodowego zwątpienia. A któżby się ważył zaprzeczyć, że Cieszkowski tak jak wiarą niezachwianą w przyszłość narodową przewyższał maluczkich epigonów, tak też i jako człowiek rozumu, wiedzy i nauki był od nich wyższym. Któż okazał większą umiejętność w stosowaniu cyrkla, wagi i miary, od autora znanych w całej Europie dzieł o kredycie i o cyrkulacyi pieniężnej. Zaprawdę pierwszy to może Polak odrodzony, zapowiedź tych nowych ludzi, u których rozum nie wystudza serca, a serce nie nakazuje rozumowi milczenia, ale używa go jako umiejętnego wykonawcę swoich zamiarów, w chwili stosownie wybranej i skutecznie przygotowanej. Tak jak racyonalizm p. Koźmiana stałby się dla narodu samobójstwem, tak racyonalizm Cieszkowskiego będzie zadatkiem przyszłego zwycięstwa.

Dosyć więc o p. Koźmianie, a lepiej przystąpić do zastanowienia się nad kwestyą tak ważną dla przyszłości naszego narodu, to jest do rozgraniczenia sfery wiary narodowej od sfery cyrkla, wagi i miary i do wyznaczenia działalności odpowiedniej dla każdej sfery.

Nigdzie lepiej niż w Polsce nie okazuje się, że zwyczajna potoczna literatura jest raczej echem faktów dokonanych a nie ziarnem przyszłości. Rzemieślnicy literaccy, gryzipiórki i pedanci naukowi mogą sobie pisać. Naród o nich nie wie, idzie swoją drogą, aż na podstawie nowych czynów narodowych zjawia się nowa literatura, która nie będzie sprawczynią, ale dowodem dokonanego już zwrotu. W epoce małodusznej i zwątpiałej literatury — konfederaci barscy, powstańcy kościuszkowscy, legioniści Dąbrowskiego, weterani Napoleona, przez pół wieku stwierdzali bohaterstwem żywotność narodu, zanim w epoce romantyzmu wytrysnęła literatura bohaterska. Naród zgnuśniały musiał naprzód czynami bohaterskimi odzyskać szlachetność duszy, zanim z tej duszy wydobył się odpowiedni dźwięk. Myśl wysoka płynie tylko z szlachetnego serca i wtóruje tylko dzielności czynów.

Tak samo od lat trzydziestu rozwój narodu kłam zadaje pogrzebowej literaturze naszej. W literaturze i umiejętnościach panuje prawie wszechwładnie obczyzna, tem niebezpieczniejsza, że w polską formę ubrana. Rozpostarł się sceptycyzm i jego nieodstępna towarzyszka, satyra, którą Mickiewicz i Słowacki uważali za niezgodną z duchem polskim, — pod hasłem estetyzmu i sztuki rozwinęła się piękna forma a pusta myśl, artyzm i rzemiosło literackie, które każde drgnienie serca, każdy poryw wyobraźni umie przerobić na kopiejki. Nieśmiertelnych wieszczów naszych zabalsamowano dla pamiątki, ich dzieła pięknie oprawne a rzadko czytane, spoczywają na półkach w towarzystwie Bóg wie jakich śmieci literackich, zebranych z całego świata i stanowiących codzienny pokarm umysłowy bezmyślnej publiczności.

Ale ani wielka masa narodu, ani coraz liczniejsze grono pracowników na coraz to rozmaitszych polach umiejętności, nie troszczy się o tę literaturę, tkniętą paraliżem samobójczego zwątpienia, — tylko pracuje i wzrasta. Przedewszystkiem krzewi się i rozrasta, — tak jak tylko krzewi i rozrasta się nadzieja i zaufanie, zaufanie i wiara w ostateczne zwycięstwo.

* * *

Użyjmy teraz „cyrkla, wagi i miary“. Następujące liczby przedstawiają wzrost narodu polskiego od r. 1860 do 1894 w porównaniu do innych narodów i krajów:

	około 1860	w r. 1894	Wzrost w proc.
Czesi (licząc pół miliona na emigracyę w Ameryce)	6·5 milionów	8 milionów	— 23
Serbi i Kroaci	6·1 „	7·1 „	23
Wszystkie mniejsze plemiona słowiańskie (oprócz Moskali, Rusinów i Polaków)	18·8 „	20·6 „	10
Rumuni	7·3 „	8·5 „	17
Węgrzy	5·2 „	7·5 „	45
Hiszpanie w Europie . .	15·6 „	17·3 „	11
Włosi (wraz z emigracyą amerykańską) . . .	26 „	32 „	23
Francuzi wraz z Belgią i Szwajcaryą)	36·4 „	38·7 „	6·5
Państwo niemieckie (od r. 1864)	39 „	51·5 „	32
Rosya europejska . . .	66·9 „	103·5 „	55
Rusini (w przybliżeniu odłączeni od Moskali) .	16 „	23·5 „	41
Moskale	41 „	62 „	50
Polacy (licząc milion na emigracyę)	8·7 „	16 „	84[1]

Przy innej sposobności szczegółowy komentarz do powyższych cyfr. Na teraz zaznaczam zdumiewający wynik, że w ubiegłych latach trzydziestu żaden naród w Europie, żaden kraj nie wzmógł swojej siły liczebnej w tej samej mierze co Polacy. Pomimo powstania w r. 1863 i spustoszenia kraju, pomimo ruiny szlachty, ukazów z r. 1864, proskrypcyi i konfiskat, edy-

[1] Cyfry z r. 1860 czerpał autor z dzieła Brachelli'ego „Die Staaten Europas", cyfry zaś z r. 1894 z urzędowych publikacyi statystycznych z doliczeniem normalnego przyrostu.

Obecnie (r. 1903) wedle obliczeń przybliżonych „Przeglądu Wszechpolskiego" żyje w kraju i na emigracyi około 22 500 000 ludności polskiej z wliczeniem części Żydów Królestwa i Galicyi. Dr Czerkawski przyjmuje w referacie, przedstawionym Akademii krakowskiej, cyfrę 21 milionów z wyłączeniem Żydów. Do podobnej liczby zbliżają się również obliczenia petersburskiego „Kraju".

któw bismarkowskich i funduszu do wykupna ziemi polskiej, jednak od czasu jak posiadamy jakiekolwiek cyfry, niema okresu, w którymby narodowość polska równie spotężniała. Pierwsza generacya porozbiorowa najwięcej ucierpiała tak w liczbie jak na duchu. Wynarodowienie masowe tylko wtenczas miało miejsce. Każda późniejsza generacya okazuje większą odporność narodową i większą siłę żywotną.

Pomijam inne objawy żywotności na polu pracy narodowej, na polu malarstwa i sztuk pięknych, umiejętności i polityki — ale chcę przedewszystkiem stwierdzić, że po strasznym pogromie z r. 1863 żadna umiejętność na świecie nie była w stanie przewidzieć podobnego rezultatu statystycznego, bo każdy objaw życia zależy od nieznanych tajni i głębi życia narodowego i nie da się obliczyć i przewidzieć cyrklem, wagą i miarą. Tak jak żaden mikroskop nie dopatrzy się różnicy ziarna żywego a martwego i tylko doświadczenie może wykazać, że jedno wzrośnie a drugie zgnije, tak nie znamy żadnej miary albo wskazówki mechanicznej na żywotność narodową.

Rozum stanu w swojej płytkiej zarozumiałości dowodzi, że mamy się wyrzec nadziei — ale naród czynem daje świadectwo swej żywotności. Jeżeliśmy dotąd nie zginęli, czemu mamy zginąć, kiedy się potężniej, niż kiedykolwiek, rozwijamy?

Jako statystyk, zajmując się całe życie cyframi, dawno przyszedłem do przekonania, że statystyka może do pewnego stopnia przewidzieć powodzenie spółki akcyjnej, — ale nie sięga do objawów duchowych. Historya powszechna jest pełną potęg tajemniczych i zagadek podobnych do wyniku powyższej tabliczki.

Któż n. p. mógł przewidzieć po pokoju wersalskim w roku 1778, kiedy zwyciężona Anglia przystała na niepodległość Ameryki, że w dalszym rozwoju Anglia prześcignie zwycięzką naówczas Francyę? Anglia liczyła naówczas 13 milionów, Stany Zjednoczone 3, a Francya przeszło 25. Dziś rasa angielska owładnęła najlepszą częścią kuli ziemskiej, mowa angielska używaną jest przez 120 milionów i o mało że nie staje się uniwersalną. Rasa francuska wegetuje w Europie w liczbie 38 milionów, a od kilku lat zaczyna wymierać. — Ale już przed największą klęską, której historyczna Anglia kiedykolwiek doznała, rozpoczął się w strupieszałej, zcudzoziemczałej i przedajnej Anglii nowy ruch religijny, który jak niepohamowany

wybuch lawy wulkanicznej wstrząsnął narodem, niebawem zmienił postać kraju i wytworzył obecny charakter narodowy angielski. Daremnie Anglomani nasi i inni sprawiają sobie suknie kroju angielskiego, czasami uczą się ekonomii politycznej Adama Smitha, ale tajników duszy angielskiej nie znają. Jak ruch ludowy Wesleya ogarnął stopniowo wszystkie warstwy narodu, a nakoniec i zaspałe powagi urzędowego kościoła, jak na początek wieku Dr. Arnold odrodził edukacyę i wytworzył nowy typ chrześciańskiego gentlemena, łączącego wiedzę z wiarą, cyrkiel, wagę i miarę z instynktem bohaterskim — Adama Smitha i maszynę parową z ewangelią, jak warstwa wykształcona, która przed stu laty na nowo otrzymała wiarę od ludu, teraz osobiście usiłuje nieść naukę i cywilizacyę do szerokich warstw ludowych, — te wszystkie naiwności, szczerości i śmieszności Anglika, chcącego żeby myśl była w zgodzie z czynem, któż w Europie o tem wie, któż o to dba? A wiele to potrzeba było czynów niegłośnej dzielności, bohaterstwa, które nigdy opiewanem nie będzie, ażeby wytworzyć ten fakt statystyczny, zbliżającego się panowania rasy angielskiej nad światem!

Daremnie szablonowa historya każe Polakom zapomnieć, że są posłannictwa narodowe, nazywa urojeniem wiarę, że prawidła innych narodów nie stosują się do nas. Żywe dzieje świata przemawiają za nami. Któż może zrozumieć dzieje Grecyi i Rzymu, dzieje plemienia izraelskiego, Francyi lub Niemiec nie widząc, że każda epoka rozwoju następuje niespodziewanie i wbrew prawdopodobieństwu statystycznemu pod wpływem żywego poczucia misyi narodowej, a że najpotężniejsze narody, przedstawiające się w okazałości cyfr i bogactw giną wśród najpomyślniejszych warunków na zgniliznę wewnętrzną, która niechybnie towarzyszy każdemu odstąpieniu od przyrodzonego posłannictwa?

Czyż są jakie oznaki zewnętrzne, materyalne tego posłannictwa, tej idei, która rozmaite ludy „gnała przez rozwarte dziejów pole“? Czyż pierwotny Grek wiedział, że wytworzy piękność i prawdę nieśmiertelną? Czyż łotrowski towarzysz Romulusa wiedział, że jego potomkowie będą panowali nad światem? Losy Rzymu długo były zmienne, to pomyślne, to nieszczęśliwe — ale jedna rzecz była stałą i trwałą, to jest wiara Rzymianina w fortunę rzymską, najbardziej wtenczas, kiedy

nowożytny rozum stanu kazałby mu zwątpić o sobie, i ta wiara a nie żaden rozum stanu stała się rękojmią jego tryumfu.

U Polaków najbardziej narodowość zespoliła się z religią, obowiązki narodowe stały się dopełnieniem obowiązków religijnych. To też nasz ruch narodowy odtwarza wiele symptomatów organizacyi tak czysto duchowej, jak nią było pierwotne Chrześcijaństwo. W listach św. Pawła odkryte są wszystkie sprężyny tej organizacyi w tej trójcy uczuć, pierwszy raz przez niego uwydatnionej: wiary, nadziei i miłości — „wiary skutecznej, miłości pracowitej i nadziei cierpliwej". Żaden mąż stanu i żaden statystyk nie mógł był przewidzieć tryumfu chrześcijaństwa. Bo czyż mąż stanu może brać w rachubę takie rzeczy nieuchwytne, jak wiarę i nadzieję? A przecież „wiara jest objawieniem się rzeczy upragnionych, rękojmią rzeczy niewidzialnych", tą siłą, która urzeczywistnia własne nadzieje.

Ta wiara w przyszłość narodową jest ukrytą przyczyną tego poczucia wyższości, które przejmuje każdy naród żywotny i tej odporności, która z tego poczucia wynika. A chcecie wiedzieć, kiedy ta wiara jest skuteczną? Święty Paweł odpowiada, „kiedy nadzieja jest cierpliwą a miłość ojczyzny pracowitą". To samo stanowi różnicę pustego szowinizmu a czynnego patryotyzmu, nie poczucie wyższości, wynikające z próżności osobistej, ale to poczucie, które całe życie pracuje, ażeby tę wyższość narodową uzasadnić.

I oto tu jest pewien objaw, który do pewnego stopnia stwierdza spostrzeżenie sceptyków narodowych, że w kierunku narodu coś się zasadniczo zmieniło. Do r. 1863 naród dążył do zdobycia niepodległości, ażeby w wolnej Polsce urzeczywistnić ideały narodowe. Teraz wiemy, co nasi wieszcze już dawniej wiedzieli, że musimy naprzód dokonać zmiany wewnętrznej narodu, wytworzyć nową rasę ludzi dzielniejszych od narodów nas otaczających, a jedność i niepodległość narodowa spadnie, jak dojrzały owoc, z drzewa historyi.

Niechaj się nie łudzą adepci rozumu stanu, że ich mądre nauki przeniknęły do głębi narodu. Polityka Wielopolskiego mogła znaleść zwolenników i może dzisiaj znaleść obrońców dlatego, gdyż była polityką możliwą dla całego narodu i zgadzała się z myślą przyszłego zjednoczenia. Taksamo polityka

Ziemiałkowskiego i Gołuchowskiego, którą sobie później przywłaszczyli tak zwani Stańczycy, mogła być, i przez pewien czas była, polityką całego narodu polskiego, jak tego dowodzą idee jagiellońskie Wojciecha Dzieduszyckiego. Dzięki tej polityce zdobyliśmy sobie znowu legalny teren działania, na którym Polak może nietylko działać jako jednostka, ale nawet wykonywać funkcye państwowe bez ujmy dla swej godności i złożyć dowody, że Polak potrafi władać cyrklem, wagą i miarą nawet w zastosowaniu do najtrudniejszych zadań państwowych i społecznych.

Tu znowu ciągle się nasuwają analogie do pierwotnego Chrześcijaństwa. Pierwotni chrześcijanie nie uznawali potęgi państwa, gdzie ono wkraczało w dziedzinę sumienia, ale zresztą niejednokrotnie cesarze pogańscy powierzali się raczej wierności chrześcijan, niżeli niepewnym i niestałym członkom własnego społeczeństwa. Tak też na obszarach Polski są funkcye, których się żaden prawy Polak nie podejmie, — ale tam gdzie mu sumienie narodowe pozwala podjąć się pewnego obowiązku, tam dobra sława narodowa wymaga, żeby ten obowiązek spełnił lojalnie i usprawiedliwił zaufanie mu okazane. Dawniej, kiedyś, starałem się udowodnić, że minister Dunajewski, jako minister skarbu austryackiego, nie mógł być uważany za reprezentanta i obrońcę idei narodowej. Charakterystycznem dla niego było, że podjęty obowiązek spełnił nietylko w literze, ale i w duchu, że o ustępstwa dla Galicyi łatwiej było u jego następcy Steinbacha lub u późniejzzego Plenera. Niemniej przeto fakt, że Polak finanse Austryi postawił na nogi, jest ważną zdobyczą dla narodu polskiego. Nikt nie będzie bardziej wystrzegał się posądzenia, że dla dążności polskich naraża interesa monarchii, jak nowo mianowany hr. Agenor Gołuchowski. — Nawet w parlamencie austryackim zasiadamy dobrowolnie na podstawie przysięgi poselskiej, wymagającej od nas pilnowania interesów całego państwa.

Pozatem cały obszar obowiązków narodowych, ciągłej realizacyi, mówiąc słowami Mickiewicza w prelekcyach, urzeczywistnienia w sferze osobistej i społecznej przewodnich myśli narodowych. Niechaj kto sądzi, jak chce, o powstaniu r. 1863, ale nastrój duchowy społeczeństwa polskiego, który panował w latach poprzedzających powstanie, jest jedynym nastrojem godnym dla Polaków. Z poczuciem godności i siły narodowej ten nastrój musi wrócić. We wszystkich

wielkich epokach odrodzenie narodu zaczyna się od odrodzenia życia powszedniego, od ciągłej pracy nad tą dzielnością osobistą, której zbiorowym wyrazem jest wyższość narodowa.

Ten naród panuje, który najlepiej zdoła w łonie swoim skupić światło i siły wieku i najprędzej urzeczywistnia jego potrzeby. Niechaj będzie więc i ekonomia angielska i nauka niemiecka i sztuka francuska, ale w służbie idei narodowej.

Tej idei narodowej najmniej zagraża odszczepieństwo wprost. Żadne zebranie Polaków mniejsze lub większe nie uchwali nowego dogmatu wyrzeczenia się nadziei narodowych. To nie tym sposobem idee umierają. Umierają w inny sposób, znany w historyi. U schyłku narodów prawda życiowa zamienia się na piękno estetyczne. Zamiast obowiązku realizacyi w życiu, wystarcza uwielbienie artystyczne, przeniesienie obowiązku narodowego z życia powszedniego do krainy ideału, pozostawiając życie swoim brudom i błahostkom. To, co p. Koźmian proponuje, t. j. estetyczną admiracyę literatury polskiej bez praktyki życiowej — szerokie koła ostygłych i zcudzoziemczałych Polaków już praktykują, ale bez tej logicznej konsekwencyi, która doprowadziła p. Koźmiana do dogmatu o wyrzeczeniu się nadziei niepodległości i jedności. Na to jeszcze się wzdryga bezwiedny instynkt godności narodowej. P. Koźmian dobrze się zasłużył, że tej części społeczeństwa naszego, jak przy świetle błyskawicy w szarym zmroku, okazał przepaść nad którą stoi, a od której zdrowy instynkt narodowy powinien ją wyratować.

MYŚLI Z POWODU POEMATU „SEN JERMAKA".

W wiedeńskim tygodniku „Przełom" z dnia 27 lipca 1895 r. drukowany był poemat „Sen Jermaka", podpisany pseudonimem Jana Sawy, kryjącym nazwisko znakomitej poetki. W następnym numerze „Przełomu", z dnia 3-go sierpnia, umieścił Szczepanowski swój artykuł, odnoszący się do tego poematu.

Piszę pod wrażeniem poezyi, ogłoszonej w ostatnim numerze „Przełomu" pod tytułem „Sen Jermaka".

Z początku nie chciałem czytać, bo widziałem z przypisku, że to miało być widzenie przyszłych mąk Polski. Unikam bowiem próżnych żalów i rozdzierających błagań, bo to ostatecznie prowadzi do rezygnacyi. Ja zaś w poezyi szukam źródła siły i otuchy, pobudki do wytrwałego działania. Skargi i żale odbierają tę siłę, powstrzymują to działanie. Wytwarzają ten nastrój mistyczny pielgrzyma z Zaleskiego „Ducha od Stepu", który swój kij pielgrzymi zatyka w piasku, czekając, aż cudem pańskim rozkwitnie. Wolę tego drugiego poetę, który pisze: Wielki narodzie, cudem jest własne twe ramię!

Dla przyszłości naszej rezygnacya, choćby najświątobliwsza, jest śmiercią, a ratunek polega w zahartowaniu i wykształceniu woli. Dlatego też, dla nas bohater nieskończenie wyżej stoi od męczennika. W języku pierwotnego kościoła męczennik jest to „testis", świadek wiary. Jego stałość wzmacnia wiarę, ale do jej krzewienia trzeba czynnego apostolstwa i propagandy. Kościół też niejednokrotnie walczył z szałem męczeństwa, który ogarniał niektóre sekty jak np. Montanistów. Walczył też z ucieczką od świata i apatyczną świętością pustelników, zakładając zakony, uświęcające pracę i wytężenie pod dewizą: „Ora et labora".

Z tem wszystkiem jednak przez pierwsze wieki chrześcijaństwa przeważało męczeństwo i ucieczka od świata, nad boha-

terstwem i walką ze światem — uświęcenie cierpienia, nad uświęceniem energii. Przez cały ten czas chrześcijaństwo, podnosząc jednostki moralnie, działało ujemnie na życie państwowe i narodowe i je rozprzęgało. Rzym chrześcijański ulega barbarzyńcom. Narody gotyckie i burgunckie, tylko co nawrócone, ulegają pogańskim Frankom i Longobardom, chrześcijańscy Bretanowie pogańskim Anglom i Sasom, nawróceni Sasi pogańskim Duńczykom — a burza arabska w krótkim czasie zalewa pierwotne siedziby chrześcijaństwa w Azyi, ogarnia prawie bez oporu Afrykę, ojczyznę tylu ojców Kościoła, świętych i męczenników, podbija Hiszpanię i zagraża Włochom i Francyi, całemu chrześcijaństwu!

Bierny ideał męczeństwa, uświęcenie cierpienia, nie byłby świata chrześcijańskiego uratował od zagłady. Uratowało uświęcenie energii w ideale czynnym bohaterstwa. Na polach Katalońskich otrzymuje pod wodzą Karola Martela chrzest krwi rycerz chrześcijański. Od tej dopiero chwili chrześcijaństwo zdobywa stanowczo przewagę na polu organizacyi państwowej i życia narodowego. Od tej chwili dopiero nie zginie już żaden naród chrześcijański, bo niebo może się zdobywa męczeństwem, ale ojczyznę tylko bohaterstwem — nie ginie, ale zwycięża. Garstka nieustraszonych rycerzy w górach Asturyi staje się zawiązkiem przyszłej Hiszpanii, cały naród Franków staje się mieczem Kościoła, a jego wyprawy przeciwko Saracenom w Hiszpanii, przeciw heretykom we Włoszech, przeciw poganom w Germanii i Panonii, to „res gestae Dei per Francos“, wojny Boże, zapomocą Franków dokonane. Sami papieże wzywają do wojny, a krzyżowcy wyruszali do wojny pod hasłem: „Dieu le veut!“.

Dlatego też, dla naszego narodu nie życzę sobie usposobienia kwietystycznego świątobliwych pustelników azyatyckich i afrykańskich, którzy na chwilkę zguby ojczyzny nie powstrzymaliby, ale hartu i dzielności rycerzy hiszpańskich w Asturyi, śmiałości i odwagi pierwszych krzyżowców.

W tem objawieniu narodowem, które się nazywa poezyą, nie szukam też rozrzewnienia, roztkliwienia, pociechy lub upojenia, lub jakiegokolwiek opiatu — ale szukam broni, siły do walki, środków do walki, niezachwianej wiary, zwycięskiej nadziei. Dlatego też świecidełka artystyczne uważam za niegodne narodu, walczącego o swój byt.

W tem usposobieniu też nie miałem ochoty do przeczytania nowego, a jak przypuszczałem roztkliwiającego obrazu męczeństwa Polski. Ale przerzucając strofy mimochodem, widzę, że mam przed sobą całkiem nowe zjawisko w literaturze męczeństwa. To nie treny Jeremiego nad utraconą ojczyzną, bezbrzeżna rozpacz lub histeryczne przekleństwa, jęk boleści z rozdartego serca, hymn żalu i rezygnacyi — ale obraz z twardej mozaiki, skrzącej się złotem i drogimi kamieniami, bogatej wszystkiemi barwami impresyonistów, każdy kontur wyraźny, każdy szczegół z życia chwycony. Jestto przejście jak z Chorału Ujejskiego do Pruszyńskiego obrazu „Pochód na Sybir" — z muzyki do plastyki, czyli, mówiąc technicznie, z liryki do epiki, z wrażenia subjektywnego do przedstawienia objektywnego.

Wrażenie subjektywne, choćby największej krzywdy doznanej, nie decyduje stanowczo przed forum historyi Bo któż może być sędzią we własnej sprawie, zmierzyć udział własnej winy w katastrofie, uwzględnić okoliczności łagodzące lub usprawiedliwiające? Wrażenie subjektywne, choćby najpotężniejsze, pobudza może do litości lub współczucia, ale nie zniewala sądu. Prawda okazuje się dopiero w przedstawieniu objektywnem. Prawda i sąd zarazem, „die Weltgeschichte ist das Weltgericht"!

Z dziwną też radością przekonałem się, że to, czego żądałem od literatury męczeństwa, tu jest po raz pierwszy urzeczywistnione. Wszystko twarde i nieubłagane, jak przeszłość niezmienna, jak prawda oczywista, bezlitosna rzeczywistość. Twarda, jak stal błękitna, nieubłagana, jak zimny połysk miecza, w którego cięciu sprawiedliwość strąca łeb zbrodniarza.

* *
*

Chwila poematu genialnie wybrana: Iwan Grozny, ustrojony świętokradzko w kościelne kapy, zrabowane na Litwie i Inflantach, jakaż to inkarnacya ducha zniszczenia tych wszystkich światoburców azyatyckich, których on stał się spadkobiercą i wykonawcą. Opowiadający Jermak, ślepe narzędzie pod urokiem i obuchem carskiego wszechwładztwa, najobojętniejszy osobiście dla Polski. Co jemu Hekuba! Z równą malowniczością, jak pochód nieszczęśliwych, opisuje skarby gór ałtajskich, mnogie ludy, które się mają poddać berłu carskiemu, szerokie krainy, po których będzie można pohulać. Im więcej obojętny, tem

Myśl z powodu poematu „Sen Jermaka"

większe wrażenie jego opowiadanie wywiera na czytelniku, jak zwierciadło historyi tem bardziej przekonywujące, im z równiejszego i twardszego odlane metalu.

Nawet tam, gdzie Jermak urywa, a poeta opowiada we własnej osobie, ten sam epiczno-plastyczny spokój.

Iwan Groźny napawa się widokiem okrucieństw i postrachu, rzuconego na cały świat. Im widowisko bardziej nieludzkie, tem bardziej go łechce:

Wstał car, jak gdyby okiem moc swą mierzył,
Wzrok, jak ryś, zmrużył, a nozdrza rozszerzył,
Krwi i potęgi dysząc aromatem.
Poczem siadł, szuby nakryty szkarłatem
I cicho śmiał się... Bogiem czuł się — katem.

To „cicho śmiał się“, to szczyt zgrozy, stokroć większe robi wrażenie od miotanych klątw lub złorzeczeń!

Tu trzeba na chwilę zastanowić się nad pojęciem demoniczności w uczuciu ludów i w literaturze światowej. Znane jest podanie ludowe o bazyliszku, który wzrokiem magnetyzuje ofiarę. Tę samą cechę demonicznego uroku ma u Shakespeare'a zbrodniarz królewski, Ryszard III. Morderca swoich bratanków, prawych spadkobierców do tronu, magnetyzuje Annę Warwick, której narzeczonego sam zabił w bitwie, gdzie równocześnie poległ jej ojciec. Daje jej swój miecz, klęka przed nią, obnaża piersi i wzywa, żeby mu śmierć zadała, jeżeli go uważa za zbrodniarza bez ratunku i przebaczenia — a wahającą i cofającą się niebawem skłania do małżeństwa.

Szatan Miltona, upadły anioł Klopstocka, wywierają tensam wpływ demoniczny. Zbrodnie i przewinienia wzbudzają grozę, ale niepohamowana siła i energia otaczają je urokiem. Mimowoli nasuwa się myśl, jakich cudów ta sama potęga mogłaby dokonać w dobrej sprawie. Upadli, ale zawsze aniołowie, powrót do boskich zastępów nie zdaje się wykluczony.

Tak samo wielcy zbrodniarze tragiczni popełniają zbrodnie nie dla zbrodni, ale opętani szałem namiętności. Zbrodnia była środkiem ale nie celem. Środkiem, na którego widok w jasnych chwilach wzdryga się natura zbrodniarza. Lady Macbeth wszystkiemi perfumami całej Arabii nie może zmyć śladów krwi ze swej ręki. W piekle Dantego, powtarzający się widok zbrodni wiecznie na nowo dokonywanej, jest najsroższą karą winowajcy.

Bo i ci zbrodniarze są ludźmi, noszą w sobie pierwiastek anielski, zgwałcony, ale nie zatarty i wiecznie odzywający się w zgryzotach sumienia.

Podobnie urok demoniczny otacza wielkich niszczycieli w historyi. Atylla, to „flagellum Dei“, bicz Boży. Dżengiskan, wznoszący piramidy z czaszek ludzkich, to wielki od Boga zesłany karciciel grzechów ludzkich. Car, to samowładny władca nie tylko ciał, ale i dusz swoich poddanych, który będzie dzierżył berło świata, jako uosobienie jedynej prawdziwej religii i zastępca Boga na ziemi. Siły to demoniczne, złowrogie, przed któremi świat truchleje, ale zdaje się potęgi duchowe, zesłane przez Opatrzność z misyą nam nieznaną, ale usprawiedliwioną w jej wyrokach, a podbijające siłą demoniczną tłumy i narody. Bo, jak antychryst, mają swoich fałszywych proroków i fałszywych kapłanów, a ludzie słabego serca im wiarę dają. Aureola niejako misyi opatrznościowej, otaczająca te postacie, siała postrach paniczny nawet tam, gdzie ich władza nie sięgała, ubezwładniała opór, broń wytrącała z ręki, czoła i karki korzyła pod ich stopami.

W opisie Iwana Groźnego naszego poematu postać cara odarta jest z aureoli bluźnierczej tej misyi opatrznościowej, nie ma też już uroku demonicznego, bo nie ma śladu anielstwa choćby upadłego, wyzuta jest z człowieczeństwa, bo wyzuta z sumienia. Zbrodnia tu już nie środkiem, ale celem, żywiołem przyrodzonym życia tego potworu, który tarzając się w zbrodniach „cicho śmieje się“ z rozkoszy. — Urok demoniczny w tym opisie już pokonany, okazał się bowiem największym fałszem i złudzeniem, kłamstwem potwornem. Mamy przed sobą ową bestyę apokaliptyczną „podobną do rysia“, poczwarę, lewiatana, smoka, gadzinę, utwór mętnego chaosu, jak go nieraz wyobraźnia ludzka utkała ze stęchłej śliny morskiej i wyziewów jadowitych bagnisk. Mamy przed sobą potwora, ale nie narzędzie woli opatrzności. Potwora, z jakimi walczył i zwyciężył św. Michał, św. Jerzy, Krakus pod Wawelem, z jakich pierwotne bohatery ziemię oczyszczali, z jakich Polska świat oczyści.

Ażeby zrozumieć doniosłość takiego obrazu poetyckiego trzeba pamiętać, że Mickiewicz w swoich prelekcyach robi uwagę, że podczas podziałów Polski ton literatury rosyjskiej o wiele był potężniejszy od tonu polskiego. Postać też carycy Katarzyny otoczoną była niezrozumiałym dla nas urokiem. „Tam się udaj-

cie, woła Karpiński, tam was widzieć wolę, ona honoru pokaże wam pole, tak ratując was wspaniałomyślnością rzadką, stanie się nową, matki waszej, matką!“

Przypomina to bazyliszka i jego biedną ofiarę.

Polska ówczesna i Moskwa, to znowu Anna Warwick i Ryszard III. Ale urok potęgi rosyjskiej i później nie ustaje. — Nikt tak potężnie nie walczył, żeby podnieść ton polski, dostroić go do potrzeby historycznej w naszej walce, jak Mickiewicz. Nikt tak zwycięsko nie przedstawił sprawy polskiej jako nieodzownego postulatu sprawiedliwości boskiej, jako koniecznego dopełnienia historyi dziejów, jak on. Opierając się na niewzruszonej opoce sumienia, widzi w sprawie polskiej ten pierwiastek zwycięski, który ostatecznie musi tryumfować. Sumienie jasno świadczyło Polsce, ale jego wyobraźnia pozostawała pod urokiem potęgi rosyjskiej. Pokazuje to temat Wallenroda: „zdrada, to ostatnia ucieczka słabych“. Pokazuje to następujący głęboko tragiczny ustęp w opisie Petersburga:

— — Na miasto patrzą z zadumaniem.
Po fundamentach, po ścianach, po szczytach,
Po tych żelazach i po tych granitach
Czepiają oczy: jakby próbowali,
Czy mocno każda cegła osadzona;
I opuścili z rozpaczą ramiona,
Jak gdyby myśląc: człowiek ich nie zwali!
Dumali, poszli. Został z jedenastu
Pielgrzym sam jeden. Zaśmiał się złośliwie,
Wzniósł rękę, ścisnął i uderzył mściwie
W głaz: jakby groził temu głazów miastu:
Potem na piersiach założył ramiona
I stał dumając, i w cesarskim dworze
Utkwił źrenice dwie, jako dwa noże;
I był podobny wtenczas do Samsona,
Gdy zdradą wzięty i skuty więzami,
Pod Filistynów dumał kolumnami.
Na czoło jego nieruchome, dumne,
Nagły cień opadł, jak całun na trumnę,
Twarz blada strasznie zaczęła się mroczyć,
Rzekłbyś, że wieczór, co już z niebios spadał,
Naprzód na jego oblicze osiadał,
I stamtąd dalej miał swój cień roztoczyć.

Niema w pismach Mickiewicza słów bardziej prawdziwych i bardziej oddających osobiste doświadczenie. Nawet to uderze-

nie głazu ręką, to niejako „e pur si muove“ poety, miotanego bezsilną rozpaczą wobec zwartej potęgi wrogiego żywiołu.

Wiele to razy od tego dnia scena podobna się powtarzała: U naszych naczelników z r. 1831, walczących dla honoru wojskowego, bo zwycięstwo było w ich umyśle wykluczone, na podstawie badań, podobnych do badania Mickiewicza tej nocy petersburskiej; u polskich mężów stanu, porywanych z jednej strony niepowstrzymalnemi uczuciami narodu, a mających z drugiej strony złowrogie przeczucie, że walka z Moskwą, to jak walka z fatum nieodwołalnem, w której poddanie się jest haniebnem, a zwycięstwo niemożliwem. Któż z Polaków, jeżeli tylko nie jest półgłówkiem, lub ślepym fanatykiem, nie przeszedł przez chwile podobne, próbując choćby myślą, czy w tej fortecy nieprzyjacielskiej „mocno każda cegła osadzona“.

Dlatego to u Mickiewicza Konrad żąda cudownej władzy nad sercami ludzkiemi, bo wiedział, że pospolity Polak, miękki, rozlazły, niedołężny, pomimo najlepszego serca nie nadaje się do walki z taką siłą demoniczną. Do tego by potrzeba, żeby każdy był bohaterem, a cały naród może się stać bohaterskim chyba na podstawie cudu. — W Dziadach samych niema rozwiązania na to zwątpienie poety. Stryczek na cara w pieśni więziennej, to ledwie że nie dziecinna satysfakcya więźniów bezsilnych. Jest wprawdzie przepowiednia malarza Oleszkiewicza w ustępie petersburskim o powodzi, która ma zniszczyć stolicę wroga:

„Słyszę! tam!... wichry... już wytknęły głowy
Z polarnych lodów, jak morskie straszydła;
Już sobie z chmury porobiły skrzydła,
Wsiadły na fale, zdjęły jej okowy.
Słyszę!... już morska otchłań rozkiełzana
Wierzga i gryzie lodowe wędzidła.
Już mokrą szyję pod obłoki wzdyma,
Już!... jeszcze jeden, jeden łańcuch trzyma
Wkrótce rozkują... Słyszę młotów kucie“.

Ale jest to raczej przywidzenie starego dziwaka, pium desiderium, które się może zgadza z życzeniem autora, ale przez niego samego nie jest otoczone znamionami autentycznego proroctwa. Jest wreszcie mistyczna przepowiednia o mężu, którego imię czterdzieści i cztery! — Dopiero w Prelekcyach,

tym testamencie politycznym Mickiewicza, występuje wiara w posłannictwo historyczne Polski, głoszona równocześnie i przez filozofów i poetów polskich, wiara w jej dziejowe powołanie do zwycięstwa nad złowrogimi żywiołami, które opętały Słowiańszczyznę.

Wiara ta, zasiana przez Mickiewicza przed pięćdziesięciu laty, musiała chyba głęboko zapuścić korzenie w umysłach polskich, jeżeli się mógł pojawić taki poemat, jak „Sen Jermaka". Tylko głęboka wiara w dziejowe posłannictwo Polski mogła wyrobić ten spokój, z którym poeta pogląda na kolos potęgi moskiewskiej. Jak Prorok Daniel w wizyi Nabuchodonozora, tak i on widzi olbrzymie rozmiary i potęgę kolosu, ale tak samo, jak prorok Daniel, dostrzega, że spoczywa „na glinianych podstawach", na fałszu psychologicznym, na zaufaniu w podłość ludzką, która daje się opanować postrachem. Kto raz przetrwał ten postrach i nie struchlał przed nim, tego już żadna moc piekielna nie pokona. Stąd też psychologicznie umotywowany wymiar sprawiedliwości przy końcu poematu, trafniej pojęty, niż stryczek lub powódź u Mickiewicza. Iwan Groźny, rozsiewający postrach, sam ginie z postrachu, pokonany mściwymi duchami, które swojemi zbrodniami wywołał:

„I widziałem głowę twoją,
Hosudarską twoją głowę,
Jak z niej siny strach wybija,
Jak wysadza oczy z dołów,
Jak twarz blednie gdyby ołów,
Jak się pod nią kurczy szyja,
Wyciśnięta z krwi i pusta,
Jak ziewają białe usta,
Jak ci na łbie wstają włosy..."

I obraz ten, to nie zmyślenie, ale niemal fotografia rzeczywistości: truchlejącej postaci, ukrytej w głębi karety o oknach stalowych, umykającej przed zamachami nihilistów!

Jeszcze jedna uwaga o poemacie, jako o symptomacie nastroju uczuciowego chwili obecnej w Polsce.

Wszak naród to jak stos galwiczny, składający się z milionowych elementów. Jeżeli te elementa są połączone i żywy prąd elektryczny obiega, to prąd, gdziekolwiek przerwany, wy-

daje iskrę, której siła równa się sile zbiorowej wszystkich pojedynczych elementów. Ten poemat, to taka iskra, która jest miarą siły i naprężenia prądu elektrycznego, który na nowo obiegać zaczyna w organizmie narodowym. Gdzie wśród takich okoliczności jak obecnie, wrażliwy poeta z takim spokojem i zaufaniem patrzy się na potęgę nieprzyjacielską, tam musi być tysiące mężów hardych i nieugiętych, zarówno nieustraszonych, jak nieubłaganych, którzy każdemu niebezpieczeństwu śmiało w oczy spoglądać się odważą i każdemu zadaniu sprostać potrafią. Wszystko zapowiada nową erę w rozwoju i ducha narodowego i literatury narodowej. „Werdet hart“, woła Nietzsche na Niemców, którzy zaprawdę tego nie potrzebują. — „Bądźcie dzielnymi i dojrzałymi“, można zawołać na Polaków. „Stańcie na wysokości powołania historycznego“, bo nikt nie wie, jak prędko może nastać chwila, wymagająca całej naszej działalności i całej naszej rozwagi.

DEZINFEKCYA PRĄDÓW EUROPEJSKICH.

W jednym z lutowych numerów „Słowa Polskiego" 1898 r. ukazało się studyum literackie p. t.: „Gabriel d'Annunzio", ożywione bezkrytycznem uwielbieniem dla kierunku, reprezentowanego w sztuce przez włoskiego pisarza. Kilka ustępów tego szkicu dało Szczepanowskiemu impuls do ostrego wystąpienia przeciwko rozkładowi, szerzonemu w naszem społeczeństwie przez pewne prądy nowszej literatury europejskiej i ogłoszenia w tej sprawie artykułu w „Słowie Polskiem" z 16 lutego tegoż roku. Rzecz ta należy do tych kilku prac ostatnich, które autor podpisywał pseudonimem „Piasta".

W powieści „Tancred", napisanej przed pięćdziesięciu kilku laty, opowiada Disraeli o pewnej damie angielskiej, która swój umysł skrzętnie nawoziła guanem romansów francuskich.

W literaturze francuskiej panowała wówczas jeszcze pewna rozmaitość. Wprawdzie od średnich już wieków brakowało naiwnych i swojskich kwiatów naszych łąk, niw i pól, — były jednak inne kwiaty wszelkiej woni i barwy, od odurzającej flory cieplarnianej i egzotycznej do mistycznych „*fleurs du Calvaire dans un vase athénien*", o których pisze Victor de Laprade. Było zboże rozmaitego gatunku, mniej ponętne może od kwiatów, ale dostarczające zdrowego i użytecznego pokarmu. Było wreszcie i guano!

Nie brakło go w żadnym okresie literatury francuskiej, bo od wielu generacyi błazeństwo, które tam nazywają „*esprit gaulois*" stało się chroniczną przymieszką usposobienia francuskiego, a zatem i literatury francuskiej. Ale w ostatnich czasach guano stało się prawie wyłącznym jej wytworem. Od szeregu lat przedstawia się ona jak wielka cuchnąca gnojówka, gdzie wśród rozmaitych fosforescencyi i miazmatów wyrabia się kwintesencya zgnilizny: guano. Jest to towar nader pokupny i sprzedaje się w rozmaitych gatunkach, ażeby zaspokoić wszelkie fantazye i wybryki powonienia i podniebienia. Ten podkład gua-

nowy prześladuje mnie nawet u tak zwanych spirytualistów francuskich i dlatego nie jestem w stanie zdecydować się, co mi jest bardziej wstrętne, czy rozpusta, czy cnota francuska, jak się ona odźwierciedla w nowożytnej literaturze francuskiej. Nawet Bourget, to dla mnie guao zaperfumowane wodą kolońską ckliwej i teatralnej sentymentalności klerykalnej.

Towar ten sprzedaje się pod złudną etykietą prawdy i piękna, — prawdy ludzkiej „*document humain*", piękna artystycznego „*l'art pour l'art*". Co do prawdy, to wychowany byłem w zanadto surowej szkole nauk matematyczno-przyrodniczych, i uczyłem się zanadto długo u pozytywistów francuskich, ażeby się dać wziąć na plewę pseudo naukową francuskich spekulantów literackich. Wolę jej szukać u rzeczywistych adeptów i schylić głowę przed Claude Bernardem, profesorem Charcot lub Pasteur'em. Co do sztuki, to od najwcześniejszej młodości mam zwyczaj przebywać codziennie choć parę chwil w świecie słonecznym wszystkich biblii światowych i wielkich poetów całego świata, począwszy od Greków i Platona, a kończąc na plejadzie naszych wieszczów.

Przebywając w tym świecie, nauczyłem się dwóch rzeczy: 1) że u wszystkich wielkich apostołów światła ostatecznym celem usiłowań, busolą ich duszy, była nie bańka mydlana piękna estetycznego, błyszcząca zewnątrz, a wewnątrz próżna i pryskająca za każdem zetknięciem się z rzeczywistością — ale czyn bohaterski, bo każdy z nich gardził efektem, a pragnął świat przetworzyć na podobieństwo swej szlachetnej duszy; 2) że wzniosłe myśli rodza się tylko w sercu szlachetnem, w praktyce obowiązków, w bohaterskiem usiłowaniu. Wszystkie najważniejsze prawdy są tylko zrozumiałe przy wysokim nastroju duszy, tak jak szeroki krajobraz roztacza się tylko wstępującemu na wysoki wierzchołek. Są zaś nieprzystępne dla tych, którzy w kałuży pełzają.

Zstępując z tego świata słonecznego do świata dzisiejszych naturalistów, dekadentów i impresionistów, mam wrażenie, jakbym się znalazł naraz w otoczeniu gadów, ślimaków i ropuch, którym mniej więcej brak wszystkich kwalifikacyi, ażebym z nich zrobił towarzyszy moich myśli i spólników moich dążeń. Nietylko, że przyzwyczajony jestem do lepszego towarzystwa, ale przedewszystkiem mnie nudzą, bo wszystko u nich tak stare i oklepane.

Partactwo naukowe, ślepota duchowa, nieznajomość nabytków cywilizacyjnych i tych nieprzebranych skarbów wiedzy i uczuć, które ludzkość już posiada, brak nastroju i celu, busoli, diapazonu, szerokiego regestru, modulacyi w klawiaturze, rozmaitosci i kontrastu, a przedewszystkiem czystości intencyi i tego poczucia czci dla rzeczy wzniosłych i boskich, tej „*Ehrfurcht*“ o której mówi Goethe. Oschłe serca, skurczone mózgi, plugawe życia.

Najdziwniejszą jest pretensya, jakoby ci autorowie coś nowego przynieśli. Ta nowość istnieje tylko dla nieuków. *Vacuum* ich pustych głów, nie zawierających innej bardziej ludzkiej treści, napełnia się tymi modnymi miazmatami. Ale kto n. p. zna Platona i jego typy tyrana, demagoga, prawnika i sofisty, czyż może uwierzyć, że naturalizm został odkryty onegdaj, kiedy go już dwa tysiące dwieście lat temu Platon w tak mistrzowski sposób praktykował, sięgając oprócz tego aż do wyżyn, w których się rozlega muzyka sfer. Czy Shakespeare, kreśląc Falstaffa i jego towarzyszy, może nie był naturalistą, chociaż mimo tego umiał odkryć „więcej tajemnic pomiędzy niebem i ziemią, aniżeli się śniło jakiejkolwiek filozofii“. A któż wierniej podpatrzył wszystkie chucie zwierzęcia ludzkiego od Mefistofelesa, ale Goethe również przechodzi przez wszystkie rejestra mysli i uczuć ludzkich: *Von Himmel durch die Welt zur Hölle*. A sen senatora rosyjskiego w „Dziadach“, czy to nie najczystszy naturalizm? Czyby naturalista, który to napisał, nie potrafił oddać wszystkich Rougon'ów i Macquart'ów, gdyby go takie ścierwo ludzkie dostatecznie mogło zainteresować. Ale ten naturalizm, to tylko mikroskopijna część geniuszu Mickiewicza, unoszącego nas na skrzydłach orlich w przestwory zaświata i nauczającego w jaki sposób bohaterstwo ludzkie może walczyć ze ślepym fatalizmem materyi.

Dlatego też cała ta modna literatura jest dla mnie w słowach Hamleta taka „nudna, zużyta, płaska i jałowa“. Nawet arcymistrz, pod którego powagę się ta szkoła samozwańczo podszywa — Taine, nie literat ale mąż rzeczywistej i wszechstronnej nauki, przed którego pracą i wiedzą staję z podziwieniem, skazał się na jałowość, bo skutkiem przesądów naukowych zapomniał o dwoistości natury ludzkiej i o ciągłej walce złego z dobrem w duszy każdego człowieka. Psychologia pierwszego lepszego prostaczka, który zasłyszał o aniele stróżu i szatanie kusicielu, jest prawdziwszą od arcypsychologa obecnej nauki

francuskiej, który skutkiem swojego fałszywego założenia, z wielkim mozołem napisał z najprawdziwszych materyałów najfałszywszą historyę własnego narodu, a w życiorysie Napoleona stworzył dziwoląga, sprzecznego z wszelkiemi prawidłami rozwoju duchowego.

Największym, już hurtownym fabrykantem tego guana literackiego jest Zola. Nie wchodzę w jego stosunek do sprawy Dreyfusa i prawie nie śmiem mieć nadziei, żeby w zgangrenowanej Francyi tegoczesnej armia francuska miała być jedyną instytucyą niepokalaną, choćbym tego gorąco pragnął. Ale moja opinia o Zoli jest wyrobiona od dawna. Na dnie jego oschłego serca widzę pieniądze i reklamę. Jako zręczny aferzysta umie on bić w bęben własnego rozgłosu i przerabiać na monetę każde połechtanie zmysłów i każdy dreszcz nerwowy. Wyobrażam go sobie jak nadętą i jadowitą ropuchę, która ślini i owrzodza wszystko, czego się dotyka. Jego dzieła są jednym ciągiem potwarzy wielkiego niegdyś i szlachetnego narodu, Francyi z pieśni Rolanda, z wojen krzyżowych, Francyi Ludwika św. i Dziewicy Orleańskiej, Francyi Napoleona. Napisał 20 tomów, ażeby przedstawić demoralizacyę swego kraju pod trzeciem cesarstwem. Ale on sam, piszący, jest najkolosalniejszym okazem tej demoralizacyi. Opisał *la bête humaine,* ale on sam jest pierwowzorem zwierzęcia ludzkiego, w którem dusza już zanikła, a nie pozostało nic wyższego od nerwów. Do napiętnowania jego wpływu najstosowniejszy jest znany ustęp z „Przedświtu“, zaczynający się: „Nie znam na was hańby słowa“. A chcę przypuszczać, że się coś szlachetniejszego od mody antisemickiej budzi w młodzieży francuskiej, jeżeli stosuje do Zoli jedyną krytykę, na którą on i jego plugawe dzieła zasługują: *Conspuez Zola!* „Plwajcie na Zolę“ w czem im z całego serca wtóruję.

Jest inna, jeszcze poważniejsza strona tego przedmiotu. Wszystkie prądy europejskie prędzej czy później dostają się do nas. Tak musi być i dobrze, że tak jest. Ale każdy prąd cywilizacyjny niesie z sobą równocześnie pierwiastki siły i pierwiastki zarazy. Stąd fatalna konieczność, że naród który nie umie sobie przyswoić sił cywilizacyjnych, ginie na zarazę cywilizacyi. Ci więc, którzy stoją na straży tradycyi narodowych, powinni zaprowadzić, że tak powiem, kwarantannę moralną, desinfekcyonować prądy europejskie, ażeby tylko ich zdrowe pierwiastki się do nas dostały i wyszły na pożytek,

a nie na zgubę. Nie o to chodzi, żeby płynąć z lada jakim prądem, ale przeciwnie, żeby z niego dobierać pokarmu dla naszego własnego organizmu narodowego, któryby zwątlał bez takiego pożywienia, ale któryby zatracił swą samodzielność, gdyby się mu dał unieść.

„Słowo Polskie“ ma właśnie być organem tych, którzy są równocześnie patryotami polskimi, a których myśl obejmuje widnokręgi europejskie. Dlatego nam przedewszystkiem wypada witać każdą zdobycz cywilizacyjną, ale też przestrzegać przed każdą zarazą światową. A zaraza się szerzy i z bólem widzę naszą szlachetną młodzież nieraz pod jej wpływem i chorą na duszy i na ciele.

W literaturze naszej prądy francuskie słabym odbijają się echem, bo instynkt narodowy zanadto silnie przemawia, ażeby idealizować fiakierskie przygody pani Bovary, współczuć z Salambo, lubieżnie opasaną splotami węża, unosić się nad ekstazami kotów na dachu u Beaudelaire'a, lub tajemnicami stajni zarodowej u Zoli. — Ale molochem, pożerającym mnóstwo obiecującej młodzieży obu płci, jest ta cyganerya literacko-artystyczna, której moda i praktyka zawitała wraz z obecną literaturą francuską, jakby literat lub artysta nie mógł być porządnym i uczciwym człowiekiem. Parę słów przestrogi więc, w celu wyzwolenia szlachetnych instynktów narodu polskiego z pod uroku epidemii moralnej, już grasującej między nami. Trucizna przemyca się pod hasłem piękna estetycznego. Hasło to bałamuci nie jeden umysł świeży, który wyobraża sobie, że idzie w kierunku postępu i rozwoju.

Asumpt do tych uwag biorę z artykułu drukowanego onegdaj w „Słowie Polskiem“, w którym jeden z utalentowanych młodych literatów wita Gabryela d'Annunzio, jako dowód, że potężny duch odrodzenia poczyna wstrząsać literaturą włoską. Ja w tym samym pisarzu, którego dusza musi pochodzić z Sodomy i Gomory, chociaż cielsko urodziło się we Włoszech, widzę dowód nie odrodzenia, ale największej demoralizacyi i widzę wytłumaczenie haniebnej klęski Włochów pod Aduą i zapowiedź czasów, w których jaki bicz boży stratuje znikczemniałe hufce niegodnych potomków dawnych władców *orbis et urbis*.

Muszę więc choć w krótkości wykazać zabałamucenie młodego Polaka, od którego czegoś lepszego żądać można, bo przecież rodzice dali mu symboliczne imię Tadeusz, imię Rejtana

i Kościuszki, a nazwisko kończy się na — ski, musi więc oznaczać, że gdzieś na dnie serca znajdują się pierwiastki szlachetności i bohaterstwa. Zwracam więc jego uwagę, że życiorys d'Annunzia, który sam podaje, udowadnia, że ten bohater odrodzenia, to dziecko starożytnej Hellady, jak pisze, już za wczesnej młodości był skończonym cyganem, który jak nędzny „Graeculus“ u Iuwenala już zgnił zanim jeszcze dojrzał. — Nie tak Plato opisuje Efebów greckich, których główną cechą była *aidos* — wstyd. Tem mniej mógł być potomkiem starożytnych Rzymian, gdzie *nota censoria* wywoływała nawet u senatorów skarconych *rubor* — rumieniec wstydu.

D'Annunzio wcześnie przestał się rumienić. To nie dziecko Hellady, ale *ami cochon* cyganów francuskich, jak Maupassant, których zasłużonem przeznaczeniem jest, albo zginąć na barłogu albo dostać się do czubków. Zgnilizna, zaszczepiona w młodości, to zwichnięcie całego życia i skaza prawie nieuleczalna. — Nie taką młodość mieli nasi „promieniści“ w Wilnie, nie taką była młodość „chmurna i górna“ naszego Adama.

Jako rzekomy syn Hellady, d'Annunzio uprawia kult piękna dla piękna. — Nie szukali Grecy piękna, kiedy gromili Persów i bronili niepodległości swej ojczyzny. Ale dopóki trwał bohaterski nastrój, to niechcący wszystkie płody ich ducha przyoblekały szatę nieśmiertelnej piękności. Piękno, jak szczęście, tylko tym przychodzi niechcący, jako konieczna forma szlachetnej treści, którzy go nie szukając, naturę ludzką do wyższego stopnia doskonałości dźwignęli. Szukaj bohaterstwa i doskonałości, a będziesz miał piękno i szczęście. Pogoń zaś za szczęściem, to najpewniejsza droga do pesymizmu, pogoń za pięknością — do pozy teatralnej i blichtru scenicznego. — Nie o piękności estetycznej nasi „promieniści“ rozprawiali, ale o odbudowaniu Ojczyzny. To było źródłem ich natchnienia. Młodego Polaka, któryby od tego nie zaczął, nie chcę znać, ręki bym mu nie podał, w domu nie ścierpiał, ażeby jego nieczyste tchnienie nie kalało powietrza w mojem otoczeniu.

Jeżeli młody autor chce zrozumieć różnicę pomiędzy poezyą zgnilizny a poezyą bohaterską, niech jeszcze raz przeczyta wiersze, które sam cytuje, jako próbkę wyższych ideałów d'Annunzia, zaczynające się od słów „O, umierająca duszo!“ a kończące się refleksyą: „Człowiecze, to twój los, że po tem wszy-

stkiem, co się niegdyś rozpajało, pozostaje ci tylko niewyraźny, przykry smak. Niema żadnej obrony przeciw losom. W ciele i duszy musi śmierć wszystko zniszczyć“.

Niech potem przeczyta w tłómaczeniu Mickiewicza ustęp z Giaura Byrona, zaczynający się od podobnego obrazu „Kto na śmiertelnem oglądał posłaniu“, a kończący się na słowach „że nikt nie zagrzebie ducha swobody — chyba on sam siebie, bo własne tylko upodlenie ducha ugina wolnych szyję do łańcucha“. Po przeczytaniu Byrona w szacie Mickiewicza, prawdopodobnie nie odważy się cytatowi d'Annunzia przypisać świętego miana poezyi, nie odważy się nazwać tego wynurzeniami serca, wzdychającego do wyższych ideałów, co się raczej przedstawia, jako wymioty zepsutego żołądka. — Wzywam młodego pisarza polskiego, niech przypomni sobie Mickiewicza, a może niech jeszcze przeczyta we Fichtego: *Reden an di deutsche Nation* o żywiołowej potrzebie duszy szlachetnej przywiązania się do spraw nieśmiertelnych i niech jeszcze raz napisze ocenę d'Annunzia w tem nowem oświetleniu. — Jeszcze zapytam się, czyby ważył się czytać niechlujne elukubracye d'Annunzia swej matce lub siostrze, lub w towarzystwie Tomasza Zana, Czeczota, Adama Mickiewicza, Maryi Wereszczakównej i Feli Filaretów?

Ale może czuje, że to by był przysmak godny króla Stanisława Augusta, jego kochanek i smakoszów estetycznych z jego obiadów czwartkowych, lub też nowoczesnych admiratorów i naśladowców rozumu stanu kochanka Katarzyny, który, tak samo jak d'Annunzio, doświadczył, że wszystkie ludzkie upojenia kończą się przykrym smakiem w ustach, tak, że w końcu musiano mu talerze smarować *assafoetidą*. Nastrój poetów stanisławowskich chwilami sięga wyżyn obecnych naturalistów. Zachwyt na widok wanny, w której się jakaś piękność warszawska kąpała „O wodo, gdybyś ty czucie miała“ godzien węża Flauberta, kotów Beaudelaire'a i buhajów Zoli. Ale takiej *Assafoetidy* do jakiej można porównać romanse d'Annunzia, nawet w tej epoce upadku i podłości nie było.

Mickiewicz w prelekcyach robi głęboką uwagę, że nastrój poetów stanisławowskich, to co on nazywa tonem, o wiele był niższym od tonu Dzierżawina i poetów rosyjskich. W walce duchów zatem, jeszcze przed walką orężną, sprawa polska już była przegraną. — Nie posiadając obecnie

wyższości materyalnej, starajmy się przynajmniej o wyższość duchową. W zebranej sile jednostek leży siła narodu. Nie jest obojętnem, jak się jakakolwiek jednostka zdecyduje, czy się przyłączy do nikczemnej kompanii dworaków Stanisława Augusta, czy do hufców „promienistych", walczących za odrodzeniem narodu. Każdy emisaryusz demoralizacyi jest z piekła rodem. A wszystkich takich, podobnie jak młodzież francuska woła: *Conspuez Zola!* jabym w słowach Krasińskiego:

...jak zemsty jędza wściekła
gnał ich biczem żmij do piekła.

O POTRZEBIE SWOJSKIEGO KIERUNKU W LITERATURZE POLSKIEJ.

Rzecz wygłoszona na II. Zjeździe literatów i dziennikarzy polskich we Lwowie dnia 21 lipca 1894.

Są rozmaite rodzaje literatury. Jest literatura, która ma za cel rozrywkę i zabawę. Nie mówiąc z punktu widzenia literackiego, nie będę się zastanawiał nad kwestyą, czy są dzieci dorosłe i niedorosłe, dla których potrzeba tego rodzaju zabawki i rozrywki. Jest dalej literatura „piękna i harmonii", do której ludzie, znużeni szarą rzeczywistością życia, uciekają się, pragnąc w niej znaleść ukojenie i spokój. Ta gałęź literatury jest zupełnie uprawniona, ale i ona mnie dziś obchodzić nie będzie. Jako ciągle zajęty polityką, czyli przeprowadzaniem w życie pewnych kierunków myśli przewodnich, czy to narodowych czy społecznych, zajmuję się tylko literaturą, która w bezpośrednim z życiem pozostaje związku, podnosi i zaznacza myśli, jakie mogą zamienić się w czyn i w czyn się istotnie zamieniają.

* * *

Każdy, pracujący na polu politycznem nad urzeczywistnieniem myśli narodowej, dojść musi do przekonania, że jest ogromna różnica w tem, czy się pracuje przeciwko prądowi umysłowemu, czy też prąd, w danej chwili istniejący, wspomaga usiłowania narodowe. Otóż w literaturze europejskiej ostatnich stuleci dwa główne uwydatniły się kierunki — dwa prądy zasadnicze: jeden skrajnie racyonalistyczny, który bierze początek od Voltaire'a, drugi, przedewszystkiem na uczuciu opierający się, którego twórcą i najwpływowszym przedstawicielem był u schyłku XVIII wieku J. J. Rosseau. Oba te kierunki aż do czasów obecnych ciągle licznych znajdują następców.

Otóż jest faktem stwierdzonym historycznie, że zarówno Voltaire jak i wszyscy jego następcy, przedstawiciele racyonalizmu politycznego i czystego intelektualizmu, zawsze nieprzyjaźnie odnosili się do naszych usiłowań i zdaniami swojemi sankcyonowali bezprawia przeciw Polsce popełnione. Przyczyna tego jest jasna. W kierunku umysłowym, racyonalistycznym doniosłość największą mają fakta dokonane Cały szereg myślicieli, roztrząsając dzieje Polski, zapatruje się na jej upadek mechanicznie, uznając jedynie fakty dokonane i oczywiste.

Zwolennicy znów kierunku uczuciowego i idealistycznego jak Rosseau, wierząc w moc pierwiastków woli, pragnienia, idei, odnajdują w historyi Polskiej te pierwiastki i, polegając na szlachetności naszych zamiarów, przewidują ostateczny tryumf naszej sprawy.

Kierunek czysto intelektualny przeważał w wieku XVIII aż do epoki romantyzmu. Z epoką romantyczną nastał przewrót, dla nas nadzwyczaj korzystny, w którym naród polski skrystalizował się duchowo w swej postaci obecnej i wykazał, że i w rozwoju duchowym stoi na równi z innymi narodami Europy.

* * *

W połowie bieżącego wieku siła romantyzmu wyczerpała się. Można powiedzieć, że streszczeniem ruchu umysłowego, który odtąd nastał, była doktryna Darwina, która nie tylko w dziedzinie nauk przyrodniczych, ale także na polu literatury ogólnej prawie wszechwładnie zapanowała. Doktryna ta, dziwnym sposobem, stanęła wręcz przeciwko wszelkim uogólnieniom i utartym niejako pewnikom wieku poprzedniego. Darwin przywrócił na nowo doktrynę rasy, jako negacyę zasady równości całego rodzaju ludzkiego, doktrynę dziedziczności, jako zasadniczą negacyę równości wszystkich warstw społecznych, wreszcie teoryę walki o byt i tryumfu silniejszego, z czego powierzchowni Darwina zwolennicy wysnuli doktrynę tryumfu siły nad prawem. Cały szereg szkół literackich i stronnictw politycznych, które w ostatniej generacyi zmieniły zasadniczo tok myśli, uczuć i czynów, jaki panował od czasu rewolucyi francuskiej, uzasadnienia swej racyi bytu (częstokroć błędnie), szukały w teoryach i hypotezach Darwina. — Ale teraz, w dobie dzisiejszej i ten kie-

runek wyczerpany. Budzi się natomiast do życia nowa epoka, gorące pragnienie nowego kierunku, w którym byśmy mogli czerpać pomoc i siłę w trudnościach, w jakich się znajdujemy.

*
* *

Do tych trudności, z obecnego położenia wynikających, należy zaliczyć fakt, że rozerwani jesteśmy na trzy dzielnice, i że z konieczności nieubłaganej rozwój społeczny, polityczny, umysłowy każdej z tych dzielnic nabiera pewnych cech odrębnych, które jak dotąd nie wywołały rozdwojenia wewnątrz narodu, z konieczności jednak wytwarzają w każdej dzielnicy atmosferę pewną, utrudniającą wzajemne porozumienie się i współdziałanie. — Dalszą trudnością zasadniczą, wynikającą z naszego położenia, jest fakt, że punkt ciężkości działania narodowego przerzuca się z jednej dzielnicy do drugiej, a obecnie znajduje się w dzielnicy, która wypadkami ostatniego stulecia i niekorzystnem położeniem geograficznem pewno najmniej powołaną była do tego, ażeby przodować narodowi polskiemu i być jego zbiorową reprezentacyą. Zaznaczyć jednak należy, że w ostatniej generacyi podjęto w Galicyi cały szereg prac, zmierzających do tego, ażeby z prowincyi, zacofanej pod względem umysłowym i ekonomicznym, zrobić reprezentacyę duchową całej Polski; ażeby naradom, usiłowaniom z natury rzeczy zaściankowym i prowincyonalnym, nadać cechę działalności politycznej na wielką skalę nietylko w słowach ale i w czynach.

Ta trudność okazuje się, jeżeli już nie odnośnie do całego kraju, to chociażby tylko do miasta, w którem obecnie obradujemy. Naród, posiadający w Warszawie stolicę duchową i społeczną, nie może w tej stolicy podejmować wielkich prac na arenie politycznej — i z konieczności Lwów, miasto małe, prowincyonalne, starać się musi wyrobić w sobie to usposobienie stołeczne, zająć się sprawami ogólnemi z pominięciem spraw drobnych. Wyrobić ono musi w sobie usposobienie potrzebne do stworzenia atmosfery opinii publicznej, bez której współdziałania żadne władze nic wielkiego przeprowadzić nie mogą. Może być, iż po części ten kraj i to miasto urzeczywistniają swoje zadanie, wytwarzając to usposobienie stołeczne, objawiające się w powstaniu całego szeregu organizacyi

umysłowych, które są koniecznie potrzebne do wszelkiego zbiorowego działania. — Większa część tego zadania pozostaje jeszcze do zrobienia.

* * *

Pomimo wyjątkowo trudnego położenia narodu polskiego jest w nim jakaś siła, która się objawia bardziej faktami dokonanymi, aniżeli poglądami czy to pisarzy, czy mężów stanu. Dziwna rzecz, od r. 1863 wszystkie głosy tak naszych pisarzy, jak i mężów stanu, mają pewną cochę prawie chorobliwej rozpaczliwości. A jednak, rozglądnąwszy się w położeniu narodu, który od tej doby znalazł się znowu w najtrudniejszem położeniu politycznem, w jakiem kiedykolwiek naród się znajdował, w położeniu, że wszystkie potęgi europejskie sprzysięgły się na jego zagładę — rozglądnąwszy się w położeniu, widzimy dziwny ruch, dziwną odporność żywiołową, której może nikt nie przewidywał, a do wytworzenia której i literatura i polityka bardzo mało się przyczyniły.

Wspomnę tylko o jednym fakcie: Do roku 1863 ludność polska co do liczby była w pewnym zastoju. Od roku 1863 datuje się wprost fenomenalny rozwój liczebny narodu polskiego. Podczas, kiedy przed rokiem 1863, według wykazów etnograficznych, Polaków czystej krwi było $8^1/_2$ miliona, to dziś w Europie jest 15 milionów, a blisko jeden milion w Ameryce, czyli razem 16 milionów. — Z narodu prawie najmniejszego w Europie, mało co liczniejszego od czeskiego, staliśmy się narodem wielkim, dorównującym liczbą tym, które odgrywają rolę europejską i w polityce i w historyi. Fakt to tem donioślejszy, że na ziemiach Rzeczypospolitej, obok Polaków czystej krwi, żyje wielka liczba obcych żywiołów bądźto spolszczonych, jak znaczna część ludności izraelickiej i żywiołu niemieckiego w Kongresówce, bądźto idących w kierunku idei państwowej polskiej, jak Litwini. Przez doliczenie tych żywiołów dojdziemy do liczby przeszło 20 milionów ludności, na której naród polski absolutnie polegać może. — Jest to cyfra europejska, zupełnie wystarczająca do wytworzenia samoistnej siły państwowej.

Obok narodu polskiego jest inny, wchodzący w znacznej części w skład państwa rosyjskiego, który w ostatniem stuleciu

doznawał fenomenalnego pomnożenia liczby ludności: są to Rusini. Z końcem XVIII wieku większa część krajów, obecnie przez Rusinów zamieszkałych, była prawie pustkowiem, dziś należą one do najbardziej zaludnionych prowincyi cesarstwa rosyjskiego. Jeżeli policzymy żywioł ruski, to nie można wyliczyć mniej jak 20—25 milionów. Przygnębiony i pozbawiony osobnej egzystencyi narodowej, żywioł ten, opanowany duchem wspólnych celów, wytworzyćby mógł łącznie z narodem polskim podstawę liczebną wielkiej siły historycznej. — Pomyliłem się mówiąc „wytworzyć", raczej należy powiedzieć „odtworzyć" to, co już w historyi Europy było wielką siłą historyczną.

* * *

Innym objawem żywotności polskiej jest wychodźctwo naszego ludu do Ameryki i emigracya zarobkowa.

Nazywając objawem dodatnim to, co już samo przez się nasuwa myśl o upuście krwi żywotnej, o zmniejszeniu się zasobu w materyale ludzkim — muszę to kilkoma słowy usprawiedliwić. W mojem przekonaniu, choćby nie było emigracyi, nie mielibyśmy mimo to ani jednego człowieka więcej na ziemiach polskich: wyemigrowaliby, ale tam, skąd się nigdy nie wraca. Liczba ludności, zamieszkującej ziemie polskie, jest zupełnie odpowiednia do stosunków ekonomicznych, do warunków wyżywienia i utrzymania. Istnienie emigracyi oznacza głęboki przewrót w pojęciach ludowych; wskazuje bowiem, że ten lud, który z fatalizmem indyjskiego buddysty poddawał się losowi, który ginął i marł na miejscu, skoro niemiał środków istnienia — zabrał się obecnie z całą samowiedzą do walki z życiem i jego trudnościami. Jest to objaw naturalny, który wyszedł sam z siebie, bez poparcia w literaturze i polityce, który wytworzył się sam, tak, że istnienie milionowego wychodźctwa polskiego w Ameryce przez długi czas uchodziło uwagi warstw inteligentnych. Lud, który walczy, który ma pobudzenie do silnych czynów, on wzrostem poczucia własnej siły nie pójdzie więcej na strawę innych społeczeństw, lecz zdobędzie stanowisko własne, samodzielne i potrzeba mu tylko mysli przewodniej, natchnienia, przejęcia się pewnem dążeniem, ażeby się stał wielką siłą historyczną.

* * *

Za dalszy objaw żywotności narodu polskiego uważać muszę pewne wyrobienie sił własnych, pewne wzmocnienie podstaw samorządu. Mnie się zdaje, że to wzmocnienie sięga dalej, aniżeli w obecnym stanie opinii publicznej w Europie ktokolwiek chciałby przyznać i usprawiedliwia o wiele większe nadzieje, aniżeli wnioskować można ze słów i obrad, które nieraz w tym przedmiocie słyszymy i czytamy. A tę moją opinię opieram nie na słowach, nie na programach, lecz na pewnem poczuciu wewnętrznego ducha, który w niektórych chwilach kieruje samorządem. Biorąc naprzykład nasz Sejm, to wrażenie, jakie uczestnik obrad jego odnieść musi, jest to, że ponad wszelkiemi różnicami stronniczemi, ponad wszelkiemi opiniami, wygłaszanemi częstokroć jako echo naleciałości zagranicznych i obcych, nie odpowiadających naszym rzeczywistym potrzebom i stosunkom — ponad gwar cały, który mógłby być pusty, a pustym nie jest — jest fundament dobrej woli i szczerych chęci powzięcia takich uchwał, jakich kraj potrzebuje, tak, że niejednokrotnie widzieliśmy ten Sejm, łączący się w uchwałach zbiorowych, o których przedtem niktby nie przewidywał, żeby mogły wyniknąć — nikt z tych, którzy znali opinie posłów i to co się nazywa opinią publiczną, jaka się wyraża w książkach, gazetach lub rozmowach. Jest to fakt doniosłości nadzwyczajnej, a nikt nie dziwi się temu faktowi, bo zwykle uczucia, instynkty były mądrzejsze od naszych argumentów, od naszych głów.

* * *

Wspomniałem, że na pewne objawy dodatnie w naszem społeczeństwie literatura i polityka bardzo mały wpływ wywarły. Widzimy bowiem dziwny fakt, że podczas kiedy w literaturze i polityce panował kierunek rezygnacyi i zwątpienia prawie rozpaczliwego — to jednak naród, nie słuchając tych głosów, potrafił z własnego wnętrza, ożywiony jakiemiś dziwnemi mocami, rozwinąć w tej epoce wielką siłę odporną.

Mnie się zdaje, że zwykle fałszywie się zapatrujemy na stosunek literatury do narodu. Zwykle się mówi, że literatura prowadzi a naród idzie za jej przewodem. Sądzę, że tak nie jest: naprzód idzie rzeczywistość, budzi się nowe życie, nowe nasienie kiełkuje i rośnie, a potem dostrzega je literatura i do-

daje swój komentarz.—Po zgnuśnieniu i ociężałości XVIII wieku i czasów saskich bohaterstwo polskie odżyło w konfederacyi Barskiej, w Kościuszkowskiem powstaniu, w legionach i w kampanii Napoleońskiej — a w całej literaturze naszej nie było głosu, któryby godnie dorównywał czynom: Czyny były głośne, a literatura głucha i niema. Literatura bohaterska powstała dopiero w 50 lat później.

Mam nadzieję, że i teraz, gdy naród po walce z potęgami przemożnemi wykazał odporność swą niespożytą — literatura zrozumie ten fakt, natchnie się siłą żywotną narodu i pielęgnować będzie dalej te zarodki, których nie potrzeba rozsiewać, które już są, które żyją w umyśle i wyobraźni każdego Polaka. Zadaniem literatury spostrzedz te pierwiastki, wzmocnić je i pilnować, żeby bohaterstwo narodowe nie zmarnowało się i nie poszło w niwecz, jak się niejednokrotnie w przeszłości zmarnowało.

* * *

Powracam do założenia, od którego wyszedłem, że nie interesuje mnie literatura, jako literatura, sztuka jako sztuka. Może są szczęśliwe narody, które taki zbytek pielęgnować mogą. My, którzy walczymy o nasze życie, o byt narodowy — my przy każdem objawie życia publicznego, czy to w polityce, czy w pracy ekonomicznej, czy naukowej lub na polu literackiem, powinniśmy się pytać, czy to, co się dzieje, wzmacnia nasze siły, czy pomaga nam w tej walce? I dla tego literatura dla mnie ma tylko doniosłość o tyle, o ile pokrzepia ducha narodowego, o ile wlewa nową otuchę, o ile jest nową bronią do dopięcia celów naszych.

Zapatrując się z tego punktu widzenia na literaturę polską z ostatnich lat 30, trudno z początku powziąć jakąś jasną opinię. Widzimy bowiem, że od czasu, kiedy naród w sobie odradzać się począł — na polu umysłowem nastąpiła powódź obczyzny. Po wyczerpaniu kierunku romantycznego, po smutnych zawodach doznanych przed laty 30, naród na polu literatury zwrócił się do obcych bogów.

Nie chcę, nie mogę i nie powinienem potępiać tego ruchu. Było to rzeczą naturalną. Każdy naród przechodzi przez pewne epoki skupienia własnego życia narodowego, kiedy wydaje literaturę oryginalną, a potem przez dłuższe epoki użyźniania wyja-

łowiony własny grunt — żyje myślami obcemi, wiadomościami obcemi i nauką obcą. — Dwa główne kierunki umysłowe panujące w Polsce od r. 1863, pozytywizm warszawski i konserwatyzm galicyjski, były jeden i drugi naleciałościami obcemi. Było to przyswojenie pewnych obcych pierwiastków, potrzebnych nam do życiowego rozwoju. Naród, który dawniej zamykał się w ogólnikach, który przez niejasne określenie ogólnych dążeń nie umiał urzeczywistnić swego programu działania, ten naród u obcych szukać musiał szczegółowej nauki. — Ale jeżeli te kierunki obce panowały tak długo, jeżeli wydały rezultaty doniosłe i wielkie, jeżeli teraz w każdej gałęzi piśmiennictwa, czy to ściśle literackiej czy naukowej, czy społecznej mamy cały szereg pracowników specyalistów, którzy przyswajają nam wiedzę europejską — to możemy zapytać, czy nie byłoby na czasie zmienić kierunek i powrócić do rodzimego gruntu po to natchnienie, które było rezultatem wiekowej pracy narodu i które musi nadal pozostać tym celem zamierzonym dla wszystkich naszych usiłowań.

Sądzić, co jest kierunkiem narodowym i polskim, to rzecz nadzwyczaj trudna. Można powiedzieć, że w dobie przesiąknięcia myślami obcemi bardzo często mówiono o narodowym kierunku, ale kierunek ten objawiał się przeważnie w życiu rzeczownika Polska i przymiotnika polski, a brało się istotnie rzeczy obce. Bierzemy pozytywizm lub materyalizm, dodajemy polski i mamy polski pozytywizm, polski materyalizm, a nie pytamy, czy ten lub ów kierunek uzasadniony jest rzeczywistą potrzebą. Bierzemy socyalizm europejski, dodajemy „polski“ i już mamy narodowy socyalizm polski. Otóż zdaje mi się, że ten sposób przyswajania rzeczy obcych nie odpowiada rzeczywistym potrzebom narodu. Praca nad wprowadzeniem pierwiastków cywilizacyi europejskiej była dobra i użyteczna. Mam przekonanie, że nie byłaby się dokonała, nie byłaby znalazła tylu ludzi, oddających się jej z całym entuzyazmem, gdyby nie była potrzebną dla narodu — ale mnie się zdaje, że ta cała praca jest już dokonana i że teraz potrzebne nie tłómaczenie obczyzny na język polski, ale przyswojenie rzeczywiste potężnych obcych pierwiastków cywilizacyjnych i zespolenie z tem, co było historyczną tradycyą narodu.

* * *

A tu niech mi będzie na chwilę wolno zrobić dywersyę niejako czysto osobistą, autobiograficzną. Znałem i ja za młodu literaturę polską. Zrodzony niejako w księgarni, nie mogłem jej nie poznać. Odczuwałem i ja, jak każdy, kto te lata przechodził, potrzebę nowych kierunków. Zabrałem się do pozytywizmu na kilka lat przed powstaniem szkoły pozytywistów warszawskich; studyowałem konserwatyzm europejski, francuski i angielski, nie znając zupełnie tutejszych jego objawów. Kiedy po kilkunastu latach, na obczyźnie spędzonych, wróciłem do kraju, powziąłem zamiar pouczać naród, uczyć Polaka rozumu na podstawie teoryj zagranicznych, o których przypuszczałem, że są najświeższą zdobyczą ducha ludzkiego, że mogą nam dodać tych sił żywotnych, których skądinąd zaczerpnąć nie możemy. Otóż przypadkowo, bo proszę zauważyć, że nie jestem literatem, ale żyję czynem i życiem praktycznem, przed dziesięciu laty zacząłem czytać na nowo *naszą wielką poezyę i filozofię* i ze zdumieniem ujrzałem, że to w tych dziełach, co we wspomnieniach młodzieńczych moich miało niejako tylko cechę patryotyczną, może nawet szowinistyczną, co w moich wspomnieniach odnosiło się tylko do walki z żywiołem obcym o niepodległość, *że w tem wszystkiem była szeroka i znakomita treść uniwersalna.* Wiele z tych zagadnień, sprzeczności i z tych myśli, które mię trapiły od lat 30 — są w literaturze naszej rzeczą już rozwiązaną — stanowiskiem dokonanem. Przekonałem się, że na polu *konstrukcyi dodatniej przyszłości literatura polska wyprzedziła wszystkie literatury europejskie.* A jeżeli wyprzedziła, to z tej jedynie przyczyny, że nie była ona tylko literaturą miejscową, broniącą odrębności narodu naszego, ale zbudowaną na treści wszystkich innych literatur zagranicznych, które w ostatecznej konsekwencyi weszły w krew niejako i pojęcia naszej wielkiej literatury. Miała ona mało obcych pierwiastków, ale zawarła w sobie wszystko, co było żywotne w obcych żywiołach.

* * *

Mówię o powrocie do swojskości w literaturze, nie w tem znaczeniu, ażeby się zamknąć w ramach języka, kraju, historyi narodowej. Wszyscy wielcy nasi pisarze są oczywistym dowodem przeciwnego stanowiska. Mickiewicz mówił i pisał wielu języ-

kami; nietylko po polsku, ale po rosyjsku, po francusku, po angielsku, rozumiał po włosku, a nim się zebrało natchnienie, które objawiło się w wielkiej improwizacyi w „Dziadach“ — to rok przedtem czytał Sofoklesa po grecku, zasilał się temi pierwiastkami, które od kilku tysięcy lat dostarczają wątku umysłowego dla wszystkich ludów europejskich, a z których my dziś niestety tak mało korzystamy.

Również u innych przewodników wielkiej epoki romantycznej treść rodzima opierała się na obszernem wykształceniu europejskiem, na wchłonięciu w siebie wszystkich ostatecznych konkluzyi i wyników obcych literatur, tak, że literatura nasza jest streszczeniem literatur ludzkości całej, o ile były pojęte przez naród najbardziej usposobiony do duchowego pojęcia cywilizacyi, bo przez naród najbardziej gnębiony, najbardziej cierpiący.

Dziś, kiedy obce wyobrażenia wszechwładnie panują, mamy daleko mniej znajomości literatur i zrozumienia pisarzy obcych, aniżeli przed 60 laty, kiedy panował kierunek wybitnie narodowy. Mówią o zalewie obczyzną — ale gdzież są ci, którzy gruntownie i fachowo zajmują się literaturą angielską — palce jednej ręki wystarczą, aby ich policzyć. Jeżeli niemczyzna przewodziła w studyach, jeżeli od Niemców wzięliśmy rządy, prawodawstwo, przemysł, pedagogię — gdzież są ci, którzy poznają Niemcy nie w pojedyńczych objawach, ale którzy studyują literaturę niemiecką w jej zarodkach, literaturę wielkich geniuszów, co przy końcu XVIII wieku stworzyli ducha narodu niemieckiego i przygotowali potężną działalność polityczną swego narodu. W całej Polsce setka jedna tak studyujących, chyba za wiele. — Otóż powiadam: nie mniej obczyzny — ale jakiej? i powiadam nie brać nam z drugiej, trzeciej ręki, nie zastosowywać obcych form, wypaczających ducha narodowego, ale brać z pierwszej ręki, gdzie literatura obca nie jest literaturą li tylko narodową, ale wszechludzką. Tak czynić, to nie jest stawać się obcym, ale czerpać ze skarbca sił ogólnoludzkich. A im więcej stamtąd zaczerpiemy, tem więcej zasilimy soki żywotne. A ten naród, który najwięcej zaczerpie z ogólnej skarbnicy wiedzy ludzkiej, ten staje się narodem przewodniczącym w cywilizacyi.

Każdy wielki naród miał misyę historyczną musiał dążyć z konieczności do wytworzenia

najwznioślejszego typu cywilizacyi, do najwznioślejszego typu człowieka. Nie jest to próżność, nie jest to szowinizm narodowy — jest to głęboka konieczność historyczna. Bo jeżeli naród ma swoją istotną odrębną właściwość, jeżeli posiada *to uzasadnione poczucie wyższości, od którego poczyna się pracę nad wytworzeniem najlepszego swego typu* — to ten naród posiada swoje posłannictwo i musi dążyć do jego urzeczywistnienia. I wtenczas ten człowiek, te instytucye, ten typ narodowy, który najdoskonalej odpowiada temu posłannictwu — staje się reprezentacyą cywilizacyi, staje się *streszczeniem ubiegłej cywilizacyi — w dążeniu do wytworzenia typu wyższego.*

* * *

Mówiąc o naszej wielkiej literaturze, chciałbym w bardzo krótkich zarysach skreślić jej cechy zupełnie odrębne, odróżniające ją od wszystkich literatur europejskich. Ograniczę się do dwu rzeczy. Pierwsza, że w tej *literaturze niknie pierwiastek czysto rasowej nienawiści.* Jest dziwną właściwością umysłu ludzkiego, że łatwiej przyjmuje idee ujemne aniżeli dodatnie, że ujemne łatwiej się w nim wytwarzają, propagują, nauczają i łatwiej praktykują. Opowieść o ośmioletnim Hanibalu, od którego ojciec wziął przysięgę dozgonnej nienawiści do Rzymu — to jest fakt tysiąckrotnie się powtarzający — i nie ma ośmioletniego chłopca polskiego, któryby takiej przysięgi nie zrozumiał, tem uczuciem nie mógł być przejęty i któryby nie miał intencyi wytrwania w tem uczuciu. Jest to jednak szczebel patryotyzmu bardzo łatwy, który dostrzedz można w początkowych objawach literatury. Tam, gdzie literatura wznosi się do szczytów ogólno-ludzkich, tam patryotyzm *zamiast nie-nienawiści wroga staje się głęboko zrozumianą miłością własnego ludu,* jest powzięciem postanowienia kształcenia serca własnego ludu, a jeżeli myśli o przeciwniku, to myśl ta idzie bardziej w kierunku przebaczenia i zapomnienia, aniżeli nienawiści i zemsty.

Otóż ta cecha literatury polskiej pojawiła się już raz w literaturze świata i to w taki sposób, że stała się punktem znamiennym, najważniejszym w dziejach świata. Porównajmy stary

zakon z nowym zakonem. W starym zakonie, przy wspaniałej wymowie, cudownej wyobraźni, poezyi niezrównanej, spotykamy wszędzie grozę burz i piorunów na grzeszników — a ci mimo to pozostają w grzechach zatwardziali. To wszystko ginie w Nowym zakonie: tu jest słoneczna pogoda; tu jest dobra wola; nie mówi się o grzesznikach, nie piorunuje się, nie ma gniewu oburzenia i namiętności. Ale jest miłość i przebaczenie. Ta miłość i przebaczenie i ta dobra wola, na której główny nacisk położony, okazała się środkiem o wiele skuteczniejszym do wytworzenia nowej podstawy życia ludzkiego, aniżeli dawne burze i namiętności dawne.

Otóż ta sama cecha, która Nowy Zakon przenika w przeciwieństwie do Starego Testamentu, odróżnia również wielkie płody naszej literatury od innych literatur patryotycznych. Istnienie tej cechy uważam za objaw bardzo doniosły, za głębszy powód niewytłómaczonej odporności i żywotności narodu polskiego. Zdaje mi się, że ta siła natchnienia, ta siła objawienia, która istniała kiedyś, jest wiecznie żyjącą siłą w historyi — i natchnienie naszych wielkich poetów jest zupełnie na tym samym stopniu, jak natchnienie wielkich proroków Starego Testamentu i Apostołów Nowego, że objawienie narodowe nasze jest dalszym ciągiem Objawienia, ma tę samą Prawdę żywotną i Moc obowiązującą.

* * *

A z tej właściwości naszej literatury wynika inna cecha, będąca specyalnem znamieniem tej literatury, u nas częstokroć niezrozumianem. — Tą cechą jest dążność do urzeczywistnienia myśli, do realizacyi. — Krytycy nasi dziwią się i rozpaczają, że tylu największych wieszczów narodu zgubiło się i zginęło w Towiańszczyźnie, w mistycyzmie, i żeśmy stracili niejako wielką liczbę arcydzieł, które byłyby pewno powstały, gdyby ten fatalny szał, to obłąkanie nie było przyszło. Otóż pod tym względem mam zupełnie inne zdanie. Nie jest to żadną myślą odosobnioną i oryginalną z mej strony, ale rezultatem pobytu dłuższego w kraju, gdzie kwestye religijne, przeznaczenia i celu życia ludzkiego, są przedmiotem zastanawiania się i rozwagi wszystkich wysoko wykształconych i głęboko myślących ludzi, t. j. — w Anglii.

Kto czyta pisma Towiańczyków, pełne chaosu twierdzeń niejasnych i bałamutnych, ten uprzytomnić sobie winien, że wszystkie pierwsze intencye serca mają zawsze postać niejasną i bałamutną, że zarodki wielkich prawd serca ukazują się w pokrywach niejasnych, nielogicznych, niedorzecznych. — Przypatrując się rozwojowi ruchu religijnego w przeszłości i obecności, widzimy, że to wszystko, co uważać przywykliśmy za wynalazki Towiańczyków, to są objawy, towarzyszące zawsze i wszędzie głębokiemu poczuciu religijnemu, głębokiemu zastanawianiu się nad zasadniczymi objawami życia ludzkiego. — To „drgnięcie ducha" o którem Towiańczycy mówią — jest opisane wyczerpująco a malowniczo w „Wyznaniach św. Augustyna"; ono jest fenomenem psychologicznym, znanym każdemu żyjącemu w Anglii nie z pojedynczych, ale z tysiącznych objawów. Nie ma wykształconego Anglika, którvby nie doznał skupienia ducha, nie zrobił rachunku sumienia i nie doznał tego poruszenia się wszystkich podstaw naszego bytu, zrozumienia celów i zadań pojedyńczych żyć i związku ich z życiem ludzkości — i którvby po takiem drgnięciu ducha nie nabrał tego, co się nazywa „nowym tonem", którvby nie dostąpił nowego „stanu łaski", nie znalazł siły do zrobienia tego, do czego dawniej siły nie posiadał.

Uważam więc ten objaw, jako fenomen nadzwyczaj dodatni. Bo właśnie to dążenie do realizacyi — według słownika Towiańskiego — jest oznaką, że ci pisarze, którzy wypełniali literaturę, nie byli artystami w zwykłem tego wyrazu znaczeniu, nie kleili wierszy dla popisu i oklasków, ale byli ludźmi głęboko przekonanymi o objawieniu i w życiu chcieli urzeczywistnić to, co podali w piśmie, jako wskazówkę dla życia narodu. — W tym objawie dążenia do realizacyi upatruję drugą znamienną, odrębną cechę naszej literatury narodowej. — Te pierwiastki, wyrobione przez naszą wielką literaturę, sięgają zagadnień najważniejszych, bo tyczących się życia duszy narodowej.

*
* *

Wynarodowienie, to jest zaprzepaszczenie cech duchowych Polaka. — Literatura narodowa powinna być na-

tchnioną, mieć cechę prawdy koniecznej, która ma się objawić w życiu i przeistoczyć cały system stosunków towarzyskich, społecznych i politycznych. W ten sposób odrazu nadamy całemu życiu narodowemu tę treść ciągłą, której nam żaden wróg i żaden system polityczny wydrzeć nie może, a która polegać winna na codziennem urzeczywistnianiu wszystkich zasad i myśli naszego narodowego objawienia.

Zanadto często przez wieki całe liczyliśmy na kombinacye polityczne i na obcą pomoc. Jeżeli w ostatnich czasach opierano się na trójprzymierzu, to zdaje mi się, że wszystkie podobne kombinacye, o ile nie są rzeczą namacalną, dotykalną, straciły aktualność, są dowolne. Nie ma żadnej siły dziejowej, któraby zrobiła za nas, bez nas, to, do czego naród dąży. W tem położeniu, jak dzisiejsze, wróćmy się do nas samych. Kto może młodzieńcowi polskiemu zabronić, by stał się mężniejszym, dzielniejszym, wykształceńszym od młodzieńca innego narodu? Kto mu może zabronić przekonania, że dla naszego narodu trud i wytężenie jest pierwiastkiem życia? że Sybir nie podcina narodowości tak jak Sybarytyzm, że brak wytężenia, wygoda, nieznajomość i sprzeniewierzanie się obowiązkom narodowym są tą głębszą przyczyną braku żywotności sił fizycznych, która objawia się w znacznej części narodu naszego. Już Jean Paul powiedział: „Es ist der Geist der sich den Körper schafft!“. Tam gdzie duch zwątlony, odcięty od źródeł życia, tam ciało nędzne, bezsilne, zdenerwowane, a te objawy występują nie tylko tam, gdzie jest nędza materyalna, ale na szerokim obszarze społeczeństwa tam, gdzie dobrobyt panuje.

Jeżeli zrozumiemy, że przyszłość narodu polega na wyrobieniu rasy dzielniejszej, wykształceńszej, mężniejszej od ras innych narodów, to zrozumieliśmy nasze objawienie narodowe — w myśl którego naród powinien się nauczyć zwyciężać — zwyciężać osobiście, zanim możemy zwyciężyć zbiorowo. — Naród polski wykreśla ze swego słownika jedno słowo „rezygnacya“ — a wkłada „Odrodzenie“.

IDEA POLSKA

WOBEC PRĄDÓW KOSMOPOLITYCZNYCH.

Pragnąc poświęcić się całkowicie pracy w kraju, nie przyjął Szczepanowski ofiarowanego mu w marcu 1897 r. ze strony Izby handlowo-przemysłowej we Lwowie mandatu do Rady państwa a „uważając oddziaływanie na opinię publiczną, jako jeden z najskuteczniejszych środków pracy krajowej“, objął z dniem 26 marca wydawnictwo „Słowa Polskiego“. W dwa dni później ukazał się w tem piśmie pierwszy artykuł *Piasta* o „Idei polskiej“. Dalsze pojawiały się częściami w dość znacznych odstępach czasu do dnia 14-go czerwca 1897. Całość wyszła następnie w osobnej książce wraz z Aforyzmami o wychowaniu. (Lwów 1901).

I.

„Swoboda w myśleniu
Karność w działaniu“.

W ciągu ostatnich wyborów nieraz zabrzmiało hasło: przecz z kosmopolityzmem! Hasło to jednostronne jest nadzwyczaj wygodne, ale niebezpieczne. Wygodne, bo prostą negacyę otacza aureolą patryotyzmu i upatruje kwintesencyę polityki narodowej w tem, ażeby nie dzielić i nie rozumieć prądów światowych. Hasło to jest bezskuteczne, bo historya nie daje przykładu, ażeby jakikolwiek naród obronił się od wrogich mu prądów światowych w inny sposób, jak przez unarodowienie tych prądów i wcielenie ich treści zbawiennej do własnej polityki narodowej. Prąd światowy chrześcijaństwa zawitał do nas w wieku X, a do Litwy w wieku XIV, w postaci zaboru niemieckiego.

Niemcy zwyciężali, dopóki byli w wyłącznem posiadaniu tej broni duchowej, której im dostarczyło chrześcijaństwo. Zwycięstwo się odwróciło w chwili, gdy Polska i Litwa zamiast beznadziejnego hasła: „precz z kosmopolityzmem“, sprzymie-

rzyła się z chrześcijaństwem i utworzyła kościół narodowy chrześcijański. Odtąd ta wielka siła światowa działała na naszą korzyść i potęgowała nasze własne siły narodowe. To jest jedyny wzór, godzien naśladowania wobec każdego prądu światowego, czy on się pojawia na polu religijnem, naukowem, artystycznem, ekonomicznem lub społecznem. Jedynem zadaniem zawsze będzie przyswoić sobie siły nowego prądu, bez zatracenia indywidualności narodowej — zapanować nad nim, a nie stać się ślepem narzędziem polityki innych narodów lub organizacyj. Światowe prądy współczesneześrodkowują się wszystkie około zadania reformy społecznej, czyli w języku chrześcijańskim: zaprowadzenia królestwa Bożego na ziemi.

Nie ten naród wyjdzie zwycięsko z próby ogniowej walki z rozhukanymi żywiołami społecznymi, który się zasklepia w samym sobie i tych nowych prądów znać nie chce, ale ten, który ich treść zbawienną najprędzej urzeczywistni i nada im najdoskonalszą formę. Kwestya reformy społecznej przychodzi do nas w kilku postaciach. Naprzód we wstrętnej postaci materyalistycznej socyalizmu żydowsko-niemieckiego Lassalla i Marxa, który godzi wprost w duszę narodu, tak, jak przed stu laty materyalizm polityczny zeszłego wieku, materyalizm Katarzyny, Fryderyka W. i Józefa II ugodził w ciało narodu i doprowadził do zagłady politycznej Polski.

Ale jedyną skuteczną bronią przeciwko tej morowej zarazie jest nie negacya kwestyi społecznej, ale jej samodzielne rozwiązanie na podstawie idei polskiej. Trzeba czynem pokazać, że w zapomnianem „Ojcze nasz" Augusta Cieszkowskiego i w naszem wielkiem objawieniu narodowem XIX wieku tkwi głębszy zarodek przyszłości, niż w sofizmatach współczesnych, i że narodowa a uniwersalna zarazem idea obowiązku obywatelskiego lepsze może wydać owoce od obcej i nam wstrętnej idei przymusu państwowego. Prądy światowe, tak często nam wrogie, dzisiaj przychodzą nam w pomoc. Materyalizm socyalistów przedstawia się wobec dzisiejszego stanu literatury jako zacofanie, jako ostatnia fala wielkiego ruchu umysłowego wszechpotężnego w XVIII wieku, a który, jak moda dawno porzucona, dotarł dopiero dzisiaj do szerokich warstw ludowych, podczas kiedy te warstwy, w których powstaje twórcza literatura, już dawno przeszły do innych zapatrywań.

Cechą wybitną obecnych czasów jest odrodzenie się wszędzie myśli chrześcijańskiej i przewaga wpływu uczuć nad racyonalizmem. Nawet w odrodzeniu się chrześcijaństwa można dopatrzyć się przewagi formy uczuciowej t. j. katolicyzmu nad formą racyonalistyczną, tj. protestantyzmem. Wątpić nie można, że w całości ten prąd jest dla nas korzystny, ale i wobec niego należy zachować naszą samodzielność narodową, ażeby Polska nie stała się znowu, jak za dynastyi Wazów, ślepem i nieświadomem narzędziem kosmopolitycznej polityki jezuickiej.

I tu znowu tylko idea polska nas może wyratować. Nasza wielka literatura jest jedyną, która podniosła ideę Ojczyzny do potęgi ideału religijnego i zrobiła z narodowości świętość nienaruszalną, a jako cel ludzkości postawiła nie zagładę narodów lub tryumf jednego z nich, ale harmonijny rozwój wszystkich, każdego w służbie swojego posłannictwa. To też obok wszystkich kwestyj polityki potocznej z dnia na dzień, pozostaje nam jako pierwszy obowiązek rozwój naszych idei narodowych jako najpewniejsza podstawa postępu i ochrona samodzielności narodowej wobec wszelkich wrogów zewnętrznych czy wewnętrznych.

* * *

Wobec prądów kosmopolitycznych więc, nie prowadzi do celu ani opór bierny, ani ślepe naśladownictwo, tylko samodzielne przetrawienie obcej myśli na rodzime soki żywotne. Potrafi to tylko naród myślący samodzielnie, posiadający swe własne ogniska rozwoju umysłowego. Polska za czasów swej niepodległości nigdy się nie wzniosła do tego poziomu i w tem leży głębsza przyczyna jej upadku politycznego. Za czasów odrodzenia akademia krakowska zabłysła na chwilkę własnem światłem, wydając Kopernika, Grzegorza z Sanoka i innych mistrzów myśli samodzielnej i przodującej światu. Z tym wyjątkiem, Polska była raczej pobojowiskiem, na którem obce myśli staczały walkę, świeciła często, ale światłem pożyczonem, niejednokrotnie posiadała plejady wykształconych obywateli, jak za czasów Zamojskiego i Kochanowskiego, ale wykształconych na obczyźnie, bo Polska nie wyrobiła sobie własnego ogniska umysłowego. Chcąc poznać rozwój umysłowy Polski, w wiekach XVI, XVII, i XVIII, trzeba poznać ruch umysłowy Włoch, Francyi i Niemiec, skąd Polska

zapożyczała idei, wznosząc się lub upadając razem z ruchem umysłowym tych krajów, od których umysłowość polska prawie niewolniczo zależała.

Nieszczęście wywiera w życiu narodów niejednokrotnie ten sam wpływ, co w życiu jednostek. Wywołuje żal za zmarnowaną przeszłością, skruchę za błędy i przewinienia, które doprowadziły do upadku, a w skupieniu ducha, które następuje, powstaje zamiar nowego i szlachetniejszego życia. Katastrofa, która zamknęła dzieje Polski historycznej, stała się wprost wstępem do dojrzałości duchowej narodu polskiego. W literaturze romantycznej i we wspaniałym rozwoju myśli polskiej na całym obszarze pracy duchowej naród odkrył samego siebie, po raz pierwszy zrozumiał własną treść i własne posłannictwo, i wyzwolił myśl narodową z więzów naśladownictwa i z więzów bierności. Wszystkie twórcze i dodatnie myśli wieku zestrzelił w jedno ognisko. Na piramidzie wszystkich myśli światowych wzniosła się myśl polska.

Ale znowu realizacya niedorównała zapowiedzi. Posiadamy wprawdzie wspaniałą literaturę przyszłości, ale naród jej nie zrozumiał, unosi się jej pięknością estetyczną, upaja się także jej dążnością patryotyczną, ale nie chce poznać jej treści uniwersalnej. Wypadki roku 1846, a jeszcze bardziej roku 1863, zrodziły zwątpienie o sile idei narodowych, i, posiadając objawienie szczytniejsze od objawienia innych narodów, znowu udaliśmy się w służbę do cudzych bogów. Polska i dzisiaj nie posiada ogniska samodzielnego myśli narodowej i znowu jest tylko pobojowiskiem, na którem walkę staczają obce prądy: klerykalizm, ultramontanizm, liberalizm, pozytywizm, materyalizm i socyalizm,

Na obszarze ziem polskich istnieją trzy uniwersytety, w Warszawie, w Krakowie i we Lwowie. Wychowują one urzędników, profesorów i lekarzy, niema zakładu do wychowania obywatela polskiego. Nie zabraknie nam sieczki prawniczej, filologicznej lub recept aptekarskich, ale nie mamy filozofii. przedewszystkiem nie mamy filozofii polskiej. W mozolnem dziele Henryka Struve'go: „Wstęp krytyczny do filozofii“, z niesłychanym trudem i aleksandryjską pracowitością zachowane są od zapomnienia głosy wszystkich polskich pracowników na niwie filozofii, a raczej wszystkie echa obcych myśli, wszystkich „papug i małp“, któremi się nasza literatura wykazać może, a starannie ukryte jest to, co cechuje samodzielną myśl polską.

W spisie polskich autorów filozofii znajdujemy nazwiska, jak Załęski i Masłowski a brak Mickiewicza i Krasińskiego!

Pierwszym krokiem do skutecznej walki z obcymi prądami politycznymi i społecznymi jest wyzwolenie się z tej niewoli duchowej, w której od upadku powstania 1863 r. myśl polska jest pogrążona. Znowu wstępujemy na tę samą drogę, jak w końcu XVI wieku, kiedy reakcya jezuicka zaczęła opanowywać Polskę. Znowu zagraża nam niewola umysłowa i anarchia polityczna, podczas kiedy przeciwnie cechą zdrowych narodów jest swoboda myśli, a karność w działaniu.

Nawet sąd o przeszłości, o strasznej epoce zastoju umysłoweco w Polsce w wiekach XVII i XVIII stał się dzisiaj chwiejnym i niepewnym. Cała falanga duchowych przewódców narodu, pracujących od Konarskiego nad duchowem odrodzeniem Polski, była jednego zdania co do zgubnego działania wychowania jezuickiego. Kołłątaj, Staszyc, Tadeusz Czacki, Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Trentowski, Cieszkowski, Libelt jednozgodnie upatrują w niem zgubę Polski. Ale dziś O. Załęski nam przeciwnie tłumaczy, że nie Jezuici zgubili Polskę, ale że Polacy byli narodem tak niedojrzałym i niedołężnym, że własną ciasnotą i anarchią zepsuli i spaczyli nawet szlachetność i cnotę tak niezawodną, jak cnota i szlachetność Jezuitów!

To zwichnięcie myśli polskiej przed trzema wiekami pod wpływem jezuityzmu zasługuje na bliższe rozpatrzenie, bo maluje nam najlepiej niebezpieczeństwa takiego poddania się obcym prądom umysłowym, jak to, które nam grozi w czasach obecnych.

II.

Polska była i jest narodem katolickim. Są Polacy innego wyznania, najlepsi patryoci nieraz do nich należą. Na Śląsku austryackim ruch narodowy rozpoczął się u protestantów, a nie u katolików. Kalwin Potworowski był długoletnim przywódcą narodu polskiego pod zaborem pruskim; mamy patryotów żydów w Warszawie. Z tem wszystkiem oczywistem jest dla każdego, który ma oczy, ażeby widział — że Polska, jako naród, jest katolicką — staje się coraz bardziej katolicką. Jeżeli głębokie przyczyny psychologiczne nie dopuściły u nas do reformy religijnej w XVI wieku, to stokroć bardziej myśl podobna jest wykluczoną w XIX lub XX wieku. Polska więc i nadal będzie katolicką, albo jej nie będzie. Twierdzenie to można przyjąć jako pewnik. Polityk lub mąż stanu polski, którыby tego pewnika nie uznał, musiałby chyba wyjść z potwornego założenia, że społeczeństwo może się rozwijać bez religii, ale w tej chwili stanąłby nietylko poza obrębem własnego narodu, ale też poza obrębem ogólnego doświadczenia całej ludzkości.

Polska więc będzie katolicką i będzie w przyszłości dzieliła losy katolicyzmu, tak samo jak je dzieliła w przeszłości. A te losy straszne są od trzech wieków, od chwili, w której powstała reformacya i dojrzała rewolucya. Gdy patrzymy na to, co się od tego czasu dzieje z narodami katolickimi, to serce się ściska i strach przejmuje na myśl, że my do nich należymy — należeć musimy. Gdyby przyszłość nie miała być lepszą od przeszłości, to los taki promienia nadziei lepszego bytu nie zosta-

wilby. Bo w tym okresie narody katolickie żyją jakby pod klątwą bożą, wydziedziczone od wszelkich nabytków postępu i cywilizacyi, tembardziej upośledzone, w tem głębszą przepaść pogrążone, im bardziej, im wyłączniej są katolickimi.

Rozpatrzmy się na początku XVIII wieku w chwili, kiedy prawowierność katolicka doszła do ostatniego kresu swej potęgi, kiedy Jezuici rządzili wszystkimi krajami katolickimi. Każdy Hiszpan był prawowiernym katolikiem; samo posądzenie o innowierstwo lub niedowiarstwo pociągało za sobą śmierć na stosie — ale Hiszpania, płynąca mlekiem i miodem za panowania Maurów, stała się pustynią. Obok prawowierności rozpostarły się: ciemnota, próżniactwo i ubóstwo po całym kraju, pomimo wszystkich skarbów nowego świata. Tak samo w Portugalii. W prawowiernych Włoszech i Neapolu ohydne żebractwo gnuśnych lazaronów w stolicy, a rozbójnicy i Camorra na prowincyi. Nie lepiej w Rzymie pod okiem samego papieża. W Niemczech, gnuśna Austrya w przededniu wiekowej walki z protestanckimi Prusami, która się miała skończyć zupełną klęską strony katolickiej i wyrzuceniem Habsburgów z Niemiec. O prawowiernej Polsce, za Sasów, za boleśnie jest mówić. W Irlandyi, owej niegdyś wyspie świętych, skąd szli misyonarze na nawrócenie całego zachodu Europy, katoliccy Irlandczycy, kryjący się w norach i jaskiniach przed panującymi protestantami. Francya, po wypędzeniu Hugenotów i stłumieniu Jansenistów, uzyskała wprawdzie prawowierność, ale równocześnie popadła za regencyi Ludwika XV w bezprzykładną rozpustę, od której ją ta prawowierność zachować nie potrafiła. A jednak we wszystkich tych krajach każde skinienie Jezuity było rozkazem, każde jego życzenie co najprędzej w czyn się wcielało. A niech mi kto w tym okresie pokaże choć jedno społeczeństwo katolickie, któreby nie obudzało litości, wstrętu, lub pogardy. Cały ruch cywilizacyjny przeniósł się do protestantów, a kiedy nareszcie narody katolickie obudziły się z letargu, to postęp Francyi, Austryi, Hiszpanii, nawet Neapolu i Polski stoi w prostym stosunku do wzrostu niedowiarstwa, i co się tylko w tych krajach w wieku XVIII dokonało cywilizacyjnego, to było zarazem antykatolickie.

Ta niższość cywilizacyjna narodów katolickich trwa do dzisiaj. W protestanckiej Ameryce jak potrzebują robotnika nieuczonego, na służbę, na ciężką i mało intratną robotę, na to, co

w biblii uważane jest jako piętno niewoli, na „noszenie wody i rąbanie drzewa“, to pan i przedsiębiorca protestancki zaraz znajdzie katolików trzech narodowości: Irlandczyków, Włochów i Polaków — do czyszczenia butów, do noszenia wody i rąbania drzewa; katolików, którzy się jeszcze biją i gryzą o te ochłapy i suche kości, których się rodowity protestant, Amerykanin tknąć nie chce. Zaprawdę, zaprawdę, Polska dzieli losy katolicyzmu! Nie jest nawet ostatnią pomiędzy narodami katolickimi. Psychologiczne podobieństwo jest także aż nadto przerażające, w losach katolicyzmu i w losach Polski: ta sama przepaść pomiędzy wspaniałą zapowiedzią a mizernem wykonaniem, to samo spaczenie najwznioślejszych idei.

Bo przecie w myśli religii katolickiej, to jest uniwersalnej — religii obejmującej całą ludzkość, jest coś wielkiego i wzniosłego, coś, co jest siłą nieprzepartą, zniewala wszystkie wyższe umysły. Tak jak za czasów Bossueta, tak i dzisiaj, każdy, kto się rozglądnie w protestantyzmie dostrzeże tam sekty — sekty bez liku, szacowne, użyteczne pobożne — ale nic, coby mogło zasłużyć na nazwę kościoła powszechnego, kościoła ludzkości.

Ta idea wyższa, która stanowi zagadkową siłę żywotną katolicyzmu, tak jak pociąga dzisiaj, tak samo pociągała za czasów powstania reformacyi. W Niemczech największy umysł XVI wieku, Erazm z Rotterdamu, mąż uniwersalnego wykształcenia, reformator z usposobienia, karciciel nieubłagany ciemnoty, swawoli i rozpusty, które się za jego czasów rozpostarły w kościele i dosięgły aż samej stolicy apostolskiej, pomimo tego pozostał katolikiem, To samo w Anglii, Tomasz Morus, autor „Utopii“, znowu reformator światły i prawy, najpotężniejszy umysł ówczesnej Anglii, nietylko pozostał katolikiem, ale śmierć poniósł za swoją wiarę. Największy umysł tego samego wieku we Francyi, Montaigne, dochodził do krańcowej swobody myśli — był osobistym przyjacielem wielu protestantów, ale uważał protestantyzm za coś ciasnego i krępującego. Zaprawdę, jeżeli u nas Kochanowski i Zamojski pozostali katolikami, to znaleźli się w dobrem towarzystwie.

Ale jeżeli ludzie tej miary, jak Erazm, Morus, Montaigne i Zamojski pozostali katolikami, to z pewnością ich pojęcie katolicyzmu musiało być inne, jak pojęcia Jezuitów, którzy od końca XVI wieku opanowali, a raczej opętali, wszystkie społe-

czeństwa katolickie. Bo też czas największego poniżenia narodów katolickich najdokładniej zgadza się z wszechpotęgą Jezuitów. Od ich upadku w połowie XVIII wieku datuje się to odrodzenie uczuć religijnych, które trwa dotąd.

Cechą tego odrodzenia jest fakt, że tak samo jak Erazm*), Morus, Montaigne i Zamojski byli to ludzie świeccy, a pomimo tego wysoko się wznosili nad całym kościołem urzędowym swego czasu, tak wszyscy główni twórcy obecnego odrodzenia religijnego, a mianowicie katolickiego, także byli świeccy.

Zwrot od niedowiarstwa zaczął się we Francyi od wyznania wiary proboszcza Sabaudzkiego — *Confession de foi du vicaire Savoyard*, t. j. od protestanta Rousseau'a. Rewolucyjną Francyę powołał do wiary nie ksiądz, nie Jezuita, ale świecki Chateaubriand, napisawszy *Le Génie du Christianisme*. Dogmatykę społeczną katolicyzmu postawił świecki De Maistre. Ruch katolicki prowadził dalej świecki Montalembert, a dziś najbardziej wpływowym katolikiem we Francyi jest świecki hrabia de Mun. Tak samo ruch katolicki w Anglii zaczyna się od radykalnego polityka Cobbet'a, a w Niemczech od dziennikarza Görres'a, którego imię dotąd służy wielkiemu stowarzyszeniu, prowadzącemu ruch katolicki w Niemczech.

*
* *

W tej wyższości pierwiastka świeckiego nad pierwiastkiem kościelnym w sprawach najżywotniejszych dla samego kościoła, która się pojawia od pewnego czasu, okazuje się tylko wyższość prawdy życiowej nad subtelnościami teologicznemi. Na ludzi, stojących w wirze wypadków, wśród rozhukanych fal społecznych i politycznych, spory teologiczne robią to samo wrażenie, jak szwargot zacietrzewionych mnichów bizantyńskich podczas ostatniego oblężenia Konstantynopola, jeszcze zapamiętale rozprawiających o literze „i" w *homoousios* lub *homoiousios*, podczas kiedy Mahmud II już wkraczał do miasta przez zdobytą bramę.

Każda ważna chwila wymaga czynów, a nie teoryi lub sofizmatów, i to czynów, zastosowanych do potrzeb chwili. Siła

*) Erazm był pierwotnie księdzem, ale odrzucił kardynalstwo i od Juliusza II. otrzymał dyspensę od ślubów kościelnych.

chrześcijaństwa, a mianowicie katolicyzmu, polega właśnie w łatwości takiego zastosowania się do potrzeb chwili. W tej jego zmienności, w tej elastyczności historyk widzi zaletę, a tylko skostniali teologowie uroili sobie jakiś nieistniejący, skostniały kościół, ten sam zawsze i wszędzie.

I najstarsza organizacya żyje tylko przez nowatorów, a ginie, jak tylko popadnie w rutynę. A sekretem skuteczności działania nowatorskiego jest sympatya i zgodność z duchem swoich czasów. Chateaubriand, przeciwstawiając Francyi rewolucyjnej religię, jako źródło natchnienia dla sztuk pięknych, prawdopodobnie był kiepskim teologiem, znalazł się w namacalnej sprzeczności z świętym Augustynem, który w arcydziełach sztuki klasycznej widział inkarnacyę szatańską. Od św. Augustyna do Rafaela jedenaście wieków, od Rafaela do Chateaubrianda znowu trzy wieki. Tyle czasu trzeba było na dojrzenie jednego z najważniejszych dogmatów religii powszechnej, tj. zgodności ideału piękna z ideałem etycznym. Każdy dogmat, objawiający jakąś nową prawdę życiową, staje się nowym zarodkiem czynów, przeistacza życie — podczas kiedy cechą dogmatu teologicznego jest to, że jest martwą i pustą literą, nie zmieniającą na włos działania ludzkiego.

Chateaubriand otoczył religię czarem poezyi, opromienił urokiem piękności, na nowo pobudził do życia wyobraźnię twórczą, która składa zarodek cudów w sercu ludzkiem, w woli ludzkiej — cudów o wiele donioślejszych od pospolitej taumaturgii gminnej. Od czasów Chateaubrianda, każda ruina gotycka, każda melodya wspaniała, każda powieść bohaterska, stała się krzewicielką i roznosicielką katolicyzmu, stokroć skuteczniejszą od kazuistyki i scholastyki jezuickiej, przed któremi cały świat wykształcony sobie uszy zatyka. Purytanizm angielski, dzisiaj jeszcze desperacko imający się słusznych w swoim czasie wyobrażeń św. Augustyna, przedstawia wobec nowożytnego katolicyzmu zacofanie i nietolerancyę.

Historya rzeczywistego rozwoju religii przedstawia się jako szereg zdobyczy nowych dogmatów życiowych. Największą zasługą średnich wieków było to, że w zakonach rycerskich idea religijna połączyła się z ideą bohaterstwa, z ideą walki zwycięzkiej wobec przemożnych zastępów szatana. A przecież św. Jan niepomiernie by się zadziwił,

gdyby ujrzał kawalera maltańskiego w zbroi i z mieczem, jako reprezentanta owieczki ewangelicznej.

Objawienie narodowe polskie — objawienie Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, Cieszkowskiego — **wniosło do kościoła powszechnego ideę Ojczyzny, jako świętości**, na równi ze świętościami dawniej uznanemi. Zgorszyłby się na to św. Grzegorz Nazyjanzeński, walczący w IV. wieku z Julianem Apostatą i z przemocą państwową. Piorunująca jego wymowa przedstawia marność ojczyzny doczesnej, a piękność jedynie prawdziwej ojczyzny niebieskiej. Pomimo tego, naród polski słusznie łączy wyobrażenie religijne ze zbawieniem swej ojczyzny ziemskiej i ze zwycięstwem sprawiedliwości bożej w stosunkach narodowych i społecznych. Tędy idzie jedyna droga do krzewienia wyobrażeń religijnych u Polaków, i dlatego ks. dr. Golian, powtarzający to, co dla św. Grzegorza za czasów cesarstwa rzymskiego było bohaterstwem — obudza tylko wstręt, bo namawiając naród do zapomnienia o ojczyźnie ziemskiej, namawia go do podłości i nikczemności.

Kościół powszechny, gdyby do dogmatu piękna, bohaterstwa i patryotyzmu mógł dołączyć jeszcze dogmat o wolności ducha, o świętości prawdy i wiedzy, o naczelnym obowiązku nieustraszonego poszukiwania jej, na przekór wszelkim tyranom i wszelkim przemocom, toby zaprawdę stał się niezwyciężonym i wszystkie piekła daremnie by się przeciwko niemu wysilały. Jeszcze ten jeden szczebel do zdobycia, a zwycięstwo ostateczne będzie niechybnem i niewątpliwem.

Historya kościoła powszechnego, pojęta w ten sposób, zupełnie się inaczej przedstawia, niż w postaci zbutwiałych i omszonych subtelności teologicznych. Kościół urzędowy i oficyalny rzadko się też zdobywa na uchwycenie żywych prądów czasu. Stąd jego martwota i nieporadność w krytycznych chwilach, o której tak często mówi Mickiewicz, a której świeżą mamy ilustracyę w nieporadności naszych biskupów i księży wobec ruchu ludowców i wobec niesubordynacyi księdza Stojałowskiego.

Zresztą ospałość kościoła urzędowego jest zjawiskiem, które się ciągle w historyi powtarza. Gdzież jest udział kapłanów i arcykapłanów żydowskich w tworzeniu pisma świętego? Wszystko, co jest w niem najszczytniejszego, jest dziełem nieoficyalnych proroków — owych niepowołanych rewolucyonistów i agitatorów swojego czasu. Tak samo historya chrześcijaństwa, przed-

stawia się jako historya wpływu, pojawiających się od czasu do czasu, nieurzędowych założycieli zakonów, którym kościół urzędowy nie wystarcza, a którzy z czasem piętno swojej gorącej indywidualności wyciskają na dawnej organizacyi i napełniają ją nowym duchem. — Największą zaś ilustracyę martwoty i nieporadności urzędowego kościoła w nowszych czasach, jest powstanie i historya zakonu Jezuitów.

III.*)

Biada tym, którzy prawdy szukają.

Od paru lat społeczeństwo polskie w Galicyi przypomina ludzi podczas trzęsienia ziemi. Konserwatyzm i religijność ludu — ta niewzruszona podstawa każdego społeczeństwa, poruszyła się, chwieje się i kołysze, jak fala morska, gnana wszystkimi wichrami. Ukazy i exorcyzmy nie skutkują. Nawet c. k. żandarm stoi bezsilny wobec żywiołów w rozterce. Pod wrażeniem takiego kataklizmu, szukam, czyli społeczeństwo nie posiada własnych i głębszych pierwiastków stałości i równowagi — skuteczniejszych od ukazów, exorcyzmów i c. k. żandarma. Szukam tej opoki, na której kościół zbudowany, tego słońca, którego promienie świeże i zdrowe płodzą życie. Wołam na wszystkich ludzi dobrej woli, do wspólnego ratunku zagrożonych podstaw narodu i jego przyszłości!

A tu ze wszech stron gromy spadają na moją głowę! Zapominają o trzęsieniu ziemi, o przepaściach, które się niespodzianie tu i ówdzie rozwierają — ale rzucają gromy na śmiałka, który niepowołanie zabiera się do ratunku, tam, gdzie patentowani i powołani zbawcy nas w nieporadności i niemocy zostawili. Żydki gazeciarskie odkryły już, żem nie chrześcijanin, nie katolik, nawet nie Polak. Inni krytycy udowadniają, że niczego nie wiem, żem niczego nie widział, niczego nie czytał — lub, żem to, com widział i czytał, koszlawo zrozumiał. Postępują,

*) Zdania, wygłoszone w poprzednich rozdziałach, wywołały w czasopismach galicyjskich krytyki i zarzuty, na które autor tu odpowiada.

jednem słowem, jak ów despota oryentalny, który po strasznej klęsce wojsk swoich, zamiast samemu wystąpić do boju, każe wieszać nieszczęśliwego posłańca, donoszącego mu o grożącem niebezpieczeństwie. Czy to znowu nie przypomina zacietrzewienia mnichów bizantyńskich, kłócących się o literę „i“ w *homoiousios*, podczas gdy Mahmud wdzierał się szturmem do bram Konstantynopola. Jakakolwiek mogła być teologiczna doniosłość tego dogmatu, to chwila szturmu nie była stosowną porą do jego rozbierania. W tej potrzebie należało stanąć na wyłomie i piersiami własnemi zasłaniać Ojczyznę.

Tak samo w obecnej potrzebie, gdzie Mahmud już wkroczył do stolicy, gdzie wewnętrzny wróg już rozsadza społeczeństwo polskie, nic nam nie pomogą subtelności teologiczne. Trzeba walczyć o każdą piędź ziemi, a do walki trzeba broni i to broni skutecznej. Dlatego też zrobiłem różnicę pomiędzy dogmatami życiowymi, to jest takimi, które wpływają na wolę i pobudzają do czynów, a dogmatami teologicznymi, działającymi li tylko na umysł i pobudzającymi co najwięcej do kontemplacyi. Szanuję kontemplacyę, ale w swoją porę, a w chwili walki uważam ją za ostatnią lekkomyślność. Dlatego zostawiam na uboczu całą teoretyczną i kontemplacyjną stronę religii, a szukam sprężyn działania. Bo działanie, a nie rozumowanie rozstrzyga o losach świata i narodów. Dlatego też religia traciła wpływ na bieg wypadków, i losy ludzkości wymykały się jej z ręki, ile razy religia zamieniała się w teologię — ile razy brał górę prąd spekulacyjny i teoretyczny, z uszczerbkiem realizacyi, o którą przez tyle lat wołał daremnie Mickiewicz, i wołali wieszcze nasi.

Co do tego, stwierdzam fakt historyczny, że od kilku generacyi, potrzeba takiego działania i kierunek takiego działania, w społeczeństwie katolickiem odczuty i ujęty został rączej przez ludzi świeckich, aniżeli przez kościół urzędowy. Na to krytyk w „Gazecie Narodowej“ się gorszy i wyrzuca mi, że wspominając o tych wielkich świeckich szermierzach katolicyzmu, o Chateaubriandzie, de Maistrze i innych, zapomniałem o tych duchownych, od których oni musieli zaczerpnąć prawdziwej nauki!

O sancta simplicitas!

A nie wiesz ty krytyku, że nauka bez przykładu — teorya bez realizacyi, jest martwą, nie wiesz, jak często jej wpływ odbiega od woli i intencyi nauczających? Chcesz zasługę Chateau-

brianda i de Maistra przelać na ich duchownych nauczycieli, a czybyś był również gotów przelać potępienie na nauczycieli, którzy w szkołach jezuickich wychuchali owe potwory niedowiarstwa i przewrotu: Voltaire'a, Diderot'a i naszego Trembeckiego — wszystkich trzech adoratorów cesarskiej nierządnicy Katarzyny, niepowołanej później protektorki Jezuitów, która zakonowi, zniesionemu przez papieża i narody katolickie, uratowała życie, utrzymując go w akademii połockiej i na Białej Rusi!

Nauka wydaje plon, staje się żywotną, dopiero w chwili, w której człowiek jej prawdę odkryje na nowo w sercu swojem. To drgnienie serca, ta chwila łaski, jest wynikiem nie kazuistyki lub argumentów, ale wstrząsających wypadków życiowych. Nie księża prowadzili De Maistra, kiedy odkrywał na nowo to, co gorzało w sercu wielkiego Hildebranda lub Bernarda de Clairvaux, a czego oschły kościół współczesny nie mógł mu udzielić. Zarodek dał ojciec prawy, ale rozwinęły go wielkie wypadki, które miotały jego sercem: widok koronowanych głów pod gilotyną, Francya nurzająca się w kałuży krwi, lawa gorąca, wybuchająca z krateru rewolucyjnego i zalewająca sąsiednie kraje, własne tułactwo i obraz tytanicznej walki nowych bogów z dawnymi.

Nie księża nauczyli religii niedowiarka i ateusza Chateaubrianda. Tak jak niegdyś Monika nawróciła syna swego Augustyna, jak większa część Polaków, którzy zachowali żywe uczucie religijne, zawdzięczają to swoim matkom, tak też umierająca matka nawróciła Chateaubrianda, wzywając go na śmiertelnem łożu, ażeby powrócił do wiary. *Je pleurai et je crus.* — „Zapłakałem i uwierzyłem". Tak zawsze było. Naiwna wiara dziecka, błagalny wzrok matki, miłosierdzie chrześcijańskie, wzbierające w sercu Franciszka z Asyżu, lub Wincentego à Paulo i przelewające się w gorącym potoku czynów, działały i wiecznie działać będą tam, gdzie rozumowania i argumenty wywołują tylko niesmak i przekorę.

Wszelka czynna wiara jest aktem woli, a nie rozumu — dziełem serca, a nie głowy, wypływem wielkich nieukojonych pragnień, a nie sylogizmów. Dlatego wiara żywi się przykładem, spełnieniem, świadczeniem, a nie rozumowaniem i nauką. Dlatego pierwotni chrześcijanie nazywali męczenników, słowem greckiem *martyres*, świadkami — poręczycielami prawdy i wiary. W słowach Garczyńskiego, „czy

nów dzielność“ świadczyła o „myśli wysokiej“, a myśl wysoka o nastroju serca. Ażeby użyć zrozumiałego obrazu: jak wiara w zbawienie Ojczyzny rodzi się z nieukojonego pragnienia, i jest niczem bez dzielnych czynów, które stwierdzają tę wiarę, bez *martyroi*, bez świadków, którzy życiem przyczyniają się do jej odbudowania, a których śmierć nawet tylko jest zapowiedzią jej zmartwychwstania — tak też wiara w zbawienie i własne i rodzaju ludzkiego wypływa z serca, z nieukojonego pragnienia nieskończonej doskonałości i z wiary w możliwość jej osiągnięcia.

Wy, którzy myślicie, że wiara się krzewi katechizmami i apologetyką scholastyczną, przeczytajcie życie wielkiego Ojca Kościoła, św. Augustyna. Znał już pismo święte, ale ta ewangelia — to posłannictwo jeszcze do niego nie trafiło, nie przemówiło. Pozostał zimnym. Pierwszy promień wyższego światła zabłyszczał mu z dzieła świeckiego filozofa, z zaginionego dzieła cycerońskiego „Hortensius“. Chwila przebudzenia przyszła w dwanaście lat później. Przyjaciel jego Pontitian opowiadał mu o pustelniku Antonim i o dziełach łaski, okazujących się u prostaczych pustelników Tebaidy. Te przykłady tak podziałały na św. Augustyna, że powiada, serce mu się rozdarło i opanowało go głębokie zawstydzenie. „Cóż się dzieje, co słyszę, prostacy się podnoszą i niebo zdobywają, a my, w naszej uczoności bez serca, tarzamy się w kałuży. Czyż mamy się wstydzić, że ich naśladować mamy, którzy o tyle stoją wyżej od nas, a nie raczej wstydzić, że się wstydzimy ich naśladować“. Wzburzony szuka samotności w ogrodzie, obraz zmarnowanego dotąd życia staje mu przed duszą, nieczułe dotąd serce drgnęło, miota nim rozpacz i zgryzota, aż nareszcie znajduje uspokojenie w strumieniu łez. Nastała chwila łaski, przebudzenie wiary, początek niezmordowanego działania i apostolstwa. — Nie dogmaty teologiczne go nawróciły, chociaż je znał i nad nimi rozumował od wielu lat, ale prawda życiowa.

Chwile podobne zdarzają się u każdego człowieka, żyjącego życiem religijnem. Prawie nie znam poważnego Anglika, któryby takiej chwili nie przebył. W obecnej Francyi natomiast, o ile jest materyalistyczną i pogańską, nic podobnego. Michelet jest ostatnim wielkim pisarzem francuskim, który umiał rozrzewniać. — Obecnych autorów trawi paląca gorączka, która wysusza źródła natchnienia i entuzyazmu u mężczyzn, a miło-

sierdzia i płodności u kobiet. — U nas na polu religijnem, w nowszych czasach, chwile, jak ta doznana przez św. Augustyna, rzadko się pojawiają. W literaturze prawie tylko w wyznaniach Towiańczyków. A przecież Polak z natury skłonny jest do wzruszenia i rozrzewnienia, serce mu się podnosi na każdą myśl szlachetną i wzniosłą. Czemuż tak często ociąga się i waha z wykonaniem?

A przecież dogmat, prawda lub teorya stają się żywą religią dopiero w chwili, w której się budzi postanowienie przeprowadzenia ich w życiu — postanowienie wykonania — realizacyi! Dlatego też religia każdego człowieka i każdego narodu składa się nie z dogmatów lub doktryn, o których wie, lub o których słyszał, lub które przyjmuje w słowach lub definicyach, ale z tych, nad których urzeczywistnieniem gorąco i niezmordowanie pracuje. Nie „credo“, wyznawane w słowach, ale „credo“, objawiające się w życiu, jest miernikiem i „sprawdzianem“ religii każdego człowieka i każdej epoki.

Otóż w przededniu Reformacyi, w chwili, kiedy zewnętrzna budowa kościoła imponowała największą okazałością i jak wieża gotycka pod gwiazdy sięgała i cały widnokrąg nieba zdawała się zapełniać — kiedy teologia scholastyczna zdawała się wydoskonaloną do najdelikatniejszych subtelności i zdawała się panować nad rozumem aż do najskrytszych jego tajników — kiedy „credo“ wyznawane zdawało się wydoskonalone i wykończone aż do ostatniej kropki nad i — w tej samej chwili „credo“, objawiające się w życiu, stało się oschłe i zwiędłe jak nigdy, co więcej, życie było najczęściej tylko zaprzeczeniem wiary, wyznawanej w słowach. Nigdy jeszcze w historyi tak duch ożywczy nie ulotnił się był z Kościoła, na którego najwyższych tronach rozsiadły się rozpusta i zbrodnia, a na wskróś przenikały hipokryzya i światowość. — W ten to strupieszały Kościół uderzył grom Reformacyi — z tego to letargu obudzili go Jezuici.

* *
*

Koniec wieku piętnastego i początek wieku szesnastego jest jedną z największych epok w dziejach ludzkich. Przedstawia ona z niezmierną wyrazistością zjawisko, które się powtórzyło w trzy wieki później, to jest: odmłodnienie ludzkości, po zgrzybiałym wieku XV. — nową wiosnę życia, ze świeżym za-

pasem nieokreślonych i nieskończonych nadziei, brzemienną zarodkami nowych i niespodziewanych objawów życiowych. Dwukrotne powtórzenie się tak doniosłego faktu psychologicznego, w okolicznościach prawie identycznych, jest najlepszym dowodem fałszu materyalistycznej i fatalistycznej teoryi o koniecznej zgrzybiałości rodu ludzkiego i o nieodzownym końcu i kresie jego rozwoju — najlepszym dowodem słów Krasińskiego, że „od czasów Chrystusa już nie umierają narody“, bo w nich tkwi zarodek nieśmiertelności, zarodek wiecznego odmładzania się, zmartwychwstania z największego pogromu.

Znowu w XIX. wieku, po zgrzybiałym XVIII. wieku, „ruszyła się z posad bryła świata“, a ludzkość wyśpiewała swoje pragnienia i nadzieje w poezyach narodowych, które opromieniają oba te wieki. W obu epokach zmieniają się równocześnie wszystkie podstawy społeczeństwa, ekonomiczne, polityczne i intelektualne.

W ciągu XV. wieku odkrycie skarbów umysłowych i artystycznych sprawia taki sam przewrót w świecie umysłowym, jak odkrycie Ameryki i potoki srebra i złota, które się stamtąd rozlały po Europie, w świecie ekonomicznym. — W świecie politycznym wyłania się państwo nowożytne.

Tak samo w XIX. wieku, równocześnie z poezyą romantyczną, dokonywa się nowe zjawisko pełnoletności nauki i wiedzy; następuje zupełne przekształcenie stosunków ekonomicznych, przez odkrycie i ogólne zastosowanie maszyny i przez ujarzmienie sił przyrody; a politycznie, zaczyna się okres państwa społecznego, które wyparło przeżyte i zdyskredytowane pojęcie państwa policyjnego.

Podobieństwo obu epok rozciąga się nawet do szczegółów obrazu. Poezya XIX. wieku i zmartwychwstanie narodów, które towarzyszyło rozwojowi literatury romantycznej — tak samo, jak rozbudzenie się narodów nowożytnych w XVI. wieku, poprzedzonem zostało kosmopolityczną epoką czysto intelektualno-artystyczną: epoką tak zwanego oświecenia w XVIII. wieku, a odrodzenia w XV. wieku. Cechy tych dwóch epok kosmopolitycznych są zupełnie analogiczne. Egoizm, królujący w życiu jednostek i u narodów, objawiający się w pojęciu rozkoszy, jako najwyższej maksymie indywidualnej, a w nieubłaganej racyi stanu, jako najwyższej maksymie państwowej.

Do czego sam tylko rozum i sama tylko sztuka, bez busoli sumienia, „bez dogmatu“, doprowadzić mogą, pokazuje w XV. wieku inspirator Machiavelli, a w życiu praktycznem, nieprawy syn papieża Aleksandra VI., zbrodniarz Cezar Borgia, który mógł być ideałem tej epoki i w „Principe“ mógł być jej przedstawiony jako inkarnacya najwyższa jej zasad życia i celów dążenia. — Podobnie w XVIII. wieku ten sam *epikureizm w życiu a egoizm w polityce*. Inspiracya wychodzi od Voltaire'a i Diderota, a realizuje się w trójcy Fryderyka W., carycy Katarzyny i Józefa II. spikniętych na dokonanie największej zbrodni historycznej, tj. podziału Polski.

I w jednej i w drugiej epoce religia prawie przestała być siłą żywotną, tak w życiu indywidualnem, jak w życiu społecznem; uważaną była jako zabobon, użyteczny do kierowania ludem, ale zgoła zbyteczny dla ludzi wykształconych. I w jednej i w drugiej epoce martwota i zgnilizna, która opanowała nie tylko całe społeczeństwo świeckie, ale nawet poważną część dostojników kościoła, była tylko zapowiedzią nowego życia, nowego objawienia się prawdy nieśmiertelnej, która nigdy nie jest potrzebniejszą i której zjawienie nigdy nie jest bliższem, jak wtedy, kiedy wszyscy ludzie tak nazwani światli i rozumni się zgodzili, że jest niepotrzebną i zbyteczną i na zawsze pogrzebaną.

Tak samo u nas w chwili dzisiejszej, w której mamy w narodzie polskim tyle objawów martwoty i zgnilizny: Koźmiańszczyzny, i potrójnej lojalności, straży pożarnej i racyi stanu, dyplomacyi i mędrkowania — to równocześnie widzę, jak nam to wszystko obmierzło, jak wszyscy wyczekują nowego kierunku, jako wybawienia od zmory, która ich przygniata. Dlatego niewzruszenie *wierzę, że jesteśmy w przededniu nowego wybuchu nieskażonej wiary narodowej*, widzę wśród sinych plam trupich budzące się nowe nadzieje, nowe zarodki życia, widzę *cały naród, przyjmujący jako regułę życia z całą mocą obowiązującą religii, to, co jego wieszcze przeczuli i wygłosili na wygnaniu*!

Wracając do wieku XVI., to kto chce rozumieć niesłychaną potęgę wyobrażeń religijnych w tej epoce, to musi sobie przypomnieć, że pod hasłem teologicznem reformy kościoła, łączyły się zrazu wszystkie te nieokreślone nadzieje poprawienia wszystkich stosunków ludzkich, które się później rozdzieliły podług

pola działania, na ruch religijny, ruch naukowy, ruch polityczny, ruch ekonomiczny i ruch społeczny. — Połączone uczucia i połączone namiętności wszystkich tych ruchów razem, które jeszcze płynęły jednem korytem, tłumaczą tę wulkaniczną namiętność i tę wszechpotęgę ówczesnych ruchów religijnych.

Zrazu zdawało się, że nowym wyobrażeniom nic się oprzeć nie może, bo nawet znaczna część tych, którzy byli powołani do bronienia starych dogmatów, t. j. znaczna część biskupów i kapłanów, od razu przeszła do nowego obozu. — Wnet jednak nastąpił objaw podwójny: Wielka i zbawienna myśl reformy kościoła powszechnego ścieśniła się i skarłowaciała w postaci pojedyńczych sekt protestanckich, zaprzągniętych do służby państwa i stających się igraszką kombinacyj politycznych i świeckich, bardzo świeckich pożądliwości monarchów i arystokracyi. Z drugiej strony powstał zakon Jezuitów, dążący do przywrócenia bez zmiany, tylko z oczyszczeniem od przemijających objawów zepsucia, wszystkich dawnych wyobrażeń tego kościoła powszechnego, pod którego opieką rozwinęła się cywilizacya europejska. Nie mieli żadnej trudności w wykazaniu, że nowo powstałe dogmaty protestanckie, w których świat protestancki od razu skostniał, jak w powijakach, tamujących możliwość przyszłego rozwoju — nie przedstawiają żadnej wyższości nad dogmatami, do owego czasu powszechnie uznanymi. To też od chwili, kiedy kościół katolicki na Soborze Trydenckim sam przebył proces reformacyi i kiedy scholastyka jezuicka spotkała się ze scholastyką protestancką, siła rozpierająca ruchu reformacyjnego ustała. Ludzkość przestała się interesować sporami teologicznymi i można powiedzieć, że od końca XVI. wieku, rozgraniczenie religijne wcale się nie zmieniło. Te rządy i narody, które wówczas były protestanckie, dotąd nimi zostały, tak samo jak katolicyzm zachował do dzisiaj narody jemu wtenczas oddane.

I zwycięski zwrot katolicyzmu pod przywództwem Jezuitów, tak samo jak niemoc, później przez nich okazana i bezowocowność wszystkich środków, użytych do ostatecznego pokonania protestantyzmu, mają głębsze przyczyny psychologiczne. — Żywotność katolicyzmu tłumaczę sobie tem, że abstrahując od teologii, w całym szeregu dogmatów żywotnych stoi wyżej od protestantyzmu i broni prawd, które są trwałym nabytkiem ludzkości. Do takich zaliczam:

a) wiarę w wolność woli, czyli wiarę w odpowiedzialność za swoje uczynki — bo doktryna predestynacyi, do której mniej więcej zbliżają się wszystkie sekty protestanckie, z konieczności wyradza fatalizm, robi z człowieka igraszkę ślepych sił, za których działanie nie jest odpowiedzialny i podkopuje podstawę rozwoju moralnego;

b) wiarę w to, że dogmat bez uczynków jest martwy, że po owocach drzewo się poznaje. W teoryi Lutra, że sama wiara wystarcza do zbawienia, kryje się rozbrat wiary i życia, teoryi i praktyki, leży wytłumaczenie faktu historycznego, tylokrotnie sprawdzonego, że najświatlejszy filozof niemiecki może być równocześnie służalcem najnikczemniejszej polityki;

c) wyższość pierwiastku duchowego nad pierwiastkiem świeckim, manifestującą się w niezależności papieża od wszystkich potęg świeckich. Nawet filozofowie niekatoliccy, np. Comte, twórca pozytywizmu, uznają, że powstanie władzy duchownej, niezależnej od świeckiej, jest znamieniem nowożytnej cywilizacyi i warunkiem jej trwałości. Uznanie wyższości sumienia i sprężyn duchowych jest naszą jedyną ochroną przeciwko wszechwładzy państwa, czy ona się objawia negatywnie jako uciemiężenie narodów, czy pozytywnie, jako plan przymusowej organizacyi socyalistycznej;

d) społeczny charakter katolicyzmu, tak zastosowany do obecnej chwili historycznej, objawiający się w wierze w obcowanie świętych, w tworzeniu się zakonów i t. d. — podczas kiedy protestant zdaje się zajęty wyłącznie zbawieniem swojej duszy indywidualnej i jak „Christian“ poety ludowego Bunyana, szuka swojej własnej ścieżki do nieba i prywatnej furtki dla siebie samego;

e) elastyczność, a zatem postępowość katolicyzmu, który przyjmuje tradycyę i zmienia się z historyą i zastosowuje do wymagań chwili obecnej. Wprawdzie teologowie katoliccy wypierają się tej zalety i wychwalają niezmienność kościoła, ale dla tych, którzy mogą utrzymywać, wbrew ewidencyi oczu i uszu, że niema różnicy pomiędzy polityką Leona XIII. a Piusa IX., nie pisze się historyi i wobec nich ustaje dyskusya.

Kościoły protestanckie są w praktyce częstokroć wyższe od swoich teoryj i pomimo fałszywej teoryi, niejednokrotnie świecą prawdziwą religijnością w życiu. Główne praktyczne zalety protestantyzmu widzę w następujących okolicznościach:

a) że znieśli katolicki rozdział życia doskonałego w zakonach, a mniej doskonałego w społeczeństwie i wytrwale zmierzają do podniesienia codziennego, świeckiego życia do najwyższego poziomu, chociaż, potępiając życie zakonne w ogóle, pozbawili się jednej z najsilniejszych dźwigni działania społecznego;

b) rehabilitacya życia rodzinnego, które nie jest napiętnowane znamieniem niższości i nie jest wykluczone z aspiracyi doskonałości chrześcijańskiej. Stąd powaga i godność ojca rodziny w Anglii, wobec której ojciec rodziny we Francyi lub w Polsce tak często wydaje się niezrozumiale płochym, nieraz nawet błazeńskim;

c) pojęcie kapłaństwa, jako potęgi moralnej i doradczej, apelującej do przekonania i sumienia, a nie do ślepego posłuszeństwa i uległości;

d) wyższość pokarmu intelektualnego, przez rozpowszechnienie znajomości Pisma Świętego i stąd wypływającą, większą dbałość o szkoły i oświatę ludową. Kto zna księżą literaturę, stanowiącą pabulum ludów katolickich, a porówna ją z Pismem Świętem, tego litość zbiera nad narodami, pozbawionymi bezpośredniej znajomości nieśmiertelnego źródła natchnienia i prawdy wiecznie żyjącej.

W tych zaletach protestanckich nie widzę niczego, coby nie mogło być przyswojone przez narody katolickie. W przeszłości nawet, doskonały system oświaty ludowej szkockiej już istniał za czasów katolickich, chociaż na nieszczęście, ten sam Kościół poza Szkocyą w tak straszny sposób tę właśnie sprawę zaniedbał.

Wobec wielkich i zasadniczych zalet katolicyzmu, któryby tak łatwo mógł sobie przyswoić to, co jest żywotnego w protestantyzmie, dziwić się wypada, że kościół katolicki dawno nie zawojował krajów protestanckich. Przyczynę widzę w specyalnych cechach zakonu Jezuitów, tych, na nieszczęście głównych i prawie wyłącznych szermierzy katolicyzmu. — Zakon ten, założony przez żołnierza, rozumie tylko wymaganie karności a nawet tylko tresury wojskowej, ceni tylko cnoty, wydające namacalny, chwilowy rezultat, utrwala jako system to, co mogło mieć użyteczność chwilową, ale co nie może być przyjęte jako prawidło życia. Klątwą tego zakonu jest to, co było tajemnicą jego natychmiastowej potęgi — to ślepe posłuszeństwo, które

tamuje wszelki rozwój i zabija ducha, a tem samem życie. Przepis Lojoli, że Jezuita ma słuchać swego generała, „perinde ac cadaver esset“, tak, *jakby był trupem*, w praktyce aż nadto spełniony został. Całe narody, słuchające Jezuitów, zamieniły się na trupy, pozbawione własnego sądu, własnej woli, własnych dążeń, pragnień i nadziei — własnej duszy!

IV.*)

Ale kto, bracia, pogardzi słowem,
Siłą u słowa czerpaną,
Komu dziś w ciele błysnąć nie dano,
Kto wierzga dawnym narowem,
Kto dziś nie wstąpi w święte ognisko,
Jeno przez oczy ciekawe,
Taki dziś, bracia, pójdzie na sławę,
Jutro na urągowisko;
I to mieć będzie, że gdy my wstajem
Zrzucić głaz, co ducha obarczał,
On siedział, głupi, kłamstwa lokajem,
I widział prawdę — i warczał.

Słowacki.

Peccavi!... Zgrzeszyłem, i kornie przyznaję się do tego. W niewinności swojego serca przypuszczałem, że w piśmie, wydawanem nie dla pustej ciekawości, ale przez obywateli kraju, dla obywateli kraju, wolno poruszyć wszystko, co się tyczy życia obywatelskiego, to jest obowiązków wobec Boga, ojczyzny i bliźniego, że wolno zbadać, czy podstawy całego społeczeństwa, fundamenty gmachu naszej wspólnej Rzeczypospolitej, są silne i zdrowe i potrafią się oprzeć burzom i wichrom kosmopolitycznym.

Dowiedziałem się, że nie pisać artykułów „Piasta“ byłoby o wiele łatwiej i... pożyteczniej. — Dowiedziałem się, że każdy prawy człowiek, który się poczuwa do swoich obowiązków, a przedewszystkiem każdy Polak powinien być, już nie tylko owieczką powolną, ale strusiem, kryjącym swoją głowę, ażeby nie widział zbliżającego się niebezpieczeństwa... Dowiedziałem się, że chociaż gmach naszej Rzeczypospolitej trzeszczy we wszystkich fugach, chwieje się i chyli do upadku, to nam obywatelom i mieszkańcom tego gmachu nic do tego, bo mamy powołanych architektów, którzy czuwają nad jego bezpieczeń-

*) Tu nastały znowu ataki na autora i polemiki w pismach galicyjskich.

stwem... Dowiedziałem się, że o mądrości tych architektów nie można powątpiewać, bo powątpiewanie o ich sztuce podkopie zaufanie do trwałości gmachu. Wprawdzie gmach może runąć, możemy legnąć pogrzebani pod jego gruzami, ale odbędzie się to podług wszystkich prawideł sztuki, *secundum artem*. Niewolno dopuścić, ażeby się niepowołani mieszali do spraw, które zawsze i wszędzie powinny zostać w ręku powołanych.

Przyznałem się do winy, a że cechą prawdziwej skruchy jest pokuta, przyjąłem i tę pokutę. Wyrzekłem się wszelkiej zatwardziałości w grzechu, i w pokorze przyjąłem naukę, którą mnie ze wszech stron obdarzono — przestałem pisać, i jak „Ruch katolicki“ powiada, nie zdobyłem się nawet na odpowiedź na zarzuty mi zrobione! Co więcej, zawstydzony i skonfundowany otrząsłem proch po niewdzięcznej Ojczyźnie i wyjechałem za granicę, ażebym przypadkiem na nowo nie uległ pokusie, budzenia ludzi z drzemki wygodnej choć gnuśnej, i walczenia z narowami, do których przylgnęliśmy sercem i zwyczajem, chociaż podkopują zdrowie i ubezwładniają duszę.

Wyjechałem — odetchnąłem — i przetarłem oczy! Znowu jestem na szerokim świecie, po którym niegdyś, jak Farys bujałem, zamiast zaduchu partykularza galicyjskiego, pełnemi płucami wciągałem powietrze... i... i... wstydzę się przyznać — znowu zrobiłem się zatwardziałym. Jednym zamachem wróciły mi wszystkie krnąbrności: swobodny lot myśli, gorące chęci, nieustraszone zamiary. Zbladł jak senny obraz ten partykularz galicyjski, ten kraj, podług „Ruchu katolickiego“, *der Gottesfurcht und frommer Sitte, und des beschränkten Unterthanen Verstandes*, *) którego błogą katolickość ja jeden miałem zamącać — a już w Monachium spotykam się z jakimś katolicyzmem innym, młodym, świeżym, ludowym, pełnym nadziei i zaufania, nie obawiającym się i świeżego powietrza i swobodnego ruchu, nieobawiającym się, *risquons le mot* i przeżegnajmy się... postępu!

To coś innego od katolicyzmu paryskiego „Figara“, katolicyzmu kół ekskluzywnych i dystyngowanych — gangreny moralnej, pokropionej święconą wodą, a umierzwionej romansami realistycznemi dekadentów francuskich, katolicyzmu, dla którego „Ruchy katolickie“ całego świata tak są pobłażliwe.

---

*) „Bojaźni Boskiej i pobożnych obyczajów i ograniczonego rozumu poddanych“.

Biorę do ręki gazetę ultra-katolicką i oczom nie wierzę. To, za co na partykularzu zostałem wyklęty, tam z góry proklamowane, jako esencya katolicyzmu nowożytnego. O zgrozo! Sam doktor teologii, profesor apologetyki katolickiej, rektor, niegdyś jezuickiego Uniwersytetu Würzburskiego, dr. Schell, wydaje dzieło o katolicyzmie „*als Princip des Fortschrittes*“ („jako pierwiastku postępu“) ubolewa, *dass man das Leben zu viel kongregationistisch leite, ämtlich mit Abläsen belohne, und dem wissenschaftlichen Streben, durch zu viel Ordenstheologie und Misstrauen entgegentrete.* *) Powiada, że my żyjemy w wieku wolności, swobody i walki umysłowej. Trzeba się rozstać „*mit dem Wahn, es könne unsere gegenwärtige Gesellschaft noch „gegengelt“ werden*, że społeczeństwo może być prowadzone na pasku. Wykształcenie samodzielne każdej jednostki, wytworzy chrześcijaństwo o wiele szlachetniejsze i dzielniejsze niż właśnie to dotychczasowe „prowadzenie na pasku“, wytwarzające katolicyzm bezsilny i cieplarniany, nie znoszący świeżego powietrza i wszystkich przypadłości tej strasznej „walki o życie“, która cechuje obecne czasy.

* * *

Przeczytałem... i ufając już opiece tak wielkiego teologa wobec mniej uczonej braci galicyjskiej, postanowiłem wrócić do kraju i w przyszłości, oprócz rozlicznych innych zadań, poświęcić się także, niewdzięcznemu, przyznaję się, zadaniu popracowania nad uzupełnieniem teologicznego wykształcenia zacofanych teologów naszego partykularza. Żadnej w tem nie szukam zasługi osobistej. Chcę tylko być tą pszczołą, która z najrozmaitszych kwiatów zbiera miód, nie przez nią robiony i darmo go ofiaruje łaknącej ludzkości. Miałem szczęście poznania przed laty, dwóch, może najgruntowniejszych apologetów i znawców światowej literatury katolickiej, i w ich towarzystwie i w rozmowach z nimi, poznałem nie jedną rzecz, która mnie uderzyła i moje myśli na nowe tory popchnęła. Nie chcąc egoistycznie tych skarbów zatrzymać dla siebie, rezerwuję też dla moich kochanych Lwowian niejedną jeszcze niespodziankę, z najnow-

*) „że urządza się życie zanadto podobne do kongregacyi, urzędowo nagradza odpustami, i dążeniom wiedzy przeciwstawia zawiele zakonowej teologii i niedowierzania“.

szych objawów katolickiej, prawowiernej literatury we Francyi, a mianowicie w Ameryce. Tylko pamiętam, że nowe potrawy trzeba zadawać dozami, zastosowanemi do siły trawienia, tak, ażeby organizm powoli przyzwyczajać do niezwykłego pokarmu.

Jako pierwszą i nieszkodliwą dozę, radzę redaktorom „Ruchu kat.“ przeczytać dzieła wyżej wymienionego rektora Würzburskiego i tych kilku świeckich obrońców katolicyzmu, o których w dawniejszych artykułach wspominałem, które zresztą każdy człowiek zwykłego wykształcenia znać powinien, a z któremi oni tak widocznie nie są obeznani. Radzę im także dla uzupełnienia swojej teologii, przeczytać na nowo wyznania Św. Augustyna, skoro „Ruch Katolicki“ zarzuca mi, żem fałszywie oddał pobudki jego nawrócenia się. W mojej naiwności myślałem, że sam katechumen najlepiej mnie co do tego objaśni. Pisząc, miałem przed sobą jego wyznania i dosłownie tłumaczyłem z oryginału jego własne słowa. Ale składam broń, *credo quia absurdum!* i tłumię w sobie grzeszną myśl, że Ś-ty Augustyn może sam lepiej wiedział, co robił, niż to, co o nim może wiedzieć lwowski „Ruch Katolicki“.

Ale, ale... mam jeszcze z „Ruchem“ rachunek do załatwienia odnośnie do mojej mylki historycznej, żem dysputę rzekomo załatwioną w IV. w. o literze „i“ w homoousios i homoiousios przeniósł, jako ignorant, do XV. w. w czasy zdobycia Konstantynopola przez Turków. Horrendum! — Zadawszy studentom z „Ruchu“ już i tak dość trudne pensum do przyszłego egzaminu, nie śmiem im polecać obszernego i gruntownego dzieła o kościele wschodnim, wydanego r. 1855, w języku francuskim w Rzymie, przez uczonego Greka, J. G. Pitzipiosa, ale odsyłam ich do znanych im może z nazwiska kazań na niedziele i święta ks. Skargi, gdzie w kazaniu na dzień świąteczny Ducha Świętego, znajdą potwierdzenie mojego przedstawienia i pouczenie dla siebie.

Ponieważ „Ruch Katolicki“ bardzo powierzchownie tylko jest obznajomiony z dogmatami, których broni, pozwolę sobie odświeżyć mu trochę pamięć sporów dogmatycznych IV. i XV. wieku, tak ściśle ze sobą związanych. Przy tej sposobności nadmieniam, że wykluczając sferę spekulacyjno-dogmatyczną z moich rozważań, robię to nie dla tego, żebym jej nie znał, tylko dla tego, że dążąc do określenia wpływu społecznego religii, z natury rzeczy, głównie mnie interesują dogmaty życiowe,

to jest te, które wpływają na praktykę życia i na losy narodów. Pomijając stronę teoretyczną, nie odrzucam więc tego, czego nie znam, podług łatwego wzoru „Ruchu", który z góry odrzuca naukę, nie znając jej.

Spór IV wieku pomiędzy *homoousios*, współistotny, a *homoiousios*, podobnej istoty, tyczył się bóstwa Chrystusa, tj. drugiej osoby Trójcy świętej i jej współistotności, *consubstantionalitas*, z pierwszą osobą, czemu zaprzeczali heretycy aryańscy. Spór XV wieku, pomiędzy kościołem wschodnim a zachodnim, tyczył się trzeciej osoby św. Trójcy, to jest pochodzenia Ducha Świętego od Ojca i Syna, a nie tylko od Ojca, jak to twierdzili schyzmatycy. Ale te dwa spory łączą się skutkiem tej okoliczności, że wyrazy *filioque*, dodane w roku 448, za papieża Leona św. do składu wiary, uwydatniające pochodzenie Ducha Św. także od Syna, właśnie dodane zostały na podstawie dawnego dogmatu o *homoousios* współistotności Ojca z Synem. Dlatego w przekonaniu Kościoła rzymskiego, schyzmatycy, odrzucając dodatek *filioque*, tem samem zaprzeczali słowu *homoousios*, t. j. współistotności Ojca i Syna i odnawiali kacerstwo aryańskie, nacechowane słowem *homoiousios*. To też ks. Skarga mówi, że młodzi Grecy, którzy Synowi Bożemu to odejmują, aby Duch Święty nie pochodził od niego tak jako i od Ojca, wielce błądzą i wyznanie chrześcijańskie i Trójcę św. bardzo mieszają i na aryańskie kacerstwo gonią. Q. e. d. Te spory i zarzuty kacerstwa aryańskiego roznamiętniały do najwyższego stopnia, stokroć bardziej od grożącego niebezpieczeństwa dla Ojczyzny, znikczemniałych Greków bizantyńskich podczas oblężenia Konstantynopola.

Każdy uczeń lub maturzysta gimnazyalny powinien wiedzieć, że Unia z Kościołem wschodnim, doprowadzona w r. 1439 na koncylium florenckiem, niebawem zaczęła szwankować. Pod grozą zbliżającej się nawały mahometańskiej, odnowiono unię w r. 1452 i w grudniu tego roku, podczas kiedy namioty tureckie już okalały Konstantynopol, kardynał legat papieski z wielką pompą celebrował mszę pod kopułą Św. Zofii. Ale nic to nie wpłynęło na niepoprawne pospólstwo i na mnichów greckich. Waleczny Giustiniani na czele swoich genueńczyków bronił murów stolicy, a oni tylko szwargotali swoje *homousios*, *i homoiousios*, aż 29 maja 1453 Turcy wtargnęli do miasta i swoje sztandary zatknęli na tej samej kopule św. Zofii, gdzie pięć mie-

sięcy pierwej celebrowano połączenie obu kościołów, jako zadatek wspólnej obrony przedmurza całego Chrześcijaństwa!

Spór o „filioque" jest zarazem najlepszą ilustracyą, że dogmaty są zwykle tylko pozorem do walki, ale nie jej treścią. Pomiędzy Wschodem a Zachodem była przepaść społeczna, polityczna i rasowa. Sprzeczność ta była istotna i głęboka i musiała pierwej czy później dać powód do walki. Różnica dogmatyczna była wyszukana, a raczej doszukana, ażeby walkę dwóch społeczeństw i dwóch cywilizacyi okryć sztandarem religijnym. Przecież była chwila, w której głównym dowodem prawowierności greckiej, a herezyi Kościoła Rzymskiego, miał być nie dogmat o pochodzeniu Ducha Świętego, lecz, dla nas prawie niezrozumiały i trywialny spór o używaniu przez łacinników przaśnego chleba (azymi) przy Komunii świętej.

Żegnając się na razie z redaktorami „Ruchu Katolickiego" chciałbym ich pocieszyć, że w zaspanym kościele galicyjskim oni nie są jedynymi, którzy zaspali i że znajdą u nas równie wykształconych teologów jak oni, na wszystkich szczeblach hierarchii, jak tego dowodzi oświadczenie jednego z najlepiej znanych przedstawicieli naszego duchowieństwa: Zajmował się on gorąco sprawą ludową i to przed ks. Stojałowskim, i z tego powodu u zaspanych kolegów swoich po troszę był w odorze socyalizmu. Krzywo się patrzano na niego, ale oprócz niezwykłej gorliwości, nie można mu było zarzucić nic namacalnego. Ale raz, zdawało się, pośliznęła mu się noga. Wygłosił kazanie, które zadenuncyowano wprost jako heretyckie i rewolucyjne i z którego się musiał usprawiedliwiać przed swoją władzą przełożoną. „Księże biskupie", mówi pokornie, „całej winy nie mogę brać na siebie, możem nieumiejętnie oddał i tłumaczył, ale sama treść kazania była nie moja, tylko dokładnie wzięta z dzieł wielkiego ojca Kościoła, św. Jana Chryzostoma"!! O sielankowy stanie naszego kraju, gdzie kazanie z IV. wieku było zanadto postępowe i rewolucyjne na nasz wiek XIX!!! — To też niebawem pod złudną powierzchnią sielanki, ostatnie wybory odsłoniły całe piekło dzikich i nieokiełznanych chuci i namiętności, którego istnienia, w błogiej drzemce ujęci pasterze nie przewidywali ani przeczuwali.

* * *

Wobec grożącego niebezpieczeństwa, w chwili, w której pierwszym obowiązkiem każdego obywatela jest stanąć w zwartym szeregu w obronie wiary, tradycyi i historycznego powołania naszego narodu — żal by mi było, gdyby, cokolwiek powiedziałem, miało siać nieporozumienie pomiędzy ludźmi dobrej woli, walczącymi za tę samą sprawę. Żal by mi było, gdyby chciano stosować do duchowieństwa w ogóle uwagi, które wypowiedziałem, co do niektórych jego członków. Duchowieństwo polskie tak często było sumieniem narodu, tak często dzieliło jego losy męczeńskie, lub też przodowało w walce o niepodległość, że żaden Polak tego zapoznać nie potrafi. Skarciłem tylko niedorostków umysłowych, szkodzących własnej sprawie, porywających się bez kwalifikacyi, bez znajomości choćby abecadła swojego zawodu, do polemiki z człowiekiem, który nietylko nie występuje jako wróg religii, ale przeciwnie chciałby ją pogłębić i uogólnić, sprowadzić z dziedziny marnych abstrakcyi lub obrządków mechanicznych, do pełni życia nowożytnego, zrobić z niej i puklerz i miecz w bieżących potrzebach.

Muszę nawet dodać, że lekceważący i zarozumiały ton, przyjęty wobec Piasta przez tych klerykalnych Filipów z konopi jest wyjątkiem w naszem piśmiennictwie. Porównując nasze kontrawersy teologiczne z zagranicą, trzeba im stanowczo udzielić palmę pierwszeństwa. Są one wyjątkowo wolne od tego „*odium theologicum*“, które tak często szpeci piśmiennictwo francuskie i niemieckie. Naprzykład ks. Pawlickiego rzecz o pozytywizmie w „Przeglądzie Polskim“ jest wzorem szlachetnej polemiki. W ekspozycyi, żadna rzeczywista zasługa nie ujęta, nic nie naciągnięte dla potrzeb polemicznych, ale przedstawione w świetle prawdziwem tak, że sam autor krytykowany by nie mógł zrobić zarzutu, że jego myśli niesłusznie lub niekorzystnie wyłożone zostały.

* * *

Zupełnie też i na innym poziomie od „Ruchu Katolickiego“ są dwa listy otwarte do Piasta, ogłoszone przez J. N. S. w „Słowie Polskiem“. Nie będę się teraz wdawał przedwcześnie w polemikę co do rozmaitych sprzeczności mi zarzuconych, a które się wyjaśnią w dalszym ciągu moich artykułów, ale chciałbym w krótkości zaznaczyć te punkty, w których uważam wywody

uczonego teologa, jako uzupełnienie mojego przedstawienia obecnego stanu katolicyzmu.

Do takich punktów zaliczam jego krytykę systemu szkolnego w nauce religii, bo zgadzam się z nim, że tak samo, jak gramatyka grecka i łacińska pozostawia na całe życie wstręt do klasycyzmu, tak samo metoda scholastyczna, obecnie przyjęta w nauce religii, wytwarza na całe życie wstręt do teologii, czasem nawet do religii, który cechuje całą generacyę męską, wychowaną w naszych szkołach średnich, tak, że potrzeba bardzo silnego impulsu domowego, ażeby przeciwważyć fatalnym skutkom takiego nauczania. — Tak samo zgadzam się z przedstawieniem fatalnych skutków Józefinizmu, którego tradycye jeszcze nie zanikły zupełnie dla kościoła katolickiego w Austryi, a jeszcze bardziej w Galicyi, gdzie latami próbowano zrobić z księży departament biurokracyi niemieckiej, u którego rutyna administracyjna miała zastąpić powołanie.

Przyznaję też, że J. N. S. słusznie wywodzi, że to, co było zbawiennego w zasadach rewolucyi francuskiej, to jest pojęcie równości i braterstwa wszystkich ludzi — początek swój czerpie w Ewangelii i Piśmie Świętem, chociaż nie mogę się zgodzić, jakoby baranek Fénèlon mógł być choć w najodleglejszy sposób przedstawiony, jako przygotowujący ruch rewolucyjny.

Podnieść także muszę jego bezstronne uznanie życia religijnego u protestantów, których niejednokrotnie przytacza jako przykład dla innych narodów. Jest on w tem podobny do wielu innych autorów katolickich, którzy się pozbyli ciasnych granic wyznaniowych. Takim był Le Play, którego poznałem na wystawie paryskiej r. 1867, jako jednego z jej dyrektorów, a który tak dzielnie i skutecznie wpłynął na społeczne działanie katolicyzmu. Był to inżynier górniczy, niegdyś rewolucyonista i niedowiarek, zrazu zwalczający katolicyzm we Francyi, który mu się pojawiał li tylko w postaci klerykalizmu wojującego i nietoleranckiego. Poznawszy Anglię, dostrzegł tam działania religii nie jako systemu politycznego, narzuconego wpływem władzy, ale w postaci siły twórczej i organicznej, zapewniającej zdrowie i rozwój normalny społeczeństwa. Poczucie potrzeby praktycznej go nawróciło, nie teorya. Od niego też nauczyłem się oceniać i mierzyć religię podług owoców, które wydaje w dziedzinie rodziny, społeczeństwa i narodu.

W jednej rzeczy jednak nie mogę się zgodzić z autorem listów otwartych. Przyznaje on, że protestanci angielscy i amerykańscy, (a zatem wyznawcy formy religii, której on nie może uważać za prawdziwą), przedstawiają najlepszy przykład zdrowia religijnego, podczas gdy Hiszpanie i Neapolitańczycy, (a zatem wyznawcy prawdziwej religii), przedstawiają wiele objawów niższości i religijnej i cywilizacyjnej, ale powiada, że są inne jeszcze przyczyny zdrowia narodów, że rasy się wyczerpują i starzeją itd. — Jakto? inne przyczyny działają tam, gdzie religia jest już martwą i bezskuteczną! Inne przyczyny poprawiają wpływ fałszywej religii, ubezwładniają wpływ jedynie prawdziwej! Ale w takim razie, to te inne przyczyny by były głębsze i donioślejsze od pobudek religijnych. Gdybym na chwilę mógł to przypuścić, to ja, szukający niechybnej drogi dla zbawienia narodu, odrazu przestałbym się interesować religią i zaczął szukać i dochodzić tych głębszych przyczyn, jeszcze ważniejszych od religii.

Nie, szanowny Autorze, nigdy się nie zgodzę na takie ograniczenie i ściśnięcie sfery wpływu religijnego. Dla mnie religią są właśnie wszystkie najgłębsze i najskrytsze sprężyny, które wytwarzają czyny ludzkie, — całość tych niewysłowionych pragnień i aspiracyi, które nas wznoszą ponad przyrodę organiczną, ponad fatalizm materyi, które nam zakreślają i cele najwyższe i dodają siły i natchnienia do ich urzeczywistnienia. Raczej się zgodzę na to, że wyznanie nie jest miarą religii, że niech będą jakiekolwiek braki i usterki wyznania, to praktyka życiowa jest jedyną miarą wpływu religijnego. Przeżyta rasa, czy jej wyznanie jest prawowierne, czy kacerskie, jest przeżytą dlatego właśnie, że religia jest u niej na ustach, a fałsz i próżnia w sercu.

* *
*

Z zupełnie innego stanowiska krytykuje „Piasta" nasycony organ wszystkich ludzi sytych w Galicyi: „Przegląd Lwowski". Pośpiesznie utożsamiwszy Piasta z autorem „Nędzy Galicyi", zarzuca mu „znaną już u tego autora pobieżność, niedokładność i powierzchowność, zarzuca mu, że wojażując po Galicyi jako turysta, posiadając jako cały bagaż umysłowy Baedeckera, wyczytał w nim, że w Galicyi jest więcej ludzi głodnych niż sy-

tych, zapędził się nawet do niedorzecznego twierdzenia, że do sytych należy tylko znikoma garstka, a olbrzymia większość jest łaknąca, łaknie chleba, łaknie pracy, łaknie umiejętności, łaknie kierunku i świadomości, jaką drogą wybrnąć z beznadziejnego położenia, jakim sposobem dostarczyć świeżej krwi i soków żywotnich wycieńczonemu organizmowi, u którego na wszystkich szczeblach, u szlachty i u mieszczaństwa, u żydów i u chłopów pojawia się zastraszająca anemia, ubezwładnienie i opuszczenie rąk.

Chwała Bogu, że dowiedziałem się od sytego „Przeglądu“, że to wszystko nieprawda, że to jakaś zmora musiała trapić imaginacyę powierzchownego autora „Nędzy“, kiedy mógł skreślić obraz tak sprzeczny z najoczywistszą rzeczywistością. Sam przecie pamiętam, co słyszałem od pewnego uczestnika deputacyi parlamentu austryackiego, która salonowymi wagonami przyjechała do Galicyi, którą czterdzieści powozów zawiozło do Łańcuta, a którą potem fetowano w restauracyi francuskiej na Wystawie lwowskiej: „*Jetzt erst weiss ich, was ein polnischer Magnat, und was Polen ist*!“ *) — Wprawdzie nie każdy Polak jest magnatem, i nie każdy gość na Wystawie mógł sobie zafundować obiad u „Gerarda“, ale każdemu wolno się cieszyć, że jeszcze mamy magnatów, którzy mogą szyku zadać turystom niemieckim, i że istnieje pomiędzy nami całe grono takich, którym starczy na obiady francuskie.

Nie bronię też autora „Nędzy“. I ja mam mu do zarzucenia pewną powierzchowność, może nie w cyfrach, ale powierzchowność pod pewnym innym, ważniejszym względem. Zarzucam mu, że do obrazu nędzy ekonomicznej, nie dodał o wiele potrzebniejszego i donioślejszego obrazu nędzy moralnej i umysłowej, jako symptom której, mogło tak dosadnie służyć powstanie i rozwój i obecne rozpowszechnienie „Przeglądu Lwowskiego“. — Zarzucam mu pewną niejasność, która sprawiła, że „Przegląd“ przez wiele lat mógł wietrzyć w nim pokrewnego sobie ducha i obsypywać go niezasłużonemi pochwałami, które go tylko kompromitowały wobec najlepszych przyjaciół, że *sol-disant* demokraty narodowego zrobiły jakąś poważną figurę polityczną, jakąś gwiazdę na firmamencie hierarchii galicyjskiej, któraby mogła kiedyś aspirować do rzeczywistej złotej gwiazdy na kołnierzu

*) „Teraz dopiero wiem, co to znaczy polski magnat i co to jest Polska“.

Cieszę się więc, że „Przegląd“ choć po dziesięciu latach ochłonął ze swojej niewczesnej admiracyi dla autora „Nędzy“, zdemaskował go i choć tak późno zaczął boleć nad zgubnymi skutkami jego działalności. Może będziemy mieli mniej o jednego hofrata, ale naród nie będzie dalej bałamucony, będzie umiał rozróżniać pomiędzy drogą stromą i niebezpieczną, wiodącą do „Nędzy“, a drogą bezpieczną i wygodną, wiodącą do sytości.

* * *

Pozostawiam więc autora „Nędzy“ jego zasłużonym losom, ale ja, Piast, nie mogę wyjść z zadziwienia, jak słusznie „Przegląd Lwowski“ odgadł, żem Galicyę poznał jako turysta. — Tak jest, jako turysta; bo zdawało mi się, że należy poznać kraj własny tak samo dokładnie, jak się studyuje i poznaje obce kraje. Zaglądałem też do niejednego zakątka, którego w moim Baedeckerze znaleźć nie mogłem. Żywo sobie przypominam, jak wprost po Londynie, Paryżu i Wenecyi pierwszy raz w swojem życiu zajechałem na nocleg do karczmy żydowskiej. Podczas swoich wędrówek znajdowałem przytułek i pod strzechą chłopską i w plebaniach i dworach. Wrażenie ogólne mas ludowych, chłopów a nawet żydów nie zawierało nic przykrego. Widocznem było wiekowe zaniedbanie, ale na to byłem przygotowany. Grunt dobry, gleba nieuprawiona, ale z natury żyżna i do uprawy przydatna.

Zupełnie odmienne było wrażenie warstwy tak zwanej wykształconej. Na to, com widział, włosy mi na głowie powstawały. Tyle dziwolągów, tyle starych dzieci, tylu barbarzyńców t. j. ludzi z namiętnościami męża a rozwagą dziecka — tyle maryonetek i automatów, a taki rozgardyasz w głowach a pustka w sercu. Przedewszystkiem brak tonu narodowego, którego się nie mogłem dosłyszeć ani na śniadańkach mieszczańskich, ani na polowaniach lub przyjęciach obywatelskich. Przy specyalnych okolicznościach urządzane wieczorki deklamacyjno-patryotyczne, czyniły to wrażenie jeszcze boleśniejszem, bo gorące słowa, echa dawnej sławy lub świeżych obowiązków, nie licowały z pospolitą i trywialną praktyką życia codziennego. Pogardzając zawsze słowami, i dopatrując się ukrytych i duchowych sprężyn działania, widziałem tylko martwotę, glebę, która mimo uprawy, wydała same tylko chwasty i zielska — społe-

czeństwo, którego słowny patryotyzm równie był fałszywym, jak pustą jego obrządkowa religia!

Wrażenie to było niesłuszne, a raczej za ostre i jednostronne, ale tłómaczyło się moją przeszłością. Wyjechawszy za granicę jeszcze za trwania żałoby narodowej, spowodowanej wypadkami roku 1863, uważałem poważny nastrój, jaki wtenczas panował, jako jedyny odpowiedni dla narodu w naszem położeniu. Tak jak Paulini na wałach Częstochowy, spotykając się na nocnej straży, witali się słowy: *memento mori*, pamiętaj, że trzeba umierać, tak każdy Polak, przez całe życie powinienby witać brata Polaka słowy: pamiętaj, żeś synem zabitej Ojczyzny i żeś chwilki spokoju nie powinien doznać, dopóki zabita nie będzie na nowo do życia wskrzeszoną. Jeszcze stokroć bardziej przystoi to szlachcicowi polskiemu, na którym ciąży zarzut historyczny, że przywłaszczywszy sobie prawa i przywileje całego ludu, Ojczyznę do sromotnego przyprowadził upadku i swoją lekkomyślnością i nieudolnością, cały naród o utratę wolności i niepodległości przyprawił.

Przez kilkanaście lat żyłem za granicą nie jako turysta, ale prawie jako członek rodziny angielskiej, której losy dzieliłem i w smutku i w radości. Poznałem ją i w obliczu choroby i śmierci i podczas zajęć zwyczajnych i w wirze spraw publicznych. Poznałem ludzi poważnych, mających każdej chwili przed oczyma ostateczny cel życia. Powaga ta i zastanowienie odbijały się nawet w szczegółach życia potocznego. Ile to tysięcy razy brałem udział w patryarchalnym zwyczaju nabożeństwa wieczornego, ile to razy sam je prowadziłem, gdy byłem najstarszym mężczyzną obecnym. Każdego wieczora schodziła się cała rodzina, goście, domownicy i słudzy. Odczytuje się jakiś ustęp z biblii, potem śpiewa jakiś hymn lub psalm, potem krótka modlitwa, zastosowana do potrzeby chwili, a kończy się wspólnem „Ojcze nasz". Te parę chwil każdego wieczora wynoszą Anglika ponad pospolitość i trywialność codziennego życia.

Coś podobnego potroszę i u nas istnieje, ale tylko wyjątkowo. Słyszałem, że w domu prezesa krakowskiego komitetu centralnego, każdego wieczora czyta się wspólnie ustępy poważne z naszej literatury. Ta myśl poważna w życiu codziennem stanowi urok naszego nabożeństwa majowego do Matki Boskiej, które u wielu rodzin jest w zwyczaju.

Przez czas swojego pobytu w Anglii nabrałem też serdecznego przywiązania i szczerego poważania dla narodu angielskiego. Ale niemniej przez cały ten czas pozostawałem w niewzruszonem przekonaniu o nieskończonej wyższości własnego narodu. Przez wiele lat, nie stykając się prawie z ziomkami, żyłem w idealnej Ojczyźnie wszystkich wielkich przodków całego narodu, jego wieszczów i myślicieli, mężów stanu i wojowników. Każdy Polak w mojej wyobraźni mimowoli przybierał postać bohatera lub męczennika, z całą dumą, powagą i dzielnością, która przystoi takiemu charakterowi. Było w tem wyobrażeniu i ziarnko prawdy, ale jeszcze więcej jednostronności. Że obraz nie był zupełnie wymarzony i fantastyczny, dowodzi, że nieraz nawet nieprzychylni nam cudzoziemcy dostrzegali w naszym charakterze dziwną jakąś odrębność, odznaczającą nas od pospolitości innych narodów. Niedawno nawet taki bluźnierczy żydek, jak Nordau, autor „Kłamstw konwencyonalnych“ i „Zwyrodnienia Europy“, pisał o nas z całem jasnowidzeniem psychologicznem swojej rasy, że Polacy skutkiem swojego położenia historycznego, albo muszą ginąć, albo stać się narodem bohaterów. — Cóż więc dziwnego, że potomek tego narodu mógł sobie wyrobić podobne wyobrażenie!

* *
*

Przyjechawszy z takiemi wyobrażeniami do Galicyi przed 20 laty, musiałem odczuć boleśnie kontrast ideału a rzeczywistości. Formy rządu polskie, język polski, możliwość dana pracy samodzielnej, a niedołęstwo, bałamuctwo i nieradność na wszystkich szczeblach życia publicznego, a powszechna lekkomyślność i bezmyślność prawie całej warstwy wykształconej i zmarnowanie nieodżałowanych może chwil, dla moralnego i umysłowego odbudowania narodu.

Jeden tylko obrazek moich doświadczeń, obrazek trywialny, aż nadto trywialny, typowy, dla zwykłego Galicyanina, sam przez się rozumiejący się, a mnie wówczas zgrozą przejmujący: trzydniowy festyn na imieniny, festyn za pożyczone pieniądze. Powtarzam, za pożyczone pieniądze, bo i to jest typowe. Biesiady, tańce, wiwaty! Ale poważniejsza, powtarzam, poważniejsza część zgromadzenia kupi się około zielonych stolików. Już mnie dreszcz przejmuje, bo od dzieciństwa karty uważałem jako

oznakę bezmyślności i idyotyzmu, bo przecież wynalezione zostały dla idyotycznego króla francuskiego Karola VII., który się niemi idyotycznie zabawiał, podczas kiedy Anglicy już mu prawie całe królestwo zabrali. — Z „Wieczorów pod lipą“, karty i zielone stoliki w mojej pamięci w sposób niezatarty związane były ze wspomnieniem Sejmu grodzieńskiego, Targowicy, wszystkich hańb i zdrad w naszej historyi — wszystkich tych nikczemników, którzy, zaprzedawszy naprzód własną Ojczyznę, później w podobny sposób zdradzali własną rodzinę i wyzuwali się z własnej ziemi i majątku. Karty, to dla mnie była rzecz niechlujna, symbol sromoty narodowej, których dotknięciem nigdy rąk moich kalać nie chciałem.

Może to przesada, są przecie stracone chwile w życiu, które i karty niewinne zapełnić mogą. — Ale przypatruję się. Widzę nie zabawkę, ale jakieś gry hazardowe. Młody panicz zwraca się do poważnego obywatela: Papo, daj mi setkę, bo już wszystko przegrałem. I papa zamiast synalka rozciągnąć na kobiercu, daje mu setkę z uśmiechem. Tam sędzia wygrywa kilkadziesiąt guldenów od swojego bezpłatnego auskultanta. — Sędzia! — z mojemi wyobrażeniami angielskiemi o powadze sędziowskiej! I od bezpłatnego auskultanta! Dalej, duchowni obu obrządków grający w ferbla! Duchowni, u których krom sukienki, żadne słowo lub giest nie zdradzały ich odrębnego powołania.

I przypomniał mi się inny duchowny — heretyk wprawdzie, misyonasz szkocki dr. Long, którego rok przedtem poznałem na posiedzeniu Royal Asiatic Society w Londynie. Kilkadziesiąt lat apostołował w Bengalii i zakładał tam szkoły i kościoły. Wielokrotnie bywał w Rosyi, umiał po rosyjsku, a nawet rozumiał po polsku. — Właśnie dostarczałem mu z kraju zbioru przysłów polskich, bo zbierał przysłowia wszystkich narodów. — O nim to słyszałem następujące opowiadanie. Podróżował koleją żelazną w Szwajcaryi. Naprzeciw niego w wagonie, siedziała młoda i przystojna Rosyanka, której szlachetne rysy zdawały się wskazywać na szlachetną duszę. Zajęta była czytaniem jakiegoś płochego romansu francuskiego w żółtej okładzinie. Naraz poważny, ale nieznajomy Anglik bierze z jej rąk książkę i wyrzuca przez otwarte okno, a zdumioną i obrażoną kobietę spotykają słowa: „Czy pani kochasz swą ojczyznę i modlisz się kiedy za nią?“.

Spotkanie to dało później powód do jednego z najciekawszych ruchów religijno-społecznych w Rosyi, który falą przeszedł po całym kraju. W domu tej pani w Petersburgu odbywały się później zgromadzenia, na których angielski lord Radstock wykładał swoje zapatrywania religijne i nawoływał do pracy nad zaniedbanym ludem. Do zwolenników tego ruchu należeli pułkownik Paszkow, hrabia Korf i Bobriński — później wygnani przez Pobiedonoscewa, a którzy gorąco się zajęli dolą ludu w swoich majątkach i zakładach przemysłowych!

To wszystko wynikło z romansu francuskiego, wyrzuconego za okno przez nieznajomego — Misyonasz Anglik i kobieta Rosyanka!

Myślałem sobie, czy kapłan polski nie ma tysiąc razy jeszcze większego powołania do zapytania się każdej Polki: „Czy kochasz pani swoją Ojczyznę i czy modlisz się za nią?" — i czy nie mamy Polek, którychby tragiczne losy kraju i własne losy rodzinne nie przysposabiały tysiąc razy lepiej do zrozumienia takiego pytania, od owej Rosyanki, należącej do narodu tryumfującego i szczęśliwego.

Od czasu swojego powrotu do kraju, obrazy podobne chwili mi nie dają spokoju i ciągle trapią moją duszę. W każdym Polaku widzę to rozdarcie, tę przepaść pomiędzy ideałem a rzeczywistością, obowiązkiem narodowym a faktyczną nieporadnością i niemocą. Wiele to razy Polakowi, jak Hamletowi duch ojca wołający o pomstę za morderstwo, pokazuje się mara zabitej Ojczyzny, a ten Polak jak Hamlet skarży się na los, który nałożył na niego brzemię obowiązku, za ciężkie na jego siły, wolałby nie istnieć, chciałby zapomnieć, gdyby tylko mógł, szuka jak zbawienia, tego zapomnienia, bezmyślności, szału, wszystkiego, byleby przyszło zapomnienie! — Tego zapomnienia nie znajduje! Tarza się w lekkomyślności i pospolitości, ale robak mu serce gryzie, i chwilami do pamięci przyprowadza.

Widziałem to rozdarcie wewnętrzne we wszystkich warstwach narodu. Przygniata młodzieńca, okazuje się najwidoczniej u tych, którzy kierują jego losami. Stąd *salto mortale „du sublime au ridicule"*, jak mówił w Warszawie Napoleon po kampanii moskiewskiej r. 1812, *salto mortale* z bohaterstwa do błazeństwa — bo to, co u każdego innego narodu będę nazywał tylko bezmyślnością, płochością lub lekkomyślnością, to

u Polaka, potomka rycerskiego narodu, żołnierza wolności, apostoła zmartwychwstania, uderza mię jako wstrętne błazeństwo!

Ale ponowne, kilkonastoletnie obcowanie ze społeczeństwem polskiem, jedno mi przyniosło doświadczenie, jedną mi dało otuchę. Jakiekolwiek by były pozory — to gdzieś w głębi duszy ukryta tli iskierka pod popiołami — jest ten punkt Archimedesa, o który się oparłszy, można dotknąć do żywego każdego Polaka i każdą Polkę i przywrócić do wrodzonej szlachetności.

I tylko ta iskierka!

Próbowałem poruszać wszystkie inne sprężyny. Gadałem o dobrobycie i podniesieniu ekonomicznem. Brałem udział w polityce i dyplomacyi parlamentarnej. — Wszystko głosy wołające na puszczy. Żadna głębsza struna duszy narodowej nie odpowiada na te głosy. — Ale ta jedna iskierka żyje, chociaż obecnie nie płonie i nie działa.

Znikczemniały nawet na pozór Polak, gdyby trąbka do boju zagrała, potrafi umrzeć — pójdzie na śmierć. On tylko żyć nie potrafi.

Cała nasza przeszłość, cała nasza przyszłość woła o tę ewangelię życia, o związek pomiędzy ideałami narodowymi, a szarem życiem domowem, rodzinnem, codziennem, o to poczucie, że każda chwila, każda godzina naszego działania zbliża nas do upragnionego celu. — Tu jest ten jedyny ważny, jedyny nieskończenie drażliwy punkt naszego życia narodowego i społecznego. Tu nasza słabość, tu nasza siła, tu nasza tragedya, tu nasza nadzieja.

* * *

Piszę o drażliwych kwestyach, tem drażliwszych, im bardziej się zbliżają do zadań chwili obecnej. Ale wiem, że tylko drażliwe kwestye są żywotne, że kwestya staje się drażliwą, bo jest żywotną, i że tylko ich rozwiązanie stanowi postęp. Ludzie, którzy się od drażliwych kwestyi uchylają, nie istnieją dla przyszłości. Omijanie i tuszowanie tych kwestyi jest zawsze cechą albo bałamutnego umysłu, który sprzeczności nie widzi, albo braku odwagi, jeżeli się je widzi i swojego zdania nie wypowie. Piszę, po przeszło trzydziestu latach obcowania z wszystkimi prądami naukowymi i społecznymi, których walka stanowi świat nowożytny. Po trzydziestu latach nauk, rozmyślań, doświadczeń i obserwacyi, obowiązany jest

każdy, kto chce działać na polu publicznem, przedstawić współobywatelom syntezę swojego życia, to jest to, co mu się wydaje pewnikiem, to, co uważa jako podstawę niezachwianą, na której chce przyszłość budować.

Piszę w zupełnej świadomości, że nie mogę dogodzić przedstawicielom skrajnych obozów, takiemu organowi kosmopolitycznego ultramontanizmu, jak „Przegląd Powszechny“ w Krakowie, lub takim organom kosmopolitycznego materyalizmu, jak „Prawda“ lub „Ateneum“ w Warszawie. Ale czuję, że ani jeden ani drugi kierunek nie znajduje odgłosu w naszem społeczeństwie. Dosyć wziąć pierwszy zeszyt „Przeglądu“ do ręki i znaleźć tam kazuistykę jezuicką o wypadkach, w których wolno nie dotrzymać przysięgi (artykuł o kardynale Hozyuszu), ażeby zrozumieć, dlaczego prostoduszny Polak, z oburzeniem taką naukę rzuci do kąta, choćby się nie wiedzieć jak ubierała w płaszczyk ortodoksyi. Dosyć wziąć którykolwiekbądź numer „Prawdy“ i „Ateneum“, ażeby zrozumieć, że te pisma, które się tyle zasłużyły w obznajomieniu publiczności polskiej z pracami naukowemi Europy, są cudzym importem i rozsadnikiem obcych myśli. Rozbrat z przeszłością, i z żywemi i niewygasłemi uczuciami olbrzymiej większości obecnego pokolenia, sprawia, że ton tych pism złowrogo drażni najgłębsze instynkty narodowe, a ich wrażenie ogólne jest jak zgrzyt żelaza po szkle.

Wychowany równocześnie pod wpływem gorących tradycyi narodowych i pod działaniem nowożytnej wiedzy przyrodniczej, filozoficznej i historycznej i jej najskrajniejszych skeptycyzmów — czuję, że ta sama walka wewnętrzna, którą przebyłem, toczyła i toczy się w tysiącach serc obecnego pokolenia, i w całej pokorze serca sądzę, że moje osobiste przejścia są symptomatem i wskazówką dla legionów, wyrosłych na tej samej ziemi i wśród podobnych okoliczności. T y l k o s z c z e r o ś ć w y w o ł u j e s z c z e r o ś ć, dlatego nie waham się przedstawić prawdziwie to, co czuję — całą prawdę, bez dyplomacyi i zastrzeżeń z jednej strony, a bez niedorzecznej zarozumiałości z drugiej strony, że mnie jedynemu lub pierwszemu udało się rozwiązać zagadki życia, nad których rozwiązaniem wieki pracują.

Do wszelkiej zarozumiałości tem mniej mam pretensyi, że sam przechodziłem przez rozmaite fazy moich wyobrażeń religijnych. Za młodu wcześnie się przejąłem scholastyką teologiczną, nawracałem protestantów, nawracałem bardzo niewiernego

wówczas, późniejszego redaktora „Przeglądu polskiego". Scholastyka ta nie przetrwała ognia skeptycyzmu naukowego. Za to ostało się w tym ogniu szczere złoto wiary, przedstawionej w „prelekcyach" Mickiewicza, w „Przedświcie" i „Psalmach" Krasińskiego i w „Ojczenasz" Cieszkowskiego.

* *
*

Na każdym kroku spotykam się z podobnem usposobieniem. Polak skłonny jest do czynu religijnego, ale niecierpliwy do robienia rzeczy świętych przedmiotem spekulacyi. Dlatego też scholastyka jest dla Polaka jak groch o ścianę. Nie znam też narodu, u którego panuje równie bezdenna niewiadomość wszelkich argumentacyi teologicznych i równa odraza do wszelkiego mędrkowania w tym przedmiocie. Przez długie lata przedstawiało mi się to jako dowód nieudolności narodowej do badań filozoficznych, dopóki zrozumienie doniosłości intuicyi nie przekonało mnie, że w tem usposobieniu tkwi najgłębsza filozofia, że pod pokrywą nieudolności teologicznej kryje się najgłębsze powołanie religijne. Tak samo, jak dla człowieka widzącego wszelkie dowody o istnieniu słońca są zbyteczne, a dla niewidomego nieprzekonywujące — tak dla tego, który posiada intuicyę, który przejrzał, który jest obdarzony okiem duchowem, słońce duchowe świata niecielesnego *) jest tak oczywiste, że wszelkie dowody i argumentacye wydają się niegodną i niepotrzebną szermierką słowną.

Natomiast Polak staje z łatwością na najwyższym poziomie uczucia religijnego. — Teologia rozróżnia wyższe i niższe pobudki wiary. Do niższych zalicza obawę kar w życiu przyszłem. „Gdybym nie wierzył w piekło, jakże bym się mógł oprzeć pokusom" — powiada mi pewien misyonarz angielski. Polak, który się waha i zastanawia, czy ma się oprzeć pokusie, już jej uległ. Ale Polak z łatwością wzbija się do takiego nastroju ducha, że jest dla pokusy nieprzystępny, że ona dla niego zgoła nie istnieje. To jest to, co teologia nazywa stanem łaski, a Anglik życiem wyższem, w którem człowieka ogarnia li tylko miłość Boga najwyższego bez żo-

*) „Psalm wiary" Krasińskiego.

dnej przymieszki uczuć osobistych. Polakowi pokazać to, co jest wielkie, wspaniałe i szlachetne, a on odrazu bez argumentacyi czuje, że to jest właściwą ojczyzną jego ducha, że to są jego przyrodzone właściwości. Każda Polka, niezepsuta francuzczyzną, bez wahania i z głęboką a wzruszającą naiwnością mimowoli będzie łączyła z wyobrażeniem chrześcijaństwa i katolicyzmu — każdą prawdę, każdą piękność, każde poświęcenie, i od razu będzie jej jasnem i oczywistem jak na dłoni to, co dla filozofów i teologów, w uczonych okularach, będzie wątpliwem lub spornem.

Dlatego też to, co Goethe nazywa „*Ehrfurcht*“, jest podstawą charakteru narodowego polskiego. Głęboka cześć dla rzeczy świętych. Odraza do bluźnierstwa i profanacyi. Stąd cynizm a nawet satyra jest grzechem przeciwko duchowi polskiemu, jak to zauważyli Mickiewicz i Słowacki. Stąd obecne panowanie niezdrowej tak nazwanej humorystyki, w naszem piśmiennictwie, jest miarą i oznaką kierunku kosmopolitycznego i antinarodowego.

Nigdzie kierunek religijny nie pojawia się wybitniej, jak w polskiem pojmowaniu historyi własnego narodu. Żaden inny naród nie posiada takiego nieprzerwanego szeregu wielkich postaci, w których się uosabia sumienie narodu, zacząwszy od św. Stanisława biskupa, kardynała Oleśnickiego i ks. Skargi, do ks. Marka, do Mickiewicza i Krasińskiego. Z wyjątkiem starożytnego narodu izraelickiego, u żadnego narodu, religia nie łączy się tak ściśle jak u nas z historyą. Tak, jak naród izraelski, tak i nasz, w każdym wypadku widzi palec Boży, karę za grzechy, lub błogosławieństwo za serce czyste i nieskażone. Każdy wypadek dziejowy jest dla nas przedewszystkiem problemem etyki narodowej.

Od lat 30 nasza historyozofia niezmordowanie pracowała nad wypleniением pojęcia, że my się różnimy od innych narodów, że mamy jakąś odrębną misyę narodową. Daremnie, autorowie, chcący pisać z całą możliwą trzeźwością, znowu tylko popadają w jednostronność narodową i historyę narodu i jego losy sprowadzają do pewnych, niby nowo odkrytych przyczyn psychologicznych, jako to: nieuznania zasady władzy, hierarchii społecznej i t. d.

Dziś jeszcze nie mamy historyi, któraby należycie uwzględniała wpływ czynników geograficznych, statystycznych i eko-

nomicznych, któraby n. p. wykazała, że pospolite ruszenie rozeszło się nie dla grzechu niezgody i prywaty, ale dlatego, że w braku magazynów i zapasów, nie było co jeść dla koni i ludzi — któraby wykazała, iż Piotr W. zanim jego następcy zawojowali Polskę militarnie, już podkopał jej istnienie ekonomiczne i uczynił ją niepotrzebną i zbędną dla Europy, dostarczając tejże z Petersburga zboża i surowych materyałów w większej ilości i taniej, aniżeli to mogła czynić Polska; — jako w braku przygotowań materyalnych Polacy przez cały przeciąg swojej historyi pasowali się z niemożliwościami, z zadaniami, które przy całem bohaterstwie i poświęceniu się, były nie do wykonania z braku środków, systemu i ciągłości. Cała ta strona fatalizmu konieczności naturalnych, w naszej historyi jest jeszcze do obrobienia.

Ale cała ta geografia, ekonomika, statystyka i polityka następstw nieubłaganych z niezmiennych przesłanek, nie istnieje dla duszy polskiej. Wobec fatalizmu, rozumu i konieczności, Polak powtarza swoje *e pur si muove* — nie pozwalam! — „wy wiecie, co przymus, nie wiecie, co wola“.

I ta jednostronność ducha narodowego, to wytężenie całej siły wzroku, li tylko w stronę duchową, było potrzebne, ażeby w narodzie mógł dojrzeć kwiat i owoc tysiącletnich walk, tysiącletniego mocowania się z niemożliwością: — nasza wielka literatura mesyaniczna, jedyna literatura, która obok Pisma Świętego, posiada cechy biblii, nietylko narodowej, ale uniwersalnej, oddającej odwieczne prawidła wiary i sprawiedliwości, w postaci przystępnej dla umysłów nowoczesnych i zastosowanej do potrzeb chwili bieżącej, w historyi narodu polskiego i w historyi ludzkości.

Teraz dopiero, zdobywszy myśl przewodnią, możemy pracować, ażeby do niej dodać „roztropność węża“, przysposobić środki i zasoby materyalne do jej przeprowadzenia i wykonania.

Ta nasza ewangelia narodowa posiada zarazem wszystkie cechy uniwersalności. Są to tylko niezmienione stare prawdy w nowej postaci. Niema w niej jednej rzeczy specyalnie wymyślonej przez Polaków dla Polaków, tylko zastosowanie zasad, złożonych w Piśmie Świętem całej ludzkości do nowej sfery stosunków społecznych i między-

narodowych, bo ta sfera przecież nie może być wykluczoną z dziedziny praw uniwersalnych, obowiązujących zawsze i wszędzie. — Sama myśl objawienia specyalnie polskiego, jakiegoś odrębnego kościoła narodowego, byłaby zaprzeczeniem uniwersalności naszego posłannictwa i zwichnięciem zasadniczej myśli sprawiedliwości społecznej i międzynarodowej.

O Jehowie starego testamentu można było przypuszczać, że się egoistycznie opiekuje jednym tylko narodem. Kościoły narodowe mogą mieć Prusacy, Anglicy i Moskale, których patryotyzm jest tylko uświęceniem egoizmu narodowego, ale nie nasz naród, który, jak nas poucza Krasiński, u każdego narodu uznaje jakąś myśl od Boga zesłaną, która się staje tego narodu posłannictwem i przeznaczeniem, a który w harmonii wszystkich myśli Bożych widzi przyszłą harmonię całej ludzkości.

Jeżeli jesteśmy narodem wybranym, to tylko dlatego, że ta myśl uniwersalna u nas najprzód dojrzała. Treścią niezmienną i podstawą jest ewangelia Chrystusa, ta „dobra nowina“, wygłoszona przed blisko dwu tysiącami lat dla wszystkich ludzi dobrej woli. Na formę i wysłowienie tej myśli zasadniczej wpłynął ruch umysłowy wszystkich narodów, praca duchowa całej Europy. Idee, wychowane w Anglii w XVII. wieku, roznieciły we Francyi entuzyazm Rousseau'a w XVIII. wieku. Rousseau zapalił Herdera i przez pół wieku myśli te kiełkują i rosną na gruncie niemieckim u Fichtego i Schellinga. Powstaje wyobrażenie o jakimś nowym okresie ludzkości czy św. Jana, czy św. Ducha, do którego historya obecnie wstępuje. Wyobrażenia te popłynęły dalej korytem polskiem i wcielają się w naszą literaturę, zapomniane przez Niemców, od których myśmy je przejęli.

Tak samo, głęboka myśl Platona, wyrażona w jego „Rzeczypospolitej“, że społeczeństwo każde jest stworzone podług wizerunku duszy pojedynczego obywatela tego społeczeństwa, długo się po świecie błąkała a ojczyzny nie znajdowała. Ziarno padało na opokę, ale nie na glebę urodzajną. Nie mógł jej zrozumieć erudyt aleksandryjski, tem mniej *Graeculus esuriens*, zgłodniały Greczynek z czasów Juwenala. Nie mogli jej zrozumieć współcześni Machiawela we Florencyi, w której odżyły na nowo studya platońskie. Montesquieu ją po trochę przeczuwał, gdy powiada, że uczucie ho-

noru jest podstawą monarchii a cnota podstawą Rzeczypospolitej. Rozumiał ją Napoleon, ale w zepsutej Francyi nie mógł zastosować.

Wielka myśl, matka czynów, zarodek cudów — błąkała się dalej, aż po dwóch tysiącach lat znalazła swój kres i cel, zakiełkowała w duszy Mickiewicza i stała się ewangelią dla narodu polskiego. Polska upadła anarchią, bo anarchia panowała w duszy pojedyńczego Polaka. Wszelkie kombinacye polityczne, nawet pomoc zagraniczna są daremne, dopóki Polak nie wyleczy swojej duszy i nie zrobi jej wizerunkiem tej Ojczyzny, która ma zmartwychwstać!

Od tej chwili zbawienie Ojczyzny stało się niezależnem od polityki i dyplomacyi, stało się zależnem jedynie od nas samych. Jaki przymus, jaka niewola, jakie więzienia i bagnety mogą nam przeszkodzić do opanowania i wyleczenia własnej duszy. Dlatego *Sursum corda!* Jakież mogą być niemożliwości dla narodu, jeżeli każdy jego obywatel wprzódy uwzoruje swoją duszę podług koniecznych wymagań obowiązku i posłannictwa narodowego — nastroi swego ducha, ażeby godnie odpowiedział, kiedy nastanie godzina czynów dla każdego Polaka, a zmartwychwstania dla narodu!

V.

O. gdyby tak się wedrzeć na umysłów górę,
Gdyby stanąć na ludzkich myśli piramidzie,
I przebić czołem przesądów chmurę,
I być najwyższą myślą wcieloną. —
Pomyśleć tak — i nie chcieć? o hańbo! o wstydzie!
Pomyśleć tak — i nie módz? w szmaty podrę łono!
„Kordyan".

I ludzie, ziemia, staną mu na świadki,
Jako sercu — myśl wysoka,
Jako myśli — czynów dzielność,
Jako czas — pieśniom proroka,
Jako prawdzie — nieśmiertelność!
Garczyński.

W historyi rodu ludzkiego każda chwila jest doniosłą, każda jest zetknięciem się dwóch nieskończoności — wynikiem całej przeszłości, niknącej w pomroce wieków — przygotowaniem całej przyszłości, błyszczącej jak zorza w nieskończonej dali.

Ale są chwile ważniejsze od innych, oznaczające pewien zwrot w rozwoju ludzkości.

Jak w codziennem życiu następuje odmiana dnia i nocy, jawy i snu, zimy i lata, tak też i duch ludzki w swoim postępowym locie, peryodycznie zwraca się w rozmaite strony — w stronę świata i w stronę zaświata — rozwija się, to pracą zewnętrzną, skierowaną do poznania i opanowania przyrody, to skupieniem wewnętrznem, dążącem do poznania i uszlachetnienia człowieka.

Jedną z takich chwil przejściowych obecnie przebywamy. — Po wspaniałym cyklu przeszło dwóch tysięcy lat, które upłynęły od Sokratesa, myśl ludzkości znowu odwraca się od świata i wstępuje w obszary zaświata i te same objawy towarzyszą temu przełomowi, jak te, które z epoki Sokratesa zrobiły jeden z punktów zwrotnych w historyi ludzkości; — na powierzchni naiwny optymizm, cieszący się z postępu cywilizacyi, a w głębi

głuchy grzmot sił podziemnych, podkopujących cały istniejący porządek społeczny.

Sokrates poprzedzony jest kilkuwiekowemi spekulacyami nad filozofią natury, które, przerwane jego wpływem, dopiero w wiekach nowożytnych doczekały się dalszego rozwoju. Pierwsze zasady i zarodki naszych nauk ścisłych i przyrodniczych, a nawet najśmielsze i najmodniejsze hypotezy, już się znajdują u dawnych greckich filozofów — drzemały przeszło dwa tysiące lat, a zostały podjęte na nowo dopiero przez ruch naukowy europejski, datujący się od Rogera Bacona. W epoce Sokratesa widzimy również bezprzykładny rozwój sztuk i wynalazków, upiękniających i potęgujących życie ludzkie, co znowu znajduje swoją analogię w naszych czasach.

Dlatego też to, co uważamy za rys charakterystyczny czasów **nowożytnych: poczucie władzy człowieka nad przyrodą**, poczucie niesłychanego postępu już dokonanego, a nieokreślonej perspektywy dalszych postępów, upojenie się rolą człowieka, jako pana stworzenia, całe to naiwne, potrosze nawet dziecinne zadowolenie ze świata i ludzi, cechujące wiek XIX. — wszystko to już istniało w równej sile za owych czasów, jak to pokazuje chór Sofoklesa z Antygony:

„Wiele jest dziwów — a przecie
Człowiek największy dziw w świecie,
On to w siną głębię mórz
Oślep się rzuca...
On wielkiej bogini — ziemi
Pruje brzemię w różne strony,
W jego rozstawione sieci
Rój leciuchny ptasząt leci.
W jego jarzmie milczkiem chodzi
I koń grzywiasty i tur:
Człowieka darem — słowa grom,
W człowieku — górnej myśli dom.
A w myślach swych badawczy człek
Przyszłości nawet odgadł bieg.
Olbrzymia ludzkość myśli potęga
Nad podziw wielkich celów dosięga!"

Filister naszych czasów nie może być bardziej zadowolonym ze siebie i ze swoich dzieł, jak Ateńczyk za czasów Sofoklesa. Jest to taki sam hymn tryumfalny nad cudami, zdziałanymi przez człowieka, do jakich przywykliśmy od stu lat, tylko

że zamiast pierwotnych wynalazków żeglugi, rolnictwa i elementarnych urządzeń państwowych, my uwielbiamy Franklina, który niebu wydarł gromy, Watta, który parą zastąpił siły cyklopów i tytanów, telegrafy unicestwiające przestrzeń, cieszymy się z telefonów i fonografów, a chlubimy z naszych wystaw powszechnych i kongresów międzynarodowych.

Ponad pogodnym i szczęśliwym światem Hellenów unosi się nieubłagane fatum, kierujące losami bogów i ludzi i kornie przyjęte przez świat grecki, tak, że nawet losy najtragiczniejsze nie mąca spokoju serca ludzkiego. Ale obok tego już się pojawia u Aischylosa pewna nuta głębsza i dziwnie nowożytna, która za naszych czasów coraz silniej się odzywa. — Bunt człowieka przeciwko przeznaczeniu, człowieka, już nieprzyjmującego wyroków niezgodnych z poczuciem sprawiedliwości:

W Prometeuszu, Aischylosa, mamy pierwszy wyraz w literaturze greckiej, oburzenia na krzywdę niezasłużoną i zwycięzkiego poczucia, że ostateczny tryumf należy nie do fatum, ale do sprawiedliwości:

„O, święta powietrzna przestrzeni,
O, wiatru powiewy skrzydlate,
O, źródła płynących strumieni,
O, morskie wy fale, które blask rumieni,
Śmiejące, wesołe, bez końca,
O, ziemio, ty matko, w ubiory bogate
Strojna od słońca!
Ty słońce wszechwiedną patrzące źrenicą:
Patrzajcie, co boga od bogów spotkało!
Jaka hańba i jakie męczarnie...
Lecz od wroga cierpieć, nie ujmuje cześci,
Niechże we mnie piorun rozczochrany
Godzi, powietrzne niechaj uragany
Szarpią, niech burza z posad ziemię ruszy,
Niech fala wściekła drogi gwiazd opryska,
Ciało me biedne, które skała skruszy,
Niech w Tartarosa bezdenną głębinę
Rwiący przeznaczeń prąd ciska,
Ja nieśmiertelny! Nie zginę!"

Ta skarga ducha ludzkiego, dotkniętego w swej najgłębszej istocie, to poczucie krzywdy bez winy, stanowi w historyi nowożytnej siłę wulkaniczną, która to wybucha w rewolucyach i walkach o niepodległość, to stanowi

treść rozwoju społecznego i narodowego, a której przyświeca wiara, że odwieczna sprawiedliwość musi kiedyś skruszyć ślepe fatum, pokonać konieczność, na pozór nieubłaganą i rozkuć wszystkie kajdany.

To też hymn Prometeusza coraz donośniej rozbrzmiewa. Słyszymy go głosem potężnym u Byrona*). Podejmuje go cały naród polski, i plejada poetów daje mu wyraz w szeregu nieśmiertelnych arcydzieł od „Dziadów“ do „Skarg Jeremiego“ i hymnu „Z dymem pożarów“.

Patrząc wstecz, my możemy nawet symbolicznie dopatrzeć się w Prometeuszu wielu rzeczy, których ani sam autor, ani jego współcześni nie widzieli. — Całe to radośne życie Hellenów opierało się na beznadziejnej, prawie zwierzęcej niewoli większej części ludzi. Ten tytan rozpięty na skale, któremu sępy wnętrzności szarpią, to obraz sił ludzkich, niesprawiedliwie spętanych, to obraz niewolnika, na którego pracy i krzywdzie cały ten świat pięknych, dobrych i szczęśliwych był zbudowany — to obraz „ducha rewolucyonisty“, tego mściciela krzywd wszelkich.

I znowu, w naszych czasach dziecinnej radości nad telefonami, pociągami błyskawicznymi, oświetleniem gazowem, drukowanym papierem bez końca, przecież jak *amari aliquid* — jest coś, co całą tę radość zatruwa — jęk wydziedziczonych — narodów uciśniętych — całego stanu robotniczego, tego nowożytnego tytana, rozpiętego na skale bezlitośnych urządzeń państwowych, któremu sępy kapitalizmu wnętrzności szarpią — rozlegają się echa wszystkich pogwałconych praw narodowych, społecznych i ludzkich, które znowu do nieba o pomstę wołają i dopominają się odwiecznej sprawiedliwości!

* * *

U szczytu greckiego rozwoju i najwyższego tryumfu greckiej cywilizacyi, kiedy się tak błogo i słodko żyło, kiedy dla „pięknych i dobrych“ kraj płynął nektarem i ambrozyą, kiedy

---

*) „Eternal spirit of the chainless mind!
Greatest in dungeons, Liberty, thou art,
For there thine habitation is the heart!“
„The Prisoner of Chillon“.

nawet bogowie zeszli z Olimpu i w nieśmiertelnej piękności zamieszkali między ludźmi, a wypadki następowały po sobie ze wspaniałością poematu epicznego — zjawia się Sokrates i odwraca się od przyrody i od tych wszystkich piękności, pulsującego naokoło niego miarowego życia greckiego — zagląda w głąb własnej istoty — w człowieka. Zagląda w człowieka i odkrywa... nieskończoność! Nieskończone pragnienia, niewysłowione tęsknoty, niedoścignione ideały, przeczucia niepojętej doskonałości, sprawiedliwości i nieśmiertelności!

Przykłada tę miarę nieskończoności do wszystkiego, co go otacza i widzi, że to wszystko jest marne, że poza światem jest zaświat, że poza powłoką materyi istnieje nieskończenie większy, nieskończenie piękniejszy świat ducha, ta prawdziwa ojczyzna umysłu ludzkiego — że usiłowaniem najbardziej godnem człowieka jest nie praca nad opanowaniem przyrody, ale nad sobą samym — opanowanie własnego umysłu, uszlachetnienie własnej duszy, udoskonalenie własnej istoty.

I po tem przygotowaniu zjawia się chrześcijaństwo. Bramy niebios się rozwierają. Aniołowie zstępują na ziemię i wszystkim ludziom dobrej woli ogłaszają wesołą nowinę zbawienia wiecznego. I po wiekach tryumfu ciała, radości i życia, nastają wieki ekstazy duchowej, apoteozy cierpienia i pragnienia śmierci, ażeby raz już dostąpić życia wiekuistego. — I wola ludzka staje się jak wosk, daje się naginać i kierować na wszystkie strony w służbie wyższych celów. Siła ducha zwycięża materyą. Męczennicy i zakonnicy, święci i bohaterowie, życiem i śmiercią swą stwierdzają tę prawdę naczelną czasów chrześcijańskich, która jest kamieniem węgielnym, na którym budujemy naszą wiarę i opieramy wszystkie nasze nadzieje na przyszłość — że u człowieka popędy idealne są silniejsze od wszystkich pobudek materyalnych, że życie może — a zatem powinno ukształtować się podług aspiracyi naszej duchowej istoty.

Ale impuls duchowy powoli mdleje, duch wprawdzie stał się niezależnym od ciała, poczuł własną siłę, ale brak mu dalszego przedmiotu. Bo też nie ucieczka od świata, ale pokonanie świata i ukształtowanie go na własny wizerunek, jest właściwem zadaniem ducha.

Duch mdleje, a świat wraca.

Przy sposobności wojen krzyżowych, chrześcijaństwo poznało na wschodzie bogactwo, poznało rozkosz, poznało wiedzę. Zaczęła się rehabilitacya ciała i materyi, świata wobec zaświata. I wróciły powoli dawne nauki, dawne sztuki, dawne spekulacye i hypotezy — na nowo rozpoczęła się era wynalazków i tryumfów umysłu ludzkiego nad przyrodą i dziecinnej radości człowieka nad swojemi zdobyczami. I jak pierwej duch, tak teraz natura stała się jak wosk, posłuszna wszelkim zachciankom, nawet kaprysom ludzkim.

*
* *

I znowu — w obecnej dobie, era użycia i rozkoszy rozniecila poczucie krzywdy i niesprawiedliwości. Znowu, jak niegdyś w starożytności, wspaniały budynek cywilizacyi — błogie siedlisko szczęścia i spokoju dla uprzywilejowanych, podkopany jest przez nurtujące siły podziemne. Znowu rzeczywistość starła się z nieskończonością i niesprawiedliwością i znowu wszystko, czem myśmy się jeszcze niedawno tak cieszyli, straciło swój urok. Na nowo świat staje się za ciasnym dla myśli ludzkiej. Po apoteozie ciała, wraca znowu era ducha, a jej zwiastunem, nowym punktem zwrotnym w historyi ludzkości — nasza wielka literatura mesyaniczna, zwiastująca wszystkim narodom, że barbarzyństwo i kaprys niegodne są władać zdobytemi potęgami ludzkości, że zaświat powinien opanować świat i przetworzyć go na modłę duchową i tam, gdzie teraz w rozterce szaleją rozburzone żywioły i żelaźnie stąpa ślepa konieczność, zaprowadzić panowanie sprawiedliwości, prawdy i piękności!

*
* *

W obliczu historyi, pokolenia są jak jedna chwilka. Ale w obecnym wypadku chwila, w której duch ludzki wstąpił w nową strefę, da się dokładnie oznaczyć. Tego samego roku (1832) nastaje publikacya drugiej części „Fausta", gdzie się jeszcze odbija świat z całą namiętną i nienasyconą żądzą wiedzy i rozkoszy i III-ciej części „Dziadów", w której występuje zaświat z całem nieukojonem pragnieniem sprawiedliwości i nieśmiertelności.

„Faust“ osnuty jest na tle, zaczerpniętem z ksiąg Hiobowych, tego pierwszego rewolucyjnego poematu w literaturze światowej. Kilka wieków już przed Prometeuszem, Hiob, tak jak u nas „Jeremi“, wznosi swą skargę ku niebu i pyta się, gdzie jest sprawiedliwość, gdzie jest Bóg! Jest to wspaniały dramat zranionego i zdeptanego serca ludzkiego, które po ciężkich próbach przecież poddaje się niezbadanym wyrokom Opatrzności. — Kto się chce przekonać o całej wspaniałości i głębokości poematu, napisanego przed więcej niż 2500 laty, niech najprzód przeczyta Fausta, a potem powróci do Hioba.

Faust przecie jest arcydziełem nietylko niemieckiem, ale sztuki poetyckiej wszystkich czasów przed pojawieniem się naszej poezyi mesyanicznej. Ale po Hiobie to arcydzieło blednieje, rozpacz Fausta wydaje się płaską i płytką, cynizmy Mefistofelesa niesmaczne, cały dramat prawie profanacyą księgi świętej.

Przyczyna jest jasna. „Faust“ zawiera z ksiąg Hiobowych całe założenie, oraz kilka najwspanialszych motywów prologu, odgrywającego się w niebie. Ale na tem podobieństwo się kończy. Hiobowa tragedya rozdartego serca, we „Fauście“ zamieniona jest na urojenia rozpalonej głowy. To, co w Hiobie jest kwestyą serca i sprawiedliwości, we Fauście jest kwestyą rozumu, wyobraźni i wiedzy. Dlatego też Faust wywiera tak mało wrażenia na Anglików, zwykle wychowanych w atmosferze biblijnej. Ich razi ciągłe używanie takich wyrazów jak niebo i piekło, które dla Anglika są najpotężniejszemi rzeczywistościami, ogarniającemi całe życie ludzkie, w rodzaju przenośni poetycznych, zastosowanych do rzeczy arcyziemskich:

„Ist's möglich, ist das Weib so schön?
Muss ich an diesem hingestreckten Leibe
Den Inbegriff von allen Himmeln sehn?“ *)

Dlatego też pisarz takiej miary jak Emerson, tak chłodno i obojętnie wyraża się o Fauście.

Całkiem odmienne wrażenie Faust wywiera na ludzi naukowych i obznajomionych z literaturą filozoficzną. Dla tych Faust jest i będzie po wszystkie czasy poematem poematów,

*) „Czyż być może, czyż tak piękną jest kobieta?
Muszęż w tych jej leżących kształtach
Istotnie wszelkie ujrzeć nieba?“

ostatniem słowem poezyi, objaśniającem najskrytsze tajniki i wypowiadającem najgłębsze aspiracye umysłu ludzkiego, wszystkie jego odwagi, porywy, zuchwalstwa, a nawet bluźnierstwa. Widzimy w nim oddziaływanie twórczej i odgadującej wyobraźni, a niszczącego skeptycyzmu, cechujące nowożytny ruch naukowy. Na człowieku naukowym, Faust, choć raz czytany, zostawia piętno na całe życie. Faust zrobił Niemców narodem naukowym i filozoficznym. Nieprzepartą siłą pchnął ich torem ich misyi historycznej, stał się ich przeznaczeniem na dobre i na złe. Jest w nim wypowiedziane to nienasycone pragnienie wiedzy — *Erkenntniss* — jako takiej, bez osobistych chęci i zamiarów — wiedzy dla wiedzy — tej instynktowej i najgłębszej potrzeby ducha niemieckiego.

Faust „Ebenbild der Gottheit“ („podobny bóstwu“) chce się zbliżyć „zum Spiegel ewiger Wahrheit“ („do krynicy wiecznej prawdy“) i żyć życiem boskiem i twórczem:

„Dass ich erkenne, was die Welt
Im innersten zusammenhält
Schau' alle Wirkenskreft und Samen
Und thu' nicht mehr in Worten kramen“.*)

Dla umysłu naukowego Fausta nawet rozkosz staje się tylko cząstką wiedzy, nawet cierpienie traci swój kolec, bo jest także doświadczeniem i przyczynia się do rozszerzenia wiedzy, a i piękność jest dalszem rozszerzeniem wiedzy, przez poznanie świata idealnego. On chce w swoich losach doświadczyć losów całej ludzkości i to bez iluzyi nawet, żeby to się albo jemu, albo komuśkolwiek na coś przydało:

„Was der ganzen Menschheit zugetheilt ist
Will ich in meinem inneren Selbst geniessen,
Mit meinem Geist das Höchst' und Tiefste greifen.
Ihr Wohl und Weh auf meinem Busen häufen,
Und so mein eigen Selbst zu ihrem Selbst erweitern,
Und, wie sie selbst, am End' auch ich zerscheitern“.**)

---

*) „Abym snać odgadł, jaki ład
W najgłębszem wnętrzu trzyma świat,
Sił twórczych moce śledził siewne,
Miast w słowach gmerać na niepewne“.

**) „Ludzkości całej odmierzony dział
Mojem wewnętrznem własnem — ja — chcę przeżyć“.

Nie dziw, że z tem usposobieniem berło nauki przeszło do Niemiec, tak, jakby było ich misyą opatrznościową prowadzić rachunek pracy naukowej dla ludzkości. Ale w powyższych słowach mamy już cały przyszły fatalizm i pesymizm niemiecki. Chłód beznadziejny wieje z nich, który mrozi i ścina krew każdego Polaka.

To wrażenie niekorzystne potęguje się, jeżeli się szuka we „Fauście“ nie filozofi ducha naukowego, dostępnej tylko dla grona wybranych — ale filozofii życia, wzorów charakteru, odzwierciedlenia sprawiedliwości Bożej. — Faust pragnie nieskończenie, ale tylko dla siebie:

„Vom Himmel fordert er die schönsten Sterne
Und von der Erde jene höchste Lust“.*)

Rozkazuje Mefistofelesowi:

„Lass in den Tiefen der Sinnlichkeit
Uns glühende Leidenschaften stillen“.**)

Cała przyroda i jej tajemnice przedstawiają mu się równocześnie, jako źródło nietylko wiedzy, ale i rozkoszy:

„Wo fass ich dich unendliche Natur?
Euch Brüste wo? Ihr Quellen alles Lebens,
An denen Himmel und Erde hängt,
Dahin das bange Herz sich drängt —
Ihr quellt, ihr tränkt, und schmacht' ich so vergebens?“***)

„Głębi i wyżyn objąć krańce duchem,
Jej ból i radość na łonie mem spiętrzyć,
I tak mą własną treść, w jej własną treść rozszerzyć,
I tak jak ona skończyć zdruzgotany“.

*) „Od niebios on żąda najpiękniejszych gwiazd,
Z ziemi najwyższe rozkosze by brał“.

**) „W przepastnej zmysłowości głębi
Gaśmy naszych namiętności żar“.

***) „O praprzyrodo! Jak cię pojmę, jak?
I was o łona wszechistnienia mleczne?
Krąg u nich niebios i ziemi zwisł,
Gdzie sercem trwożnem się garnę —
Wam tryskać, żywić — a mnie czyż napróżno łaknąć?“

I ażeby mieć przyrodę w swojej mocy i ssać jej rozkosze, oddaje się Mefistofelesowi i jego złym duchom, przedstawionym w postaci wielkoludów obdarzonych symbolicznemi i nader charakterystycznemi nazwami: *Eilebeute*, *Habebald*, *Haltefest**).

Rzuca się w wir życia i namiętności. Szuka miłości, oddaje się ambicyi, zdobywa piękność, bogactwo i władzę. Wszystkiego doznaje, wszystko odczuwa, nad wszystkiem się zastanawia, wszystko rozumie, z wyjątkiem jednej strony natury ludzkiej: sumienia. Tak, jak istnieją ludzie, którzy nie rozróżniają barw, są „*farbenblind*“, tak Faust nie rozróżnia złego od dobrego, jest „*gewissenstaub*“ już jest „*Übermensch*“ przed Nietschem — już jest „jenseits der Moral“**). Po największej krzywdzie popełnionej odczuwa przez chwilkę jej grozę:

„Der Menschheit ganzer Jammer fasst mich an“.***)

ale wnet potem prześpi się, przeciera oczy i... „*erwacht zum neuen Leben*“ („budzi się do nowego życia“) i ochoczo postanawia:

„Dem höchsten Dasein immerfort zu streben“.****)

Władza nad przyrodą i nad jej rozkoszami, oto pragnienie Fausta, oto program praktyczny, wypowiedziany przez niego dla ducha niemieckiego, oto historya zdobyczy ducha niemieckiego i narodu niemieckiego.

Dopiero przy końcu życia wyrywa się Faustowi pierwsza myśl altruistyczna, nieosobista, kiedy ociemniały, widzi w duchu obraz ludzkości, skutecznie walczącej w obronie życia i wolności:

„Nur der verdient sich Freiheit, wie das Leben,
Der täglich sie erobern muss.
Solch ein Gewimmel möcht ich sehn,
Auf freiem Grund mit freiem Volke stehn!“*****)

---

*) Spieszny-łup, Miejże wnet, Trzymaj-mocno.

**) „Po drugiej stronie moralności“.

***) Ludzkości całej wstrząsa mną nędza.

****) Ku szczytom bytu dążyć bezprzestannie.

*****) Ten tylko godzien wolności a życia,
Kto je wywalcza codziennie —

I — wielka symbolika — jedyna myśl altruistyczna, jedyna chwila, w której Faust naprawdę zapomina o sobie, jest jego jedyną chwilą prawdziwego szczęścia. Z nią też jego życie dobiega kresu — ale w apoteozie Fausta Goethe znowu się cofa, wraca do osobistego założenia, do nieugaszonego pragnienia szczęścia osobistego, czy rozkoszy, czy tęsknoty, czy rozpłynięcia się we wszechprzyrodzie:

„Das ewig Weibliche zieht ihn hinan“.*)

*
* *

Konrad w „Dziadach“ wychodzi z założenia, na którem Faust kończy. On czuje, że władzę nad przyrodą już posiada, że gdyby swą wolę ścisnął, natężył i razem wyświecił, możeby sto gwiazd zgasił, a drugie sto zaświecił!“ Ale to mu nie wystarcza, on gardzi tą martwą budową, która gmin światem zowie, tak, że nawet nie próbował dotąd, czyli jego słowo nie mogłoby jej wnet zwalić, on chce wywrzeć na ludzkie dusze tę władzę, którą ma nad przyrodzeniem:

„Daj mi rząd dusz,
Ja chcę duszami władać, jak Ty niemi władasz“.

Konrad, jak Faust, chce władzy i potęgi, ale *władzy i potęgi dobroczynnej*, nie jak Faust dla własnej rozkoszy i ciekawości, ale dla zbawienia narodu i szczęścia rodzaju ludzkiego:

„Jabym mój naród, jak pieśń żywą stworzył
I większe, niż Ty, zrobiłbym dziwo:
Zanuciłbym pieśń szczęśliwą“.

Gardzi całą wiedzą, całą mądrością, bo dotąd

„Ludzie myślą, nie sercem, Twych dróg się dowiedzą
Myślą, nie sercem składy Twej broni wyśledzą.
Ten tylko, kto się wrył w księgi,
W metal, w liczbę, w trupie ciało,

I taki ujrzeć pragnę tłum.
Na wolnej ziemi z wolnym ludem stać!
*) Wieczysta kobiecość pociąga go wzwyż!

Temu się tylko udało
Przywłaszczyć część Twej potęgi!
Znajdzie truciznę, proch, parę,
Znajdzie blaski, dymy, huki,
Znajdzie prawość i złą wiarę
Na mędrki i na nieuki".

Cały ten obraz, tak typowo oddający Niemcy nowożytne i cywilizacyę nowożytną, tylko go razi i w szale rozpaczy woła:

„Jam cierpiał, kochał, w mękach i w miłości wzrosłem;
Kiedyś mi wydarł osobiste szczęście,
Na własnej piersi ja skrwawiłem pięście,
Przeciw niebu ich nie wzniosłem.
Ja i Ojczyzna, to jedno.
Nazywam się milion, bo za miliony
Kocham i cierpię katusze.
Patrzę na Ojczyznę biedną,
Jak syn na ojca wplecionego w koło;
Czuję całego cierpienia narodu,
Jak matka czuje w łonie bole swego płodu".

W szale rozpaczy posuwa się do bluźnierstwa:

„Jeśli to serce nie jest potwór, co się rodzi
Przypadkiem, ale nigdy lat swych nie dochodzi;
Jeśli pod rządem Twoim czułość nie jest bezrząd,
Jeśli w milion ludzi, krzyczących „ratunku!"
Nie patrzysz, jak w zawiłe zrównanie rachunku...
Zaklinam daj mi władzę, jedna część jej licha,
Część tego, co na ziemi osiągnęła pycha:
Z tą jedną cząstką ileż jabym szczęścia stworzył!"

Ale jeżeli bluźnił, to z rozpaczy, nie o siebie, ale o losy narodu, jemu będzie też przebaczone, bo jeżeli zwątpił, to z bólu nadmiaru:

„On sądów Twoich nie chodził badać, jako ciekawy,
Nie dla mądrości ludzkiej on badał, ani dla sławy,
On kochał naród, on kochał wiele, on kochał wielu!
. . . on wstanie z prochu, niebios dosięże,
I niech Cię wsławi, żeś sprawiedliwy i litościwy, Pan nasz, o Boże!"

„Dziady" to inny świat od „Fausta", wprost antyteza Fausta. To, co w Fauscie jest na pierwszem miejscu: nienasycona

żądza wiedzy i rozkoszy, wprost potępione. To, czego w Fauście niema: wiara i sumienie, postawione na pierwszem miejscu.

Z najczystszego pogaństwa skok w najgłębiej pojęte chrześcijaństwo.

Goethe w Fauście, mając pierwowzór Hioba przed sobą, umyślnie od tego pierwowzoru odstąpił i problem moralny sprawiedliwości zamienił na problem intelektualny wiedzy. Mickiewicz księgi Hioba nie miał przed oczyma, przynajmniej w sposobie przedstawienia i obrazowania nie można się dopatrzeć żadnego śladu przykładu biblijnego — ale zarówno jak w Hiobie patrzy się wyłącznie na stronę moralną. Owszem zgłębia ten przedmiot po nad Hioba, bo to, co u tamtego przedstawione jest tylko jako sprawiedliwość wobec jednostki, podnosi się u Mickiewicza do wyższego poziomu sprawiedliwości narodowej i społecznej.

Ale Konrad różni się od Hioba nie tylko tem, że prawdę wypowiedzianą w Hiobie podnosi do wyższego poziomu, ale że mu brak jednego uczucia, które jest najgłówniejszą cechą Hioba... rezygnacyi. Zamiast tego, odzywa się w Dziadach nuta, znana z Prometeusza, tytanicznej walki z niesprawiedliwością i niezłomnego poczucia zwycięzkiej sprawiedliwości, bo sama Wszechmoc byłaby fałszem i złem, gdyby się nie łączyła ze sprawiedliwością. To też Mickiewicz, pisząc III-cią część Dziadów w Dreznie, wczytywał się w Aischylosa. Wprawdzie na pozór, zuchwalstwo Konrada przedstawione jest jako bluźnierstwo — ks. Piotr egzorcyzmuje go i wypędza z niego ducha pychy, niemniej przeto, późniejsze proroctwo tego samego ks. Piotra, zawiera spełnienie natarczywych domagań Konrada.

* * *

To, co w takiem przedstawieniu u Mickiewicza było intuicyą poety, co później, w „Przedświcie“ Krasińskiego objawia się w całej wspaniałości skończonego obrazu, to w „Ojcze Nasz“ Cieszkowski przedstawia z całą świadomością filozofa:

„W pierwszej epoce dziejów, w starożytności, człowiek był dzieckiem natury, zmysłów — świata zewnętrznego. W drugiej epoce, w chrześcijaństwie pierwotnem, odrzucił człowiek ów świat, jaki był i zażądał zaświata; w życiu zaś ziemskiem jedyną pociechą jego była rezygnacya. Aliści objawia mu dziś

Opatrzność (przez naszą poezyę mesyaniczną*), że od niego samego zależy znieść dotychczasowy rozwój między tem, co jest, a między tem, co być powinno — że rezygnacya nie jest ostatniem słowem ducha — lecz, że w samym człowieku tkwi dalsza i wyższa Potęga, zbawić go mająca, zdolna skojarzyć na nowo ów opłakany rozbrat świata i zaświata. Tą potęgą, tą władzą nad władzami jest Wola — szczyt ducha. Ona czucie z wiedzą kojarzy i zaślubia z myślą Byt, a z małżeństwa tego rodzi się Czyn — trzeci świata Pan".

Węgielnym kamieniem pierwszej epoki ludzkości był Byt — zmysł wrodzony — Zakon natury. Kamieniem węgielnym drugiej epoki była myśl — wiara — zakon wiary. Węgielnym kamieniem trzeciego świata jest Czyn — wolne dzieło ducha — Zakon woli i wolności".

„Natchnienie realnego świata z jednej strony — i natchnienie idealnego nieba z drugiej, są to dwa głosy jednego Boga, które człowiek ma obowiązek pogodzić w swojem życiu. Co zmysłowe uczucie znalazło i doznało — co umysłowa wiedza odkryła i uznała — to wszystko duchowej woli pozostaje do wyznania, do przed-się-wzięcia, do urzeczywistnienia, do spełnienia".

„Co więc dotąd Prawo i zakon w zewnętrznych stosunkach między ludźmi martwo ustaliły — co moralność i Ewangelia żywiej już we wnętrzu ich Serca jako obowiązek zaszczepiły — to przez socyalność ludzkości ma wyróść, ma rozwinąć się żywotnie i w stan organiczny wstąpić — jako powszechny Związek — jako absulutna religia wszystkie stosunki rodu ludzkiego ogarnąć".

Trzecia część Dziadów pisana w r. 1832, Ojcze nasz w r. 1848. W tych szesnastu latach myśl polska wzniosła się na ludzkich myśli piramidę, wdarła się na wszystkich umysłów górę, stała się najwyższą myślą wcieloną — a zakreśliła i narodowi polskiemu i całej ludzkości zadanie i misyę po wszystkie czasy.

Powyższy ustęp Cieszkowskiego streszcza całą naszą poezyę mesyaniczną i łączy ją z dotychczasową historyą ludzkości. Jest on streszczeniem nowej ewangelii, zwiastowanej nietylko dla narodu polskiego ale przez Polskę dla całej ludzkości, ostatniego

*) Przypisek Piasta.

objawienia Ducha Świętego, w którem prawdy odwieczne są wyłożone i zastosowane odnośnie do potrzeb naszych czasów — do obowiązków chwili obecnej.

* * *

Ażeby zrozumieć całą doniosłość naszej ewangelii narodowej, dosyć zestawić „Ojcze Nasz“ Cieszkowskiego z tem, co dla Niemca jest szczytem ideału, t. j. z poezyą Schillera. Kluczem, ażeby zrozumieć Schillera i całą filozofię jego działalności, są dwa krótkie poematy „*Das Ideal und das Leben*“ *) i „*Die Weltweisen*“ **).

Tak samo jak „Dziady“ są antitezą „Fausta“, wprost jego zaprzeczeniem i biegunem przeciwnym, — tak „Ojcze Nasz“ i cała nasza poezya mesyaniczna jest antitezą i zaprzeczeniem poezyi Schillera. Schiller uzupełnia Goethego, tak zatopionego w przyrodzie, że nawet ludzkość jest dla niego częścią przyrody, — Schiller widzi ludzkość i współczuje z nią, widzi wszystkie jej cierpienia, jej łzy i rozczarowania — widzi i uwielbia wszystkie jej idealne pragnienia i szlachetności.

Dlatego on nam jest sympatyczniejszym od Goethego, który się nam nadludzko, może szatańsko chłodnym, nieczułym i bezlitośnym wydaje. Sympatyczniejszym ale jeszcze niebezpieczniejszym. Bo widzi wszystkie szlachetności, uwielbia je i... usuwa je z życia i przenosi do ideału. „*Flüchtet aus der Sinne Schranken in die Freiheit der Gedanken*“ „*in die heiteren Regionen, wo die reinen Formen wohnen*“ — „*der Schönheit stille Schattenlande*“ — „*in das Reich des Ideals*“ ***), gdzie się łza nie pleni, gdzie ból nie rośnie, gdzie „*des Erdenlebens schweres Traumbild*“ ****) nie mąci pogody duszy ludzkiej, „*wo am schönen Scheine der Blick sich weidet*“ *****). Jest to ideał

*) „Ideał i Życie“.

**) „Mędrcy Świata“.

***) „Chroni je po za ciasne granice zmysłów do swobody myśli“ — „do pogodnych sfer, gdzie czyste kształty zamieszkują“ — „w piękna cichą krainę cieniów“ — „do królestwa ideału!“

****) „Ziemskiego życia ciężka, senna mara“.

*****) „Gdzie piękną ułudą wzrok się pieści“.

subtylizowany i ulotniony, zamiast ideału urzeczywistnionego, który dla nas stanowi cel najwyższy wszelkiego działania.

To spokojne i trzeźwe przyjęcie rozbratu rzeczywistości a ideału, jest dla mnie straszniejszem od całej rozdzierającej rozpaczy Hioba — rezygnacya Schillera na taki rozbrat, jako prawo konieczne świata, potworniejszą od wszelkich innych rezygnacyi i pesymizmów, wydaje się zaprzeczeniem Boga najwyższego. *Nehmt die Gottheit auf in euern Willen, und sie steigt von ihrem Weltenthron, mit des Menschen Widerstand verschwindet auch des Gottes Majestät.*

„Jeżeli będziecie usiłowali wcielić bóstwo w waszą własną wolę, to majestat boski skompromitujecie i zniknie on przed krnąbnością woli ludzkiej". To, co dla Schillera jest prawdą oczywistą, dla nas by było najstraszniejszem bluźnierstwem. W tym ustępie Schiller staje się czystym poganinem i tak samo jak Goethe ugina swe kolano przed koniecznością. Fatum staje się wyższem od wszelkich aspiracyi ludzkich, od samego Boga!

A cóż pozostaje na tym świecie, w tej rzeczywistości, wyzwolonej od ideału: „*Die enge, dumpfe Wirklichkeit*" — „*des Jammers trüber Sturm*" — „*der Schmerz der Seele*" — „*des Kampfes Wogen*" — „*die Fluthen des Lebens*" — „*der Wirbeltanz der Zeit*" — „*der Widerstreit der Elemente*" — „*das dunkle Schicksal, das nur der Starke zwingel*"*). Tem fatum górującem nad wszystkiem jest więc ślepa siła, siła bez hamulców idealnych. Jakiemi pobudkami ona się kieruje, powiada nam drugi poemat Schillera „*Die Weltweisen*" w słowach cynicznych, którychby się nam Mefistofeles nie wyparł.

„*Einstweilen bis den Bau der Welt Philosophie zusammenhält, erhält die Natur das Getriebe durch Hunger und die Liebe*"**). Drapieżne zmysły i rozkiełznane chucie są według tej maksymy odpowiedniejszym i skuteczniejszym motorem dla świata rzeczywistego od mrzonek filozoficznych. I czyż ta ewangelia nie wciela się w zastraszający sposób w czyny narodu niemieckiego?

*) „Ciasna ponura rzeczywistość — niedoli chmurna burza — boleść duszy — fale walk — nurty życia — kołowrót czasu — rozterka żywiołów — ślepy los, który tylko silnemu podlega".

**) „Zanim budowę świata filozofia spajać będzie — utrzymuje przyroda bieg życia, żądzą głodu i miłości".

W ostatnim akcie widzimy Fausta, jak sobie ułożył wybudować wielką latarnię morską na pagórku, na którym znajduje się kapliczka, a obok chata i gospodarstwo pary staruszków, kochających się i żyjących w sielskiem ustroniu: Philemona i Baucis, który się stamtąd nie chcą ustąpić. Faust, powstrzymany w wykonaniu swoich wielkich zamiarów, posyła Mefistofelesa ze swoimi wielkoludami do rugowania tej sielankowej pary: *Eilebeute, Habeoald* i *Haltefest* chatę i kaplicę puszczają z dymem, a Philemona, Baucis i przyjaciela, stającego w ich obronie, zabijają.

Czyż to nie literalny opis stosunku Niemców do sielanki słowiańskiej? Zagrody i dwory polskie nad Wisłą i Wartą przeszkadzają Niemcom w urzeczywistnieniu opatrznościowych celów *des „Dranges nach dem Osten“* („parcia na wschód“) i czyż od wieków nie ruguje ich Mefistofeles, tj. szatańska polityka dworu berlińskiego i czyż *Eilebeute, Habebald* i *Haltefest* nie gospodarują między nami (pod obecną nazwą Hakatystów: *Hasemann, Kennemann, Tiedemann*) jako wysłannicy cywilizacyi niemieckiej, której my, w naszej ograniczoności pojąć nie umiemy i za którą nie umiemy być wdzięcznymi?

A czyż Schillera teorya rozdziału ideału i rzeczywistości, nie umożliwia tego zjawiska tak typowego u Niemców, człowieka osobiście szlachetnego, służącego złej sprawie? Schiller tym ludziom z góry dał rozgrzeszenie, bo czyż każdy z nich nie zachował swoich ideałów, których cechą przecie jest to, że są niemożliwe do urzeczywistnienia!

Nie chcę być niesprawiedliwym dla Niemców. Tak jak Polak ma elementarny pociąg do sprawiedliwości, tak Niemiec ma go do *„Erkenntniss“* poznania wszech rzeczy. To poznanie, o ile odnosi się do formy, wytwarza sztukę. Poznanie wiedzy i piękności zaspakaja najgłębsze aspiracye Niemca, dla tego jego ewangelię mogą wyrażać Goethe i Schiller, bo oni mu tylko zwiastowali jego zdolność naczelną, *la faculté maitresse,* jego misyą narodową. Tysiączne ustępy z ich dzieł odnoszą się do tej misyi, wcielają się ciągle w czyn i tysiące Niemców pobudzają do skutecznej i dobroczynnej działalności. Nawet w tym samym rozpaczliwym poemacie *„die Ideale und was Leben“**) czyż postęp

---

*) „Ideały a życie“.

w naukach i w sztuce nie jest wyjęty z ponurego obrazu rzeczywistości, jako jedyne skuteczne pole do działania geniusza?

„Nur dem Ernst den keine Mühe bleichet,
Rauscht der Wahrheit tief versteckter Born:
Nur des Meissels schwerem Schlage erweicht
Sich des Marmors spördes Korn!“ *)

Ale jeżeli w słowach Trentowskiego Niemiec jest „jaźnią poznającą“, to Polak jest „jaźnią tlejącą“, a zatem równocześnie „jaźnią działającą“. — Wiedza dla wiedzy i sztuka dla sztuki, to urzeczywistnienie najgłębszej myśli niemieckiej, dla nas nie posiada uroku. Obok światła, my chcemy ciepła; ani sama rzeczywistość, ani sam ideał nam nie wystarcza, my chcemy rzeczywistości wyidealizowanej, świata podbitego przez ducha.

Dlatego z ewangelii niemieckiej my nigdy nie przyjmiemy tego, co ona ma dodatniego; my, w wiedzy dla wiedzy i w sztuce dla sztuki, nigdy nie dorównamy Niemcom. Daremne usiłowania: zawsze tylko pozostaniemy naśladowcami. Dlatego, słysząc ewangelię niemiecką i poddając się jej, my doznajemy tylko jej ujemnych skutków, bo ona nas odwraca od naszego własnego ideału: harmonii życiowej i sprawiedliwości bezwzględnej.

To, co jest pokarmem dla Niemców, jest dla nas trucizną. I Schiller i Goethe mogą być dla Niemców aniołami, pobudzającymi ich do czynu, w kierunku ich skłonności i zdolności narodowych, to jest, przenikającego rozumu i twórczej wyobraźni. My prawdziwego Goethego i prawdziwego Schillera nie widzimy, ale w ich postaci zjawiają się szatany, przeszkadzające nam w naszem zadaniu urzeczywistnienia pragnień szlachetnych serca naszego, i wcielenia myśli Bożej w losy ludzkości. W postaci Goethego zjawia się szatan sofista, w postaci Schillera szatan estetyk, — jeden powiada nam, że przeszukał cały świat, ale w nim zdrowego serca nie znalazł, bo Werther popełnił samobójstwo, a Gretchen straciła zmysły; drugi, — że wprawdzie jest coś w ludziach, co się sercem nazywać może,

*) „Tylko poważnej myśli, której trud nie znuży,
zaszumi prawdy, w głębi skryty zdrój.
Tylko dłuta ciężkim uderzeniom
Podda się marmuru twardy rdzeń“.

ale że dostatecznym pokarmem dla niego jest *der schöne Schein* — piękne urojenie. Dla Niemców, obok *Hunger und die Liebe*, pozostają jeszcze idealne pierwiastki wiedzy i sztuki; dla nas, z nauki niemieckiej pozostają tylko drapieżne zmysły i rozkiełznane chuci.

* * *

Dlatego też duchowa niewola niemiecka, w której od ostatniego powstania pozostajemy, wywiera na nas wpływ tak bardzo demoralizujący.

Nie wyparliśmy się naszych ideałów. O nie, toby było brzydkie! Ale podług recepty Schillera, ulotniliśmy je ze świata rzeczywistego i przenieśli do krainy ułudy *des schönen Scheins*. Tam nam nie zawadzają, nie przypominają zawiedzionych nadziei, niespełnionych obowiązków. Przeciwnie, od czasu do czasu palimy na ich cześć wonne kadzidła i wznosimy hymny pochwalne, tem głośniejsze, im nasze serca bardziej martwieją. Bo czyż ten sam Schiller nam nie powiedział:

„Was im Gesang soll ewig leben,
Muss im Leben untergehn!“ *)

Polska wymazaną jest z życia ludzkości — to smutno, ale to jest losem nieuniknionym każdego ideału. Darmo sobie taką refleksyą truć życie. Przecież w śpiewie i w sztuce ona wiecznie żyć będzie. Ile razy nam rzeczywistość dokuczy, to my, dla pokrzepienia serc naszych, schronimy się do tej Polski idealnej. Tam będziemy wolnymi, szczęśliwymi i dzielnymi — *im schönen Schein* — w pięknym pozorze, tam będziemy patryotami i bohaterami — w krainach ułudy. Tutaj na ziemi uginajmy kolano przed fatum, nieubłaganą koniecznością, przed ślepą siłą, tutaj liczmy się z rzeczywistością, bądźmy trzeźwymi, bądźmy trójlojalnymi, — Rosyanami, Prusakami i Austryakami, mówiącymi po polsku!

Mówiącymi po polsku! Po co i na co? Z pewnością nie na to, żeby zrozumieć to, co nam nasza literatura, głosem woła-

*) „To, co w pieśni ma żyć wiecznie,
musi w życiu zginąć wpierw“.

jącego na puszczy wygłasza: co nam tysiącletnia, bohaterska i męczeńska przeszłość narodu zwiastowała: Czynów! czynów! żeby Ojczyzna zmartwychwstać mogła. „Idź i czyń, choć serce twoje wyschnie w piersi twojej, choć zwątpisz o braci swojej, choćbyć miał o Bogu samym rozpaczać — czyń ciągle, a bez wytchnienia“ *).

*) Irydyon Krasińskiego.



VI.

Trzech naszych największych poetów doczekało się biografii znakomitych, biografii, mogących się śmiało równać z najpiękniejszemi dziełami europejskiemi tego rodzaju, Mickiewicz Chmielowskiego, Krasiński Tarnowskiego, Słowacki Małeckiego. Biografowie ci mieli najlepsze chęci, naśladowali i przewyższali najlepsze wzory, są osobiście i wyżsi i lepsi od tego, co napisali, ale nie wznieśli się do wysokości idei polskiej. Własna ich praktyka niezmordowanej pracy tysiąc razy wyższą jest od ich cudzoziemskich wyobrażeń estetycznych. Gdyby nasi wieszczowie cudem do życia powrócili i widzieli, na jaki mizerny użytek ich myśl poszła, toby się z żalu na nowo do grobu położyli, boby się przekonali, że całe ich życie było daremnem i jednem wielkiem złudzeniem, bo każdyby powtórzył za Słowackim:

„O, gwiazdy zimne, o, świata szatany!
Wasze mnie wreszcie niedowiarstwo zwali;
Już prawie jestem człowiek obłąkany:
Ciągle powiadam, że kraj się już pali,
I na świadectwo ciskam ognia zdroje —
A to się pali — tylko serce moje!...“

A wy tylko mówicie: patrzajcie, jak to serce się pięknie pali, jaka to rozkosz estetyczna!

Mickiewicz, Słowacki i Krasiński na tysiące głosów wołają: poezya ma być ewangelią życia: jedynym probierzem

poezyi, to czyny, do których pobudza*). Doniosłość poezyi zależy nie od jej piękności estetycznej, ale od jej siły dynamicznej i elektrycznej, od tego, o ile się stała motorem historycznym, narodowym i społecznym, dalszym ciągiem objawienia Ducha świętego w dziejach ludzkości: — Wy zaś formy piękne rozbieracie, raczycie się harmonią słów i gładkością wiersza, widzicie formę, a zapominacie o treści, ubolewacie nawet, że przy końcu życia, jakiś dziwny szał opanował naszych poetów, jakaś szalona chęć przetworzenia świata na swoje podobieństwo, co nas pozbawiło tylu i tylu dalszych arcydzieł, któreby mogli byli napisać, gdyby w sobie byli zachowali tę pogodę ducha, którą każdy trzeźwy człowiek zachować powinien i mówicie: Miejmy wyrozumiałość dla ich słabości.

Takie traktowanie naszych wieszczów, to jest dopiero największą ich zniewagą, apostazyą od ich naczelnej myśli. W słowach nie wyparliście się naszych ideałów, ale w istocie wyparliście się naszego posłannictwa, popełniliście ten grzech przeciwko Duchowi świętemu — od którego niema przebaczenia. — Widzicie matkę, spieszącą na ratunek swojego dziecka, stojącego nad przepaścią, i zamiast biedz z pomocą, wy stoicie i unosicie się estetycznością: jakie to piękne, jakie naturalne, jakie to ruchy żywe i plastyczne, jaki to tragiczny wyraz twarzy i t. d. i na tem kończycie. — Ideał u was już nie jest poruszeniem serca, ale tylko wyobraźni; już nie porusza do działania, ale do estetycznego uwielbienia. Pod waszą ręką natchnienie zmieniło się na artyzm, a waszem martwem uwielbieniem zadaliście ideałowi śmierć, przenieśliście go do starych gratów, mających świecić jak próchno i żyć wiecznie — w „krainie ułudy“.

* * *

*) Mickiewicz w prelekcyach opowiada o jakimś późnym poecie łacińskim, wysłanym na dwór Burgundów i o listach jego do przyjaciela w Rzymie, w których ubolewa na swój los, który go rzucił pomiędzy barbarzyńców, nie znających się na sztuce i gdzie musi słyszeć chrapliwe głosy bardów germańskich. — Ale powiada Mickiewicz: jego harmonijne pieśni o rybkach w Mozeli, tylko znajdywały poklask u estetyków i smakoszów, tak samo czczych i niedołężnych, jak on, a chrapliwe pieśni bardów pobudzały do czynów bohaterskich i do zwycięstwa nad światem wykwintnych smakoszów.

Krytycy zaś, bardziej naukowi i praktyczni, na swój sposób szarpią wnętrzności Prometeuszów naszej poezyi, mówiąc: forma prześliczna, ale w tej formie niema treści, nic konkretnego, to wszystko mistycyzm, psu na budę zda się; idźcie uczyć się pozytywizmu francuskiego, filozofii niemieckiej, ekonomiki angielskiej, wtedy będziecie mogli służyć krajowi, ale nie zaprzątajcie sobie głowy urojeniami bez treści.

O, przemądry krytyku!

„Du gleichst dem Geist, den du begreifst!“ *)

Tyleś tylko dostrzegł w naszej literaturze, ile twe martwe serce pojąć mogło.

„Die Geisterwelt ist nicht verschlossen,
Dein Sinn ist zu, dein Herz ist todt!“ **)

Temu, kto się do naszej literatury zbliża z myślą Bożą wcieloną we własnej woli, z wiarą bezwzględną i nadzieją t. j. z niezachwianem postanowieniem współpracowania nad urzeczywistnieniem celów, wskazanych przez nią — to ona wcale nie jest mistycyzmem, przeciwnie najzrozumialszą i najbardziej przeźroczystą rzeczywistością. — Czy to jest mistycyzm, uszlachetniać swoją wolę, kierować się pobudkami idealnemi? Czy to jest mistycyzmem, widząc, że dotąd na świecie *Macht geht vor Recht*, siła góruje nad prawem, postanowić pracować nad tem, żeby prawo także stało się siłą i gromadzić te siły, ażeby je postawić na usłudze prawa i poddać je prawu i przygotować tryumf tego prawa. Każdy, kto w codziennem życiu z tą intencyą gromadzi jakiekolwiek siły — siły materyalne, siły wiedzy, siły charakteru, staje się sługą Bożym, jemu w codziennych trudach przyświeca idea Boża, on jest sługą Bożym w codziennem życiu.

Przemądrych krytyków dotknęło to, że przy powierzchownem czytaniu, nasi poeci zdają się być nieprzyjaciółmi wiedzy i nauki, a zatem nieprzyjaciółmi ducha nowożytnego. Uspokójcie się! Nasi poeci wzrośli w atmosferze całej wiedzy europejskiej, jednostronnie wprawdzie odrzucili tę wiedzę

*) „Tyś równy duchowi, którego pojmujesz“.
**) „Do świata duchów niema zapory,
Twój to umysł zamknięty, twoje serce martwe“.

i naukę, podczas gdy pracowali nad wyrobieniem programu działania dla narodu, bo nie chcieli przyrodniczego fatalizmu wnieść w świat ludzki, ale w wykonaniu wiedzę uznawali. „Wiedza i nauka, to broń, a my duchem, który nią włada“ — powiada Krasiński. Czyż z takiem pojęciem Krasiński by mógł się zgodzić na to, żeby nasz naród był nieuzbrojony? I owszem, gromadzić tę broń: im więcej, tem lepiej. — Każdy, kto się wyrzeka fatalizmu naukowego, a podda swą naukę, jako broń najpotężniejszą, pod kierownictwo idei narodowej, to także nasz, to sługa Boży.

Ale do tego nie wystarcza obecny kierunek umysłowy na modłę cudzoziemską, praca naukowa na wzór niemieckiej wiedzy dla wiedzy. Do nas przedewszystkiem stosują się słowa Montaigne'a *j'aime mieux a forger mon ame que la meubler*, wolę hartować mojego ducha, niż magazynować wiedzę. Człowiek, który jest tylko magazynem wiedzy, a nie jej panem, staje się nie sługą bożym, ale szatańskim — niewolnikiem pierwszego lepszego tyrana lub własnych tyrańskich namiętności. Nigdy też nie należy brać naszych poetów w odosobnieniu, ale razem, tak jak razem współpracowali i na siebie wzajemnie oddziaływali, wraz z pracownikami bardziej naukowymi, Trentowskim, Libeltem, a przedewszystkiem Cieszkowskim, który najwyraźniej, połączenie rozumu, i serca — wiedzy pod kierunkiem sumienia, stawia jako treść myśli polskiej.

*
* *

Mamy, posiadamy więc niezrównaną literaturę, nowe objawienie ludzkości, i uwielbiamy ją nawet na wszelkie sposoby, z wyjątkiem jedynego sposobu, którego nasi wieszcze od nas przedewszystkiem żądają, t. j. czynu. I dlatego cała ta nasza spuścizna duchowa leży martwa i zaledwie wpływa na losy narodowe i na życie pojedynczych Polaków. Unosi się jak różnotęczowa bańka mydlana nad nami i lada chwilę prysnie za lada dotknięciem.

Posiadamy nawet słowo, wyrażające dobitnie całą naszą oschłość i martwotę. Słowo: ofiara, ofiarność na cele narodowe. To znaczy, jałmużna dana na cele nam obce, nie obchodzące je-

dnostki. — Jeżeli kto wydaje pieniądze na najniedorzeczniejsze kaprysy, na baletniczki, karty, konie wyścigowe, to nam na myśl nie przyjdzie powiedzieć, że on jest ofiarnym, że wydaje na cele obce, tylko przeciwnie: on wtenczas najbardziej urzeczywistnia swoje cele własne i osobiste. Ale jeżeli się przejmie celami jego samego tysiąc razy bardziej obchodzącymi, a które nadto powinny obchodzić każdego Polaka i cały naród, które są zatem jeszcze tysiąc razy bardziej osobistymi od baletniczek, kart i koni wyścigowych — to się dziwimy i ruszamy ramionami: jaki on dziwak, jaki ofiarny na cele, które go przecie tak mało albo nic nie obchodzą! Matka, pielęgnująca dziecko, syn, ratujący rodziców, obywatel, pracujący dla Ojczyzny, przecie nie ponoszą ofiary, przecie tylko robią to, co jest najgłębszym popędem własnego serca i nie przymuszają się do tego, ani szukają uznania, oni spełniają tylko to, co jest ich osobistą potrzebą, celem i zadaniem — ich szczęściem najwyższem!

Przyjmując jako pewnik, że wola nie może się przekształcić na podstawie idealnych pobudek — nie dziwimy się, że cały świat tarza się w błocie „drapieżnych zmysłów i rozkiełznanych chuci". Posiadając, my jedni, możliwość wzniesienia się po nad ten padół płaczu i zgrzytania zębów, nie chcemy z tej możliwości korzystać i przyznajemy, że to błoto prawdopodobnie jest przyrodzonem zamieszkaniem dla ludzkości i skwapliwie uczymy się z obcych literatur wszystkich bystrych spostrzeżeń i mądrych spekulacyi nad tem błotem.

Zola i naturaliści nam w tysiącznych tomach udowadniają, że błoto kala i śmierdzi. Jaki to niezwykły dar spostrzegawczy! Schopenhauer i Hartmann i inni pesymiści odkryli, że dla błota żyć nie warto. Jaka to głęboka refleksya! — Dostojewski i Tołstoj zwiastują, że błoto jest wyrokiem odwiecznej Opatrzności, że zatem grzechem jest bronić się przeciwko niemu, tylko trzeba znieść wszystko złe z rezygnacyą, bo taka jest wola Boża. Jaki to szczyt natchnienia religijnego! — Lassalle, Marx i socyaliści niemieccy, na mocy niechybnych wywodów logicznych, przyszli do wniosku, że błoto nie powinno być przywilejem tylko samych od losu faworyzowanych — plutokratów, kapitalistów i wszelkiej burżoazyi, ale, że wszyscy wydziedziczeni mają równe prawo do niego, że każdy człowiek ma nienaruszalne prawo do zaspokojenia drapieżnych zmysłów i rozkiełznanych chuci — i znowu znajdują się tacy pomiędzy nami,

którzy krzyczą: brawo! i pomagają, ażeby to błoto kosmopolityczne zalewało naszą własną Ojczyznę.

* * *

N i e k a ż d a p r z e m o c ł a m i e, a l e k a ż d a n i e w o l a p o d l i, n a j b a r d z i e j d u c h o w a n i e w o l a. Mam przekonanie, że tysiące Polaków czuje to jarzmo ducha niemieckiego nad nami i tylko czeka hasła, żeby się z niego wyzwolić. Do tych mówię: Przestańcie być naśladowcami choćby najlepszych wzorów, małpami i papugami. Miejcie odwagę pozostać Polakami, nie Polakami *des schönen Scheins*, pięknej ułudy — ale prawdziwymi Polakami, z serca i ducha. Miejcie odwagę przyjąć ideę polską, jako naczelną pobudkę waszego życia, stosujcie ją do każdej chwili: do waszej pracy i do waszego wypoczynku, do nauki i sztuki, do zabawy i do życia codziennego. Hardo i śmiało wyznawajcie swoją wiarę polską, że sprawiedliwość w walce z niesprawiedliwością zwyciężyć musi, hartujcie swoją wolę i przygotowujcie swoje siły, ażeby w tej walce z pożytkiem uczestniczyć. U szczytów, dosiągniętych przez myśl polską, odwróćcie się z pogardą od brudów i kłamstw, bluźnierstw i bezeceństw, zalewających cały świat. A bądźcie pewni, że w swoich usiłowaniach nie będziecie opuszczeni: kolumny duchów stoją za wami, duchy wszystkich przodków bohaterskich, duchy wszystkich wieszczów natchnionych spieszą ku wam i ofiarują swoją pomoc i współdziałanie. K a ż d y z w a s p o j e d y ń c z o j e s t b e z s i l n y m i r o z p a c z a, a l e z w i ą ż c i e s i ę j e d n y m ł a ń c u c h e m, r a m i ę d o r a m i e n i a, a c a ł y n a r ó d p ó j d z i e z a w a m i.

P r z e d w a m i n i e z m i e r z o n e p o l e d z i a ł a n i a, raźnie, chrobro, wytrwale i zaborczo: Cały obszar wiedzy przyrodniczej, którą trzeba przyswoić, aby dla dobrej sprawy władać wszystkimi wichrami, żywiołami i piorunami. Cały obszar historyi ludzkości, którą trzeba przerobić w myśl idei polskiej, ażebyście w chwili stanowczej mogli korzystać z doświadczenia wszystkich czasów. Cały obszar sztuk pięknych, który trzeba ogarnąć i przerobić na natchnienie i na dostrojenie polskiego ducha do tonu bohaterskiego, który mu zapewni zwycięstwo. C a ł y o b s z a r p r a c y e k o n o m i c z n e j, b o d u c h w c i e l a s i ę t y l k o p r z e z u s z l a c h e t n i e n i e m a t e r y i: p i ę k n o ś ć p o t r z e b u j e m a t-

muru, męstwo żelaza, życie codzienne nawet, chleba powszedniego, a każda walka zasobów niewyczerpanych.

Przed wami cały naród, martwa bryła ludu do poruszenia kształcenia i pociągnienia waszą miłością, waszym przykładem. Działajcie tak, a spadną łuski z oczu ociemniałych, na nowo zadrgają serca zatwardziałe, poruszą się umysły zgnuśniałe i zbudujecie kościół na opoce, której żadne siły piekła nie przemogą, a w tym kościele będzie miejsce nietylko dla nas, ale i dla całej ludzkości!

Nie słuchajcie w tem mojego tylko głosu, bom ja słaby i bez sił, sam nic nowego nie przynoszę. Pragnę tylko zastosować do chwili obecnej to, co od przeszło pół wieku głosi cała nasza literatura. — Ale słuchajcie głosu całej przeszłości, pamiętajcie o całej przyszłości! *Słuchajcie przedewszystkiem najgłębszych i najrzewniejszych instynktów własnego serca, tych naiwnych i prostych przykazań, które każda matka Polka szczepi w sercach nowego pokolenia* — a wszystkie mądrości i zawiści szatańskie w nicość się przed wami obrócą.

VII.

Ostatniem słowem naszej ewangelii narodowej, tego dopełnienia i zastosowania do chwili obecnej powszechnej ewangelii rodu ludzkiego, jest więc *czyn*, a ponieważ ten czyn ma przeobrazić wszystkie istniejące stosunki podług wymagań idei polskiej i pokonać wszystkie żywioły przeciwne, to staje się walką, *walką* z wszystkiem, co przeszkadza harmonii narodowej, społecznej i życiowej na świecie; walką ze wszystkimi nieprzyjaciółmi sprawiedliwości, z każdą niesprawiedliwą przemocą, t. j. z każdą siłą szatańską, czy one objawiają się jako „drapieżne zmysły i rozkiełznane chuci“, bez hamulców i podniet idealnych w naszem własnem sercu, czy jako oschłość, obojętność, wyzysk lub okrucieństwo w życiu społecznem, czy jako zabór, ucisk, tyrania i despotyzm w życiu narodowem.

Podstawą całego działania jest przeobrażenie jednostki. Szlachetna i bohaterska jednostka przeobraża społeczeństwo. Przeobrażone społeczeństwo staje się siłą historyczną i przeobraża stosunki narodowe i międzynarodowe.

Mickiewicz w całej pełni i z całą bezwzględnością przyjął i zastosował naukę Platona, że dusza pojedyńczego obywatela jest obrazem społeczeństwa, które się na jej podobieństwo kształtuje. Widzimy to u niego, jako jednego z założycieli Promienistych w Wilnie, jako członka Braci Zjednoczonych w Paryżu, nawet w zwichniętej postaci kółek Towiańskich w później-

szem życiu. Prawda i sprawiedliwość zaczyna się u niego w życiu codziennem. Odrodzenie społeczne i odrodzenie narodowe polegało na przeobrażeniu osobistem i wypływało z odrodzenia życia osobistego i poddania go nowemu zakonowi. — Jest to prawda, którą każde dziecko zrozumieć może i zastosować potrafi, a którą tylko umysł oschły i przepełniony fałszywą wiedzą i fałszywemi zapatrywaniami na życie nazwie mistycyzmem.

Siła duchowa społeczeństwa jest tylko siłą nagromadzonych obowiązków. Prawdziwa nauka społeczna polega na tem, żeby zaostrzać poczucie obowiązku i nakładać nowe obowiązki. Fałszywa nauka tem się poleca i tem schlebia tchórzostwu ludzkiemu i wygodzie ludzkiej, że wyzwala od obowiązków. Podchlebiając jednostce, ubezwładnia społeczeństwo i poddaje je w słowach Schillera: „*dem dunkeln Schicksal, das nur der Starke zwinget*“*).

Szatan sofista i szatan estetyk przygotowują panowanie szatana tyrana. Człowiek, opętany przez szatana sofistę, wierzy w nieistniejące fatalizmy i konieczności, wierzy w bezskuteczność walki z bezprawiem, a opętany przez szatana estetyka, otacza swoją nikczemność aureolą poezyi sentymentalnej, o rozwianych iluzyach młodości i własnowolnie staje się pastwą szatana tyrana.

Cała prawie nasza literatura obecna, całe prawie dziennikarstwo, uniwersytety, szkoły, są pod bezwzględnem panowaniem sofistów i estetyków, „wyzwalających“ ducha narodu — wyzwalających... od obowiązków — i przygotowujących naród do jarzma upadlającej niewoli. Czas jest założyć protest przeciwko temu kierunkowi nietylko w imieniu idei polskiej, ale i w imieniu obrażonej godności ludzkiej, na straży której stoi i stać będzie idea polska ze zwycięzkiem poczuciem, że prawda zwyciężyć musi.

Ta nasza ewangelia posiada tę cechę największych prawd, że może być zarazem wiarą dziecinną, a równocześnie najwyższym wyrazem wszechmyśli, stojącej na ludzkich myśli piramidzie.

To nie mistycyzm, to nie obraz poetyczny, to literalna prawda, co Krasiński mówi w „Przedświcie“, że zanim Ojczyzna zmartwychwstać może, każdy Polak musi się przeobrazić na

*) „Ciemnemu przeznaczeniu. nad którem tylko silny zapanować może“.

bohatera, na rycerza sprawiedliwości, ażeby myśl Boża mogła tryumfować i dla narodu polskiego i dla ludzkości. Zanim będzie można powiedzieć, że:

„Myśl Boga w twojem łonie
I los świata w twym zakonie
To:
Przyjdzie nowych ludzi plemię,
Jakich jeszcze nie widziano,
W tę ojczyznę nieśmiertelną
Mimo działów niepodzielną!"

a początek tego nowego plemienia, to przeobrażenia starej krwi podług nowego zakonu:

„By pogodzić świata dzieje
Z wolą Pana ponad pany,
Duch im prawdy z nieba dany,
Z ich starą krwią się zleje!"

To wytworzenie nowego plemienia ludzi, łączących starą krew, a nowy zakon, to warunek zasadniczy, a zarazem najtrudniejszy wskrzeszenia Ojczyzny i odbudowania jej na nowych podstawach.

W Polsce upadającej, anarchia polityczna i społeczna była tylko następstwem duszy wichrowatej i nieokiełznanej każdego pojedyńczego obywatela. Ktoby potrafił zrobić wizerunek duszy takiego Szczęsnego Potockiego, zdrajcy Ojczyzny, a przyjaciela i reformatora chłopów; z chwilowemi porywy szlachetnej ofiarności, a instynktami bezmiernej pychy; z nieobliczalnemi kaprysami i fantazyami osobistemi; ktoby na tle epoki ówczesnej, umiał złożyć obraz z „Maryi" Malczewskiegó — grafa „Wacława" Słowackiego — „Zofiówki" Trembeckiego, dumki „Hej Pane Potocki" i „Szkiców" dra Antoniego J., wszystkich odnoszących się do tej samej osobistości — toby równocześnie wykazał wewnętrzną moralną przyczynę upadku Polski, bo by odkrył równocześnie działanie tych samych sprężyn psychologicznych, nawet u przeważnej części tych autorów Konstytucyi 3 go maja, którzy już zaczęli pracować nad odrodzeniem narodu, a jeszcze własnej duszy odrodzić nie potrafili

A ktoby duszę i praktykę codzienną takiego Szczęsnego

Potockiego, Radziwiłła Panie Kochanku, lub nawet tak szlachetną duszę, jak Pułaskiego Kazimierza, porównać potrafił z duszami i z praktyką życia codziennego Kościuszki, Czackiego, Staszyca lub Lelewela, ten by zrozumiał, od jakiego to cudu zależy możność odbudowania narodu.

* * *

Jest to dziwną cechą czasów nowożytnych, że przy schyłku wieku XIX. trzeba się zastanawiać nad prostą kwestyą, czy słońce świeci jeszcze nad światem, czy można uszlachetnić życie pojedyncze i poddać je pod zakon sprawiedliwości, czy szlachetne jednostki potrafią opanować społeczeństwo, a czy przeobrażone społeczeństwo może się stać czynnikiem politycznym i hisporycznym i poprowadzić ludzkość nowemi torami. Dziecko polskie i każdy Polak prostaczek i każdy prostoduszny Polak wogóle, ani na chwilę by się z odpowiedzią nie wahali.

Trzeba być bardzo wykształconym i bardzo przejętym obecnymi prądami kosmopolitycznymi, ażeby mieć jakieś wątpliwości. Ale wszak my jesteśmy wykształceni jak nigdy. Chwała Bogu, od trzydziestu lat Polacy poczuli się częścią ludzkości, i to podlegającą tym samym prawom, co cała ludzkość. Chwała Bogu, każdy nowy izm, który się pojawi nad brzegiem Sekwany lub Sprei, czy naturalizm, pozytywizm, spirytyzm, dekadentyzm symbolizm, pessymizm, natychmiast odbija się w Warszawie, Krakowie nawet we Lwowie, a przedewszystkiem wykształcił się ten ostatni kwiat cywilizacyi, zdrowy krytycyzm, badający wszystko podług wszechludzkich prawideł, rozróżniający trzeźwo zdrowe ziarno od plewy, prawdy istotne od zabobonów, szowinizmów i mrzonek.

Poszedłem i ja za prądem. Nie czekałem nawet aż wszystkie nowinki tutaj przyjdą, poszedłem ich szukać w miejscu urodzenia. Latami z Niemcami byłem Niemcem, z Francuzami Francuzem, z Anglikami Anglikiem. Przyswoiłem sobie, o ile można, duszę każdego narodu tak, że o mało, że nie potrafię zapatrywać się na świat i czuć dowolnie, jako Niemiec, jako Francuz, jako Anglik. Przeszedłem przez wszystkie izmy, wszystkie trzeźwości i krytyki, lata spędziłem na studyach przyrodniczych,

na naukowych badaniach i eksperymentach, zęby zjadłem na cyfrach i statystykach i... wszystko daremnie. Snać już Pan Bóg dał mi taką niepoprawną i rogatą duszę polską, że po każdem zetknięciu się z obczyzną tem niepoprawniej, nieuleczalniej i hardziej odzywało się poczucie odrębności i wyższości naszej sprawy.

Przedewszystkiem widziałem, że można przyswoić sobie całą wiedzę i sztukę kosmopolityczną, a pozostać tchórzem, niedołęgą lub sybarytą, a rogata moja dusza polska z pogardą patrzała na każdego tchórza, niedołęgę lub sybarytę, choćby otoczonych nie wiedzieć jaką dystynkcyą, elegancyą i polituрą kosmopolityczną. Widziałem, że w świecie tchórzów, niedołęgów i sybarytów panuje i musi panować śmiały rozbójnik, umiejętny spekulant i wytrawny wyzyskiwacz. Ale nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego szlachetność ma być przeszkodą w przyswojeniu sobie śmiałości rozbójnika, umiejętności spekulanta i wytrawności wyzyskiwacza.

Widziałem przedewszystkiem, że z nieskończoności wiedzy i sztuki każdy sobie przyswaja to, czego potrzebuje: Tchórz trzeźwą naukę, o nieubłaganej konieczności tak, żeby okryć nikczemność swej duszy aureolą rozumu — niedołęga naukę o słodyczach kontemplacyi, aby się mógł patrzeć, jak widz w teatrze, na tragedyę czy komedyę odgrywającą się bez jego udziału na szerokim świecie — sybaryta naukę o wyrafinowanej rozkoszy, aby mógł przejść przez życie, doświadczywszy minimum cierpienia i bolu, a maksymum wrażeń wykwintnych, estetycznych i przyjemnych.

Widząc te jednostronności, a pogardzając wraz z tchórzostwem, niedołęstwem i sybarytyzmem, wszystkiemi jednostronnemi zamiłowaniami tchórzów, niedołęgów i sybarytów, postanowiłem także być jednostronnym i ze świata, z niezmierzonych obszarów wiedzy i sztuki wyszukiwać tylko to, coby odpowiadało potrzebom mojego umysłu. Obojętnie patrzący się na świat mogą być wszechstronnymi, działający muszą być jednostronnymi.

Jako niepoprawny członek narodu, walczącego o swoje prawa, postanowiłem przeszukać świat za wszystkiem, co by mi w tej walce pomódz mogło, co by mogło dodać otuchy i dostarczyć środków do walki. Z całą jednostronnością, z umyślną jednostronnością — z tą rozpaczliwą jedno-

stronnością, z którą tonący chwyta powietrze, żeby życie utrzymać, a wytęża wszystkie siły, żeby dobić do lądu, podczas gdy wszystko inne na świecie staje mu się obojętnem — widziałem w sztuce tylko zródło natchnienia, nastroju i odwagi. Szukałem w historyi wytłómaczenia warunków, wśród których wytwarzają się rasy działające i bohaterskie, a w wiedzy tylko broni intelektualnej lub ekonomicznej, arsenału środków działania.

Sztuka, która tylko drażni lub łechce a rozstraja i usypia, nie istnieje dla mnie, lub istnieje jako przedmiot odrazy, pogardy lub nienawiści. Tak samo nie istnieje dla mnie wiedza, która nie jest bronią, która nie ułatwia i nie potęguje działania, a tylko jest przedmiotem próżnej ciekawości, jeu d'esprit dla znudzonych, zdenerwowanych lub znarowionych. Historyozofia, która prowadzi do opuszczenia rąk i poddana się przemocy, jest dla mnie największem bluźnierstwem, bo w dogmatykę dla całego rodu ludzkiego przetwarza niedołęstwo i nikczemność ludzi biernych i niewolniczych.

Nie odzywam się więc wcale do tchórzów, niedołęgów lub sybarytów, umyślnie ignoruję ich zamiłowania i ich sposób patrzenia się na świat. — Odzywam się tylko do wierzących i walczących, lub chcących walczyć w imię idei narodowej, bo jedynym probierzem żywej wiary jest walka, a jedyną gwarancyą zwycięstwa w walce jest wiara. — Jedynem mojem pragnieniem jest wskazać tym wierzącym i walczącym to, co im może dostarczyć otuchy i środków do walki.

Z mojego ciasnego i jednostronnego stanowiska, tylko wierzący i walczący zasługują na miano ludzi, bo tylko oni posiadają te cechy istoty ludzkiej, to jest inicyatywę i odwagę i mogą się stać siłą historyczną, podczas kiedy patrzący, wątpiący i obojętni, wszystkie tchórze, niedołęgi i sybaryty, choćby niewiedzieć jak oświecone, należą tylko do inwentarza ludzkiego, do *misera contribuens plebs*, do bydła, które jest uprawnionym przedmiotem badania, ile razy chodzi o rozkład ciężarów lub podatków, o obliczenie podoju lub wydatności mięsa na targ, ale nie wpływa jako samoistny czynnik na bieg wypadków historycznych.

VIII.

Jak już powiedziałem, każde dziecko polskie, każdy polski prostaczek, każdy prostoduszny Polak wogóle, ani na chwilę by się nie wahał z odpowiedzią na pytanie, czy szlachetność jest możliwa i czy może doprowadzić do zwycięstwa. Jednakowoż dla obecnych ludzi wykształconych, co równocześnie najczęściej także znaczy wynarodowionych, pozwolę sobie wskazać szereg prawd psychologicznych, które co najmniej mogą podać w wątpliwość, uniwersalnie przez wykształconych przyjętą naukę o fatalizmie historycznym, o nieubłaganem prawie, że przemoc może bezkarnie deptać najświętsze uczucia i obrażać najgłębsze instynkty ludzkości.

1) Odrodzenie zaczyna się od serca, a nie od rozumu, od charakteru, a nie od oświaty i sztuki, bo cechą odrodzenia są zmienione czyny, a nie zmienione opinie. Łatwiej też zachęcić prawe serce do szukania wiedzy, aniżeli znikczemniałej cywilizacyi dodać szlachetności i energii.

Zdrajcy, którzy zaprzedali Polskę i rozdrapali dobra narodowe i pojezuickie, a później przyjmowali tytuły i liberye lokajskie od dworów zaborczych, to byli wraz z ich królem i wzorem Stanisławem Augustem przeważnie bardzo wykształceni i wykwintni ludzie, podczas gdy Barszczanie byli przeważnie ciemni i prostacy, a jednak niemylny instynkt narodowy od nich wywodzi odrodzenie Ojczyzny, bo choć umysł był u nich nieoświecony, ale serce gorące. A gorące chęci, to gleba urodzajna dla wszelkiego nasienia, a także nasienia wiedzy i sztuki.

Bo tylko w gorącem sercu znajdą się niezepsute instynkty, gorące chęci, gorące pragnienia i zamiłowania. A już Jean Paul powiedział: *Nur der Hunger verdaut, nur die Liebe befruchtet.**) Tylko gorące serce przerobi pokarm umysłowy na własną istotę i wyda owoce zbawienne.

Tę podstawę zdrowego rozwoju zachowaliśmy dotąd nieskażoną. Należy tylko wskazać drogę właściwego rozwoju.

* * *

2) Tak, jak cechą życia w naturze jest pokonanie martwej materyi, tak cechą ducha jest opanowanie przyrodzonych popędów organicznych w człowieku.

Weźmy dwa nasiona, jedno żywe, drugie zaschłe. Trupia umiejętność, ani mikroskopem, ani analizą chemiczną nie wykazuje najmniejszej różnicy pomiędzy niemi, a jednak wsadzone w ziemię, jedno nasienie gnije, podlega prawom martwej materyi i rozkłada się na swoje chemiczne pierwiastki, a drugie rozwija się i rośnie, pnie się do góry. Dowodem życia jest pokonanie martwej materyi i rozwijanie się podług odrębnych praw życia.

Tak samo w społeczeństwie ludzkiem. Żadna anatomia i fizyologia nie wykaże różnicy społeczeństwa żywego, uduchowionego, zdolnego do rozwoju, a społeczeństwa bezdusznego, martwego, — zdolnego tylko do zgnilizny i śmierci, — bo eksperymenty anatomii i fizyologii odbywają się na trupie i żaden lancet sekcyjny jeszcze nie dotarł do siedliska ducha. Tylko rozwój historyczny może wykazać, które społeczeństwo zawiera zarodki życia i rozwoju, a które tylko zarodki rozkładu.

Człowiek w społeczeństwie martwem posiada przyrodzone popędy wszelkich organizmów: egoizm, instynkt odwetu, i wszelkie apetyty naturalne, to jest wilcze. Na tym szczeblu rozwoju, człowiek dla człowieka jest też wilkiem, *homo homini lupus*, — stanem przyrodzonym wojna wszystkich przeciwko wszystkim, *bellum omnium contra omnes.* Brak spójni pomiędzy jednostkami, brak spójni pomiędzy generacyami następującemi po sobie: Mam ja pracować dla potomności, a cóż potomność dla mnie zrobiła? — To już nie społeczeństwo, to piasok, z którego

*) Tylko głód przetrawia, tylko miłość zapładnia.

żadnej budowy wznieść nie można, nie gromadzą się żadne zasoby i zapasy na przyszłość. W tych okolicznościach jedynym regulatorem może być tylko siła, strach i wygoda, czyli raczej nikczemność. — A stanem naturalnym: rozkład, czyli zgnilizna.

To jest ten człowiek trupiej umiejętności, to jest ten jedynie prawdziwy człowiek w mniemaniu trupiej sztuki realistycznej, a właściwie nie człowiek, ale automat, poruszany fatalistycznie niezmiennemi i łatwo obliczalnemi, przyrodzonemi sprężynami drapieżnych zmysłów i rozkiełznanych chuci. — Istnieją popędy, a niema woli, istnieje przymus i konieczność — a niema wolności i odpowiedzialności. — Jak w przyrodzie martwej naczelnem prawem jest grawitacya, czyli ciężkość, tak w martwem społeczeństwie naczelnem prawem jest egoizm. Każda bryła ludzka prawem tej grawitacyi toczy się na dół po pochyłości egoistycznych skłonności.

Społeczeństwo żywe, przeciwnie, rozwija się wbrew pociągom naturalnym, wbrew egoizmowi, strachowi, zemście, wygodzie. — W społeczeństwie żywem, pojawiają się obok przyrodzonych popędów, pierwiastki duchowe spójni. Zamiast automata o drapieżnych zmysłach i rozkiełznanych chuciach, pojawia się człowiek, który dla drugiego człowieka już nie jest wilkiem, ale sprzymierzeńcem, bratem, bo w jego sercu już się odezwały duchowe pobudki miłości, szlachetności, męstwa i natchnienia.

Miarą prawdziwej, uduchowionej ludzkości jest właśnie powstanie tych społecznych, prawdziwie ludzkich pobudek, na których polega każda organizacya zbiorowa: rodzina, społeczeństwo, naród, ludzkość, każda praca trwała, każde zbliżenie się do wieczności. — Cała cywilizacya, to ciągła praca duchowa, walcząca z przyrodzoną koniecznością i budująca wbrew prawom martwego świata.

Kamień, martwa bryła, pchnięta w dół, samą siłą bezwładności toczy się po pochyłości. — Wola i wytężenie ludzkie dźwiga kamień do góry i wbrew prawom ciężkości buduje najwynioślejsze świątynie. Całą pracę duchową można porównać do dźwigania ciężaru i ustawiania go tam, gdzie tego wymaga świadomy cel ludzki, a nie gdzieby go potoczyła ślepa siła grawitacyi.

To tłumaczy łatwość roboty destrukcyjnej, która może zniszczyć w jednej chwili to, co przez mozolne dźwiganie wieki zbudowały. Do przewrotu wystarczy pchnąć bryłę w dół, wystarczy wyzwolić naturalne apetyty, a bryła ludzka sama dalej toczyć się będzie, choćby... w przepaść. Do budowy trzeba ciągłego wytężenia i dźwigania, przezorności, świadomości celu, umiejętności, energii i wytrwałości. — Cechą i miarą prawdziwej ludzkości jest więc „*sursum corda*“, przezwyciężenie grawitacyi „drapieżnych zmysłów i rozkiełznanych chuci“ i wyzwolenie się z pod ślepych sił martwego świata — słowem, zamienienie automatów ludzkich i martwego mechanizmu społecznego na ludzi walczących i wierzących, łączących się w ustrój żywotny, rozwijający się swobodnie prawem wolności.

A przecież w obecnym naukowym wieku, trupia umiejętność stoi bezradnie wobec zagadki życia organicznego, a nie widzi wcale życia duchowego. Z namiętną skrzętnością, z rozpaczliwą zaciekłością, trupia umiejętność i trupia sztuka szuka rzeczywistości i znajduje ją... w rozkładzie, zgniliźnie, martwocie i ślepej konieczności.

A przecież słońce świeci, świat zieleni się i krzewi i wbrew grawitacyi pnie się do góry, serca biją, ludy i narody dźwigają i budują budowę przyszłości — a ta praca duchowa, wiążąca z sobą jednostki w społeczeństwo, łącząca generacye następujące po sobie w naród, który wciela w siebie pracę generacyi, narody, wiążące się w ludzkość — to wszystko ma być mniej realnem, mniej rzeczywistem od praw zgnilizny i rozkładu?

O, Polsko! Wszak nie chcesz gnić, wszak szukasz życia! Nie poddaj się, nie ograniczaj się na trupiej umiejętności i trupiej sztuce, ale postaraj się o umiejętność życia i sztukę żywotną, sięgnij w tę rzeczywistość, jeszcze stokroć bardziej rzeczywistą, choć dziś w dobrowolnej ślepocie zapoznaną, a znajdziesz siły i drogi, o których trupia umiejętność i trupia sztuka marzyć nie mogą.

*
* *

3) Jeżeli cała praca społeczna, narodowa i cywilizacyjna może być porównana do budowy, to budowa każda wymaga najprzód pewnej świadomości celu, pewnego planu i umiejętno-

ści do kierowania, a potem pewnych zorganizowanych sił do wykonania jej. Tu pojawiają się dwa działy pracy dla geniuszu ludzkiego. W tem pierwszem zadaniu wyrobienia myśli przewodnich, objawia się pole dla geniuszów twórczej myśli, w tem drugiem zadaniu dla geniuszów twórczego czynu.

Potęga człowieka najcudowniej objawia się na polu myśli. Myśli przewodnie, panujące i w najliczniejszem nawet społeczeństwie, zwykle są dziełem kilku tylko ludzi, np. we Francyi XVIII. w. dziełem Voltaire'a i Rousseau'a. — Tak jak pieniądze w obiegu, używane są przez miliony, chociaż pochodzą tylko z jednej mennicy, tak istnieje w każdem społeczeństwie „kuźnica myśli", w której się wybijają te myśli, które potem puszczone w obieg krążą w całem społeczeństwie, niby jako własne myśli ludzi w tysiącznych okolicznościach. — Kierowanie myślami narodu nie wymaga więc kształcenia myśli twórczej w każdym członku tego narodu z osobna, tylko wymaga opanowania tej kuźnicy myśli, gdzie wyrabiają się i krystalizują przewodnie myśli dla całego społeczeństwa. A któż potrafi łatwiej opanować tę kuźnicę od tych, co stoją najbliżej istoty ducha narodowego.

* * *

4) Do tej budowy potrzeba sił, i tu nam wszyscy zwolennicy trupiej umiejętności od razu stawiają jako przeszkodę w urzeczywistnieniu wszelkich narodowych zamiarów cyfry, niezaprzeczalne cyfry — cyfry, dowodzące liczebnej słabości narodu wobec jego przeciwników. — O arytmetyko! wiele niedorzeczności popełnia się w twem imieniu! Już Goethe powiedział: *Man sagt, Zahlen regieren die Welt — nein — sie zeigen bloss, wie die Welt regiert wird.* *)

Cyfry najlepiej dowodzą, że one światem nie kierują. Historya świata jest przeważnie historyą zwycięzkich mniejszości: Zwycięstwa Grecyi nad Persyą, Rzymu nad światem, zwycięstwa chrześcijaństwa nad pogaństwem. Czyż plemiona rycerskie, które podzieliły państwo rzymskie pomiędzy siebie, były liczniejsze od podbitych prowincyi rzymskich, lub

*) „Mówią, że liczby rządzą światem — nie — one tylko pokazują, jak świat jest rządzony".

Waregowie od opanowanych Słowian naddnieprzańskich, lub Normanowie od podbitych Anglików i t. d.

Historyę piszą najczęściej prawnicy lub ideologowie: pełno w niej sieczki prawniczej, lub martwych abstrakcyi, ale mało cyfr prawdziwych, jeszcze mniej cyfr prawdziwie zrozumianych. — O całej starożytności zaledwie dwa dzieła odznaczają się ujęciem cyfr: Böckh „*Staatshaushalt der Athener*“, i Beloch „*Von der Bevölkerung der alten Welt*“. A w XIX. wieku żaden z historyków nie posiada tego zmysłu miary i liczby w równym stopniu, co stary Montesquieu. Pomiędzy naszymi historykami tylko Czacki i Korzon uwzględniają cyfry, jako istotną część historyi. Nietylko nasza historya, ale cała historya ludzkości jeszcze jest do przerobienia na podstawie liczby i miary, bo chociaż mało jest materyałów bezpośrednich, to istnieje wielka moc materyałów pośrednich, z których każdy znawca od razu wyprowadzi wnioski odpowiednie. Niechaj oprócz prawników i ideologów, mężowie stanu, ekonomiści i żołnierze przyłączą się do pracy nad historyą, a zniknie z niej mnóstwo niedorzeczności, które się ciągle nasuwają każdemu człowiekowi, obeznanemu z życiem praktycznem.

Przedewszystkiem widać, że w historyi jeszcze większą rolę od cyfry, odgrywała optyczna iluzya co do cyfr. Strach ma wielkie oczy. Owe milionowe roje Kserksesa, Dżengischana nie istniały, nie mogły istnieć. Ów straszny pochód Mongołów Batuchana w XIII. wieku, który zniszczył Ruś, Polskę i Węgry, składał się z pięciu korpusów znakomicie zorganizowanych, z których każdy zawierał nominalnie trzy „tumany“ po 10.000 ludzi. Na papierze więc ze 150.000 a w rzeczywistości może ze 100.000 wojska*), rozprószonego na olbrzymich przestrzeniach! Wojowali głównie strachem, jak później Rosya.

Przecież Dybicz, przepisujący w Adryanopolu Turcyi w r. 1821 haniebny pokój, miał zaledwie 20.000 ludzi zdolnych do boju i byłby przepadł z kretesem, gdyby Turcy byli wiedzieli o jego słabości. — Wszak znowu w Polsce w r. 1831, stosunek liczebny wojsk polskich do moskiewskich przez cały przebieg walki nie był nigdy tak korzystnym dla nas, jak wtedy, kiedy przed rzekomo niezliczonemi armiami rosyjskiemi broń składano.

*) Introduction á l'histoire de l'Asie. Leon Cahun P. 334.

Ale jak z jednej strony strach pomnaża cyfry, tak z drugiej strony *energia*. Gdyby historycy mieli trochę wykształcenia przyrodniczego, toby wiedzieli, że miarą uskutecznionej pracy jest nietylko masa (m), ale i *chyżość* (v), i że dokonana praca tylko w prostym stosunku zależy od masy, a w kwadratowym od chyżości i mierzy się przez mv_2. Tam, gdzie masy nie można powiększyć, a trzeba większej pracy dokonać, tam mechanik powiększa siłę rzutu, bo przy zdwojonej chyżości ma już cztery razy tyle skutecznej pracy, przy chyżości dziesięć razy większej, sto razy tyle skutku. Na takich obliczeniach polega cały postęp nowożytnej artyleryi, gdzie ta sama kula, pod wpływem większej siły wybuchowej, o tyle większy wywiera skutek.

Na podobnych zasadach polega cała *dynamika historyczna*. Energiczna mniejszość uskutecznia większe dzieło w miarę kwadratu zwiększonej chyżości ducha. W tem leży tajemnica wyzwolenia się z pod prawa mas, z pod prawa cyfr.— Do skutecznego dzieła potrzeba trafnej myśli przewodniej, żeby się praca nie marnowała, tylko zastosowaną została do żywotnego zadania — a zwiększenia siły wybuchowej, ażeby uzupełnić i zastąpić niedostatek martwej masy. A wtenczas nie bezwładność będzie decydowała, ale siła, znowu więc tryumf ducha.

5) Pozostaje wytłumaczenie, jak się tworzą i skupiają siły duchowe.

Cechą apetytów naturalnych jest potrzeba zaspokojenia materyalnego. Pożywienie lub ubranie wydzielone jednemu, tem samem odebrane jest drugiemu. Ten sam przedmiot nie może zaspokoić dwóch apetytów. Stąd cechą apetytów naturalnych jest konkurencya i zawiść, walka obopólna, okazująca się w społeczeństwie jako walka klas. Popędy egoistyczne, apetyty naturalne mają więc to do siebie, że są nawzajem antagonistyczne, znoszą się wzajemnie. Wojna wszystkich przeciwko wszystkim sprowadza zamęt i rozterkę, ale nie potrafi wydać wytycznej dla całego społeczeństwa.

Cechą pragnień duchowych jest przeciwnie, że zaspokojenie jednego człowieka w niczem nie zmniejsza możliwości zaspokojenia drugiego. Już imponderabilia estetyczne mają tę cechę. To, że ktoś odczuwa piękność obrazu, lub muzyki, nie zmniejsza przyjemności drugiego, przeciwnie. Wrażenie więc

tego rodzaju nie tworzy antagonizmów, owszem, staje się łącznikiem pomiędzy ludźmi. Męstwo lub sprawiedliwość jednego nie uszczupla zapasu męstwa lub sprawiedliwości dla drugich, przeciwnie, ułatwia im nabycie tych samych cech. Zarodki tych pragnień duchowych mogą być słabsze w pojedyńczym człowieku od wilczych apetytów. Ale podczas kiedy wilcze apetyty nawzajem się ubezwładniają i znoszą, to pragnienia duchowe łączą się i skupiają.

Społeczeństwo żywotne przedstawia zupełną analogię ze stosem galwanicznym. Stosy, połączone w bateryę galwaniczną, posiadają w każdym punkcie obwodu prąd, który się równa całej połączonej sile wszystkich stosów. Pojedyńczy stos nieraz wydaje zaledwie dostrzegalną iskierkę, stosy, połączone w bateryę, potężną błyskawicę. Tak samo w zwartem społeczeństwie, gdzie jednostki są połączone spójnią duchową, objawy duchowe potęgują się i napięcie ich w każdej jednostce równa się połączonemu napięciu wszystkich jednostek, i z zaledwie dostrzegalnych pojedyńczych dobrych chęci, zjawia się „woli błyskawica“. Na tem polega efekt dyscypliny w armii, solidarności w stronnictwie politycznem, działania opinii publicznej, patryotyzmu w narodzie, entuzyazmu w ruchach ludowych. — Siła zbiorowa udziela się każdej jednostce.

Żywe społeczeństwo różni się od martwego istnieniem i obieganiem takich prądów. Kto tego stanu elektrycznego napięcia, które ogarnia i przeistacza każdego pojedynczego człowieka, nie doświadczył i nie pojmuje, ten nie może pojąć żadnego ruchu religijnego, narodowego lub społecznego, ten nigdy nie pojmie istoty kościoła lub narodu. Stąd ta instynktowa chęć wszystkich ludzi działająccyh do skupiania się w kółka, grona, gminy, w organizacye zbiorowe. Stąd wyższość kościoła nad filozofią — kościoła, który ogarnia serce i wciela się w czyny — nad filozofią, ogarniającą umysł i wcielającą się w opinie. Stoik filozof wyznawał wiele z najwznioślejszych zasad chrześcijańskich, ale w swojem pogardliwem odosobnieniu nie umiał wytworzyć tego prądu, tego impetu, który był konieczny do ich przeprowadzenia.

Z nastaniem chrześcijaństwa pojawia się odrazu gmina chrześcijańska. „Ecclesia“ czyli zgromadzenie, wyparte z upadkiem republikańskiego samorządu za Cezarów ze świata poli-

tycznego, znajduje jeszcze żyźniejszy grunt dla siebie w kościele chrześcijańskim. Podczas kiedy świat pogański coraz bardziej rozpada i rozkłada się na jednostki, świat chrześcijański łączy się i spaja, wyrabia sobie nową atmosferę uczuciową i nowy nastrój — żywy prąd wiary, miłości i nadziei, przeistacza serca najbardziej zatwardziałe, przygotowuje odrodzenie ludzkości.

Filozofia nieraz chciała zastąpić religię swoim kategorycznym imperatywem, wydaje rozkazy w imieniu sumienia, a pomimo to niejeden zwolennik „widzi lepsze ale gorsze czyni". — Religia daje „rozkaz i siłę z rozkazem" i w ten sposób dokonuje tego, co filozofia tylko zamierza.

* * *

6) *Każdy ruch duchowy cechuje się przewagą celów ogólnych, narodowych lub społecznych nad celami osobistymi*, i tem, co z tego założenia wypływa, ograniczeniem potrzeb osobistych. Porównajmy w naszej historyi potrzeby osobiste takiego Staszica, Kościuszki lub Lelewela z potrzebami osobistemi przedrozbiorowego szlachcica, lub jakiego obecnego zdegenerowanego ich potomka, „wierzgającego dawnym narowem", a zrozumiemy odrazu różnicę. Można nawet powiedzieć, że takie *ograniczenie potrzeb osobistych jest jedynym i koniecznym dowodem przeobrażenia wewnętrznego*, jedynym dowodem, że się już nie jest dzieckiem, ceniącem błahostki, jedynym dowodem, że Polak w swojej duszy sam dla siebie przeprowadził to, co zaleca całemu narodowi, to jest podporządkowanie celów osobistych pod cele ogólne, że działa z zasady, a nie z chwilowej fantazyi, jedynym dowodem, że nie „wierzga dawnym narowem" i że duszę wichrowatą przeistoczył na duszę bohaterską.

Odpowiada to zresztą znanemu prawu mechanicznemu, że maszyna jest tem doskonalszą, im mniej potrzebuje materyałów, np. kocioł parowy tem lepszy, im mniej paliwa potrzebuje do wydania pewnej siły.

Zasada ta wprawdzie stoi w sprzeczności z nauką ekonomii politycznej, że wyższa cywilizacya zależy od zwiększonych potrzeb, stoi w sprzeczności z praktyką parweniuszów i półpanków, całego świata plutokracyi i burżoazyi nowożytnej, a nawet

z hasłem, wydanem przez Lassalla dla robotników: „konsumujcie a nie oszczędzajcie“ — niemniej jednak jest stwierdzona odwieczną praktyką wszystkich okresów bohaterskich w historyi ludzkiej, zacząwszy od Spartanów aż do najnowszych czasów — kiedy stary cesarz Wilhelm I. w marszu na Paryż nie chciał przyjąć kwatery w pałacu Rotszyldowskim w Ferrières, mówiąc, że do takich zbytków nie jest przyzwyczajony i wolał się rozciągnąć na własnem polowem łóżku żelaznem.

Stwierdzają tę zasadę z jednej strony wszyscy najsławniejsi wojownicy, z drugiej zakony chrześcijańskie i historya przeważnej liczby ludzi myśli i pracy.

Pierwszego historycznego tryumfu dokonała ta zasada za bohaterskich czasów starożytnej Grecyi w walce z Persyą, gdzie z jednej strony widzimy bohaterstwo i prostotę, połączoną z najwyższym nastrojem umysłu i serca, a z drugiej przemoc i azyatycki przepych, połączony z ubóstwem umysłu i nikczemnością serca. Cechy, znamionujące wszystkie despotyczne i niewolnicze społeczeństwa — bo czyż istnieje lepszy materyał na niewolnika od tego, który we własnej duszy stał się już niewolnikiem swoich zmysłów. Za owych czasów wznosiły się ubogie lepianki dla obywateli ateńskich, a wspaniałe świątynie dla ich bogów. Później, kiedy obywatele zaczęli budować dla siebie pałace, stali się za ubogimi do budowania świątyń.

Azya od dawna zrewanżowała się: Babiloński przepych i babilońskie rozpasanie opanowało i wycieńczyło i starożytną Grecyę i starożytny Rzym. Zaraza Babilońska przeszła przez Bizancyum na dwory europejskie, skoncentrowała wszystkie swoje jady na dworze wersalskim XVIII. wieku, i na nowo rozlała się po Europie. Francya po dziś dzień śmiertelnie choruje na truciznę wersalską, bo i najczerwieńszy socyalista w sercu pragnie rozkoszy wersalskich. Ten babiloński ideał, wśród którego „bogactwo się powiększa, a człowiek nikczemnieje“, panuje dziś wszechwładnie, i przedwstępnym warunkiem zaprowadzenia w życiu szlachetnej i bohaterskiej prostoty jest wyzwolenie się z tej babilońskiej niewoli.

* * *

7) Każdy ruch duchowy żyje ofiarami i trudem uczestników, a nie natychmiastowemi korzyściami materyalnemi, które im może zapewnić. Tak, jak matce dziecko tem milsze, im więcej się dla niego nacierpiała, tak dla każdego szlachetnego człowieka sprawa tem droższa, im więcej się dla niej ofiar poniosło. W tem polega różnica duchowa spójni kościoła lub narodu a towarzystwa akcyjnego.

Większa część tak zwanych trzeźwych zapatrywań na politykę narodową wychodzi z założenia, że każda sprawa wspólna jest jak towarzystwo akcyjne, którego celem jest zapewnić dywidendę coroczną dla każdego z członków. — Nikt jeszcze kościoła lub narodu na tej podstawie nie zorganizował. Przeciwnie, znany jest fakt historyczny, że każdy ruch religijny tem bardziej się szerzył, im surowsze przepisy dla członków swych stanowił, a że patryotyzm wzmagał się w miarę nieszczęścia narodu. — Bo też każde uczucie żywi się tylko ciągłymi czynami, codziennemi świadczeniami, praktyką codzienną. Nawet maszyna rdzewieje w spokoju, a utrzymuje się codziennem użyciem.

Z drugiej strony niema doświadczenia bardziej stwierdzonego, jak to, że wilcze apetyty są wogóle nienasycalne, i że rosną o wiele bardziej i prędzej od możności ich zadowolenia. Niema spekulacyi, która niezawodniej zawodzi od spekulacyi na wdzięczność. — Ludwik XV. zwykł był mawiać, dając jakąś pensyę lub synekurę: „Znowu robię sobie jednego niewdzięcznika i stu zawistnych".

Mówi się dzisiaj, że kapitał jest wszechpotężny, ale przecież już Hamerling, z jasnowidzeniem prawdziwego poety, dostrzegł, że największe kapitały nie są w stanie kupić najdrobniejszego uczucia. Jego miliarder posiada nieograniczone kapitały, wszelkie przybory do szczęścia „*nur keinen Schlaf, keinen Hunger und keine Liebe*".*)

Tymczasem każde rzeczywiste uczucie natychmiast przeobraża się w potęgę materyalną: *Es ist der Geist der sich den Körper schafft*" („Duch stwarza sobie ciało"). Nikt bardziej nie zdumiewa się na widok starożytnych katedr lub ruin klasztornych, jak człowiek praktyczny, inżynier lub ekonomista, który potrafi ocenić ogrom pracy ekonomicznej, dokonanej w wiekach,

*) „Nie zna snu, głodu, miłości".

w których nie było komunikacyi, w których ludność była rzadką i ubogą, a ciągłe wojny i niepokoje przeszkadzały pracy regularnej.

Viollet-le-Duc np. w swoim dykcyonarzu architektury opowiada, jak surowy i najcięższej pracy rolniczej poświęcony zakon Cystersów, za impulsem św. Bernarda w XII. wieku wysłał w świat w 25 latach przeszło 60.000 zakonników i założył w Europie przeszło 2.000 klasztorów, rozsianych od Tybru do Wołgi, od Manzanares do Bałtyku.

Dziś, przy ludności dziesięciokrotnej, przy kapitałach stokrotnych, przy całym aparacie kolei i telegrafów, byłoby to olbrzymiem przedsięwzięciem. Obliczyć tylko koszt i pracę, potrzebną do wybudowania w tak krótkim czasie tylu kościołów, klasztorów, wraz z uprawą roli, osuszeniem bagien, budową kanałów, warsztatów, młynów i najrozmaitszych zakładów, dokonanych w XII. wieku, bez pomocy nowożytnych narzędzi, maszyn, kapitałów i środków komunikacyjnych — to otrzymuje się cyfry, które każdy trzeźwy krytyk by z góry osądził jako wprost niemożliwe, wręcz niedorzeczne. Jedyną odpowiedzią jest fakt, że się tak stało.

Niema tak potężnego towarzystwa akcyjnego w naszych czasach, któreby było w stanie dokonać tak olbrzymiej roboty ekonomicznej. Budowa kanału Sueskiego, koleje do oceanu Spokojnego, kolej syberyjska, żeby wspomnieć tylko największe przedsiębiorstwa nowożytne — wszystkie Rotszyldy, Baryngi, Vanderbilty bledną wobec tego, czego dokonały gorące słowa, tryskające z gorącego serca Bernarda de Clairvaux.

Za życia obecnej generacyi, wydarzyło się coś podobnego choć na mniejszą skalę w Szkocyi. W roku 1843 pod wpływem księdza Chalmers, znaczna część presbyteryanów w Szkocyi przyszła do przekonania, że prawo do świeckiego patronatu nie zgadza się z ich sumieniem, tylko że każda gmina powinna mieć prawo wyboru własnego księdza. Ponieważ parlament nie chciał zmienić odnośnych ustaw, postanowili zwolennicy ks. Chalmers wystąpić z kościoła urzędowego. Przeszło milion ludności dokonało też tego i wraz z nimi 700 duchowieństwa zrzekło się dobrowolnie swoich parafii, prebend, kościołów i wszelkich dochodów, zdając się jedynie na ofiarność swoich zwolenników. — Była to najbiedniejsza część ludności i zrazu stosunki były rozpaczliwe. Prześladowani przez władze, przez właścicieli ziemi

i przez hierarchią urzędową, z początku nawet najczęściej miejsca dostać i zakupić nie mogli na wystawienie własnych kościołów i plebanii. Odprawiali nabożeństwa na pustkach i torfowiskach górskich, lub nad brzegiem morza, na piaskach, leżących pomiędzy przypływem a odpływem morza, na których ustaje prawo własności. — Do roku jednak zebrali składkami przeszło 4 miliony złr., do dziesięciu lat już wszystkie gminy zaopatrzone były nowemi kościołami a duchowieństwo wyposażone lepiej od państwowego. Obecnie kościół ten tak nazwany wolny (*free kirk of Scotland*) posiada wspaniałe świątynie, stacye misyjne, rozsiane po całym świecie i także najwyżej wykształcone *) i najsowiciej wyposażone duchowieństwo na świecie.

W czasie ustaw majowych i prześladowania religijnego w Prusiech, podobny ruch począł się budzić u katolików niemieckich i u ludności polskiej w Poznańskiem. Cały szereg organizacyi katolickich we Francyi posiada podobne cechy, tak samo salezyańskie zakłady ks. Bosco we Włoszech — zawsze jeszcze „duch stwarza sobie ciało".

Na polu ściśle narodowem, to najwyżej stoją obecnie Czesi, i widząc działalność ich „Maticy szkolskiej" i innych organizacyi narodowych, przebaczam im wiele niedorzeczności politycznych.

Natomiast patryotyzm w Polsce przybrał od 30 lat cechy tak idealne i górnolotne, tak się wykształcił estetycznie, że w wyobrażeniu swoich zwolenników powinien się karmić tylko akustyką, powietrzem, westchnieniami, łzami, aplauzem lub innemi imponderabiliami a nie tak ordynarną i materyalną strawą, jak pieniądze. Idealny patryotyzm ze wstrętem odsuwa od siebie tak poziome i ziemskie sposoby!

Cyfry pokazują wprawdzie postęp ekonomiczny i rozpowszechnienie się potrzeb, nawet u szerokich mas ludowych. Ale nietylko oświata i dobrobyt się zdemokratyzowały, zdemokratyzowało się też i głupstwo a także idealność Szylerowska. Powiększono środki coraz mniej wystarczają na rozpanoszenie się „drapieżnych zmysłów i nienasyconych chuci", coraz też bardziej ogranicza się ideały do karmienia ich jedyną strawą dla nich odpowiednią, to jest pobożnemi chęciami.

*) Po ukończeniu trzechletnich studyów uniwersyteckich na wydziale filozoficznym jeszcze cztery lata studyów teologicznych.

O ile znam Warszawę, Lwów i Kraków, a starałem się przeprowadzić porównawczą statystykę pieniężną głupstwa i patryotyzmu, to od stu lat nie było żadnego okresu, w którymby nasz patryotyzm był tak idealnym a tak mało materyalnym, jak obecnie, (r. 1897) — w którymby tak mało łożono pieniędzy i trudu na cele narodowe, jak dzisiaj, w porównaniu do pieniędzy i zachodów na cele „wilczych apetytów“.

Pisząc do dziennika, który chce reprezentować ekonomistów, chciałbym zaproponować: Czyby nie było zgodnem z waszym programem zmateryalizować trochę ten idealny patryotyzm, sprowadzić go z obłoków na ziemię, zastosować do niego poziome i pełzające wyobrażenia finansowe i stworzyć dla niego ciało, które pomiędzy innemi potrzebami ziemskiemi także będzie potrzebowało budżetu!

Dla prozaicznego ekonomisty zawsze jeszcze potrzeba „casser des oeufs pour avoir une omelett“. Komu wystarczają idealne omlety, które można usmażyć bez rozbicia jaj, ten niech się udaje do idealnego p. Koźmiana, a tam się dowie o idealnej ojczyźnie, którą zdobyć można bez wysilenia i trudów, bez niebezpieczeństwa i ofiary! Koźmian jest najdoskonalszym wyrazem chwili. On wypisał i zdogmatyzował tajemnicę wszystkich serc obumarłych. Wystarczająca odpowiedź literacka jest niemożliwa. Każdy protest słowny, i który zadawalnia się słowami, tylko stwierdza jego założenie. Kłam można mu zadać jedynie czynami.

IX.

„Swoboda w myśleniu
Karność w działaniu".

W powyższych ustępach starałem się streścić to, co mi historya powiedziała o psychologii ducha wszystkich okresów bohaterskich i zwycięzkich okresów tryumfu ducha nad materyą — równie prawdziwej, jak psychologia wilczych apetytów, psychologia klęsk i niewoli.

1) Odrodzenie ducha zaczyna się od serca.

2) Miarą jego jest pokonanie wilczych apetytów.

3) Na polu myśli rozstrzyga nie liczba ale myśli głębokość i zastosowanie do ducha narodu.

4) Na polu działania rozstrzyga znowu nie liczba, ale energia.

5) podsycana prądami duchowymi, skupiającymi się podług prawa bateryi galwanicznej.

6) Każdy ruch duchowy ma tendencyę do ograniczania potrzeb osobistych.

7) i żyje ofiarami uczestników, a nie ich korzyściami.

*
* *

„Was der Verstand der Verständigen nicht sieht".
„Das sieht in seiner Einfalt ein Kindlich Gemüth"*)

Psychologia bohaterska, ta psychologia każdego dziecka polskiego, prostaczka polskiego, każdego prostodusznego

---

*) „Czego rozumnych rozum nie zoczy,
Dziecinne proste widzą jasno oczy"

Polaka, w historyi świata jeszcze więcej posiada cech rzeczywistości, niż psychologia niewoli, bo jej zawdzięczamy wszystko, co ludzkość wytworzyła wielkiego i wspaniałego, jej zawdzięczamy całą otuchę i nadzieję na przyszłość. — Psychologia bohaterska dostarcza o wiele więcej różnorodnych i skutecznych środków działania, niż psychologia niewolnicza. Oprócz zasobu swoich własnych środków, rozporządza ona wszystkiemi siłami stopnia niższego, podczas kiedy dla psychologii materyi nieprzystępne są środki duchowe.

Już w ewangelii słyszymy „Bądźcie niewinni jak gołębie, a roztropni jak węże". Niewinność gołębia nie przeszkadza w nabyciu roztropności węża. Tak samo władza nad dynamiką i elektryką społeczną nie przeszkadza w nabyciu wszelkich środków, których może dostarczać wiedza przyrodnicza, nauka i praktyka ekonomiczna.

Jak już powiedziałem, nie rozumiałem nigdy, dla czego człowiek szlachetny miałby być z przyrodzenia niedołężnym i nieobrotnym i nie mógł sobie przyswoić wszystkich zalet i sił owych wielkich karyerowiczów wieku XIX.: śmiałości rozbójnika, umiejętności spekulanta i wytrwałości wyzyskiwacza, tem się tylko od nich różniąc, żeby owoce swego działania obracał, nie na niegodne i daremne zadanie nasycenia własnych wilczych apetytów, ale aby cząstkę swej duszy zostawił w dziele, którego rdza nie dotknie, a mól nie zniszczy, i które służyć będzie późnym pokoleniom!

Tak wygląda realizm. – Tak wygląda mrzonka. Realizm i jego cele przemijają, jak sen zwodniczy, a po chwili ludzie pytają: gdzie ślad jego? A to, co trzeźwi nazywają mrzonką, stawia gmachy i świątynie, które wieczność przetrwają!

* * *

Tyle o mrzonkach naszych poetów, które tylko wtedy staną się mrzonką, jeżeli ich wiara w patryotyzm i szlachetność narodu polskiego także okaże się mrzonką. — A jednak dotychczas cała ta nasza spuścizna duchowa leży martwa i niezużytkowana, nawet niezrozumiała.

Droga wskazana przez naszych poetów, droga wskrzeszenia Ojczyzny, zaczynająca się od przeobrażenia własnego serca, w czem nam nikt przeszkodzić nie może — prowadząca do przeobrażenia społecznego, które niechybnie nastąpić musi, jako konieczny wynik działalności obywateli, ożywionych nowym duchem; *gromadzenie sił narodowych*, aż się wydarzy sposobność do zaważenia na szali wypadków politycznych i do wystąpienia na widownię historyczną, — o ile to trzeźwiejsza, praktyczniejsza i skuteczniejsza droga, niż ta, którą naród dotąd kroczył.

Prawda, że nasza literatura wybujała w sztucznych, cieplarnianych warunkach i o jakie sto lat wyprzedziła dojrzałość narodu, prawda, że w chwili wygłoszenia ewangelii narodowej, lud, t. j. większość narodu pozostawała jeszcze po większej części w średniowiecznych pętach, a szlachta, czoło narodu, jeszcze gnuśniała w średniowiecznych przywilejach. Ale w głównej mierze do tego zapoznania przyczyniły się wypadki europejskie i obce kosmopolityczne prądy, które niepohamowaną siłą cały naród za sobą unosiły.

Duch narodu wzbił się do najwyższego poziomu, a geniusz jego do najbystrzejszego lotu, pod wpływem tytanicznej walki 1831 r. Walka skończyła się klęską, ale podług przekonania najgłębszego wszystkich uczestników, nie skutkiem braku sił, tylko skutkiem braku świadomości o nich i braku kierunku odpowiedniego i należytego ich wyzyskania.

W tem nastała rzeź galicyjska r. 1846 i trafiła naród w miejsce najśmiertelniejsze, w zaufanie do ludu, który miał być główną dźwignią odrodzenia. Katastrofą tą, dzieło duchowe zaledwie zaczęte, nagłej doznało przerwy. Tak jak człowiek nagle zbudzony ze snu, duch polski strącony został z wysokości, na której zaczął budować przyszłość, nie tylko własną, ale i całej ludzkości.

„Ojcze Nasz" Cieszkowskiego ogłoszone zostało dwa lata później wprawdzie, ale pomyślane i ułożone o wiele dawniej.

Nasi wieley pisarze zanadto byli realistami, zanadto trzeźwi, ażeby się karmić pięknemi iluzyami. Farys pogrzebany został *huraganem wypadków*. *Zuchwała twórczość zamilkła*, pozostał żal, rozpacz i rozpaczliwe szamotanie się z rzeczywistością, lub schronienie się w mistykę.

To, co miało się stać „arcydziełem życia“, pozostało, nawet jako pomysł, tylko potężnem torso, jak nieskończone rzeźby Michała Anioła i dziś trzeba mozolnie śledzić tajniki myśli naszych wieszczów i myślicieli i nawiązywać zerwane nici, które łączyły ich poglądy z najświeższą ówczesną rzeczywistością — podczas kiedy dziś, pleśń i kurz pół wieku osiadł na tem, co było tak świeże, tak rzeczywiste, tak drgające życiem i rwące się do życia.

Nie dzielę zapatrywania, jakoby poezya nasza dotąd w jakiejkolwiek znaczniejszej mierze wpływała była na losy polityczne narodu. Przeciwnie, naród coraz niepoprawniej zaczynał od działania politycznego i pokładał niezachwianą nadzieję w chwilowych kombinacyach politycznych i w pomocy obcej, podczas gdy podług naszych wieszczów, akcya polityczna mogła tylko uwieńczyć dokonaną już wewnętrzną robotę duchową, która powinna być podstawą i przygotowaniem wszelkiego dalszego działania.

Tak, jak Konstytucya 3-go Maja tylko po części wynikała z wewnętrznej pracy narodu, a w znacznej części była odblaskiem rewolucyi francuskiej, tak i później naród polski prawie nie działał na własną rękę, czekał zawsze na inicyatywę francuską i działał pod wpływem wyobrażeń francuskich. Widzimy to w powstaniu Kościuszki, w legionach, w Księstwie Warszawskiem, w roku 1831, w r. 1848, a nawet w r. 1863, który tylko był echem napoleońskich zwycięstw we Włoszech i tryumfu włoskiego ruchu narodowego.

Nawet kiedy idea pomocy francuskiej na zawsze zawiodłą, kiedy rewolucya francuska ostatecznie się zbłaźniła, przybierając liberyę moskiewską, pozostał dawny narów nieuleczalny — widmo pomocy obcej. Miała nas zbawić polityka austryacka. Trójprzymierze miało Polskę wywalczyć. — Dziś i z tego jesteśmy wyleczeni. Wiemy, że w samym zarodku trójprzymierza tkwiła zdrada Bismarka, który się równocześnie na dwa boki zabezpieczył: i ze strony Austryi i ze strony Rosyi. — Dziś bez jednego strzału Rosya stała się arbitrem Europy, a czas pracuje dla niej. Z upływem każdego roku przemoc rosyjska staje się większą, rośnie olbrzymio, jak ów biblijny kolos na glinianych nogach. Martwe i nieczułe cyfry statystyczne coraz bardziej na jej korzyść przemawiają, — a nasze siły duchowe, któreby

mogły przeciwważyć martwą statystykę, pozostają jeszcze w uśpieniu.

Jesteśmy sami i odosobnieni, ale też wyleczeni z naszych fałszywych nadziei. Nie gonimy już za temi widmami, które nas od stu lat odwracały od naszego właściwego zadania. — Ta praca nad wyrobieniem naszych własnych sił, która zaczęła się już przed upadkiem Polski, od czasów Stanisława Leszczyńskiego i Stanisława Konarskiego, — która od tego czasu nigdy nie ustała, choć tak często zagłuszoną została szczękiem broni i biegiem wypadków, — ta praca może i powinna teraz stać się naczelnem zadaniem narodu.

Hasło pracy organicznej, dawne jak wszystkie hasła, a tak często obłudne, *powinno się stać istotnem i połączyć się z hasłem odrodzenia ducha i charakteru narodowego*, powinno się zgłębić i zakrzewić w duszy każdego Polaka pod kierunkiem i egidą już objawionej ewangelii narodowej, a owoce zjawią się niechybnie.

Myliłby się, ktoby przypuszczał, że nasze klęski bojowe i ekonomiczne, poniesione w nieudałych powstaniach, stanowią największe potępienie fałszywej polityki, liczącej na pomoc zagraniczną. Przeciwnie, możnaby historycznie wykazać, że tylko te walki utrzymały żywą tradycyę narodową i wywołały siły moralne, o wiele ważniejsze, niż poniesione straty materyalne. *Nowa Polska powstała na polu bitwy i odrodziła się chrztem krwi.*

Daleko fatalniejszem było *opuszczenie rąk w epokach pokojowych* przed walkami i po walkach, które również wynikało z tych samych fałszywych nadziei obcej pomocy. *Straty w ludziach, charakterach i majątkach, poniesione w tych epokach pokojowych, o wiele przewyższają to, cośmy stracili z przyczyn politycznych.* Organizm narodowy i moralnie i materyalnie najbardziej zwątlony został w Galicyi, która tak mały udział brała w powstaniach i walkach narodu polskiego.

Do tych straconych okresów, straconych bez żadnego odpowiedniego ekwiwalentu w siłach moralnych czy materyalnych, zaliczyć trzeba całe panowanie Augusta III., większą część 20 lat pomiędzy pierwszym a drugim rozbiorem, prawie cały okres Królestwa Kongresowego i większą część ćwierćwiekowej autonomii galicyjskiej.

Tragedya tych lat zmarnowanych, jest dla mnie stokroć boleśniejszą, choć mniej dramatyczną, od wszelkich ofiar krwi i mienia, konfiskat, Sybirów i męczeństw. Bo nie wierzę, ażeby przemoc była w stanie zniszczyć sprawę polską, bez współdziałania obojętności, niedołęstwa i nikczemności, które tak poważnie cechują okresy naszego wytchnienia. „Zmartwychwstaje się z pod gromu, nie zmartwychwstaje z pod sromu“.

Lecz chwała Bogu, od szeregu lat można dostrzedz zwrot, zwrot w kierunku spotęgowania pracy narodowej i wiary narodowej, zwrot, który tem się dobitniej manifestuje, im bardziej blednieje złudne widmo obcej przemocy. — Dla każdego, który jest przyzwyczajony do czytania symptomatów historycznych, naród polski znajduje się dziś w okresie odbywającego się przebudzenia, w przededniu nowej epoki twórczości narodowej, która tylko wymaga odpowiedniego kierunku, ażeby wydała swoje właściwe owoce.

Przeżyły się dawne systematy i teorye, przeżyły się dawne stronnictwa polityczne, przeobraził się do niepoznania dawny ustrój społeczny. Cała materyalna przeszłość w łachmanach, giną ostatnie szmaty, trzeba wymieść ostatnie śmiecie. — Ale tem nieśmiertelniej zmartwychwstaje nieskażony i niezwyciężony duch narodu, ciągle wcielający się od początku stuletniej walki za Ojczyznę, w coraz to „nowych ludzi, u których

„duch prawdy z nieba dany
Z ich starą krwią się zlewa“

i którzy kiedyś poprowadzą naród nowymi i zwycięskimi torami do „tej Polski, która będzie!“

AFORYZMY O WYCHOWANIU.

Pełny tytuł aforyzmów brzmiał: *Piast* „Aforyzmy o wychowaniu. — Nieproszone odpowiedzi na zapomniane pytania, dla użytku krajowej ankiety szkolnej, odbytej we Lwowie 28—30 października r. 1898". Drukowane zaś były po raz pierwszy w „Słowie Polskiem" w dniach 18, 19, 20, 21, 22 i 23 października r. 1898, następnie zaś w osobnej książce (Lwów 1901). — Zwołana przez Wydział krajowy ankieta, w której Szczepanowski brał czynny udział, zajmowała się sprawą reformy szkół średnich. — Po czterodniowych obradach uchwalono wniosek hr. Reya: „Podstawę reformy ma tworzyć system szkoły średniej o wspólnej nauce w niższych klasach, przy zaprowadzeniu w dalszych klasach bifurkacyi na kierunek humanistyczny i realny z łaciną". Greka miała być względnie obowiązującą, dostęp do uniwersytetu dla obu kierunków. — Szczepanowski oświadczył się za szkołą jednolitą. Uchwały ankiety nie zostały dotychczas ani w całości, ani w części zrealizowane.

I.

„ad astra".

Ankieta szkolna ma cel określony: poprawę obecnych szkół średnich, nad czem fachowej dyskusyi nie chcę przerywać.

Zadanie wychowania narodowego jest jednak o wiele wszechstronniejsze i donioślejsze. Sięga korzeniem w przeszłość do pierwotnego tworzenia się tajników duszy narodowej, spodziewa się w przyszłości owoców, mających ziścić nadzieje narodowe i spełnić misyę narodu dla ludzkości. Przeszukuje cały świat, niebo i ziemię, ażeby przyspożyć światła i ciepła dla pokrzepienia organizmu narodowego, ażeby odkryć nasiona i zarodki, z których by mógł zejść plon na niwie narodowej.

Zadaniem opinii publicznej być powinno przedstawić tę wszechstronność, dać odczuć tę doniosłość, sprawę wychowania publicznego wyprowadzić z ciasnego zaścianku wiejskiego, z par-

tykularza miejskiego, z zielonego stolika i postawić na szerokiej arenie dyskusyi obywatelskiej.

. . . .

Czas już wpuścić trochę świeżego powietrza w zatęchłą atmosferę bagna galicyjskiego, zdruzgotać obce bogi, którym za długo służyliśmy, nieomylności biurokratyczne, nadęte powagi, martwe bałwany, wystawione dla adoracyi bezmyślnych — a szukać drogi życia światła i prawdy.

. . . .

Kto powinien rozstrzygać o celach i kierunkach wychowania? Czy urzędowi pedagogowie, czy obywatele kraju?

Kto powinien rozstrzygać o kroju i materyi surduta, czy krawiec, czy ten, który za niego płaci i dla swojego użytku potrzebuje?

Kto odczuwa nagniotki, czy szewc, czy ten, kto buty nosi?

Czy ankiety złożone z samych szewców i krawców, lub też przeważnie z nich złożone, odpowiadają wszelkim potrzebom publiczności?

. . . .

Doświadczeni praktycy, mawiał pewien mąż stanu angielski, są ci, którzy z miedzianem czołem bezmyślnie praktykują ślepą rutynę swoich poprzedników!

. . . .

Słowo pedagog pochodzi od greckiego *pais* — chłopiec *ago* — prowadzić. Byli to kupni niewolnicy, którym obywatel ateński powierzał pilnowanie swoich chłopców.

Kto tu w istocie prowadził? Czy obywatel, który dawał rozkazy, czy płatny niewolnik, który je wykonywał?

. . . .

W ustroju biurokratycznym, opartym na pojęciu o nieomylności biurokratów, którym przecie urząd daje rozum (*Das Amt gibt den Verstand*) — a przyrodzonej ograniczoności obywatelstwa (*Der beschränkte Unterthanen Verstand*) — pedagogiem jest płatny czynownik, narzucający obywatelstwu, od którego otrzymuje płacę, pewien szablon edukacyjny — i nie troszczący się o potrzeby i właściwości społeczeństwa, tak, że nieraz z jego mundurków szkolnych robią się *Zwangsjacken* (kaftany przymusowe).

. . . .

W społeczeństwach wolnych pedagogiem jest każdy ojciec rodziny, dbający o wychowanie swoich synów i córek, pedagogiem jest nawet mimo swojej woli każdy mąż, stojący na świeczniku społecznym, świecący swojem życiem i przykładem na złe, czy na dobre, pedagogiem wreszcie każdy obywatel, poczuwający się do odpowiedzialności obywatelskiej, bo nawet nie mający rodziny, powinien co najmniej wychować siebie samego na użytecznego członka społeczeństwa i na to, żeby nie był dla swojego otoczenia tym kamieniem młyńskim z ewangelii, który pływającego ściąga na dno.

. . . .

Czy celem wychowania jest mnożenie małp i papug — małp, przedrzeźniających niezrozumiane obce wzory — papug, powtarzających za panią matką pacierz? — Czy naśladownictwo, czy twórczość? — Czy dresura, czy rozwój? — Czy hofrat, czy geniusz?

Cóż warte wszystkie kopie, jak zabraknie wzorów, — cóż znaczą wszystkie echa, jak nie zabrzmi żaden głos własnego przekonania i doświadczenia. — Cóż znaczą wszystkie pożyczane światła planet i księżyców, jak zabraknie gwiazd i słońca?

. . . .

Mamy nadzieję, że nasza ankieta krajowa wyda plon obfitszy od głośnej ankiety, zwołanej przed kilku laty przez cesarza Wilhelma II do Berlina.

Cesarz ten, którego losy zrobiły królem drapieżnego narodu Prusaków, a który, mimo to, po matce Angielce oddziedziczył pewne błyski i porywy szlachetniejsze, instynktowo odczuł braki pruskiej pedagogiki i chciał zasłynąć wiekopomną sławą odrodziciela wychowania niemieckiego. Zwołał więc szanownych pedagogów do pomocy. Ale z wielkiej chmury nastał mały deszcz. Skutkiem wzajemnego nieporozumienia cesarza i pedagogów, z wielkiego zamachu i zachodu wynikł rezultat śmieszny. Zamiast odrodzenia narodowego systemu wychowania, powzięto, zdaje mi się, uchwałę, żeby w przyszłości zaniechać tłumaczenia z niemieckiego na greckie, a uprawiać tylko tłumaczenia odwrotne.

. . . .

Oto głębsze przyczyny nieporozumienia i fiaska szumnej ankiety berlińskiej.

Cesarz chciał pedagogom powiedzieć: „nauczajcie z powołania i wychowujcie po obywatelsku, a uczynicie zadość potrzebom społeczeństwa i narodu“.

Cóż, kiedy język niemiecki nie posiada nawet wyrazów na określenie pojęć, zrozumiałych od razu dla każdego Polaka.

Nawet na pojęcie naród, Niemcy nie mają własnego wyrażenia, tylko francuskie: Nation.

Tak samo Niemcy, nazywający się sami narodem poetów i myślicieli, nie posiadają w swoim języku odróżnienia dwóch określeń tak odrębnych, jak społeczeństwo i towarzystwo. Na jedno i drugie mają tylko słowo *Gesellschaft*. Trzeba być w Niemczech co najmniej doktorem filozofii, ażeby zrozumieć różnicę słowa *Gesellschaft* w znaczeniu społeczeństwa, a tego samego słowa w znaczeniu towarzystwa, co bez doktoratu filozofii u nas każdy prostaczek zrozumie.

Tak samo, Niemcy nie mają słowa na powołanie, bo *Beruf* to znaczy płatny zawód lub fach. Zgoła im brak szczytnego pojęcia i słowa obywatel, bo *Bürger* albo *Staatsbürger* zanadto trąci *Spiessbürgerem*, ażeby mogło być użyte w tym sensie.

Skutkiem więc tej ułomności językowej, która odpowiada pewnej ułomności duchowej narodu niemieckiego, ani niemy nie mógł się wyrazić, ani głuchy nie mógł zrozumieć: ani cesarz Wilhelm nie mógł się wyjęzyczyć, a tem mniej uczeni pedagogowie go pojąć i cała akcya musiała spełznąć na niczem.

Skutkiem tej samej głuchoty i językowej i duchowej, Niemcy nie posiadają określenia siły zbawiennej, pojęcia tak ważnego w pedagogii dla wyrobienia charakteru — to jest siły, połączonej z prawem.

U nas samo pytanie, czy siła może być nad prawem, byłoby potwornem. Bo Polak nie korzy się, jak Niemiec, przed siłą, bo siła może być krzywdą, może być li tylko mocą szatana. Ale Polacy mają pojęcie siły w służbie Bożej, siły, połączonej ze sprawiedliwością i dobroczynnością. Nazywają taką siłę dzielnością, którego to słowa znowu na niemieckie przetłumaczyć nie można, bo *Tapferkeit* odnosi się tylko do pola bitwy podczas gdy dzielność okazuje się we wszystkich sferach działania. Kobieta, chłopiec, mogą być dzielnymi. Dzielnym być można nietylko wobec niebezpieczeństwa, ale w każdym stosunku społecznym, w wykonaniu

każdego obowiązku. Złodziej zaś, rozbójnik, krzywdziciel, nie może być dzielnym, choćby był niewiedzieć jak silnym.

. . . .

Bo też język jest wizerunkiem duszy, a dusza wytworem historyi narodowej. Krzywdziciel i męczennik nie mogą mieć tej samej duszy, tego samego języka. Pomiędzy nawoływaniem Nietschego do Niemców: *Werdet stark — werdet hart,* a hasłem polskiem: „Bądźcie dzielni“ jest cała przepaść, która dzieli drapieżnego Prusaka od szlachetnego Polaka.

. . . .

Znacie gadkę średniowieczną, że gdy, po odkryciu Ameryki, hiszpańscy konquistadorzy dotarli do bajecznej krainy Eldorado, to osłupieli na widok dzieci, bawiących się na ulicy kamyczkami ze szczerego złota, bo kruszcu szlachetnego była taka obfitość, że nikt go nie cenił.

Tak samo jest z narodem polskim w dziedzinie pojęć etyczno-społecznych i wychowawczych. Kruszcu szlachetnego jest tyle, że nim się dzieci na ulicy bawią. Bez logomachii słownych, bez subtelnych definicyi, naród polski bohaterską walką, krwią i męczeństwem, wyrobił sobie w tej dziedzinie szlachetne i umiejętne pojęcia i wyposażył w nie każdego prostaczka — pojęcia, których nie posiada naród niemiecki pomimo dwudziestu uniwersytetów, pomimo dwóch tysięcy katedr profesorskich, pomimo stosów ksiąg uczonych, i które nawet uczonemu niemieckiemu stają się zaledwie przystępne, na podstawie mozolnego wysiłku myśli i logicznej konstrukcyi.

. . . .

Nie gardzę Niemcami.

Oni światu przodują w dziedzinie myśli oderwanej.

Już słowa *Vernunft,* najgłębszego słowa w mowie niemieckiej, najwyższej intuicyi narodu niemieckiego, nie można oddać w mowie polskiej. Bo Polak słowa rozum używa z przekąsem i stawia nad nie natchnienie, a myśli od czynu nie dzieli.

Niemiec drwi sobie z natchnienia, brak mu nawet na to własnego wyrazu i nazywa je z łacińska *Inspiration,* a oddaje się swojej gwieździe przewodniej: *Vernunft.*

Nie sposób też oddać w języku polskim, i wytłumaczyć Polakowi, nieznającemu języka niemieckiego, całej otchłani zna-

czenia, zawartego w tym słowie, oraz całej subtelności i głębokości filozofii niemieckiej, która z tego słowa *Vernunft* wypływa.

. . . .

Ale w dziedzinie etyczno-społecznej i pedagogicznej Niemiec w porównaniu z Polakiem jest niemową — niemym, jak Słowianie kiedyś Niemców nazywali. Dlatego litość mnie bierze, jak widzę, że na tem polu pedagogii narodowej, naród mówiących jest w niewoli umysłowej narodu niemowów. Oburzenie mnie unosi, widząc spustoszenia, które pedagogika niemiecka u nas sprawia, a której tylu pseudopedagogów u nas hołduje. Jestto jakby ktoś, na pół głuchy, na podstawie teoryi akustycznych chciał nauczać pieśni, naród, posiadający wrodzony słuch muzykalny i obdarzony geniuszem harmonii i melodyi!

. . . .

Ale pedagogia niemiecka, choćby była idealnie dobrą dla Niemców, to tem samem staje się nieprzydatną dla nas.

Biorę już nie Niemca bismarkowskiego, drapieżnego Prusaka, ale Niemca, w najlepszem tego słowa znaczeniu. Jako panteista i fatalista, będzie on dążył drogą ciągłych definicyi i zeszeregowanych wnioskowań do wyostrzenia myśli oderwanej, do poznania istoty tego, co jest, do wyrobienia sobie *einer eigenen Weltanschauung*.

Polakowi zaś, który nie godzi się na to, co jest, który ciągle myśli o tem, co być powinno, Polakowi, w wiecznej i nieubłaganej walce z przemocą szatańską, Polakowi, szermierzowi myśli Bożej i idei sprawiedliwości i słuszności — Polakowi to *eigene Weltanschauung* jest obojętne, jeżeli mu nie wskazuje drogi do zwycięstwa własnej sprawy, do działania twórczego, do czynu bohaterskiego.

. . . .

Dalej więc bracia orły do lotu, wyzwólmy pedagogię narodową od kajdan obcej i fałszywej nauki, wypędźmy ciemne duchy, złowrogie puszczyki, nocne nietoperze, które nasze niwy obsiadły. Niech każdy Polak, dumny ze swojej przeszłości a ufny w przyszłość narodu stanie na posterunku, a zwycięstwo będzie naszym udziałem i to nietylko w tej jednej sprawie wychowania narodowego.

II.

Pedagogia — *wychowanie, jest to przystosowanie człowieka do swojego otoczenia i do wypełnienia tych obowiązków*, które Opatrzność na niego włożyła.

Pedagogia narodowa, jest to przystosowanie całego narodu do misyi, którą mu Opatrzność powierzyła dla dobra ludzkości. Misya, do której naród jest powołanym, staje się jego przeznaczeniem, tajemniczym zarodkiem jego żywotności i niewyczerpanym pierwiastkiem jego siły. (Psalm wiary Krasińskiego).

Poczucie misyi narodowej zakorzenione jest głęboko w sercu każdego narodu. Może drzemać, może być uspione, a wtedy naród mdleje, drzemie i jest martwym, uśpionym. Ale poruszcie ton właściwy, niech się odezwie starodawna pobudka, a odezwie się to serce i uczucia w niem uśpione, zadrży i zatętni, jak skrzepły wulkan, śniegiem przysypany i lawą gorącą przeleje się na wszystkie strony.

. . . .

Jako taki skrzepły wulkan, śniegiem przysypany, przedstawiał się do niedawna naród polski. Chwała Bogu, pomyślały sobie mocarstwa zaborcze, że Polacy zmądrzeli, wyparli się dawnych szaleństw, to teraz całkiem grzeczni i rozumni ludzie, będziemy mieli z nich dla nas dobrych pracowników, żołnierzy, ba, nawet hofratów. Chwała Bogu, pomyśleli sobie wszyscy omdleli Polacy, którym ciężyły obowiązki narodowe Co się stało, to się stało, daremnie płakać, jeszcze daremniej targać się beznadziejnie, teraz nareszcie możemy sobie usłać wygodne gniazdo na podstawie nieodwołalnie zmienionych okoliczności!

. . . .

Był czas niedawno, kiedy zdawało się, że wszyscy Polacy już się ułaskawili, już zmądrzeli, już zwątpili i zrezygnowali. Był czas, kiedy na całym świecie odzywał się tylko jeden głos, wierzący w Polskę — głos Bismarska. Z całem jasnowidzeniem nienawiści on jeden nie dowierzał skrzepłej powierzchni wulkanu, on wiedział, że gotuje się w nim lawa gorąca, że w sercu każdego Polaka tli jeszcze iskra pod popiołami, którą wypadki lada chwila na nowo rozdmuchać mogą. Dlatego też z nieubła-

ganą konsekwencyą ścigał każdego Polaka, od księdza i szlachcica, aż do chłopa i najbiedniejszego wyrobnika, ba, nawet żyda polskiego. On pierwszy w Europie prześladowaniem swojem zrównał u narodu polskiego wszystkie stany, bo dobrze wiedział, że takie zrównanie wszystkich stanów będzie pierwszym wynikiem czynnego patryotyzmu polskiego. Dla Bismarka, co Polak — to wróg! Politykę tę, jako spuściznę, przekazał narodowi niemieckiemu. Chwała mu i wdzięczność, że choć jako nieprzyjaciel on jeden nie zwątpił o Polsce, nawet w chwili, kiedy własni odszczepieńcy, we własnym języku, już głosili naukę, że naród polski powinien na zawsze wyrzec się niepodległości.

. . . .

Prześladowanie Bismarka i przykład jego niezachwianej wiary w przyszłość i siłę narodu polskiego, potężnie się przyczyniły do obudzenia świeżego prądu patryotyzmu polskiego. Od tego czasu fala narodowa podnosi się coraz wyżej i niebawem uniesie wszelkie zapory.

Zło się przełamało od chwili, w której zdemaskowało się jawne odszczepieństwo od idei narodowej. Po Bismarku zatem należy się wdzięczność Stanisławowi Koźmianowi, że jawnie i głośno wypowiedział tę ideę abdykacyi narodowej, którą inni starannie i ze wstydem ukrywali na dnie swoich myśli. Po Bismarku, on się najwięcej przyczynił do ocknięcia się idei polskiej — bo można teraz oddzielić zdrowych od trędowatych i odciąć suche gałęzie z niespożytego pnia żywotności narodowej.

. . . .

Idea narodowa polska ma dwóch śmiertelnych wrogów: pedagogią niemiecką i knut moskiewski.

Ten zagraża duszy, tamten ciału.

Tak ścisły istnieje związek pomiędzy tymi wrogami naszymi, że kto raz ulegnie pierwszemu, ten się podda drugiemu. Wychowanek pedagogii niemieckiej ukorzy się przed knutem.

. . . .

Pedagogia niemiecka, to przystosowanie się narodu niemieckiego do swojego położenia na świecie, tak, jak je pojmuje umysł niemiecki. Duch tej pedagogii streszczony jest ze ścisłością literalną przez Krasińskiego w „Dniu dzisiejszym“. Jest to znany ustęp:

GŁOS SZATANA.

Ja jestem rozum — ja jestem konieczność!
Nie Czas mi bratem — ale siostrą wieczność;
A choć mnie ludzie przezwali Szatanem,
Mój Duch świat stworzył — i ja ziemi Panem!

Oststni jesteś z wielkiego plemienia,
Ostatni jesteś z bohaterów rodu,
Żyłeś bez domu — umrzesz bez imienia —
Zwiany jest z ziemi ślad twego narodu.

Matką ci mara upadłej swawoli, —
A bracią twoją proch, co gnije w trumnie!
Życiem twem było — tylko konać dumnie,
Lub siać łzy marne na nicestwa roli!

Śmiercią trza umrzeć — śmierć jest poświęceniem —
Gdy niepojęta — tylko wtedy karą,
A gdy ją pojmiesz, Rozumu ofiarą,
Przez zgubę cząstek całości zbawieniem.

Tem bieży potok, że fale mijają,
Tem ogół stoi, że szczególni płyną.
Tem ludzkość żyje, że narody giną,
I trwa tem wszechświat, że światy konają!

Lud Twój się dostał drugiemu ludowi
Na krew i pokarm — Ojców twych spuściznę
Wróg dziś przerobił na śmierć i zgniliznę;
On życie świata tą śmiercią odnowi.

Darmo się zżymasz — przegrałeś w tym boju —
Rozum na ciebie raz ostatni woła —
Przed koniecznością ugnij wreszcie czoła,
Zrzuć z duszy upór — a zaśniesz w spokoju.

Każdy Polak od dziecka powinien wyryć sobie w pamięci każde słowo tego ustępu, bo w nim się streszcza kwintesencya całej mądrości niemieckiej i brzmi zwycięzka odpowiedź polska, dana szatanowi:

„Ty wiesz, co przymus — a nie wiesz, co wola"!

Żądza serc wielu może pod mogiłę
Zstąpić jak Anioł i anielską siłę
Wlać w kość i popiół — nazad stworzyć naród
Bóg w wolę ludzi rzucił cudów zaród!

Aforyzmy o wychowaniu.

Konieczność, Duchu, jest sługą wolności.
— Ten żyć nie umie, kto prawa nie rości
Myśl wieczną wcielać — ale w swoje ciało —
— A kto męczennik temu się udało!

Zdejm z nas twój rozum bez czynu i woli,
Nie nam przydatny tylko tobie kwoli,
Byś karki ludzkie, jak podłe bydlęta,
Na dół przeginał i kuł w hańby pęta.

Wieczna pokora w łzach i krwi — przed Bogiem,
Bunt nieśmiertelny w łzach i krwi — przed wrogiem,
To los nasz — Zakon — to nasze sumienie —
Przeszłości chwała — przyszłości zbawienie!

Idź innych zwodzić — Tyś duch cudzoziemiec!
Gdy zbrodnię jaką gdzie spełni morderca,
Wraz ją uprawnisz teoryą bez serca;
— Tyś idealny Moskal — chybaś Niemiec!

Różnica zapatrywania polskiego a niemieckiego jest tak prosta i jasna, że ją każdy prostaczek nawet zrozumie i jeżeli ma serce polskie, da niemylnie i niezachwianie tę samą odpowiedź, co Krasiński.

Istotą zapatrywania niemieckiego jest zatarcie granicy złego i dobrego. Tryumfujące złe, gwałt zwycięski nazywa się koniecznością, a poddanie się konieczności — rozumem.

Dla Polaka pomiędzy złem i dobrem leży przepaść, której żadne zwycięstwa, żadne rozumowania wypełnić nie mogą. Niezmordowana walka ze złem jest pierwszym obowiązkiem, od którego wypełnienia żadne sofisterye zwolnić nie mogą, i za zaniechanie którego niema rozgrzeszenia.

Dla Polaka, ile razy szatan się pojawia, choć by nie wiedzieć jak mądrze mówił, jest tylko jedna odpowiedź, ta sama, którą rycerski król Ludwik święty dawał odszczepieńcom od wiary: „Pal go w łeb"!

To jest pierwszy instynkt każdego Polaka, choćby nigdy o filozofii nie zasłyszał, choćby nawet czytać nie umiał. Jeżeli się pojawia szatan kusiciel w ludzkiej postaci, który chce tłómaczyć, ze nie ma różnicy pomiędzy złem i dobrem, że Pan Bóg uświęca i przystaje na tryumf złego, to w myśl Ludwika św. odpowie:

„Pal go w łeb"!

Oto pierwsza i naczelna zasada pedagogiki polskiej, pierwsze przykazanie dla każdego Polaka.

III.

Walka złego z dobrem, problem to stary, jak rodzaj ludzki. W religii starodawnych Persów pojawia się jako walka przedstawiciela pierwiastku złego: Arymana (*Angri-Mainu*) z przedstawicielem pierwiastku dobrego: Ormuzdem (*Ahura-Mazda*). Walczą oni prawie na równo i szala zwycięztwa przechyla się raz na jedną, raz na drugą stronę. Obowiązkiem każdego szlachetnego Persa było walczyć w sprawie *Ahura-Mazdy* i przyczynić się do jego ostatecznego zwycięstwa.

W pojęciu chrześcijańskiem sprawa Boża również ciągle napotyka na przeciwieństwo zastępów szatana, ale sam szatan, jako duch niższego rzędu, raczej służy do wypróbowania wiernych, do wyrobienia w nich dzielności i męstwa, a nie ma mocy któraby mu mogła zapewnić zwycięstwo.

Pomiędzy zwolennikami jednak sprawy Bożej a służalcami szatana nie może być żadnej wspólności, *nawet dyskusyi być nie może, ponieważ różnica pomiędzy nimi nie jest rzeczą wiedzy, ale rzeczą wiary.*

Wiedza bowiem zgoła nie wystarcza do rozstrzygnięcia, który pierwiastek jest silniejszy, czy dobry, czy zły. Sąd, oparty na wiedzy, zmienia się każdej chwili, odnośnie do jakichś chwilowych faktów, które zaszły, lub do nowych interpretacyi i tłumaczeń starych faktów, jakie chwilowa historyozofia przynosi.

Różnica jest jedynie ta, że podczas kiedy służalcy szatana chwieją się z każdym powiewem chwilowej opinii lub namiętności, to słudzy sprawy Bożej noszą w swem sercu nieomylną busolę, która ich serce w każdem miejscu i w każdej chwili niechybnie pociąga w tę samą stronę zamiłowania dobrego i szlachetnego — pociąga nawet w chwili pogromu i klęski, pociąga nawet wbrew oczywistości, bo i wtenczas przypisują chwilowy tryumf wroga raczej własnej niegodności, a nie wrodzonej potędze złego.

Wiedza, a zatem i dyskusya, tej sprawy rozstrzygnąć nie może, bo wiedza jest tylko zarejestrowaniem przeszłości. Sprawa zaś rozstrzygnie się dopiero w przyszłości, w dopełnieniu czasów, czynem a nie dyskusyą. Do chwili tego ostatecznego zwycięstwa wiara nie tylko jest potrzebną, ale jest sama przez się głównym pierwiastkiem tej siły, która zapewni zwycięstwo. Zwątpienie, zaś, wrogowi bez walki plac boju ustępuje. I tylko podczas niepewnych szans bitwy wiara jest zasługą, tylko w wątpliwościach i niebezpieczeństwach okazuje się bohater. Po dokonanym fakcie, jak rozstrzygnął czyn, a wiedza ten czyn zarejestrowała, każdy tchórz, kiep i dureń potrafi znaleźć się w zwycięskim obozie. W wątpliwych też okolicznościach, groźnej chwili niebezpieczeństwa, każdy tchórz, kiep i dureń, pyta się wiedzy i znajduje tylko znak zapytania, a bohater pyta się własnego serca i albo zwycięża, albo nawet gdy ginie śmiercią bohaterską, innych do nowej walki zagrzewa.

. . . . , ...

W pojęciu większej części obecnych historyków, mianowicie niemieckich, historya ludzkości przedstawia się jako szereg zwycięskich gwałtów. To się obecnie nazywa wiedzą historyczną. Tą wiedzą karmią się obecnie młode umysły, wychowane w duchu niemieckim, tem gorzej, jeżeli z duchem niemieckim łączy się język polski.

Czemże w istocie jest historya? Czy tylko szeregiem faktów, po wysłuchaniu których dyskusya się kończy i wątpliwości ustępują, jak się przechwalają zwolennicy obecnej metody historycznej? Tak nie jest. Historya może nieomylnie stwierdzić, że w tym lnb owym dniu deszcz padał, lub że ten lub ów człowiek o tej lub owej godzinie umarł, lub został zabitym. To atoli stanowi tylko zewnętrzną szatę historyi. Jej duszą zaś jest wyśledzenie sprężyn duchowych, tajemnych pobudek, które działały w sercach pojedynczych ludzi, w duszy całych narodów.

Ta najważniejsza część historyi wiecznie pozostanie domysłem — odgadywaniem — intuicyą. Bo tylko sam Pan Bóg zna tajniki sumienia ludzkiego. Każdy żyjący człowiek jest zagadką dla swojego otoczenia, a cóż dopiero umarły? Przecież ludzi współczesnych, działających wobec milionów oczu nań pa-

trzących, jedni mają za karyerowiczów służących własnej ambicyi, drudzy za szlachetnych szermierzy w służbie idei. Cóż dopiero w historyi!

Taki Napoleon jednym okazuje się jako tygrys, w ludzkiej postaci, który dla zaspokojenia własnych chuci okiełznał Francyę i ujarzmił Europę, a drugim, jako archanioł historyi, który z płomiennym mieczem w ręku płoszył duchy ciemności i upiory szatańskie.

Cześć więc nowej metodzie historycznej i umiejętnemu studyum pergaminów i szpargałów wszelkich, ale tylko tak daleko, jak jej zakres sięga. Będę nareszcie wiedział w którym dniu deszcz padał, lub słońce świeciło. I to nawet są cegiełki do wiedzy uniwersalnej.

Ale to, co się działo w tajnikach sumienia ludzkiego w chwilach samotnych, kiedy tylko Pan Bóg był świadkiem, a zamiar w sercu dojrzewał, który niebawem wcielił się w czyn i głośnym echem stał się faktem historycznym? Niech mi historyk nie bluźni i nie twierdzi, że on nieomylnie może wyrokować o tem, co tylko do samego Boga należy.

Każdy człowiek a i każdy historyk sądzi to przedewszystkiem podług własnego serca i własnego doświadczenia światowego. Niech mi więc nikt nie mówi, że każdy płatny hofrat lub profesor, piszący wygodnie przy zielonym stoliku, rozumie i należycie przedstawia tych bohaterów cierpiących i walczących, których dziełem jest historya ludzkości.

Do tego trzeba samemu mieć bohaterską duszę, trzeba samemu stać w szeregu cierpiących i walczących, bo tylko człowiek wielkiego serca i szerokiego poglądu odczuje i odgadnie pokrewne mu duchy i zrozumie ich pobudki.

Dla karyerowicza naukowego cała historya kurczy się do rozmiarów jego zajęczego serca i ptasiego mózgu.

. . . .

Tak samo jak w całej pedagogii, tak i w dziedzinie historyi — tej mistrzyni życia — rozstrzyga nie ranga, nie stanowisko, nawet nie uczoność, ale powołanie — powołanie, które jest wrodzonem zamiłowaniem szlachetnego serca, a z którego jedynie w słowach Garczyńskiego płynie i „myśl wysoka i czynów dzielność".

. . . .

Jakie to niezmierzone zadanie leży otworem dla młodych historyków polskich. Zamiast iść przykładem ostatnich lat trzydziestu i zatruwać bohaterskie serca młodzieży polskiej jadem zgoła nieuzasadnionych teoryj niemieckich, zastosowując je do dziejów polskich — przetworzyć przeciwnie historyę powszechną ludzkości w świetle tych idei polskich bohaterstwa i poświęcenia, z których tryumfem związany jest także tryumf sprawy polskiej!

. . . .

Co do mnie, przynajmniej, to czytam całą historyę na wspak obecnych teoryj niemieckich. Dla mnie historya jest historyą geniuszu i bohaterstwa. A wierzę z głębi duszy, że geniusz i bohaterstwo rodzą się tylko z czystego serca i szczerej pobudki. Wierzę, że nawet wielcy zbrodniarze historyczni to są tylko, jak szatan Miltona — anioły upadłe, że nawet ich serce czystem było wtedy, kiedy się tworzyła ich bystrość i energia i że dopiero losy późniejsze te dobre przymioty zwichnęły i w służbę złemu oddały.

Przypuszczam i wnoszę to z jego listów zamłodu do siostry pisanych, że nawet taki potwór buty, nienawiści, kłamstwa i zdrady, jak Bismark, kiedyś zamłodu, marząc pod wpływem Rousseau'a, tego samego Rousseau'a, któremu Niemcy zawdzięczają Kanta, Herdera, Schillera, Pestalozzego, zgoła wszystko, co jest szlachetne w ich literaturze, — unosił się szczerym entuzyazmem i szczerą miłością własnego narodu bez nienawiści dla innych, w tych chwilach niewinnych wyrobił tę wielkość swojego umysłu, której mu i wróg zaprzeczyć nie może, a że dopiero później za podszeptami szatana stał się tym krzywdzicielem, za jakiego my go znamy!

Wierzę w to, że geniusz i bohaterstwo rodzą się i powstają tylko w dobrej sprawie, choć potem nieraz upadają i ulegają złemu. Wierzę, ale umiejętnie udowodnić nie potrafię ani ja, ani nikt inny. Ale też przeciwnego twierdzenia mi nikt nie udowodni, dopóki ta księga zamknięta siedmiu pieczęciami — historya ludzkości, nie będzie spełniona z biegiem czasów i nie stanie otwartą przy sądzie ostatecznym.

. . . .

Wiara zatem w niechybne zwycięstwo pierwiastku dobrego, i w to, że zamiłowanie szlachetności i doskonałości jest najpotężniejszą sprężyną wszelkiej siły, bo wszelkiego

geniuszu i bohaterstwa, oto druga zasada pedagogiki polskiej.

IV.

Gorąca wiara w tryumf dobrej sprawy jest istotną treścią religii. Dlatego też wiara, jak religia, dowodów nie potrzebuje. Sercu szlachetnemu sama się narzuca, jako najprawdziwsza oczywistość. Sercu spaczonemu, zwątpiałemu i trwożliwemu żadne dowody nie wystarczą.

Niema też powszechniejszej przyczyny skeptycyzmu i niewiary, jak fałszywe lub niepotrzebne dowody tego, co żadnych dowodów nie potrzebuje i na co żadne dowody nie wystarczają. Dlatego daruję, komu chcę, wszystkich wielce szanownych Akwinaszów, Loyolów i Liguorich, którzy mi udowadniają, że słońce świeci. Człowiek udyscyplinowany w wiedzy XIX wieku na ich dowody ma tylko jedną odpowiedź — ruszy ramionami. Widzący, bez dowodów słońce zobaczy, ślepemu, ono wiecznie pozostanie niewidome.

Piszę zaś tylko dla widzących i wierzących. Z ślepych, zwątpiałych i trwożliwych z góry rezygnuję i daruję ich wszystkim dyabłom, lub komukolwiek, coby się troszczył o tak cenne nabytki.

. . . .

Gdyby wiara i religia była wiedzą, toby nie była objawieniem. Objawienie zaś posiada cechy prawdy w daleko wyższym stopniu, aniżeli jakakolwiek wiedza. Treść objawienia leży nieświadoma, drzemiąca na dnie serca ludzkiego i jest jego sumieniem. Przebudza się pod grzmotem historyi i piorunami wypadków, a od chwili, gdy słowo stało się ciałem, objawienie raz po raz zstępuje na ziemię i, jak błyskawica w ciemnej nocy, nagłym blaskiem rozdziera chmury i rozjaśnia cały widnokrąg.

. . . .

Jedne objawienia, jak ewangelia Chrystusowa, mają treść wieczną, trwałą po wszystkie wieki. Inne są czasowem zastosowaniem treści wiecznej do potrzeb danej chwili. Takiemi były dla każdej epoki: pisma i życie św. Pawła, później św. Augustyna, w średnich wiekach Zakonu Kluniackiego, jeszcze później Joachima da Flory i Franciszkanów.

Dla naszej epoki religijne objawienie streszcza się w literaturze mesyanicznej polskiej w Mickiewiczu, Cieszkowskim, Słowackim i Krasińskim, nastającej jak zorza lepszej przyszłości po złowrogiem panowaniu Jezuitów, którzy na kilka wieków cofnęli kościół katolicki i dotknęli paraliżem mózgowym i sercowym całe narody, jak hiszpański, portugalski, południowo włoski i polski.

. . . .

Zarówno też z opinią całej naszej literatury, największy koryfeusz obecnego kościoła katolickiego, kardynał Manning, uważa Jezuitów za jedną z głównych przyczyn, które opóźniają tryumf prawdziwej religii i których on też z własnej dyecezyi westminsterskiej, jako kompromitujących religię, zawsze wypędzał. Nie chcę być lepszym katolikiem od kardynała Manninga i wystarcza mi chrześcijaństwo Mickiewicza, Krasińskiego i Cieszkowskiego.

. . . .

Ta też wiara i religia, jak zwiastowana dla chwili obecnej i obowiązków dnia dzisiejszego przez naszych wieszczów — powinna obok wieczno-trwałych zasad ewangelii, których jest czasowem zastosowaniem, zastąpić w pedagogice polskiej strupieszały scholastycyzm, którym obecnie karmią spragnione młode umysły, a który daleko częściej wywołuje niestrawność, aniżeli wiarę. Krasiński i Mickiewicz będą chwytali za serce i natchną do dzielnych czynów tę młodzież, która pozostaje głuchą na elokwencyę i erudycyę Akwinaszów, Loyolów i Liguorich. Niechaj więc w przyszłości nikt zasłużonego i błogiego snu tych niegdyś wielkich, dziś zamszałych, powag, na zakurzonych i pajęczyną zasklepionych półkach naszych bibliotek, nie przerywa. Zróbcie to — zwróćcie się do naszej ewangelii narodowej, która powinna się stać ewangelią ludzkości, zwróćcie się do czystej krynicy natchnienia i prawdy, a zobaczycie, jakim zdrojem wybuchnie żywotna wiara i religia i rozprószy obojętności i wątpliwości, które obecnie, pomimo Akwinaszów, Loyolów i Liguorich tak powszechnie grasują.

. . . .

Kościół, zbliżywszy się do żywej prawdy i poruszywszy tętna narodu, w jednej chwili odzyska swą wszechwładzę nad sercami ludzkiemi. Czyż nie to odwrócenie się od życia jest przyczyną, że wszystkie te postacie kościoła polskiego, które nieśmier-

telnemi zasługami świecą w historyi naszej i żyją w sercach narodu, jak Augustyn Kordecki, Stanisław Konarski, ksiądz Marek, Stanisław Staszyc, Hugo Kołłątaj, arcybiskup Feliński, są jakby z umysłu pomijane przez pisarzy kościelnych, którzy ciągle nam stawiają za wzór Kantych i Kostków, zasłużonych może swojego czasu, ale których wielkich zasług umysł współczesny nie odczuwa dostatecznie. Czyż nie to odwrócenie się od pulsującego życia narodu jest przyczyną, że powagi kościelne z ukosa się patrzą na arcybiskupa Hryniewieckiego, apostoła Litwy w duchu pierwotnych czasów chrześcijańskich, za to, że jego męczeńska działalność psuła przemądre kombinacye i zyzowatą dyplomacyę zyzowatego Sycylijczyka Rampolli, któremu się uroiło, że może ugłaskać i podejść i opanować Moskwę.

. . . .

Ale wiara bez uczynków jest martwą. Dlatego trzeciem zasadniczem przykazaniem pedagogiki polskiej jest *dzielność w dobrej sprawie*. Tylko ta myśl jest prawdziwie wysoką i pochodzi ze szlachetnego serca i szczerej wiary, której odpowiada „czynów dzielność"! To przykazanie jest *kamieniem probierczym dla każdego Polaka*. W jego wykonaniu pokazuje się, czy jest Polakiem z ducha, czy tylko z nazwy i imienia.

Bo też *niedołęstwo*, to jest niewykonanie nakazu dzielności, *jest* najgłówniejszym z grzechów śmiertelnych, *grzechem przeciwko duchowi świętemu*, za który nie masz przebaczenia!

Niedołęstwo jest zarazem *narodowym grzechem polskim*, któremu winniśmy wszystkie nasze klęski, bo *usiłowania garstki bohaterów marnowały się zawsze niedołęstwem ogółu*. Dlatego też sprawa polska dotąd nie zwyciężyła, bo Polacy dotąd byli niedołężnymi przedstawicielami tej sprawy. To niedołęstwo w dobrej sprawie przynosi podwójną szkodę i dla nas i dla ludzkości. Dla nas, bo zaprzepaszczamy naszą własną przyszłość, dla ludzkości, bo widząc nasze bezsilne szamotanie się, utwierdzoną zostaje w swojej fatalistycznej wierze, że gwałt zawsze tryumfuje.

Poczciwe niedołęstwo nas wszędzie otacza. Jakiż to okres niedołężny między pierwszym a drugim rozbiorem Polski. Jakiż to nowy okres niedołęstwa od powstania r. 1863 do chwili obecnej, lat 35, okres dość długi, ażeby cały naród od góry do

dołu przerobić. Nie znam poczciwszego zgromadzenia, jak Sejm galicyjski, ale też niedołężniejszego, zgromadzenia, które tak łatwo zagrzać do poczciwych chęci, a tak trudno nakłonić do stanowczych czynów.

. . . .

W wykonaniu rozróżniamy trzy szeregi czynników bardzo nierównej wagi i doniosłości, pochodzące:

a) z serca, t. j. idee przewodnie,

b) z umysłu, t. j. umiejętność i wiedzę,

c) z musztry, t. j. punktualność i dokładność wykonania.

Ale czynniki niższej kategoryi, jak wiedza, a nawet najniższej, jak musztra, są również niezbędne do skuteczności działania, jak najwyższe t. j. idea przewodnia. Bo z braku ich najwyższe zalety zmarnowane zostaną. To też cała historya polska jest marnotrawieniem bohaterstwa i geniuszu z braku czynników niższej kategoryi, t. j. wiedzy i musztry.

To też, mimo, że musztra jest zabójczą, jeżeli chce zastąpić wiedzę, a wiedza przekracza swój zakres, jeżeli chce zastąpić natchnienie, to znowu natchnienie bez wiedzy i musztry jest bezsilne. Każdy prawdziwy geniusz czuje też potrzebę wiedzy, a poddaje się karności i nie lekceważy nawet drobnostek, bo jak mawiał Michał Anioł, od drobnostek zależy doskonałość, a doskonałość nie jest drobnostką.

. . . .

Wiedza i karność są niejako uzbrojeniem duszy ludzkiej do walki z wrogami. Tak samo, jak nie wolno narażać armii na klęskę przez niezaopatrzenie jej w dobrą broń, tak samo każdy Polak powinien się starać, żeby w broń duchową, t. j. wiedzę i umiejętność był zaopatrzony lepiej od nieprzyjaciela.

. . . .

Przez trzy wieki tak nie było. Świat katolicki przez te trzy wieki posiadał tylko tyle wiedzy, ile się mogło przedostać przez sito jezuickie, ile mogło przejść pod jarzmem kaudyńskiem klerykalizmu. I dzisiaj nie brak usiłowań, za często skutecznych, żeby nasze uniwersytety i szkoły ograniczyć do tej samej mizeryi. Stąd niezaprzeczona i do dziś niezłamana przewaga uzbrojenia duchowego świata protestantów i sceptyków. Stąd nieprzerwane i zasłużone klęski i kościoła katolickiego i narodów

katolickich od przeszło trzech wieków. Bicz dziejowy smaga i ten kościół i te narody, ażeby dać dotkliwą naukę, że *gnuśność umysłowa jest także grzechem śmiertelnym*.

. . . .

Brak należytego zrozumienia doniosłości wiedzy i jej roli w walce o byt, jest także główną, bodaj czy nie jedyną, przyczyną dotychczasowej bezpłodności naszego objawienia narodowego i naszej wielkiej literatury.

Mickiewicz czuł potrzebę realizacyi, Krasiński wołał: „zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje“, ale jeden i drugi nie rozumiał, że *salto mortale* z zamiaru do czynu wiedzie właśnie przez to, co oni tak nienawidzili, co tak lekceważyli: *przez wiedzę, umiejętność, technikę, przemysł, finanse*, przez codzienną szarą praktyczną pracę, od której żadne napięcie ducha wyzwolić nie potrafi. Zapomnieli, że to wszystko jest broń, od której wprawdzie duch prawideł nie przyjmuje, ale którą posiadać i którą dla dopięcia swoich celów władać powinien.

W swej walce z materyalizmem chcieli oni przedewszystkiem ochronić naród od zarazy moralnej, nie chcieli, żeby Polak stał się czcicielem złotego cielca, lub czcicielem faktu dokonanego, ale zapomnieli, że *do zwyciężenia czcicieli złotego cielca* i czcicieli faktu dokonanego *trzeba Polaków wyposażyć w broń umiejętną*, lepszą od broni, którą władają wyznawcy tych fałszywych bogów.

Nie mówię tego dla krytyki naszych wieszczów. Oni nam w spuściznie przekazali swoją duszę i na wszystkie wieki zapewnili odrębność duchową narodu polskiego. Dali najwznioślejszy wyraz nowej wierze i wskazali cele wszelkiego działania. Nam, epigonom, pozostaje szukać środków do skutecznego przeprowadzenia tych celów.

. . . .

Dopełnienie to naszej ewangelii narodowej, t. j. dostarczenie jej środków wykonania i uzbrojenia naukowo-technicznego, ja osobiście znalazłem w pozytywizmie Augusta Comte'a. Nie znałem w swojem życiu tych okresów skeptycyzmu i zwątpienia, przez które inni przechodzą. Nie odczuwałem też nigdy sprzeczności wiary i wiedzy. Od najwcześniejszej młodości ugruntowany w wierze na pismach Mickiewicza i Krasińskiego, a równocześnie kształcony w naukach matematyczno-przyrodniczych,

godziłem zawsze w swoim umyśle prelekcye Mickiewicza i psalm wiary Krasińskiego z szeregiem umiejętności pozytywnych, jedne jako prawidło dla ducha, drugie jako klucz do poznania przyrody i historyi.

Bo też Comte był równocześnie prorokiem i uczonym; prorokiem dziecinnej religii, ale za to uczonym, z największą intuicyą granic i zakresu wiedzy. Mając sam własnych i lepszych proroków, jego religii nie potrzebowałem; bo też Pan Bóg tylko narody cierpiące obdarzył intuicyą religijną — ale na polu wiedzy znalazłem w nim zwycięzkie oparcie całego materyalizmu naukowego, wykazanie fałszu historycznego doktryn rewolucyjnych, uznanie i zrozumienie zasług Kościoła katolickiego w średnich wiekach i ograniczenie zakresu wiedzy do koniecznych granic pojętności ludzkiej.

. . . .

Pozytywizm prawdziwy jest u nas prawie nieznany, a we Francyi prawie zapomniany. Nazwę tę niesłusznie przywłaszczają sobie i u nas i we Francyi materyaliści naukowi, których Comte tak potępił. Własny jego system przedstawia nauki z okresu, który już minął od lat siedemdziesięciu i nie uwzględnia olbrzymiego szeregu prac dwóch świeżych generacyi. Ale metoda pozostaje niezmiernie prawdziwą.

Naród, który ją pierwszy pojmie i do chwili obecnej zastosuje, który wyrzuci z wychowania sieczkę filozoficzną i prawniczą, a na należytem zrozumieniu nauk przyrodniczo-matematycznych oprze swoje nauczanie, wnet zdobędzie prym nad światem.

V.

Czwartem i ostatniem przykazaniem pedagogiki polskiej jest ustawiczna i czynna propaganda idei narodowej przykładem, życiem i słowem. Jest to jedyna droga do wytworzenia siły narodowej, tej jedynej rękojmi przyszłego zwycięstwa. A i dobra sprawa tylko siłą tryumfować może.

Znacie w muzeach florentyńskich odrażające portrety Machiawela, w których tylko błyszczą małe, przenikliwe, czarne

oczy. Otóż umysł jego bystry słusznie odkrył czy stwierdził, że historya ludzkości jest historyą siły, ale zwierzęca jego dusza, której jego obrzydła fizyognomia jest aż nadto prawdziwem zwierciadłem, w sile widziała tylko gwałt i nie rozumiała, że i szlachetne pobudki mogą być źródłem i pierwiastkiem siły.

Samo poczucie sprawiedliwości nie jest jeszcze siłą. Ale gwałt dokonany, jak krew przelana, woła o pomstę do nieba i w poczuciu krzywdy obrażona sprawiedliwość zyskuje niezrównaną sprężynę siły zwycięskiej. Takim samym pierwiastkiem siły jest wrodzone Polakowi zamiłowanie bohaterstwa. To są drogi, któremi sprawa Boża może i powinna nabrać siły, wystarczającej na zdruzgotanie gwałtu i bezprawia.

. . . .

Polska upadła, bo szlachcic zakażony był trucizną przywileju, żyd trucizną wyzysku, duchowieństwo stało się opasłem i wyziębłem, kołtun był zakuty w swojej ograniczoności, a chłop pogrążony był w gnuśności — a każda kasta zamknięta w swoim ciasnem kółku i związana węzłem fałszywej solidarności. To były cechy Polski upadającej i one się do dzisiaj przechowały, o ile idea Polski odrodzonej nie zrównała stanów we wspólnej służbie obywatelskiej.

Do dziś trwa ta kastowość, do dziś fałszywa solidarność każdej kasty i drażliwość na naruszenie któregokolwiek z dawnych narowów. Nie wolno skrytykować jakiegokolwiek obszarnika, bo już cała szlachta krzyczy gwałtu — każde potępienie pijawki żyda lub pasorzyta, uchodzi za antysemityzm — wykazanie jakiejkolwiek nietaktowości duchownej jest zaraz atakiem na religię — a powątpiewanie o mądrości politycznej pierwszego lepszego Bartka lub Macieja przedstawia się jako obraza całego ludu.

Dopóki trwa ta odrębność kastowa, dopóki trwa ta fałszywa solidarność stanowa, to mamy zawsze przed sobą tylko obraz upadłej ojczyzny — tej ojczyzny, która nie zasługuje na zmartwychwstanie.

. . . .

Czyż można mieć za wiele prawdziwej szlachty w społeczeństwie, tej, która zapomniała o przywilejach, a pamięta o swoich obowiązkach? Ależ czy ci, co dziś upierają się jeszcze przy resztkach dawnych exemcyi podatkowych, co chwytają za każdą synekurę, co wolą polować na posagi lub żebra-

o mizerne posady urzędnicze, lub łasić się przed protekcyą, aniżeli w pocie czoła uczciwie i samodzielnie pracować, czyż to jest ta szlachta, którą Krasiński widział w „Przedświcie“, w których obliczach „senatorska tli wspaniałość i niewoli wzgarda bucha?“. Niechaj więc prawdziwa szlachta polska puszcza niegodnych na złamanie karku, a przyłączy się do obywateli Polski odrodzonej, a pozostanie wierną i swojemu szlachectwu i swojej Ojczyźnie.

A chce żyd zostać obywatelem, niech się naprzód wyprze fałszywej solidarności z szachrajami i pijawkami swojego narodu i niech sam pracuje nad ich odrodzeniem moralnem. Niech antysemityzm, szerzący się równocześnie i z rozmaitych przyczyn i w Europie i w Ameryce, u Anglików, Niemców i Francuzów, go pouczy, że społeczeństwo chrześcijańskie nie zniesie, ażeby po udzieleniu równouprawnienia tak znaczna ilość żydów, z zamiłowania i z bezkarnością wolności, uprawiała te niechlujne praktyki, które kiedyś uchodziły jako wynik wiekowego upośledzenia i prześladowania.

Duchowieństwo niech idzie za przykładem Konarskich, Staszyców, Felińskich, Hryniewieckich, Issakowiczów i tylu innych księży obywateli, których naród z największą gotowością otoczy czcią i miłością. — A lud niechaj pamięta, że jeżeli dostąpił praw obywatelskich, to jest, że jeżeli w myśli polskiej został uszlachcony, to jeszcze się nie stał ani lepszym, ani mądrzejszym od tych, którzy od lat tysiąca, i to nieraz z chlubą i chwałą wiekopomną, na swoich barkach losy Ojczyzny nosili. Niech nie wierzy tym, którzy mu pochlebiają, ale tym, którzy od niego samego żądają praktyki tych wszystkich cnót obywatelskich, których brak on często w kastowej walce innym stanom zarzuca.

Zamiast fałszywej solidarności każdego stanu, „co wierzga dawnym narowem“, niechaj nowa duchowa solidarność obejmie wszystkich równych i dzielnych obywateli Polski odrodzonej, a wytworzymy naprawdę zawiązek, z którego przyszła Polska powstać może.

. . . .

W tem leży nieśmiertelna wielkość Mickiewicza, jako przewodnika narodu, że on pierwszy pojął i narodowi powiedział, że zbawienie Ojczyzny leży nie w kombinacych politycznych, programach konserwatywnych lub demokratycznych, spiskach,

knowaniach lub koteryach, ale w odrodzeniu moralnem narodu, które się musi zacząć od odrodzenia jednostek, skupiających się w coraz liczniejsze i coraz gorętsze ogniska, dopóki ich żarem i płomieniem nie przejmie się cały naród.

Chwila zmartwychwstania Ojczyzny ukryta jest w wyrokach Opatrzności. Tyle atoli możemy wiedzieć, że nie wybije ona prędzej, zanim na nią zasłużymy, zanim wszyscy potomkowie Polski upadłej nie staną się już w duchu obywatelami Polski odrodzonej.

. . . .

Cztery przykazania pedagogiki narodowej, dopiero co wyłuszczonej, zmierzają do tego celu:

1) odstrychnąć się od trędowatych, nikczemnych, lub obojętnych, a skupić się w grona, bijące jednem sercem i zdążające do jednego celu;

2) wyznawać gorącą wiarę w tryumf sprawy Bożej;

3) wykształcić siebie samego na dzielnego szermierza idei narodowej;

4) propaganda życiem, przykładem i słowem odrodzonej Polski i werbowanie dla niej obywateli.

Przykazania te są wykonalne w biały dzień, bez spisków i knowań, wszędzie, pod każdym zaborem. Każdy Polak, który w wykonaniu swoich codziennych obowiązków pracuje nad tem, żeby się stać dzielnym i zachęca i pomaga innym do tego samego celu, będzie czuł w swojem sercu, że dorzuca cegiełkę do odbudowania Ojczyzny.

. . . .

Polacy, jako naród, mają g e n i u s z p r o p a g a n d y. Myśl, pochodząca z serca narodu, piorunem się rozchodzi wśród mas ludowych, jak to okazał okres 1860—1862 roku. Usposobienie, które wtenczas panowało wśród Polaków i odbijało się w każdem towarzystwie, w każdem kółku, jest jedynie godne Polaków. Można było powiedzieć: g d z i e s i ę w a s t r z e c h z g r o m a d z i, t a m O j c z y z n a b ę d z i e m i ę d z y w a m i. W takiem usposobieniu Polak już się czuje w domu, w swojej własnej Ojczyźnie, chociaż należy jeszcze do Polski walczącej, a jeszcze nie do Polski zwycięskiej. Nie widzi tej płochości i błahości i podłości, która cechowała Polskę upadającą, a która pod nazwą rozumu politycznego na nowo się rozpostarła między nami.

. . . .

Nie piszę tu apologii powstania roku 1863. W mojem przekonaniu było ono po przykładzie niepodległości włoskiej psychologiczną koniecznością, a upadło mniej z własnej winy, niż dzięki bezrozumowi mężów stanu austryackich i francuskich, którzy nie zrozumieli, że burza, która nas zwaliła, także ich samych pochłonie.

Jabym kierownikom powstania całkiem co innego zarzucił, t. j. że zdecydowawszy się na krok szalony, nie dbali więcej i przedewszystkiem o najlepsze uzbrojenie. W tem, nie w samym fakcie powstania okazuje się ich niedojrzałość. Wszak już wówczas istniała w Ameryce broń lepsza nawet od obecnej, cóż dopiero od rosyjskiej z roku 1863, wszak już były repetyerki i Remingtony, które mogłyby wówczas większych cudów dokazać, niż później iglicówki, Chassepoty i Werndle. Są we Lwowie ludzie, którzy z własnego doświadczenia opowiadać mogą, z jakiem lekceważeniem spotkały się starania, powzięte w celu zaopatrzenia powstańców w najlepszą broń. Sam pamiętam, jak potomek rodziny polskiej, genialny chemik wiedeński i profesor mój, Wincenty Kletzinsky, daremnie ofiarowywał wówczas proch bezdymny, obecnie we wszystkich armiach zaprowadzony.

Z tych faktów wnoszę, że nawet w chwilach, w których powstanie jest bezcelowe i niemożliwe, trzeba naród przedewszystkiem uzbroić — uzbroić nie w broń wojskową, ale w broń życiową, w wiedzę, umiejętność, w finanse, budżet i dzielność życia codziennego.

. . . .

Ale atmosfera duchowa, która wówczas panowała, na zawsze pozostanie godna podziwu, i kto jej choć na chwilkę skosztował, będzie do niej tęsknił całe życie, jak pielgrzym w pustyni do zielonej oazy. I to jest jedyna atmosfera, w której u Polaka może się wyrobić charakter; a nawet w ruchu ekonomicznym, czego nam obecnie najbardziej brakuje — to nie pieniędzy lub wykształcenia, lecz charakterów.

. . . .

Charaktery tworzą się tylko w sprzyjającej atmosferze — a atmosfera nas ogarniająca jest stęchłą atmosferą plutokracyi europejskiej, w której góruje ordynarność, dzieciństwo i nieuctwo, a pod wykwintnemi pozorami wszystko się skupia około kart, butelki i dziewek.

. . . .

Człowiek dopiero jest człowiekiem, jeśli żyje w służbie idei. Bez tego należy conajwyżej do bydła ludzkiego, choćby miał krew niewiedzieć jak niebieską i był ulepiony z niewiedzieć jak delikatnej marymonckiej mąki.

. . . .

Im jakie towarzystwo jest bardziej ekskluzywne, tem wszechwładniej w tej śmietance towarzyskiej przewodzą żywioły ordynarne, dziecinne i niewykształcone, tem wszechwładniej panują karty, butelka i dziewki. To są najniebezpieczniejsi anarchiści naszych czasów, o wiele gorsi i nikczemniejsi od agitatorów ulicznych — bo przecież nikt na seryo myśleć nie może, że zdobycze cywilizacyi, cały aparat rządu i sprawiedliwości, policya i wojsko na to istnieją, ażeby garstka ulubieńców fortuny mogła się bezkarnie oddawać kartom, butelce i dziewkom.

. . . .

I u nas od czasu, jak patryotyzm, dzięki straży pożarnej, należy do niedobrego tonu, szlachetniejsi ludzie, ażeby się nie narazić na śmieszność, kryć się muszą ze swojemi myślami i uczuciami i rej pozostawić nieukom ordynarnym i dziecinnym. Przykład z góry zaraża nawet kasyna literackie i mieszczańskie, w których trzeba conajmniej udawać, że się nic nie ceni, krom kart, butelki i dziewek. Studenta odrywają od nauk karty, butelka i dziewki, bo jeżeli nie jest zapaleńcem socyalistycznym, a wyznaje prawowierne opinie religijne i polityczne, to mu to ujmy nie czyni. W przemyśle nie może się poszczęścić nafciarzowi, żeby go zaraz dyabli nie brali i nie chciał emulować z śmietanką towarzyską. Sklepiki wiejskie nawet upadają, nie dla braku odbiorców, nie dla konkurencyi żydowskiej, ale dla kart, butelki i dziewek!

. . . .

Karty, butelki i dziewki więcej zatraciły majątków, więcej życia poniszczyły, aniżeli wszystkie konfiskaty i więzienia polityczne!

. . . .

Cała pedagogia, wszystkie szkoły są daremne, dopóki taki stan istnieje. *Nie masz wykształcenia bez charakteru.* Niechaj więc w każdym stanie ludzie idei odłączą się od bydła ludzkiego, które nam obecnie przewodzi, a *wytworzą* pier-

wszy i niezbędny warunek wszelkiego wychowania narodowego, t. j. atmosferę, w której mogą się rozwijać szlachetne charaktery.

VI.

Społeczeństwo plutokratyczne i biurokratyczne nietylko obniża poziom charakterów w całem społeczeństwie, ale specyalnie poniża stan nauczycielski, redukując go do rzeczy kupnej za pieniądze, rangi i tytuły. *Corruptio optimi pessima.* Z im wyższego stanowiska się spada, tem głębiej się zanurza. Nauczyciel karyerowicz, nauczyciel, nakręcony jak katarynka, żeby odegrać nutę z góry nakazaną, nauczyciel, uczący za pieniądze i dla pieniędzy, może mieć dyplom i patent nauczyciela, ale będzie zawsze tylko nie nauczycielem, ale koruptorem młodzieży.

Zapewne, że i nauczyciel z powołania daje czas i fatygę, za którą mu się należy słuszne wynagrodzenie, ale on daje prócz tego to, czego żadne skarby świata kupić nie mogą — daje swoją duszę, pobudza zapał do wszystkiego, co wielkie i szlachetne, przejmuje własnem pragnieniem wiedzy, zapala własnym ogniem i rozdmuchuje w duszy młodej iskrę nieśmiertelną. *Nur der Hunger verdaut, nur die Liebe befruchtet.* Tylko taki też zasługuje na dostojne miano nauczyciela. Choćby nie wiedzieć jak hojnie wynagrodzony, on stokroć więcej daje, niż bierze, jest dobroczyńcą i rodziców i młodzieży mu powierzonej.

Dlatego też już starodawni Aryowie w Indyach wyżej cenili dostojność nauczyciela (guru), aniżeli dostojność rodzicielską, bo mówili, że rodziciel jest tylko ojcem ciała, „guru“ zaś ojcem duszy.

W najgorszych czasach nam nigdy nie brakowało na takich nauczycielach i da Bóg, nigdy brakować nie będzie.

. . . .

Społeczeństwa wolne więcej zawsze kładą nacisku na wyrobienie charakteru, społeczeństwa zaś biurokratyczne na wiedzę lub raczej wytresowanie w wiedzy, — bo jedne potrzebują samodzielnych obywateli, drugie zaś płatnych sług — jedne żyją siłą społeczną — drugie rygo-

rem biurokratycznym. Świat anglosaski jest obecnie przedstawicielem pierwszego typu, cała prawie Europa kontynentalna przedstawicielem drugiego.

Czyżby było wątpliwem, do którego typu dawna Polska należała, do którego Polska odrodzona należeć powinna?

. . . .

Nasza historyozofia obecna nie ma wątpliwości: Dawna Polska upadła z braku silnego rządu, tylko silnym rządem może się odrodzić.

Risum teneatis!

Rychło w czas tę prawdę odkryli! Przypomina mi to słowa Bismarka, który po skutecznie dokonanem *coup* dyplomatycznem szydził ze swych nieprzyjaciół: „Oni się naradzają nad tem, co wczoraj by byli powinni zrobić“. Cała historyozofia polska od lat trzydziestu jest *l'esprit d'escalier* tego samego rodzaju. W dawnej Polsce dyskusya była możliwa nad tem, co jest skuteczniejsze, czy siła społeczna, czy siła rządowa, czy silne charaktery, czy silna biurokracya. Dziś, kiedy własnego rządu nie mamy i mieć nie możemy, szkoła historyczna, która odwraca od jedynej drogi nam otwartej, t. j. od uprawy siły społecznej i silnych charakterów, jest wprost zabójczą.

. . . .

A w dodatku jest ona historycznie krótkowidzącą. Czyż Hiszpania, która posiadała wszechwładzę królewską, nie upadła równie nisko, albo też niżej od Polski i nie byłaby również zatraciła swej niepodległości bez skutecznej pomocy wojska angielskiego i pieniędzy angielskich? Czy wszechwładza słynnej biurokracyi pruskiej nie runęła pod Jeną, jak dom z kart, i czyż odrodzenie Niemiec nie zaczęło się raczej od „Cnoty“, od „Tugendbundu“, a nie od wzmocnienia rządu. Czyż i dzisiaj na żywotność obecnej biurokracyi pruskiej nie składają się raczej okruchy z ducha tych geniuszów, które od Herdera do Goethego i Humboldta postawiły naród niemiecki na czele ruchu umysłowego całego świata — a nie nowe i umiejętne paragrafy dyscyplinarne. Czyż silny rząd z całym aparatem statystyki, finansów, komunikacyi, nie jest starodawnym wyrobem martwego despotyzmu azyatyckiego, który już dwa tysiące lat przed Chrystusem był w pełnym rozkwicie w Babylonu, a który tak często daremnie się druzgotał o geniusz i bohaterstwo wolnej Europy? Czyż to nie umierające społeczeństwo rzym-

skie przyjęło biurokratyzm azyatycki za Dyoklecyana, tego prawzoru późniejszych królów absolutnych, a przecież niebawem marnie zginęło, podczas, gdy anarchiczna na pozór, a duchowo karna rzecz pospolita rzymska cały świat zdobyła.

Społeczeństwo anglo-saskie do dzisiaj nie zdobyło się jeszcze na umiejętną biurokracyę, a mimo to zabrało dla siebie lepszą połowę całego świata.

. . . .

Całe niebo dzieli organizacyę od biurokracyi. W szlachetności charakteru tkwi więcej karności, aniżeli w przysiędze służbowej, a w geniuszu więcej siły, aniżeli w najdoskonalszej maszynce administracyjnej. Karność i organizacya to są niezbędne przymioty, ale muszą być oparte na szlachetnych charakterach i wiedzy głębokiej.

. . . .

Szkoła galicyjska, w języku polskim, nieraz skuteczniej wynaradawia od szkoły rosyjskiej.

. . . .

My, obywatele Polski odrodzonej, nie pójdziemy na lep modnych i wygodnych sofisteryi historycznych. Nie pójdziemy „z Chrystusowych Kalwaryi do moskiewskich kancelaryi“. My, wolni już w duchu, będziemy się starali zastosować nasze życia i usiłowania do ducha społeczeństw wolnych. W myśl poprzednio przedstawionych czterech zasad, służących do wykształcenia charakteru, przyjmiemy następujące cztery prawidła co do wykształcenia umysłu:

1) że podstawą całego wykształcenia jest wykształcenie życiowe i autodydaktyzm, a zadaniem szkoły jest nie zagwoździć umysł, ale przeciwnie, przysposobić go, aby był otwarty, potrafił patrzeć na życie własnemi oczyma i uczyć się z życia;

2) że w społeczeństwie demokratycznem szkoła winna być w harmonii z ustrojem politycznym i główny nacisk łożyć na wychowanie równe, ludowe i obywatelskie całego ludu;

3) że w wykształceniu pamiętać trzeba przedewszystkiem o warstwach produkujących i zarabiających, przysparzających majątku publicznego, a nie o warstwach spożywających, lub żyjących z grosza publicznego;

4) że wykształcenie przyrodniczo-matematyczne jest podstawą wszelkiego zdrowego wykształcenia w XIX wieku, nawet

filologicznego i prawniczego, które bez takiej podstawy stają się bezużyteczną i szkodliwą nawet sieczka i plewą.

. . . .

Poprzednio wyłuszczone cztery zasady kształcenia charakteru i powyższe cztery prawidła kształcenia umysłu obejmują cały problem wychowania, tj. *cele działania*, wskazane przez wiarę, na których się opiera charakter — i *środki umiejętnego działania*, których dostarcza wiedza, a których posiadanie zapewnia skuteczność i praktyczność działania. *Połączeniem szlachetnego charakteru ze skutecznem działaniem wytwarza się dzielność.*

Nie będzie już tego rozbratu wiary i wiedzy, na który społeczeństwo polskie tak długo chorowało i który od czasów konfederacyi barskiej paraliżował wszystkie nasze usiłowania, z góry skazane na bezsilność, bo zanadto często z wiarą łączyła się ciemnota, a z wiedzą nikczemność. Wiara i wiedza w najwyższej potędze są równie potrzebne, ale także w swoim zakresie, wiara dla kierowania duszą, *wiedza dla opanowania przyrody. Najuniwersalniejsza wiedza w służbie najgoretszej wiary, najskuteczniejsza umiejętność działania w służbie najszlachetniejszego charakteru: oto typ, który zawładnie ludzkością*, bo któż się oprze *takiej potędze*. Miałżebym być za śmiały w przypuszczeniu, że z wszystkich narodów *Polacy są powołani do jego urzeczywistnienia*? — że największa krzywda w historyi, rozbiór żywego narodu, zostanie pomszczoną i powetowaną w ten sposób, dla zmartwychwstania Polski i dla podniesienia całej ludzkości?

. . . .

Każdy człowiek, który przykazanie Boże w sercu nosi, uczy się przez całe życie, doświadcza, spostrzega, zastanawia się, próbuje i sprawdza, żeby dojść do pewnej harmonii ze swojem otoczeniem i do spełnienia swoich obowiązków wobec rodziny, społeczeństwa i Boga. To się nazywa mądrością i różni się wcale od uczoności, której się nabywa w szkole. Mądrym może się stać każdy w miarę swojego światła i swoich obowiązków. A najwyższe nawet wykształcenie szkolne jest dopiero wstępem do wykształcenia życiowego.

Przykład Benjamina Franklina, który bez szkół „Niebu wydarł piorun, a berło tyranom“, i tylu innych dowodzi, jak

daleko usiłowanie włane może zaprowadzić. Geniusz, który tworzy prawidła, zwykle jest autodydaktem, a jednak nieskończenie przewyższa tych, którzy tych prawideł się uczą i je naśladują.

. . . .

Żadna szkoła nie zastąpi wykształcenia życiowego!

Rzym i Grecya za czasów swej chwały płodne były w geniusze, a szkół nie posiadały; upadający Rzym, niewolnicza Grecya z czasów aleksandryjskich pełnemi były szkół, w których daremnie szwargotano o tej mądrości i tym harcie, których z życia nikt już wycisnąć nie umiał.

. . . .

Martwota galicyjskiego systemu szkolnego pokazuje się najlepiej w tem, że większa część naszych dyplomowanych doktorów filozofii, teologii i obojga praw, chociaż wybębnili pewien zakres informacyi przed otrzymaniem dyplomu, potem już się z życia uczyć nie umieją i nie okazują żadnego interesu dla spraw duchowych.

Najlepsza szkoła jest ta, która zaopatruje w metodę uczenia, która uczy się uczyć, która wychowuje zdrową odporność, śmiałą dzielność i zaufanie do sił własnych — zamiast jezuickiego systemu ostrożności, posłuszeństwa, protekcyi i protekcyjek i rozdziału opatrznościowego na paniczów i pospólstwo.

. . . .

Jak to już Grecy uczyli w swojej fabule o Herkulesie na rozdrożu, cała przepaść istnieje pomiędzy ludźmi, pnącymi się po stromej ścieżce do góry, dla których wytężenie jest największą przyjemnością, a niebezpieczeństwo upojeniem — a dekadentami, oddającymi się bezpiecznej wygodzie, gnuśności i rozkoszy. Pierwsi uzupełnią w życiu wszystkie braki wykształcenia szkolnego, drugim ono się na nic nie przyda. Pierwsi, jak nowożytna maszyna o wysokiem ciśnieniu, zaprawieni są do zwycięstwa w walce o byt, drudzy nie wzniosą się nigdy po nad mizerny szablon pracy biurokratycznej, lub mozolną mitręgę najemnika.

. . . .

Doświadczenie życiowe przedewszystkiem potrzebne jest dla tych, którzy mają młodzież wychowywać — dla nauczycieli.

W średnich wiekach, każdy rzemieślnik po swoich latach nauki (*Lehrjahre*), przechodził przez lata wędrówki po kraju,

lata doświadczenia życiowego (*Wanderjahre*), zanim mógł zostać mistrzem i samodzielnie wykonywać swe rzemiosło i nauczać i wychowywać drugich (*Meisterjahre*). — Jest to przykład tych głębokich instytucyi, które samorzutnie wyrastają w wiekach wiary, a są o tyle płodniejsze od uczonych systemów, skomponowanych w wiekach skeptycznych przy zielonym stoliku.

Czyżby praktyka, uważana w średnich wiekach za konieczną dla każdego rzemieślnika, nie powinna być zastosowaną obecnie do wykształcenia, już nie rzemieślnika, ale tego nauczyciela z powołania, którego tak szukamy. Czyż po latach w seminaryum lub na fakultecie filozoficznym nie są niezbędne lata doświadczenia życiowego, Wanderjahre, zanim będziemy mieli mistrza w nauce życia, mistrza, który porwie i poprowadzi za sobą młodzież mu powierzoną.

Obecnie tylko Jezuici, ci najgłębsi, może jedyni pedagodzy naszych czasów, w ten sposób kształcą swoich nauczycieli. Jaka szkoda, że cała ich podziwienia godna umiejętność wywarta jest w fałszywym kierunku ujarzmienia umysłów pod jarzmo martwej doktryny, zamiast ich usamowolnienia — wywarta jest w kierunku nałożenia kajdan, krępujących i charakter i umysł, zamiast dążenia do swobodnego rozwoju geniuszu i bohaterstwa.

. . . .

Na tem najważniejszem polu, t. j. nauki własnej, społeczeństwo nasze prawie ogołocone jest z wszelkich środków pomocniczych. Niema w kraju zgoła warsztatów naukowych, do którychby wszyscy mieli przystęp wolny. Niema ani jednej biblioteki naukowej na wysokości swego zadania, a powinno by ich być kilkadziesiąt. Do każdego wykładu tylko przypuszczają tych, którzy się wykazać mogą pewnymi zapisami i szpargałami.

. . . .

Do zasadniczych postulatów demokracyi, t. j. równości duchowej wobec Boga i świata, należy także i to, żeby poważać ludzi przedewszystkiem podług ich wykształcenia życiowego i nie otaczać książkowej uczoności, tak często martwej lub wręcz przewrotnej, tą aureolą, która obecnie upatentowanym w świadectwo rządowe daje przywileje, na które jeszcze mniej zasługują, aniżeli dawna szlachta zasługiwała na przywileje szlacheckie.

W prawdziwej demokracyi tkwi niezmierzona siła, bo choć nie wybrani, to wszyscy są powołani, bo czerpie się geniusz z zasobów całego narodu. W tem polega siła kościoła średniowiecznego, że to była jedyna organizacya demokratyczna wpośród ekskluzywności kastowych, że syn chłopski Hildebrand mógł jako papież Grzegorz VII wynieść się ponad wszystkie króle i cesarze ówczesne.

. . . .

Polska szlachecka, skonfiskowawszy posady duchowne dla szlachty rodowej, bardziej odstąpiła od zasad kościoła chrześcijańskiego, niż gdyby była popadła w niewiedzieć jakie aryańskie kacerstwo.

. . . .

Prawdziwe demokracye, jak Stany zjednoczone i Szwajcarya, zaczynają od szkoły ludowej równej dla wszystkich; to też społeczeństwo tamtejsze osiadłe jest na niewzruszonych posadach. U nas, z rachuby politycznej, narzucono ustrój demokratyczny, a nie dano oświaty, jak gdyby umyślnie chciano wywołać przewrót i rewolucyę!

. . . .

Szkolnictwo ludowe urządzone jest u nas podług satyry, którą przed dwustu laty napisał Molière w *le bourgeois gentilhomme* o wymawianiu litery „a“. Męczą dzieci z niemiecka zbytecznemi oczywistościami, a brak głębszej idealnej treści. Gdyby matka chciała niemowlę podług tej samej pedagogii wychowywać, żadne dziecko by się nie nauczyło ani mówić, ani chodzić. Ja dotąd nie umiem w słowach wytłumaczyć, jak się wymawia litera „a“, ale, chwała Bogu, z tego w życiu nie czułem żadnego niedostatku!

. . . .

Śpiew religijno-narodowy, jako wyraz dla uczuć wzniosłych i szlachetnych. — Rysunek w myśl „*le Dessinateur*“ Violet le Duc'a, jako nauka spostrzegania — gimnastyka dla wyrobienia tego zdrowego ciała, w którem się rodzi zdrowa myśl, oto naturalne podstawy powszechnego wychowania, którego dopełnieniem po winna być nauka o prawach i obowiązkach obywatelskich.

. . . .

Społeczeństwo składa się z warstw produkujących: rolników, rzemieślników, kupców, przemysłowców, przysparzających społeczeństwu zasobów — i z tych, które te zasoby konsumują, trawią, lub nieraz marnotrawią, jak próżniacy, urzędnicy i inteligencya wszelkiego rodzaju. Ta ostatnia ma często zadanie wielkiej doniosłości, ale nie wytwarza bogactwa narodowego; księża żyją z naszych grzechów, lekarze z naszych chorób, prawnicy z naszych kłótni.

Wogóle warstwy, które trawią lub marnotrawią, pracują u nas na sposób europejski. Mianowicie na wykwintny sposób europejski żyje i rozkoszuje sobie próżniactwo. Tylko produkcya odbywa się po barbarzyńsku, bez skutecznej wiedzy, techniki, maszyn lub narzędzi. Stąd biedne, anemiczne nasze społeczeństwo ugina się pod rynsztunkiem cywilizacyjnym ludzi spożywających, lub marnotrawiących.

. . . .

Oświata nowożytna polega na pojęciu o wszechwładnem prawie natury. Kto sobie tego nie wyrobił, ten żyje w jakichś wiekach ubiegłych, ale nie naszych. Dlatego czas dawno minął, gdzie na gramatyce lub na prawach można się było wyrobić na wykształconego człowieka. Cóż się poznaje w gramatyce? — Reguły, od których są wyjątki. Cóż się poznaje w prawie? — Ustawy, które ludzie od czasu do czasu dowolnie zmieniają. I jedno i drugie zatraca w umyśle pojęcie niezłomnego prawa natury. Zatraca się pojęcie, że jedynym kluczem do opanowania głuchej i bezlitosnej przyrody jest wiedza, że nawet społeczeństwo ludzkie ma swe własne przyrodzone prawa rozwoju i nie da się ująć w paragrafy.

. . . .

Wielką też miotłą trzeba wymieść jałową mądrość przedpotopowych gramatyków i paragrafowiczów, których zarozumiała formalistyka bez treści stanowi jedną z głównych przeszkód publicznego i parlamentarnego działania. W wieku obecnym nawet filologia i prawo odradzają się na podstawie nauk matematyczno przyrodniczych, bez których nie może być nowożytnego wykształcenia i zrozumieć nie można nowożytnej psychologii i socyologii.

. . . .

Nasi przemądrzy filologowie nawet nie rozumieją, jak uczyć nauk przyrodniczych, że bez laboratoryów i warsztatów są one martwe, przydadzą się psu na buty. Bębnienie może wystarczyć dla filologii i prawa, ale do przybytku natury nie wpuszcza.

Nauki matematyczno-przyrodnicze nie są tylko fachowem wykształceniem techników, ale konieczną podstawą całego nowożytnego wykształcenia.

. . . .

Tylko ograniczeni księża potrafią niestrawnym katechizmem i niestrawniejszą dogmatyką przeszkodzić uwielbieniu i oddaniu się rzeczy tak wzniosłej, jak religia, tylko ograniczeni filologowie potrafią suchą gramatyką odstraszyć od rzeczy tak wspaniałej, jak filozofia i literatura grecka.

. . . . ,

W oświacie, jak we wszystkich rzeczach duchowych, nie może być innego celu, jak doskonałość, jak zdobycie duchowego prymatu nad światem. Na polu politycznem, ekonomicznem często rozstrzyga statystyka, liczba, położenie geograficzne, nagromadzone zasoby, siły nieprzyjacielskie. Ale w rzeczach duchowych wszelkie ograniczenia ustają.

Któż nam może przeszkodzić do czerpania bez miary w skarbcu wiedzy, do przywłaszczania sobie najwyższej miary cywilizacyjnego dorobku ludzkości. Któż nam może przeszkodzić w dorobieniu się mądrości, dzielności, w pobudzeniu geniuszu i bohaterstwa, a przytem może pierwszeństwo duchowe wyrówna nawet niejedną niższość materyalną?

. . . . . . , . . .

Nie łudzę się, że czasy są bliskie, gdzie zasady narodowe wychowania dadzą się prędko lub wogóle wprowadzić do rządowego systemu szkół. Dopóki będzie istniało ministerstwo oświaty w Wiedniu, to Austrya nie będzie pojmowała innej oświaty, jak skneblowanej teoryami biurokratycznemi. Można usunąć najgorsze usterki, społeczeństwo może tchnąć w nauczycielstwo własne uczucie powołania, w uczniów i studentów zdolność i pragnienie do kształcenia własnego. Ale jeżeli chcemy coś więcej wytworzyć, pozostaje tylko jedna droga t. j.

wysiłku własnego, ofiarności obywatelskiej, jak niegdyś w Krzemieńcu za Czackiego.

Mogli nieprzyjaciele światła urządzić sobie Chyrów, czyżby apostołowie światła i wychowania obywatelskiego nie mogli się zdobyć na założenie zakładu, któryby odpowiadał i dawnym tradycyom polskim i potrzebom obecnego społeczeństwa polskiego.

Zapewne to trudne, ale w górę myśli i serca polskie, a wszelkie trudności znikną, bo one tylko dla małodusznych istnieją.

Sursum corda!



Dzieła z zakresu krytyki, estetyki, historyi, literatury i nauk społecznych i historycznych

wydane nakładem Tow. Wydawniczego we Lwowie:

	K. h.	Rb. k.
Z. Balicki. Egoizm narodowy wobec etyki. Wydanie drugie uzupełnione. 8-ka mała, str. 94. Lwów 1903. (Wyczerpane)	1.20	—.60
Al. Brückner. Z dziejów języka polskiego. Studya i szkice. 8-ka, str. 136. Lwów-Warszawa 1903	1.50	—.65
P. Chmielowski. Henryk Sienkiewicz. 8-ka, str. 225. Lwów-Warszawa 1901. (Na wyczerpaniu)	3.—	1.25
R. DMOWSKI. Wychodztwo i osadnictwo. Część I. 8-ka, str. 109. Lwów 1900	2.—	—.90
— Myśli nowoczesnego Polaka. Wydanie drugie. 8-ka, str. XXIV i 217. Lwów 1904. (Na wyczerpaniu).	2.50	1.25
Fr. Gawroński-Rawita. Studya i szkice historyczne. Serya II. 8-ka, str. 241. Lwów 1900	4.—	1.80
S. Goszczyński. Pisma. Tom I. Powieści wierszem. 8-ka, str. 317. Lwów 1904	3.—	1.20
— Pisma. Tom II. Pieśni Ossjana. 8-ka, str. 340. Lwów 1904	3.—	1.20
B. Koskowski. Gmina wiejska. Zarys samorządu gminnego w Królestwie Polskiem. 16-ka, str. 71. Lwów 1899 . .	—80	—.50
Z. Miłkowski. Skarb Narod. Polski. 8-ka, str. 211. Lwów 1905	2.50	1.25
A. Neuwert-Nowaczyński. Studya i szkice. 8-ka, str. 302 Lwów-Warszawa 1901	4.—	2.—
A. Potocki. Szkice i wrażenia literackie. 8-ka, stronic 316. Lwów 1903	4.—	2.—
— Stanisław Wyspiański. 8-ka, str. 150. Lwów 1902 . . .	3.—	1.50
— Marya Konopnicka. 8-ka, str. 94. Lwów 1902	1.50	—.60
— Wychowawcze zadania ogółu. Szkolnictwo francuskie od 1870—1895. Rok dziecięcy. 8-ka, str. 202. Lwów-Warszawa 1907	3.50	1.40
K. Srokowski. Likwidacya caratu. 8-ka, str. 150. Lwów 1905 .	3.—	1.50
A. Szelągowski Dr. Pieniądz i przewrót cen w XVI i XVII wieku w Polsce. 8-ka, str. 317. Lwów 1902	7.—	3.—
St. Troska. Polska i Rosya w przemianie. 8-ka, stronic 183. Lwów 1906	3.—	1.50
Z. Wasilewski. Nowy Konrad (Rozbiór Wyzwolenia Wyspiańskiego). 8-ka, str. 74. Lwów 1903	1.20	—.50
— (Przygodny) Warszawa współczesna w 12 obrazkach. 8-ka, str. 160. Lwów 1902	1.50	—.60
— Śladami Mickiewicza. Szkice i przyczynki do dziejów romantyzmu, 8-ka, str. IV i 300. Lwów 1905	3.60	1.50
— Od romantyków do Kasprowicza. Studya i szkice literackie. 8-ka, str. 474. Lwów-Warszawa 1907	5.50	2.20

	K. h.	Rb. k.
St. Witkiewicz. Sztuka i krytyka. Wydanie III, 8-ka, str. XXXI i 710. Lwów 1899. (Wyczerpane)	—.—	—.—
— Bagno. 8-ka, str. 80. Lwów 1903. (Na wyczerpaniu)	1.—	—.55
— Dziwny człowiek (Józef Siedlecki). Z portretem. 8-ka, str. 144. Lwów 1903	1.—	1.50
— Aleksander Gierymski. 8-ka, str. 191. Lwów 1903	2.—	1.—
— Juliusz Kossak. Studyum. 8-ka, str. 288. Lwów 1906	3.60	1.80
— Na przełęczy: Po latach. Tatry w śniegu. Na przełęczy. Str. 144 i 296. Wydanie drugie powiększone. Lwów 1906	4.80	2.40

Utwory Jana Kasprowicza

wydane nakładem tegoż Towarzystwa:

Krzak dzikiej róży. Poezye. Wydanie drugie zmienione, 16-ka, str. 248. Lwów—Warszawa 1906	3.60	1.80
Wybór poezyi. 16-ka, str. 242. Lwów 1902. (Na wyczerpaniu)	3.—	1.50
Ginącemu światu. Dies irae. Salome. Święty Boże, Święty mocny. Moja pieśń wieczorna. 4-ka, str. 81. Lwów 1902 (Na wyczerpaniu)	3.60	1.80
Bunt Napierskiego. Poemat dramatyczny. Z ilustracyami Stan. Dębickiego. 16-ka, str. 3 nl. i 186. Wydanie ozdobne	3.20	1.80
Baśń nocy Świętojańskiej. Prolog na otwarcie teatru miejskiego we Lwowie. 8-ka długa, str. 36. Lwów MCM	1.—	—.55
Poezye. Wydanie nowe. 16-ka, str. 238. Lwów 1905	3.—	1.50

Tłumaczenia:

Franczeska z Rimini, Gabriela d'Annunzio. Tragedya. 8-ka, str. 236. Lwów—Warszawa 1906	5.60	2.80
Siostra Beatryks, Maurycego Maeterlincka. 8-ka, str. 52. Lwów-Warszawa 1907	2.—	—.80

W druku:

Salve Regina i Moja pieśń wieczorna. Wydanie II i III.
Poezye, tom II.

W przygotowaniu:

Skarga. Dramat.

